

AD ASTRA



KRAKÓW. — Druk W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI

41561

D-68.

AD ASTRA



DWUGŁOS

PRZEZ



ELIZĘ ORZESZKOWĄ I JULIUSZA ROMSKIEGO



WARSZAWA

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA

KRAKÓW - G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1904

2594 - 7

BIBLIOTEKA GŁÓWNA FILII UW
w Białymstoku



FUW0009136

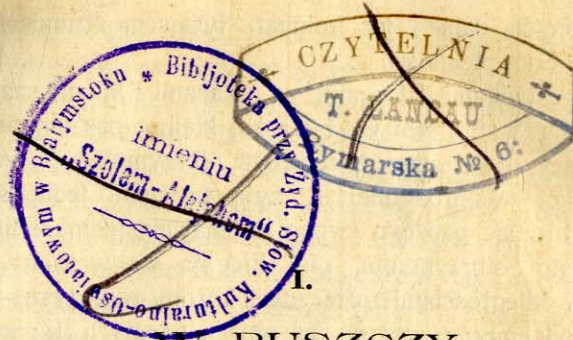
Komputer

Дозволено Цензурою
Варшава, 20 Апрѣля 1904 г.



113001

K-232/78/ 113001



W PUSZCZY.

I.

Na zachodzie, daleko, za przestrzeniami lasu, których wzrok orli nawet przemierzyłby nie mógł, z za miedzianych lub krwistych purpur zorzy wieczornej, rozplywa się po błękitach morze bladego ognia i do lasu wlewać się poczyną, jak miód blade-złoty do szmaragdowej czary. W poświęcie tej, z rozpylonych niby pierścieni ślubnych powstałej, pęka i kruszy się ściskający przedmioty cement leśnych zmroków, a od dna do podniebnej wyżyny wszystko rozstępuje się, wyodrębnia, otwiera na oścież głębie tajemnicze i dale niezmierne, w których, jak w czarnoksiężskim pałacu zaklęta królowna, życie oddycha na łożu, usłanem z zadumy i ciszy.

Zadumy, cisze, zmroki wieczorne, ciemności nocne ścielą tu całuny uśpienia i smutku; mgły snują żałobne przedziwa, mróz ze szronu i lodu wykuwa szklane trumny i z grozą gromów, z wirem wichrów przetaczają się burze zimowe i letnie, a zaklęta królowna żyje — i nie przerywa się nigdy, choć niekiedy przycicha lub słabnie, bicie jej nieśmiertelnego serca. Nie znikają też nigdy ze stropu jej pałacu, choć niekiedy za chmury się kryją, słońce i gwiazdy, a gdy w rumieńcach jutrzni, albo w ognjach zorzy wschodzą nad światem pogodne wieczory i ranki, wzbija się od niej tysiąc głosów, tysiąc woni, tysiąc ech i po tajemniczych głębiach, po

niezmierzonych dalach jej kołnów, tysiącem strumieni rozplywa się czar piękności.

Za gęstwinami i drogami, za polanami i łąkami, za strumieniami i rzekami, stoi Bór-Lada, klejnot puszczy najdrogocenniejszy, odwieczne dziedzictwo olbrzymek. Ze wszystkich wokół najstarszytniejsze, żyją tu same jedne sosny, potężnie broniąc państwa swego od najścia plemion innych. Jak przystoi olbrzymkom, nie zbiegają się w tłumy, lecz znacznymi odległościami rozłączone, korony rozłożyste wznoszą w podchmurne wyżyny na pniach prostych i gładkich, jakby je w kształty kolumn utoczyły dłuta mistrzów-architektów. W siwych koronkach porostów, lub rdzawo-czerwone od przejmującej miąższ ich żywicy, kolumny te występując jedne z drugich, zdaje się jakby w nieśmiertelnej gonitwie dążyły w nieskończoność bezprześcanną; budują i krzyżują labirynty portyków, z dachami rzeźbionymi we wzory iglaste, z podłożami wysłanymi puchem mchów i wrzosów. Czasem, na podłożach, rojem iskier rozsypują się korony drobnych kwiatów, lecz słabe to życie na wodzy trzymają olbrzymki, wielkimi hausty wypijające soki z ulubionej swej gleby piaszczystej, w ciszach głębokich i w woniach octowych, które u ich podnóży biją z łańcuchów gór mrówczych. Cicho i czysto. Po ślizgiej powierzchni opadłego igliwia mrówcze ludy same jedne chodzą drogami przez plemię ich ubijanemi od wieków i gdzieindziej, u stóp kolumn, wznoszących pod niebo hymn wzrostu i siły, dawno pomarłe bajraki rozciągają strugi krwi-stego próchna. Cicho. Ptaki nie mają tu jagód, pszczoły wody, a motyle kwiatów. Nic nie lata, nie śpiewa, nie świegoce. Dzieciół tylko miarowo kędyś stuka, piskłę krogulcze ostrym poświstem ozywa się na wierzchach i w dali zadzwiećwały krótkie, urywane dzwonki. Co zadzwoniło? To jelenie zaszczekały. Biegną; z głuchym tętentem, po przezroczystych portykach przewijają się rudą smugą ciał potężnych a lekkich, które zalotnie kołyszającym się krokiem omijają kolumny, królewskimi rogami na tych luźnych przestrzeniach zaledwie potracając opuszczające się z gałęzi włochate brody mchów

drzewnych. Nagle, górą poleciały, w gałęziach zaszumiały wielkie skrzydła ptasie. Orzeł to był, czy jastrząb, albo krogulec? Jelenie stanęły, w długi sznur wyciągnięte, podniosły głowy, rogi pokładły na grzbietach i wszystkimi parami oczu wpatrzyły się w azur wysokiego dachu. W oczach tych bojaźń jest i z nieskończoną słodyczą niema prośba. Tak nieruchomością posagową tknięte, w błękitne plamy nieba zapatrzone, we wzroku i słuchu całe, stoją pod spływającym na nie miedzianym blaskiem zorzy; potem zrywają się znowu i z szybkością myśli, czy strzały, mkną dalej, dalej, tam, kędy czyni się ciemniej, gęśniej, kędy z ziem chłodnych i tłustych, truflami i torfem pachnących, nadchodzi ku państwu olbrzymek silny, młody, wojnę z zagładą niosący — Jełosmycz.

Jełosmycz, to czysty, żadną przymieszką obcą nie skalany, ród świerków. Świerki idą. Tłum postaci wyniosłych i zgrabnych idzie na podbój ziemi i jej żywiących soków. Z ostremi iglicami gotyckich wież na głowach, w płaszczach rycerskich, z których naokół padają długie cienie, spieszą w bój z rodem prastarym, który ziemię tę zwłokami swemi utuczył i na dalekie morza rozsyłał heroldów jej sławy w postaci niezłomnych masztów. Dwa rody spotykają się z sobą, zwierają się, walczą. Widać jak na kolumny sosen opadają ze stron wszystkich gęsto tkane płaszcze świerkowe, do stóp ich ścieląc cienie, dyszące wilgotną zgubą. Liściaste podszycia, natarczywie tłocząc się, wojskiem ciurów wspomagają szeregi zaborcze; coraz też częściej i gęśniej iglice gotyckie strzelają ku niebu, a dokoła olbrzymek staje się coraz ciśnień, ciemniej: — grzyby pachną, dymna woń torfu napęlnia szczeliny, przenika pory gęstwin, czuć jakiś tryumf, tuż obok konanie, aż u zwężonych granic starożytnego państwa, zwycięzki Jełosmycz rozpościerać poczyną ściśliwą, ciemną, iglastymi wieżycami zjeżoną, liściastymi firankami zawieszoną — Smugę Czarną.

Czarna Smuga, to uroczysko pełne postrachów i dziwów. Są tam u góry mosty napowietrzne, które wichry

budują z ciał rycerzy złamanych i konające czoła opuszczających na łona towarzyszy; są pod świerkowymi płaszcami nawy niskie, bezkreśne, milczące i mroczne, jak potajemne kościoły; są wśród wywrotów, które z ziemi wydarte korzenie wyciągają w powietrze na kształt nóg przeolbrzymich pajaków, trupy prastare, których nagie zebra bieleją, jak szkielety przedpotopowych potworów; są nory dziwne, ciemności i tchliny pełne, pomiędzy łapami świerków, które na rozstawionych, zda się, nogach wielkoludów, tułowia drzew wysoko nad ziemią podnoszą. W czarnych ciemnościach nor tych szeleszczą gniazda robacze i ostrożnie wyglądają z nich żółte głowy kun i łasic, gdy wyżej w gęstwinach igliwia pomykają we dnie wiewiórki rude, a nocami świecą zielone oczy i do łupieżczych poskoków zwijają się kocie ciała rysiów. Wichry gonące się po przestworzach i burze gromami huczące dna Smugi Czarnej nie sięgają. Ulewa, kędyś wysoko helmy gotyckie siekająca, po rycerskich płaszcach spływa rzadką rosą, i w ziemię wsiąkając, dobywa z niej zapach pleśni. Tu czasem orzeł-imperator zajrzy w ciemne rozdoły, załopoce potężnymi skrzydły i strąciwszy z drzew trochę gałęzi, z dumnym szumem odpłynie w górę. Tu czasem w głębokościach najciemniejszych, toczą się niestałe, grobowe mruczenia żubrów, wzbierając i milknąc, chrapiąc i rwąc się, do grzmotu, któryby gamy swej we wnętrznościach ziemi próbował, podobne.

Podziemne to jest, ponure i rozciągające szerokie kręgi grozy. Niewiedzieć w jakiej twierdzy, obwarowanej ścianami rumowisk, zjeżonej nagiemi żebrami szkieletów, kłótnia wybuchła i wszczęły się łoskoty, łomoty, stuki, które echa przewlekłe po lesie roznoszą. Słychać stękanie drzew, potrąconych przez ciała ogromne, trzeszczenie walących się łomów, suchy łoskot zwierających się rogów, tętent racic, które w walce zacieklej wyrzucają z pod siebie bryły ziemi. Postrach idzie lasem. Cokolwiek wokół żyje przypada do trawy, do liścia, do gniazda, do legowiska, do nory; pełza, kurczy się, zwija kręgi, albo pierścienie, pożąda ukrycia się, zniknięcia. Aż nagle milknie wszystko. Wśród ciszy zakłętej, którą

powszechna trwoga las napełniła, stary żubr zwyciężony rogatą głowę wychyla z gęstwiny i ciężki tułów przesuwa po przezroczystych kolumnadach Boru-Lady. Od gęstej grzywy, która falą wełnistą wzdyma się mu na grzbiecie, i długiej brody, opuszczającej ku ziemi kądziel starganą, powiało cklwym zapachem piżma. Zwyciężony, zadumany, ponury, opuścił rodzinne stado, aby odtąd pustelniczą swą starość melancholijnie i groźnie obnosić pośród światła i cieni, gróz i piękności, dzikich postrachów i słodkich pieśczęt tej puszczy. Chodzić on będzie po szmaragdowych drogach, które wśród ścian niebosiężnych w dalekich dalach otwierają się na błękity, lub na chmury niebios, i po ścieżkach swawolnych, które tysiącem skrętów biegną ku srebrnym biegom strumieni. Pójdzie on tam, kędy na olchach łąk wilgotnych wieszają się białe opary i trwożnymi błyski migocą ogniska pastusze; kędy na różowych marglach, na bogatych we wszelki liść Hrudach, gibkie graby tysiącem ramion owijają wyniosłe wiązy; kędy z podnóżami zatopionymi w szklwie wód, czarnych jak smoła, dęby pod samo niebo ciskają odwieczne swe wzrosty. Na zawsze uciszony, słuchać on będzie w klonowych gajach, jak drzewa drzeniem liści, a ptaki śpiewnym chórałem witają radośnie poranki, i na zawsze samotny, ścigać wzrokiem z za grubej kolumny chyże sarny, stadami mknące ku wieczornym leżom. Spoczynek znajdzie tam, kędy z wiecznie zielonych wąwozów, jak z czar malachitowych, ogromna i gorzka wybucha woń trawy, noszącej imię jego, albo tam, kędy błotne Nikary, na przestrzeniach dla oka niezmiernych, rozstawiają wojska trzciny w kołpakach aksamitnych.

Na ogromnem mokrzadle Wielkiego Nikaru, w nurtach brodów, posiadały łosie i głowy tylko, konchowatymi rogami oskrzydłone, nad mętne powierzchnie podnosząc, nakształt samotnych bożków, gryzą rozmarynem pachnące bahony. Wiatry, na tych gładkich przestrzeniach, jak bieguny na stepach, hasają po niwach ajerów, irysów, grzybieni, przeciągle gwizdząc w oczerety — czajki krzyczą, bąk huczy, czapla

przelatuje i dokoła głów łosich zorza łuny różane ściele po stojących wodach.

Drobna na wielkim obrazie przyroda, ciemna i cicha wśród jej blasków i głosów, młoda kobieta stanęła w gaju osin, które kaskadami drżących liści szeleściły pośród milczących sosen. Suknia jej ciemną plamę kładła na rdzawość leśnego olbrzyma, lecz twarz w rumianej smudze zachodu jaśniała młodością promienną, jak w lipcowe upały jaśniej wśród cieni leśnych słoneczna korona arniki. Wiosna jej minęła, fijołki uwiędły i na trawy zroszone deszczami, zryte gromami, opadły wątłe płatki anemon; lecz lato życia tak czyste i silne, jak oddechy tej puszczy, z którą bez przestanku żyła, wyrzeźbiło ją w harmonię kształtów i linii, właściwą wszystkim rzeczom skończonym w sobie, czystym i silnym.

Szafir żrenic jej, które teraz ku srebrzącym się kaskadom liści wznosiła, pogłębiły ostrza uderzeń serdecznych i blask ich uczyniły więcej podobnym do gorejącej łuny zachodu niż do radosnych światła jutrzeńki. Od wzniesionej ku górze jej głowy spływał jedwabnym ciężarem węzeł włosów z barwą dojrzałej pszenicy, a palce splecione wyprzedły wieki uprawy pokoleń, fizycznej i duchowej.

W metalicznym szmerze osinowego gaju, w ślizgających się dokoła smugach rubinowego światła, ruchem zadumy czy modlitwy spłótła ręce i zatopiła się w myślach.

— «Stwórco i Władco wszystkiego, co oddycha, co oddycha usty oblanymi rosą szczęścia i tuż obok wargami ran, sączącymi krew bólu, jad krzywdy, znój walki, żalobę strat niepowetowanych; — Potęgo i Myśli najwyższa, która na niezmierzonej karcie wszechprzestrzeni kreślisz niezliczone drogi i wikłasz je w zagadkę, z utopionym na dnie, Tobie jednemu znanym, kluczem przeznaczenia; przed Twoją wolą kornie pochylam swą wolę i ku Twym gwiazdom wytrwale wzbijam serce, jak wiotki powój wici swe skłania do stóp, a od stóp wspina ku szczytowi leśnego olbrzyma...

«Tyś to podjął mię z pospolitego mrowiska i w ręku swych wznosił wysoko, wyżej, aż mi w żrenice spłynęły blaski twoich gwiazd — i zarazem Tyś promienie żrenic tych zgiął ku ziemi, wyostrzył w przenikliwość, wyciągnął w dalekowiedztwo i ujrzeć im dał mary, przeciągające przez świat z garbami nieszczęść i zbrodni, jak z górami, zasłaniającemi gwiazdy. Idą w dymach krwawych i stopy zwierzęce stawiają na gniazdach, na różach, na perłach, na śniegach niewinności, na purpurach królewskich ukochań. Słyszę pękanie czaszek ukoronowanych, rżenie piersi bohaterskich, westchnienia różkonających, chrzęsty gruchotanych pereł...

«Od kolebki brałam w siebie tę baśń nad baśniami, która tragiczną prawdą ciecze u podnóży tej puszczy, aż zmieszała się ona z krwią moją, zabarwiła opony mózgowe, uczucia w sercu wyprężyła jak struny na harfie... a baśń nieskończoną i prawda jej tragiczną jest, o Panie!

«W tę niezmierną kartę, z której czytać mię nauczyłeś, zapatrzona, nie oglądałam się, nie zapobiegałam, nie widziałam, jak lata młodości nakształt fal wartkich u stóp mi płynęły, znikwały, zanim więcierze swe zarzucić w nie zdołałam, jak własne perły moje w konsze serca roztopiały się we łzy, zanim zdołałam wykuć z nich sobie pancerz i dyadem.

Ranek przeminął, południe nadeszło, przemija...

«Wieczór już Panie! Oto leśni ptacy,
Skłaniają skrzydła ku gwiazdom w polocie...»

«Gniazdo me spadło strącone od gromu... I jak drobne ptaszęta rozlatujące się z trwożnym szczebiotem, gdy orzeł wierzchem puszczy popłynie; jak trawa tak wybujała, że unikają jej niskie loty motyle; jak obłok, który nad świerkami stojąc, srebrnym okiem wpatruje się w leśną ciemnicę, gdy inne w swobodzie po błękitach promiennych igrają — tak jestem sama...

«Oto pół twoich umilkli śpiewacy,
Oto dzień cały przetrwałam już w pracy!...»

«Dlaczego, Panie?

«Są na drogach tej puszczy brzozy płaczące, w których cieniu błogi spoczynek znajdują zmęczeni wędrowce; są na krzakach maliny, z których piją spragnione ptaki; jest na drzewach patoka miodna, ciekąca po korach, przepojonych goryczą garbnika.

«Są na ziemi ręce, które robaczki zagrożone zdeptaniem przenoszą na miejsca bezpieczne i latorośle od pni oderwane przywracają próchnicy, ze zwłok ich przodków powstałej. Są serca, które wtórują wszystkim szumom, echem, trzaskom i hukom tej puszczy, bijąc w jej łonie, jak własne jej serce...

«Czy dla tego?

«Wysłuchuję się w serce swoje i mówi mi ono: tak! tak! Przez serca ty, Panie, do ludzi przemawiasz!

«Mam wiele mogił, do których chodzę w odwiedziny, i jedną najdroższą, w której na stepach dalekich brat mój śni o niebie nad puszcza tą zawieszonem.

«Stara piastunka moja, gdy śmierć zamykała kochane jej oczy, rękę mą ściskając, szeptała: «Samą zostaniesz, samiotką jedną w tych wielkich pokojach...»

«Nie było dla mnie ogniska...»

«Bo raz tylko... ale ty wiesz o tem, który jesteś w sercu mojem... raz tylko rękę wyciągnęłam po szczęście. Odeszło...

«Kwiaty posnęły majowe...»

.....
.....
Gdy tak myślała, coś w oddali poczęło z cicha muskać mchy i paprocie. To łania biała biegła tak lekko, że od jej stąpań niekiedy tylko zachwiała się gibka latorośl osiki, lub szerokim wachlarzem powiała paproć-orlica. Biegła wprost ku niej, na czombrach kwitnących stanęła, zatopiła w niej czarne, przenikliwe oczy.

Wtedy też poświata blado-złota, która pyłem jasności

eterycznej napełniała i przeświecała las, poczęła mącić się i gęstnieć. Linie zacierały się, kolory gasły, kształty, wzajem na siebie następując, przechodziły w stan tych widzeń fantastycznych, które szeregiem metamorfoz przeciągają po tle usypiających powiek. Natomiast w tem, co dla wzroku stało się już tylko chaosem i fantasmagoryą, o inne zmysły uderzyły dwa napowietrzne chóry: woni i dźwięków. Miody i smoły zapachniały, na spotkanie ich od mrówczych wzgórz wypłynął ostry ocet, z żubrowych siedlisk powiały ckiwie piżma, zmieszane z goryczą dzikich gorczyc i ajerów, aż ziemia wionęła dymnym zapachem torfowisk, smakiem grzybnym i razowym, wilgocią gliny, pyłem piasków, próchen i może tych żwirów, które na głębokich spodach pozostawiło przed wiekami uciekające stąd morze. A w przepotężnem odetchnieniu ziemi ozwał się chór dźwięków z początkiem nieznanym i końcem przepadającym w otchłaniach oddaleń. Niewiedzieć gdzie, niewiedzieć co mówiło, szemrało, pomykało, przelatywało... Jakies poskrzypy i pomruki, trwożliwe szelesty, klekoty oddalone, turkoty głuche, mętne i wnet mdlejące wołania, westchnienia przewlekane przez echa, wszystko mgliste, szkirowane zaledwie, z przyczyną niewiadomą i konaniem towarzyszącem poczęciu...

Wtem, wyraźnie, jasno, przeciągle, popłynęły zapadającym w noc lasem srebrne brzmienia dzwonu.

Kto i gdzie dzwoni?

Czy w głębi Sarniego Skoku tak głośno rozszczękały się jelenie? Czy na Zamczysku zagrały ogary, których widma towarzyszą tam nocami widmowym myśliwstwom królewskim?

Nie: był to kościelny dzwon, lecz nie nad takim kościołem dzwoniący, który wznosi się na powierzchni ziemi. Rozbrzmiewał od Mogił, uroczyska, w którym pod ziemią i lasem, ze świątyniami, pałacami, ulicami swemi, całe, żywe, z żywą ludnością, stoi miasto, niegdyś w ziemię zapadłe. Pradawno to było; las niebosiężny nad niem wyrósł, lecz ono żyje i codzień o zmierzchu wysyła nad ziemię głos kościelnego dzwonu, aby oznajmiał ziemi, że żyje.

Wyraźne, jasne, przewlekłe są brzmienia dzwonu, przez które miasto pogrzebane wysyła na świat swoją pieśń tragiczną. Czy skarży się albo o ratunek woła? Czy wysyła poselstwo rozkazów, upomnień i prorocत्व?

Na kwitnących czombrach, z ręką wspartą o gibką szyję łani, kobieta słucha dzwonu, rozlegającego się w leśnej pomroce, a gdy nad uciszonymi wierzchołkami osin złotem okiem wyblyskuje pierwsza gwiazda, wznosi ku niej twarz wśród zmroku białą i usta jej poruszają się szeptem błagań, zwierzeń, czy przyrzeczeń.

Jeszcze przez chwilę, w oddaleniach wielkich, rubinowe iskry zorzy bładzą i migocą, lecz wkrótce gasną. Wdzięczna postać białej łani, w krepie zmroku spowijana, niknąć poczyną i — znika.

Dzwon na uroczysku mogiły rozbrzmiewa coraz ciszej, wolniej, słabiej i — milknie.

Nad uciszoną i ciemną puszcza wschodzą wysokie gwiazdy i złotemi oczyma wpatrują się w morze jej nieruchomych, milczących szczytów...

Od Wielkiego Nikaru, brzegiem puszczy, bystro w głębokiem łożysku płynie Lsna, a tam, gdzie Królewski Most zawiesza nad nią kłamrę długą i zgrabną, nad rozległymi polami i łakami, dwór Krasowiecki stoi w odwiecznej, ciężkiej, ciemnej gęstwinie swych ogrodów. Szemrzącym szlakiem rzeki rozdzielony z puszcza, wydaje się on w dal odrzuconym, końcowym akordem wielkiej pieśni.

Gęste sploty powojów owijały filary głębokiego ganku. W pokoju obszernym i niskim lampa płonęła nad stołem spiętrzoną książkami, dziennikami, wiązkami kwiatów, niemi jedwabów i smugi obfitego światła wysyłała na ganek przez drzwi wysokie i wąskie, przez wąskie i nisko osadzone okna. Szły stamtąd oddechy samotności, spokoju, pracy. Rezeda i róże pachniały. Rozlegały się dźwięki pięknej muzyki fortepianowej. Ktoś w głębi domu umiejętnie i pięknie grał.

Seweryna Zdrojowska siedziała w smudze obfitego

światła i pogodnym wzrokiem spoglądała w wielką płataninę roślinną, która od brzegu do brzegu okrywała rozległy dziedziniec.

Z kruży natury napiła się mocnych czarów piękna, przy legendowych brzmieniach dzwonu oko w oko patrzała na gwiazdy, z chóru leśnych woni wzięła w siebie kroplę słodczy miodnej i trochę tego pyłu, którym z głębokich spodów wieją żwiry rodzinne, aż w serce jej, przedtem żalosne i roz tęsknione, spłynęła czarna perła szczęścia. Czarna, bo blasków tęczowych, którychby nie owijały żalobne krepy — nie znała.

Pogodnie, prawie wesoło patrzała na drobne światła, mrugające wśród gęstej zieleni dziedzińca. Były to okna, oświetlone blaskiem płonących za niemi ognisk rodzinnych. Przychodziły stamtąd, tłumione oddaleniem, urywki rozmów, wybuchy śmiechów, świegoty głosów dzieciennych. Głosy dobrze jej znane i dusze znane. Splot losów ludzkich, drobnych, pokornych, licznych, którego nici spoczywały w jej dłoniach.

W głębi wielkiego domu ktoś grał ciągle umiejętnie i pięknie. Seweryna uśmiechnęła się do obrazu młodej artystki, która tam, w wielkim niskim pokoju, opowiadała muzycznymi tonami o duszy swej, zasmuconej przedwcześnie i ciężko. O czem to biedne, wdzięczne dziecko myśli, gdy z tak głębokiem uczuciem wykonywa utwór genialnego mistrza? Czy o porzuconej w stronach dalekich mogile ukochanej matki? Czy o krótkich, a dziwnych dziejach swego zakochanego i zawiedzionego serca?

Zwiedzione sztucznem światłem, opływającym filary ganku, dwa kwiaty powoju rozwinęły kielichy i z osrebrzonej zieleni patrzyły parą szeroko rozwartych, ciemno-modrych oczu.

Seweryna uśmiechnęła się do tych oczu, w milczeniu na nią patrzących.

Obejmował ją czar kwiatów, muzyki i gwiazdzistego wieczoru. Rezeda i róże pachniały. Modrzewie, jak czarne kolumny, wzbijały się nad liściastą gęstwiną sumaków i aka-

cyi, za którą światełka mieszkań ludzkich gasły i głosy ludzkie milkły.

We wnętrzu domu umilkła też muzyka, a w wysokich i wązkich drzwiach ganku ukazała się postać pełna wdzięku. Światło lampy oblewało wysmukłą kibić dziewczęcą i przesrebrzało płowe włosy, nie ukazując w pełni rysów twarzy, białej, jak narcyz. Zbliżyła się ku Sewerynie z zamkniętym listem w rękę.

— Od Idalii — rzekła z cicha.

Z rozdartego papieru wypadła twarda kartka, na którą Seweryna nie zdołała rzucić okiem, bo spostrzegła ją Henryka i z miękkich, pieszczotliwych ust jej wydarł się okrzyk. Uczucie przestachu, zdziwienia, radości niespodzianej i przejmującego bólu zabrzmiało w tym okrzyku. Ręce jej, trzymające wizerunek młodego mężczyzny, drżały i nisko nad nim pochylała zarumienione czoło, aż powolnym ruchem osunęła się do kolan towarzyszki i, twarz kryjąc w jej sukni, cicho zakała. Płacz wstrząsał szczupłymi liniami jej pleców, a ręce, białe jak narcyzy, rozpaczonym ruchem opasywały złoto włosów.

Więc tak! więc zawsze! Nie pocieszyła się, ani zapomniiała.

Idalia Olska, ta płocha kobieta, z sercem tkliwem i usty wielomównemi, miała od dawna zwyczaj przysyłania tu z szerego świata, po którym, jak motyl bujała, wieści, opowieści, wizerunków. Przysłała teraz ten i ugodziła nim w serce tej dziewczyny, jak grotem, który, pograżając się w ranę, ból jej odnawia i zaostrza. Rozkochanej i opuszczonej ciężko jej było żyć; nie mogła zapomnieć, nie mogła zrozumieć...

Seweryna, znająca dobrze te dwoistości natur ludzkich, które częstokroć w upłot nierozwikłany łączą ludzką wspaniałość i marność, nie rozumiała również. Kto to był? Kim, jakim był? Jakie pobudki, wahania, burze, rządzić nim mogły, gdy wszystkimi urokami światowca i tą wykwinnością słów i uczuć, która w uczonym odsłania poetę, podbijał serce, umysł, zmysły tego pięknego dziecka, a potem odjechał, nie

wrócił, umilkł, zniknął? Jaką była ta dusza tak potężna i zarazem tak licha? Potężna być musiała, skoro talentem i trudem we wczesnej młodości podbijała już światy wiedzy i sławy; lichą być musiała, skoro po drodze swej siała łzy. Siew też przerażał oczy jej, nawykłe do samotnego wpatrywania się w ideały, siejące rosę pociech.

Wiedziała o nim wiele, a przecież nie rozumiała... Suchy wiatr kosmopolityzmu odniósł ojca jego w kraje dalekie. Tam wzrósł i w tamtejszej mowie zasłynął myślą niezwykłą, silną i śmiałą. Nie słuchał nigdy szumu zbóż na niwach rodzinnych, ani rozbrzmiewających po leśnych głębinach dzwonów legendowych. Był latoroślą od rodzinnego pnia oderwaną, wspaniale wyrastającą na niwie obcej i nie zdawał się oglądać za niczem, ani wiązać się niczem, co nie było potęgą, blaskiem, sławą, radością życia.

W rozległym labiryncie drzew, dom otaczających i gniazd ludzkich pełnym, pogasły światła, pomilkły głosy, zapanował sen. U okna otwartego na modrzewie i akacje, przy lampie, którą oblatywały drobne motyle nocne, Seweryna wpatrywała się w wizerunek człowieka, o którym nie mogła przestać myśleć. Myśl o nim krzesłała w niej gorącą iskrę niewiadomego pochodzenia. Brwi jej ściągnęły się do skupionej uwagi, a na ustach zawisł uśmiech niedowierzający. Z doskonale wykonanego wizerunku patrzyły na nią oczy mądre i chłodne, a wśród delikatnie zarysowanego owalu twarzy, cienkie wargi drgały uśmiechem ironicznym; lecz na kształtnem czole, okrytem blaskiem myśli, leżała śród brwi zmarszczka bolesna i rzucała na twarz całą rys zamkniętego w dumnym milczeniu cierpienia. Z młodzieńczej tej twarzy biły: mądrość, duma, ironia — i nie było w niej szczęścia, ani dobroci. W zamian, z za jej chłodu i dumy przeglądało coś z tych wiecznych tęskności, które zalewają spody dusz marzycielskich, i coś z tych gniewów, które je przepalają, gdy świat zjawisk, ani świat myśli, ani świat uczuć, rojeniom i pragnieniom ich załość uczynić nie mogą.

Ręce z wizerunkiem na kolana opuszczając, pomyślała, że... nic dziwnego.

Nic dziwnego, że dziecko to pokochało tego pięknego, mądrego człowieka, i że zapomnieć o nim nie mogło.

Wiedziała, jakim ciepłem serdecznym i jaką delikatnością starań Tadeusz Rodowski otaczał Henrykę wówczas, gdy na dalekiem południu śmierć przybliżała się do ukochanej jej matki. Wiedziała, że w jakiś wieczór letni, nad brzegiem południowego jeziora, w ogromnym szumie wodospadu, ogarnął ich płomień momentu takiego, o jakim zapomnieć zawsze nie łatwo, czasem niepodobna. Osieroconym i zranionym ptakiem Henryka pod dach jej zleciała, pozostawiając za sobą mogiłę matki i nadzieję szczęścia. Zginęła jej też, w dalekiej podróży, rzecz nieprzepełniona: wiara w prawdziwość i trwałość uczuć ludzkich. I ani cisza jej domu, ani ciepło jej serca, ani przyroda, ani sztuka, nie mogły dotąd ukoić serca, w którym z krótkiego kochania sączyły się nieustannie łyżki bólu i sroższe od nich uśmiechy zwątpienia. Serce to było zbyt młode, ze strażami zbyt słabo jeszcze umocowanymi, aby zwycięsko zwalczać mogło ponure czynniki życia.

Przywykła na widok cierpień ludzkich do zapytywania u serca, rozumu, sumienia: co czynić? — Seweryna myślała długo, aż u okna otwartego na modrzewie i akacje, w świetle lampy, którą oblatywały motyle nocne, stanęła z powziętym w myśli zamiarem. Wiedziała już co uczyni. Spróbuje naprawić to, co pękło w ręku może kaprysu albo przypadku.

W zamiarze swym widziała jasno to marzycielstwo nieśmiertelne, które ją samą wytrąciło z kolei powszednich i losy jej uczyniło niepodobnymi do innych. Daremnie płynęły po niem gorzkie wody życia; trwało, jak trwać musi ręką Boga naciągnięta w duszy ludzkiej struna. Trwało i, wiecznie czepiając się blasków górnych, zrywało się do walki z ciemnymi marami świata. Własne jej szczęście pękło w nim, jak zdeptana perła, a górne blaski umykały z dłoni. Wątpła z niej prządka, z kądzieli ideału snująca nić złotą, którą wciąż no-

zycami nieubłaganymi przecina Parka, siedząca na nieskruszonych skałach rzeczywistości...

Tak myślała — i nagle ogarnęło ją zdziwienie. Nawykła do pilnego rozpatrywania się w pobudkach zamiarów swych i czynów, odkryła wśród tych, które w tej chwili nią rządziły, jedną, niespodziewaną i tak niejasną, że zaledwie rozpoznać ją mogła. Jakkolwiek gorącym było współczucie jej dla cierpiącej, blizkiej i drogiej istoty, łączyła się z niem głucha chęć spojrzenia w głąb duszy niezwyklej i tajemniczej, głuche pragnienie wyrwania się z koła codzienności ku blaskom i płomieniom rzeczy odległych, niezwyklej. Człowiek, którego wizerunek trzymała w ręku, stał przed wyobraźnią jej w postaci zagadki, wydawał się jej upostaciowaniem samej jednej tylko, niestrudzonej, dumnej, zimnej myśli; a przecież oko przenikliwe wyczytywać w nim mogło, również jak myśl nieubłagane i dumne, cierpienie. Dla woli i świadomości tajemnie, pomimo świadomości, pomimo woli, na ustach jej posporych, jak dojrzała jagoda kaliny, drgały pytania: kim jesteś? Skąd uderza źródło twego bólu? Dlaczego lekceważąc czy lekkomyślnie upuszczasz z rąk różę, strącasz z serca krople napojów rajskich?

Jak ze snu obudzona, podniosła schmurzone czoło. Czyliż człowiek nigdy nie może do ostatka samego siebie od siebie odtrącić? Czyż te nawet dusze, które najgoręcej oddane są gwiazdom, wzdychać jeszcze muszą ku prochom drobnym i marnym? Czyż zawsze złoto uczuć musi zawierać w sobie przymieszkę lichego metalu?

Ciemność i cisza napępniały wielkie pokoje domu. W takich ciemnościach czepiają się po ścianach cmy pomarłych nadziei i pod sufitami łopoczą nietoperze zwątpień; na takich ciszach kołyszą się, jak na całunach, melancholie bezdenne i marzenia tęskne...

W pobliżu Lsna szemrała kryształowo; w oddali Bór-Lada toczył posępną grę szumu. I szły od niewidzialnej w ciemnościach puszczy westchnienia przeciągłe, wołania nie-

wyraźne, szelesty, szmery, coś, jakby lekkie po mchach stąpania łani — coś, jakby konające w odległościach echowych brzmienia dzwonu.

II.

Białowieża — Krasowce.

Wspólna krewna nasza, pani Idalia Olska, wyjaśni Panu przy sposobności stopień zachodzącego pomiędzy nami pokrewieństwa, a jeżeli i potem jeszcze to przemówienie moje wyda się dziwnem, to niech Pan pomyśli, że popełniła je kobieta dzika. Idalia opowie Panu, w jaki sposób, przed laty dziesięciu, towarzystwo w salonach jej zgromadzone obdarzyło mię przydomkiem: dzika. Taką pozostałam na zawsze. Zawsze mieszkam w Puszczy i na świat patrzę z pod kąta — puszczowego.

Od paru już lat z zajęciem ścigam wzrokiem tę świetną drogę, którą Pan idzie ku wielkiej zapewne przyszłości. Mam trochę nadziei, że mię Pan o przyczynę tego zajęcia nie zapyta, lecz jestto tylko nadzieja. Mieszkańcem odległej stolicy będąc, może Pan nie spostrzegał nigdy, jak drzewa lasu gałęziami splatają się z sobą, i jak kłosa na zagonie spójną falą oddają pokłon słońcu. Co do mnie, często i z podziwem myślę o tych magnesach, którymi natura pociąga ku sobie planety jednego systemu, drzewa jednego lasu, kłosa jednego pola i dzieci jednego rodu. Ja i Pan jesteśmy dziećmi jednego rodu; stąd chęci moje — i prawo — podziękowania za liść wawrzynu, który Pan rzuca na jego ciernistą niwę. Tak wczesne podboje wśród narodu nie tylko obcego, lecz wrogiego, są tryumfem, który dzielimy z Panem, choćby Pan o tem nie myślał i o to nie dbał.

Wiem od Idalii, że miesiące wolne od prac naukowych przepędza Pan zwykle w Alpach, nad jeziorami południowemi, nad brzegami rozmaitych mórz. Czy nigdy nie przyszła Panu myśl spędzenia ich na wsi polskiej? Czy wiedza i młód

ślawa wystarczają jeszcze do czynienia widnokręgów Pana zajmującymi i ciepłymi? Bo słyszałam, że niekiedy blaski ich doświadczają zaćmień i że bywają na świecie takie śniegi, których one roztopić nie mogą.

Czy Pan nigdy jeszcze nie widział zaćmienia swoich słońc, ani uczuł tych szronów, które wśród dróg kwiecistych z nagłą oblatują duszę?

Inne jeszcze pytania cisną mi się do myśli, bo przecież na żadnem płótnie malarskiem niema tylu barw, ani w żadnej melodii muzycznej tylu tonów, ile w człowieku, wyrzeźbionym przez naszą przesubtelniejszą cywilizację, zawierać się musi zawiłań psychicznych. Ale — czy podejmie Pan koniec tej nici, którą przez daleką przestrzeń ku panu zarzucam? Wszakżeśmy na jednym globie — dwa różne wcale duchy.

Więc już tylko poproszę, aby Pan przyjął od rodaczki i krewnej pozdrowienie najżyczliwsze, z którym przysyłam trochę leśnych woni naszych, trochę szmeru Lsny, kroplę z mgieł, budujących tu na łąkach pałace czarnoksiężskie i promyk ze świecących nade mną gwiazd.

III.

Szwajcarya — Interlaken.

Nie tylko odpowiadam Pani jako krewny, który szczerze cieszy się z nawiązania węzłów rodzinnych, przez okoliczności i czas rozluźnionych, — lecz podjąłbym z gotowością wielką, ową rzuconą mi przez daleką przestrzeń girlandę z woni, mgieł i szmerów puszczy białowieskiej, podjąłbym ją nawet z pośpiechem, gdyby nie obawa, że połączyła mię ona z pustelnią krasowiecką tylko przez omyłkę, wskutek informacji błędnych. Mam w podejrzeniu wspólną krewniaczkę naszą, panią Idalię, zawsze bardzo na mnie łaskawą, że przesadnymi opowiadaniem, zapewne pochwałami, których mi nigdy nie szczędzi, w błąd Panią wprowadziła. Ona to chyba, potra-

fiwszy wmówić w siebie, że dokonywam jakichś podbojów, że już czoło moje opasuje aureola wielkości, usiłuje innych o tem przekonać.

Z pięknem pozdrowieniem swem, za które wielce obowiązany jestem, zwróciła się Pani do zwyczajnego śmiertelnika, który tem tylko różni się od przeciętnych szeregowców w życiu, że w braku przymiotów potrzebnych do walczenia na arenach innych, stał się mołem książkowym, zgłębiającym problemata tak niezmiernie żywotne, jak psychologia ameby, albo kwestya: czy przodkom naszym trylobitowej postaci, w epokach sylurskich, dogadzała więcej woda słodka, czy słona? Dla tak mało zajmującego szeregowca szkoda woni bijących z litewskich lasów, pereł mgły zbieranych na łąkach, szmerów strumieni i t. d. W ten sposób obdarzony, możeby już dziś nie potrafił należycie skorzystać z tych darów rozwiewnych, jak asceta, któremu by ręka nieopatrna rzuciła przez okno celi wiązkę purpurowych róż.

Jestem istotą wcale nieciekawą; do roli tryumfatora, któryby rzucał promień sławy na niwę swego rodu, bardzo mi daleko. O uczoności swojej wiem to jedno, że nic nie wiem, a rozgłos imienia swego odgadywać mi pozwala tylko wzrastający zastęp współpracowników tak szlachetnych, że serca ich uderzyłyby nieklamana radością, gdybym się w sposób jakikolwiek potknął na tym gościńcu, który — jak wieść niesie — wiedzie ludzkość do poznania prawdy. Słońca moje, o które Pani zapytuje, nie świecą wcale, albo przynajmniej chwieją się płomykiem niestałym, tak jak ja sam nie jestem na horyzoncie wiedzy pochodnią, lecz chyba lampką, której drobne pobłyski ustawicznie chwieją się i roztapiają — w ciemnicy.

Oprócz darów powyżej wymienionych ofiarować mi Pani raczyła promyk z gwiazd, które nad głową Pani jaśnieją. Wszakże to metafora? I pozwalam sobie wyznać, że wydała mi się piękną. Wyobrażam sobie, że idzie w niej o tak zwane ideały, czyli błyszczące cacka, bardzo pożądane, a nawet konieczne do rozjaśniania puszczy, gdy przed nie-

spokojnym duchem człowieka pootwiera ona swe perspektywy mroczne, ogromne, monotonne i bezładne.

Nie doświadczyłem nigdy, jakimi głosami pustkowie bez nadziei i bez granic przemawia do człowieka; jednak pojmuję, że w takim kole zamknięty duch, aby nie zatracić samego siebie, sam sobie musi budować rusztowania podniebne i, zawiesiwszy je kolorowemi lampkami, krzepić się albo bawić ich jasnością. Pojmuję też, że z tak wielkiej odległości umiejętność wydawać się może jednym z najpotężniejszych ognisk w systemacie słońc, ku którym zwracają się żrenice, spragnione ideału. I to właśnie przejmuję mnie trwoga. Lękam się, aby przy bliższem zetknięciu się ze mną, jako, bądźco bądź, przedstawicielem nauki, nie tylko dumny Faros wiedzy nie zmałał, i nie pobladł w oczach Pani, lecz aby jej własne gwiazdy, czyli te piękne lampki, palące się bezpiecznie i spokojnie nad starożytną jej siedzibą, nie zbladły i jedna po drugiej nie zagasły, pozostawiając na tle ciemnicy ogólnej otwory, z wyglądającą przez nie wieki i niczem nie nasyconą próżnią.

Więc jeżeli Pani wyciągnęła do mnie rękę z celem i chęcią zbliżenia się do tego słońca, którego jestem kapłanem, to, dla uchronienia Pani od zawodu, ostrzegam, że z bliska oglądana twarz tego bożyszcza jest więcej martwą, aniżeli żywą, że na tem słońcu są plamy, i że to słońce nie grzeje. Zdarzyłoby się mogło, że zamiast znalezienia pożądanych zachwyków, znalazłaby się Pani wobec szyderczych pytań i bezlitosnych negacyi. Zdarzyłoby się mogło, że przy tem dziwnem słońcu stałoby się Pani zimno, że opustoszałby świat ideałów Pani i wymknęłyby się z rąk przedmioty dotychczasowych ukochań i wierzeń. A szkoda byłoby tych błyszczących cacek, z pewnością bardzo w życiu pożądanych, a czasem nawet koniecznych. Przykroby mi też było, gdybym to ja właśnie miał roztoczyć przed Panią podwoje tego Sezamu, który tak wiele bierze, a tak mało daje.

Jeżeli zaś łaskawe zajęcie się mną jest natury więcej osobistej, o czem skromność każe mi powątpiewać, w takim

razie pozwoli mi Pani podaną dłoń ucisnąć i poprosić o względy życzliwe na przyszłość. Jesteśmy spokrewnieni z sobą przez matki, ale, jak Pani może wiadomo, matka moja nie żyje już od dawna. A ponieważ od niemowlęstwa prawie jestem mieszkańcem Wiednia, więc nie dziw, że stosunki rodzinne, a zwłaszcza parentela mojej matki, tak się w umyśle moim zatarły, że obecnie zapytać musiałem o stopień łączącego nas pokrewieństwa. Nie należąc do najbliższych, dalekim nie jest. Że Pani chciała przypomnieć sobie o tem, szczerze dziękuję.

Głos Pani nie zastał mię w Wiedniu, gdyż natychmiast po ukończeniu prac dorocznych, uciekliśmy z zakurzonego miasta pod stopy przeczystej Jungfrau. Mówię w liczbie mnogiej, ponieważ wkrótce po mnie przybył tu ojciec mój, a także pani Idalia zatrzymała się nad Aarem, w drodze do Biarritz. Przedstawia się więc wcale dobra sposobność do małego rodzinnego zjazdu. Dla względów rodzinnych powinna Pani na kilka tygodni wyrzec się puszczy i odwiedzić tu panią Idalię.

Przyszłoby to Pani tem łatwiej, że byłby to jednocześnie hołd złożony pięknej przyrodzie, którą Pani zapewne kocha, chociaż jej bezpośrednio, tak jak ja, nie służy. Przyroda bez wątpienia wszędzie jest piękną; o takich wszakże pięknościach i czarach, w jakie tutaj się stroi, ani marzyć chyba na waszej północy. Natężenie barw i światła bywa tu niekiedy wprost bajeczne. Jest tutaj tyle słonecznego światła i ciepła, że pomimo sąsiedztwa lodowców dni letnie przybierają pozór strefy południowej. Panuje tu przedewszystkiem nadmiar światła i słońca. Jestem czcicielem światła i kosmicznego słońca. Dlatego też nie jeżdżę nigdy tam do was na północ, bo po niebie waszem przepływa więcej chłodnych, niżeli upalnych promieni — a moje życie jest krótkie.)

Bawię tu już od tygodnia i codzień podziwiam widok roztaczający się z naszych balkonów, jak coraz nowe czarnościęstwo.

Codzień od strony lodowców Rodanu wlatuje na niebo słońce; niby ognisty ptak, gorejący złotem, szybuje olśnie-

wającą smugą przez firmament i za jeziorem Tuhn znika w pożarach szkarłatu i krwi. A lećąc, świeci szafirowym wodom i srebrnym prądom Aaru, puszystym łąkom i lasom, olbrzymiej falandze Alp śnieżnych, które oskrzydłają nas mroźnym pierścieniem i wreszcie nam, którzyśmy taborem stubarwnym rozłożyli się w dolinie i mrówczym rojem zajęgli okoliczne góry.

Oto są widnokregi widne i ciepłe, które nie doświadczają zaćmień. W ogólnym tryumfie światła giną tu krajobrazowe szczegóły, podobnie jak w duszy turysty giną wszystkie zaćmienia i plamy, pozostawione przez życie.

Na tym błogosławionym gruncie, na tle przepysznej dekoracyi alpejskich jezior, kaskad, wiecznych śniegów, pragnąłbym powitać mieszkankę pustelni białowieskiej i oprowadzić ją po krainie, gdzie, mimo grzmiących w upadkach lawin, bezpieczniej mieszkać niż w uśpionych samotniach puszczy, i gdzie, pomimo spiętrzonych wokół lodowców, istnieją drogi pewniejsze niż na zawrotnych szlakach ducha.

IV.

Krasowce.

Pilno mi obawy Pana uspokoić i zarazem sprostować linie obrazu, który w umyśle pana odmalowała przestrzeń daleka.

Dzikości naszej bardzo dosłownie brać nie należy. Książki, dzienniki, w najrozmaitszych postaciach wieści z szerokiego świata — otrzymujemy i od dawna już bałwochwalcami nie jesteśmy. Ponieważ otrzymujemy książki i dzienniki, więc z nich, nie z ust Idalii, daleko więcej miłych, aniżeli w tym wypadku kompetentnych, wzięliśmy miarę rozgłosu, który zdobyło sobie w świecie imię Pana. Ponieważ nie jesteśmy bałwochwalcami, więc nie uderzamy czołem z oczyma zamkniętymi przed bożyszczem żadnem, choćby nim była wysoko czczona przez nas nauka. Jest w nas niejaka moc, przez

którą nie dajemy bożyszczom jakimkolwiek gasić naszych gwiazd, a jednym ze źródeł tej mocy są najpewniej te łyzy, o których Pan mówi, że jest ich na niebie naszym daleko więcej, niżeli promieni. To prawda; lecz niemniej wydaje mi się prawdziwym, że łyzy nie zawsze bywają chłodne.

Owszem. Znajduje się w nich często wiele ognia i soli; a sól, to podobno znakomity oddziaływacz przeciwko anemii i tylko w skałach formacji ogniowej w obfitości znacznej znajduje się granit, rzecz, jak wiadomo, do skruszenia trudna.

Zanim powiem, co wiem o bożyszczu, którego fatalnych wpływów lęka się Pan dla moich gwiazd, opowiedzieć muszę o pewnym zwyczaju, na pozór dziwnym, który panował pośród naszych dalekich przodków.

Oto, wedle świadectw wiarogodnych, starożytni Litwini, wnet po przyjściu na świat niemowlęcia, zwilżali mu usta kroplą soku, wyciśniętego z piołunu. Zwyczaj ten miał na celu przyzwyczajenie dzieci ziemi od pierwszych świtów życia do ziemskich goryczy. Przeminał od dawna, lecz tak wiecznie działalnymi są spadki, brane przez pokolenia od pokoleń, że dziś jeszcze posiadamy w stopniu rzadkim możność połykania soku piołunowego bez trucia się nim i odgadywania każdej jego kropli, gdziekolwiek się znajduje. Kropla piołunowego soku przesączyła się przez zdanie Pana o słońcu nauki. Mówi Pan, że oblicze jego jest więcej martwe aniżeli żywe, że ono nie grzeje, i że są na niem plamy. Wiem, dla czego takim bywa ono niekiedy.

Zdarzyło się raz, że gdy pewien pustelnik i mędrzec wielki opuszczał pustynię, kwiat myśli swej, na pustyni dojrzałej, w ręku dla ludzi niosąc, słońce (to kosmiczne) zaszło mu drogę i blask ogromny w twarz mu cisnęło, aby poznał, jak jest dumne i szczęśliwe. A on uśmiechnął się i rzekł: «O wspaniałe ciało niebieskie! Cóżby się uczyniło z twoją dumą, z twojem szczęściem, gdybyś postradało tych, którym przyświecasz?»

(Zdaje mi się, że tak być musi z mieszkańcami wszystkich światów i ze światłem wszystkich słońc, które wówczas

tylko szczęśliwymi być mogą, gdy jaśnieją nad czemś i dla kogoś!

Bo czyż jest na ziemi jakakolwiek droga ludzka bez piasków suchych, po których błądzą miraży zwodnicze, bez głuchych oniemień, wśród których straszą Sfinksy, blade od wiekuiстых dumań nad zagadkami, wiekuiście nieodgadnionemi? Niema na ziemi takiej drogi ludzkiej, jak na niebie duszy niema światła takiego, któreby, oświecając pustkę duszy, było zarazem ciepłem.

Aby pośród mirażu zwodniczych i Sfinksów bladych nie omdleć i nie zwiędnąć, kwiat myśli potrzebuje wody z tego źródła, któremu mądry pustelnik przypisał szczęście słońca. Potrzebuje on kielich swój rozwijać i koronę rozwierać dla kogoś, dla czegoś kochanego. Nauka, pani marmurowa, na wozie żelaznym jadąca, wtedy krainy przebywane ogrzewa i użyźnia, gdy przed nią ze złotymi włosy, rzuconymi ku celom podniebnym, płynie płomienna gwiazda miłości. Wtedy marmurowa pani krainy przebywane ogrzewa, sama rozgrzana tchnieniem gwiazdy, która ogień nieci i ogniem świat przepływa.

Trzeba wiedzieć dlaczego bada się psychologię ameby i że to jest takie malutkie ogniwo niezmiernie długiego łańcucha, na którym ziemia i to, co na niej, powoli, powoli, wznosi się coraz wyżej. Bez tego łatwo przy badaniach nad amebami, tak jak i przy każdej robocie innej, dostać bolesnego skurczu serca, od którego skurczą się także mózg i ręce, albo zakrzusić się suchym piaskiem pustyni srożej i śmiertelniej niż w epoce sylurskiej jakikolwiek mięczak krztusił się wodą słoną, czy słodką.

Tyle o piołunowej kropli, która z ręki Pana spłynęła na ideał nauki i — na ideały wogóle. Wiem, że słowa moje, jak żadne zresztą słowa, wywabić je z duszy Pana nie mogą, ale chcę, aby Pan wiedział, że, odgadując ją, byłam wzruszona, że oczy moje spoczęły na niej z życzliwym i współczującym smutkiem. Bo mniejsza o pochodzenie gorzkiej kropli! Gdy w czyjej duszy jest, dusza ta staje się droższą

i szanowniejszą dla człowieka, który ją również, choćby skądinąd wziętą, czuje i dźwiga w swojej.

A teraz, kilka słów o klimatach.

Nie mogę obronić się chęci zapytania: w jakiej odległości od bieguna północnego umieszcza Pan Krasowce? Bo jednak, najpowszechniej, ludzie tu umierają z przyczyn wcale innych, niż zmarznięcie, a bieg Lsny nie jest mniej rączy, ani prądy jej nie są mniej srebrne od biegu i prądów Aaru. Co do słońca, to było ono znane Litwinom już za czasów królowej Kruminy, która pierwsza ziemię tutejszą zasiała ziarnami różnych zbóż. Działo się to niezmiernie dawno, a wówczas już słońce jeździło po tutejszem niebie wozem, zaprzężonym w trzy rumaki, z których jeden był srebrny, drugi złoty, trzeci brylantowy. Na usługach swoich miało też dwie niebieskie dziewice, z których jedną była jutrzienka, czyli Auszra, a drugą gwiazda wieczorna, czyli Wakarine, służebnice wielce czynne i gorliwe, jak się to z dwóch strof, zapisanych w pamięci ludu, okazuje.

Strofa pierwsza opiewa dziewczynę, która w dniu nadchodzącym spodziewa się powrotu kochanka-wojaka. Niecierpliwa i usnąć nie mogąca, wychodzi na próg numy z wołaniem: «Auszro! Auszro! wnijdź na ziemię! wyprzadź z nocy dzień!» Ale Auszra, brzeg różowego czoła nad ziemię wychylając, odpowiada: «Nie mam czasu; muszę wpierw ogień dla słońca rozniecić!»

W drugiej strofie, przeciwnie, siwy dziad, któremu dnie w trzykroć wydłuża nuda starości, ku zachodowi wyciąga ręce z wołaniem:

«Wakarine! Wakarine! wynijdź nad ziemię i wyprzadź z dnia noc!» Ale Wakarine, złotym puklem włosów nad ziemią pobłyskując, odpowiada: «Nie mam czasu; muszę wpierw słońcu łoże uślać!»

Jasne jest tedy, że Litwini w czasach bardzo starożytnych posiadali już słońce, i to możne, bogate, z zaprzęgiem brylantowym, ze służbą nie byle jaką. Posiadają je i teraz, świecące może i gorejące na sposób inny, niż się to

dzieje nad Alpami, lecz czyliż nie jest ono dość potężnem i niewyczerpanem, aby w każdą czynność swoją wlewać równe, chociaż i różne, wdzięki i rozkosze?

Z braku słońca ludzie biedy nie miewają, bo ono dobre, wszechwidome, wszędzie jest, wszystkim przyświeca, złotą pieśczętą otula nawet śniegowe chaty Eskimosów i jasnym promieniem, jak dobroczynnym palcem, wskazuje Grenladczykowi płynącą ku jego brzegom ławę fok. Lecz bieda w tem, że istnieją w przestworzach smoki, które ze słonecznego jądra wyzerają blask i ciepło, a jednym z najżarłoczniejszych z pośród nich jest smutek, który, ilekroć zasiądzie w oczach ludzkich, tak chciwie wchłania w siebie blaski słoneczne, że one do oczu tych dojść nie mogą. Wielkie złote słońce świeci na niebie, lecz oczom, które zasiadł smutek, ciemno. Jest to zresztą jeden tylko z mnóstwa nieprzyjaciół, których posiada ciało niebieskie. Znali już ich starożytni Litwini i do walki z nimi wysyłali swoje olbrzymy. Tradycyjną u nas stała się walka ze smokami, wyzerającymi ze słońca blask i ciepło. Czy nie uczuł Pan nigdy w żyłach swoich tej kropli krwi przodków, która uzbrajała ich przeciwko smokom?

Za zaproszenie pod stopy Jungfrau dziękuję, jako za objaw uczuć życzliwych, ale w tej chwili Krasowiec opuścić nie mogę. Położenie właścicielki dużego kawałka ziemi tutaj nie jest wcale synekurą, lecz owszem, sprowadza zajęć i obowiązków mnóstwo. Teraz tu pora żniw.

Jednak zajęcia różne pozostawiają mi dość czasu na przechadzki. Dziś z rana, bardzo wcześnie, byłam w lesie i widziałam Auszrę, gdy różową wstęgą podszywała lipy, które spokojnie w sinym świetle stały, z jasnymi wieńcami jemioli na ciemnych czołach. U stóp jednej z lip podjęłam coś błyszczącego. Był to liść świeżo z gałęzi upadły, gęsto osypany kroplami rosy. Każda kropla błyszczała, jak brylant, a liść pachniał kwiatem lipowym i mokrym mchem. Z drobnej tej rzeczy biła taka świeżość i świetność, jakby nie wiatr tylko co strącił ją z drzewa, lecz Anioł skrzydłem porannem zwiął z raju.

Może się mylę, lecz nieraz myślałam, że subtelność drobnych tworów natury więcej jeszcze niż przepych olbrzymich odśłania zdumiewającą niezliczoność i delikatność nici, którymi zasnuła się krosna Arcymistrza-Stwórcy. Zresztą, aby wszędzie i we wszystkim uczuć cuda natury, trzeba, tak jak Boga, mieć ją w sercu.

Upały panują tu silne. Codzień od strony nieziemnych mokrzadeł Nikaru słońce wyjeżdża na niebo złotymi i brylantowymi kołmi, pędzi olśniewającą smugą przez firmament, a pędząc świeci gotyckim wieżom świerków, przezrocznym kolumnadom sosen, lipom stojącym w jasnych wiankach jemioli, jeleniom pojącym się u srebrnych prądów Lsny, Gwoźny, Narewki, Jelonki i — polom, jak wzrokiem zarzucić, rozległym, których złote przestworza okrywają roje istot nisko nad ziemią schylonych, stałą sierpów błyskających, oblanych znojem pracy... Nie mogę opuścić Krasowiec.

Jednak pragnę brać duchem udział w zjeździe rodzinnym. Niech Pan przypomni mi pamięci ojca swego, który w porze mego dzieciństwa bywał czasem w Krasowcach gościem mego ojca, a Idalię serdecznie ode mnie pozdrowi. Z Panem zaś — do blizkiego rozmawiania! Proszę, aby dalekiem nie było. Bardzo chętnie mówić będę Panu o tutajszym słońcu i nawzajem słuchać o — tamtejszem, a jeżeli Pan tę chęć moją podzieli, może w tej skromnej girlandzie, którą ku Panu zarzuciłam, rozkwitnie dla nas jaki trójliść dobrej wróżby.

V.

Interlaken.

Wzgardziła więc Pani naszym alpejskim rajem, wzgardziła blaskiem helweckich lodowców i srebrną wrzawą, z którą młode strumienie żegnają swe kolebki, staczając się w przepaść. Wrzawa ta byłaby krzykiem trwogi przed długiem i płaskim życiem na nizinach, gdzie wypadnie im ze zgodną

biernością splatać się w prądy coraz potężniejsze i szerokiemi wstęgami rzek spławnych dążyć przez rozłogi Europy na północ?

Szkoda wielka, że nie przyjedzie Pani do Szwajcaryi, bo pragnąłbym szczerze poznać tę, której wizerunkowi, znajdującemu się u pani Idalii, przypatruję się często i — pozwolę sobie wyznać — coraz częściej. Jest z tem tak, jak bywa z widokami natury: są takie, które dość nam raz jeden z podziwem obejrzeć, i takie, do których radziłyśmy powracać ciągle. Dziś zaś, widok pewnego potoku szczególnie nasuwał mi myśl o Pani.

Odbyliśmy w towarzystwie licznej wycieczki do Lauterbrunnen, w celu obejrzenia tamtejszych kaskad; jest tam potok pewien, który po urwistych, prostopadłych skałach mureńskich spada wprost w dolinę.

Tam w górze, w skalnym swym łóżysku, szumiąc falą spienioną i śnieżną, po ogromnym upadku, odradza się on u stóp naszych żyłą wody niepozorną i oniemiałą, smutną, mętną, aż wlewa się opodal do rzeczki Lutschiny, ginąc w niej bez śladu, jak mnóstwo innych, mniej pięknych, mniej świetnych strumyków. A najpiękniejszym jest na miejscu katastrofy, w momencie upadku. W momencie tym bystre jego fale, nagle tracąc pod sobą piedestał góry rodzinnej, łamią się ze zgiełkiem wielkim w szafirowy słup powietrza i rozpryskują na miryady pereł. Pereł sypią się w powietrzu deszczem koronkowym, splatają się w festony rosy kryształowej, w pył rozbite tu i owdzie kłębam i znów w górę się wznoszą, a w ten zamęt wody miesza się słońce, przemienia każdą kroplę na lotną iskierkę, i rozpala w ich ruchomych festonach latające tęcze, jaskrawe a znikome, porywane prądem, darte płynnymi iskrami, drgające lazurem i srebrem.

Otóż ten dramatyczny i wspaniały przełom w życiu górskiego potoku przypomniał mi Panią i wszystko, co przez parę dni ostatnich o Pani myślałem.

Jest wielka analogia pomiędzy górną i szumną młodością strumieni na urwistych Alpach, a górną i szumną mło-

dością myśli ludzkich w podniebnej krainie lotów fantastycznych. Są w tych lotach śmiałe wytryski sił bujnych, są dumne wiary w kometową gwiazdę przyszłości, są brylantowe złudzenia, że niebosiężne posady, ku którym pycha młodzieńcza stokrotną tęczą kolorów i głosów wyrzuca z siebie nadmiar energii, to nie twór wyobraźni, lecz poziom rzeczywistego życia, poczem... poczem z wrzącej czary życia ubywa stopniowo coraz więcej iskier i szumów, życie samo przez się obniża młodociane loty, aż uskrzydłone dusze orle, lub sokoły, przemieni niepostrzeżenie w ptaki, zgoła odmienne, które, gnieżdżąc się na nizinach, z prochów ich wygrzebuja chleb powszedni tak spokojnie, jak gdyby młodości wzlotnej nigdy za nimi nie było.

Niekiedy jednak zdarzyć się może młodościom szczególnie wyniosłym i szczególnie pięknym, że jakiś cios losu, albo grom poznania nagle obala cały ich piedestał i ciska je w przepaść, jak skały mureńskie, nagle usuwając się prostopadłemi ściany, zrzucają z siebie rozpędzone źródła. Jest wówczas wielkie zatoczenie się duszy, brzęk gwiazdzistych lamp na obalonych rusztowaniach i starganie wszystkich akordów w hymnie ufności i wiary. A potem już następuje noc jednostajna, głucha, ciemna. Tego rodzaju katastrofa, podobnie jak grzmot padającego w przepaść wodospadu, jest widowiskiem wspaniałe pięknem i dla obojętnego świadka w wysokim stopniu zajmującym. Ale taki obojętny świadek, to chyba słońce, zawieszone na wysokim niebie, gdy w łzawych koronkach kaskady igra gamami barw, a perlistych okrzyków grozy, bijących z niej w szklane powietrze — nie słyszy.

Gdyby Pani bawiła teraz tu, w Szwajcaryi, i jeździła z nami do Lauterbrunnen, zrozumiałaby zapewne wiele rzeczy, które, jako służebnik wiedzy, wyjaśniałbym chętnie... Ale czemże jest ta moja wiedza? Niedołężnem formułowaniem prawd, których istotę, głosem daleko mędrszym, głębszym, wyklada każdy wodospad, każda fala, każdy powiew wiatru, szelest każdego liścia. Więc rolę tłumaczy tych

prawd, będących ze swej strony jedynie tylko wykładnikami innej, największej prawdy, wzięłyby tu na siebie przerozmaité obrazy alpejskiej natury. A Pani zrozumiałaby najpewniej ich wymowę elementarną, lecz mocy pełną, bo oczy Pani są otwarte na zjawiska natury i chciwe ich piękności.

Spostrzega Pani listek przez wiatr strącony i podziwia subtelny rysunek żyłek jego, albo błyszczące na nim perełki rosy; lecz tego, co ten liść, co te perełki opowiadają, nie słucha, lub słuchać nie chce. To prawda, że mowa tych drobnych pyłków jest, mimo ich odrębności, równie potężna, jak głęboki szum Aaru, lub hymn purpurowy, który o zachodzie słońca śpiewają lodowce Jungfrau; lecz cóż, skoro Pani jej nie słucha i woli przysłuchiwać się melodii własnych myśli, zaludnionych przez bóstwa dawnych mitologii, przez mistyczne postacie ludowej poezyi! Pani słyszy szelest skrzydeł anioła, zwiewającego z drzew liście pod jej stopy, a nie słyszy głosu przepotężnego, który brzmi po wszechświecie, po wszechczasie i niekiedy przemawia do człowieka językiem umarłego liścia. Winne temu są zapewne legendy, opowiadane i śpiewane dziecięciu przez matkę albo piastunkę, winne temu korany rozmaite, wyznawane przez otaczające Panią społeczeństwo, winna może skromność i nieopatrzność umysłu dziewiczego, który nie śmiał zrazu sięgnąć poza domowe opłotki, a później, gdy zmężniał i ożywił się porywami młodości, upiększył sobie podwórko jak mógł i umiał, byleby tylko mózł wytrwać w niem i przy niem.

Upiększał sobie umysł ten podwórko ciasne, wyklejał je połączanemi kulisami, ozdabiał figuрынkami domowych cnót i domowej przeszłości, rozświeślał gwiazdkami domowych ideałów: aż pewnego dnia, gdy już wszystko było gotowe, wystrojone, woniami anielskimi skropione, spostrzegł, że mu ciasno, duszno, nudno, i zawołał na takiego krnąbrnego, jak ja, apostatę.

Dlaczego to uczynił? Jak się zdaje, dlatego, że przedstawiam sobą także pewien rodzaj domowej figurynki; lecz pewnem jest to, że uczynił dobrze, i że mu za to wdzięczny

jestem, bo taki ciepły strumyk, to, doprawdy, miła niespodzianka — w lodowni stosunków ludzkich.

Przytem, majaczy mi przed oczyma coś nakształt skrzydeł rozłożystych, które w mgłę szarej rozpinają się do lotu, zrywają się do wyzwolenia i powstaje we mnie pragnienie dopomożenia tym biednym skrzydłom w pracy wyswabiania się z oplątującej je szarej i starej przędzy pajęczej. Żle Pani czyni, nie chcąc stron swych kiedy niekiedy przy najmniej opuszczać.

To słowo «żle» wypowiadam nie bez dłuższego namysłu. Gdy, zaszczycony wezwaniem, przemawiałem do Pani po raz pierwszy, nie zdawałem sobie jeszcze jasnej sprawy z indywidualności, z którą nieoczekiwane zdarzenie życia łączyć mię zaczynało nicią niespodzianą. To też wpół żartem ostrzegałem Panią przed chłodem i grozą mych własnych słońc; bo dla osób przeciętnych jest rzeczą najpożądanszą nie wznosić głów ponad linię zakreśloną przez codzienne potrzeby i uciechy. Ale dla pewnych doskonalszych i rozleglejszych organizacji umysłowych musi być stanem wprost niegodnym ich miary trwanie w bezruchu, choćby ruch i odrodzenie w proch rozbić miały wszystkie ich dawne świętości. Co do Pani, to przypuszczam, że gdyby gromy poznania i nowych wrażeń, uderzając o jej duszę, strąciły z piedestału dotychczasowe duszy tej bożyszczka, znalazłoby się w niej dosyć sił i woli, aby odważnie spojrzeć na horyzonty nowe, ogołocone z tego, co stanowi teraz cel i treść jej życia, niemniej wszakże rozległe i bezmierne.

Po części od ojca, po części od pani Idalii, w której, mimo kilkoletniej rozłąki, posiada Pani zawsze jednostajnie gorącą wielbicielkę, dowiedziałem się o rodzinie i osobie Pani wielu szczegółów, ilustrujących żywo genezę przekonań, jako też kierunku życia i działalności Pani. Stary wasz ród należał zawsze do tych, które nie tylko szlachectwem pochodzenia stały na czele społeczeństwa, lecz, przodując mu także myślą i czynem, wznosiły wysoko sztandar ideałów epoki ubiegłej. Historia brata Pani i jego smutne koleje wzruszyły mię do

głębi, z pewnem też zawstydzeniem wyznaję, że nie wiem... czy mam go nazwać nieszczęsną, albo szczęśliwą ofiarą odziedziczonych uczuć i dążeń.

Otóż los brata Pani staje mi przed oczyma w postaci tem tragiczniejszej, iż to płomień, w które się rzucił, posiadając istotnie moc rozegzaltowywania strun uczuciowych, ze stanowiska pozytywnego musiało być z góry skazanem na wypalenie się w próżni, na zgaśnięcie bez śladów innych — jak bolesne zgłiszczu i karkołomne otchłanie. Że przykład takiego męstwa i męczeństwa mógł i musiał wyrzeć na Panią wpływ ogromny, może decydujący, pojmuję w zupełności. Podczas gdy wysoka sfera społeczna, do której Pani należy, wielokrotnej już na swój sposób dokonała ewolucyi, Pani, pod wpływem tego przykładu i tego ciosu, postanowiła widocznie pozostać arystokratką nie tylko z rodu, ale i z ducha, w znaczeniu dźwigania kosztem wszelkim tradycyi, przejętych od przodków, od rodziców i brata, i służenia tym tradycjom kosztem wszelkim. I dotąd niezachwianie idzie Pani tą drogą swoją, nie dbając w głębi swej ojcowizny o miłe próżności tego świata, lecz zarazem tracąc z oczu ów ruch postępowy, który nas wszystkich i świat cały prowadzi naprzód, z jednej epoki w drugą, z dawnych pojęć w nowe.

Pani Idalia opowiadała mi cuda o filantropijnej i społecznej działalności, którą Pani w swych dobrach na najszerszą możliwie skalę rozwija i której cały zasób swej, podziwienia godnej, energii, całą młodość swą i — czy nie za wiele powiem? — swe osobiste szczęście poświęca.

Otóż, posiadając niejaka biegłość w analizie różnych procesów i stanów rozwojowych, mogę, na podstawie zasłyszanych szczegółów i własnych słów Pani, wejść poniekąd w sposób myślenia Pani i uzmysłwić sobie powstały z niego pogląd na całość życia. Pogląd ten dzisiejszy trzeźwy ogół nazwałby egzaltacją, a powierzchowny sąd ten umysłów tuzinkowych o tyle nie byłby bez racyi, że stwierdzałby zmieszanie się u podstaw rzeczywistych interesów życiowych z fantastyczną przedzą kultów i idei, należących do wymarzonego

świata poezji. Zmieszanie się jest tak zupełne, delikatne niteczki historycznej przeszłości i wewnętrznych uniesień tak gęstą siecią przeniknęły i oplątały pasmo bytu osobistego, że dwoistości tych obu pierwiastków już chyba nie potrafiłaby dziś Pani należycie rozeznaczyć, ani granic pomiędzy tem, co istnieje na zewnątrz, a tem, co w Pani tylko sercu i wyobraźni przebywa, odszukać. Niech Pani nie wnosi ze słów tych, że jestem wrogiem poezji. Owszem. Jakkolwiek bezpośrednio czasu swego jej nie poświęcam i nie mógłbym skłecić najnędnieszego nawet rymu, niemniej wysławiam jednak kult piękna, jako jedną z najcenniejszych własności ukształconego człowieczeństwa.

Poczytuję atoli za rzecz szkodliwą i zgubną stałe otaczanie się mgłą wysnionych urojeń i przebrzmiałych haseł, gdyż do zwycięstwa w zawilej walce o byt potrzeba koniecznie trzeźwości. Ten też błąd zasadniczy wskazać Pani poczytuję sobie za powinność, skoro pomiędzy mną i Panią zaniosło się na tę rozmowę dziwną i — niech Pani dodać pozwoli — posiadającą dla mnie urok jakichś dalekości, spozostreganych w mgle jakby różanej baśni.

Bo Pani przebywa w wysnionej krainie baśni...

Coś, co uznała Pani za swoje hasło, co nazwała Pani obowiązkiem, nakazuje Pani żyć w puszczy, strzedz gniazda praojców, jak bojowej placówki, opiekować się jej pierwotnymi mieszkańcami i poświęcać się dla ich dobra. A że dla duszy młodej to sam na sam, z pustkowiem beznadziejnym, wśród ludzi, których instynkty nie mogą mieć z nią spójni żadnej, mogłoby się uczynić rozpaczliwie smutnem, oświeciła je Pani sobie barwną grą widziadeł zaświatowych, poetycznych, fantastycznych, wprost z dziedziny mytów wywołanych. A cały ten czarnoksięski świat Pani nurza się w falach prądu, leci na skrzydłach powiewu, których źródłem jest miłość.

Czemże jest ze stanowiska rozumowego Miłość? Jest ona pewnym stanem organizmu ludzkiego, pewnym rozkwitem jego uczuć, który niekiedy bywa tak silnym, że gdy trafi na pierś marzyciela, to ją rozsadza, i gdy trafi na mózg marzy-

cielski, to dla tego mózgu, jak struga niewidzialna nurtuje we wszystkim, co tylko istnieje pod słońcem i poza słońcem. Doskonale pojmuję, że w stanie takim człowiek nurzać się może jak w oceanie ciepła i słodczy, lecz to ciepło i tę słodycz, czyli, powiedzmy, tę rozkosz, drogo, bo całą trzeźwością i jędrnością swego umysłu, okupywać musi, nie wiedząc już dobrze, czy żyje, czy śni, czy sam jest twórcą tej fali, która go unosi, albo czy się jej tylko biernie poddaje, i dokąd go ona zanieśie i co w niej jest rzeczywistością, a co złudzeniem — co prawdą, a co bajką.

Szczególnie i najpotężniej cechy te posiadają miłości, płynące, nie od zjawisk konkretnych, zmysłowych, jakim jest, na przykład, jednostka ludzka, lecz od tych bezmiarów abstrakcyjnych, po których błękitnie, z żaglami przez czas haftowanymi w coraz inne gwiazdy i konstelacje, przepływają idee coraz to inne.

Pani uwierzyła w Miłość, płynącą od bezmiarów abstrakcji, i nie chce odwrócić oczu od związanej z nią nierozdzielnie, lecz z oczu świata znikającej — jeżeli już nie znikłej — gwiazdy obowiązku. Żyje Pani w krainie baśni.

Wierzy Pani w wieczność idei, w skuteczność miłości, w świętość obowiązku, w jakąś dobroć, która sprzyja dobrym, w jakieś Anioły, które zbierają łzy i ofiary, aby je kędyś rzucać na szalę zasług i odkupień... Żyje Pani w krainie baśni.

I gdybyż ten stan, wydobyty przez rozniepokojoną duszę z porywów mistycznych, przynosił Pani zadowolenie rzeczywiste i serce napełniał nektarem szczęścia — możnaby jeszcze na tę złudną ekstazę zgodzić się z łatwością, bo głos, którym przemawia cała natura, upominając się o nasycenie i zadowolenie, byłby usłuchanym, kardynalne prawo jej byłoby spełnionem.

Ale niech mi Pani pozwoli być otwartym; proszę o to ze stanowiska uprzywilejowanego, którem mię Pani na mocy mego dorobku naukowego obdarzyć raczyła. Ja wiem, że tak nie jest, że jest nawet wprost przeciwnie. Wspólna krewna

nasza, pani Idalia, serdecznie Pani sprzyjająca, ze łzami szczerego żalu w oczach, napomynała mi o tem, co Pani zaraz u progu życia złożyła w ofierze swym mistycznym ideałom. Wczoraj o tem usłyszałem, a dziś przemawiam do Pani tak długo i — może zuchwałe, jednak z ufnością w pobłażliwość «anioła ziemskiego», jak się o Pani wyraża pani Idalia, i ze świadomością tego, do czego zdolnym jest niezwykle u «aniołów ziemskich» umysł Pani, nasuwam, przypominam, że są pewniki niewzruszone, które dla człowieka chcącego rozumieć świat i życie biją z całej przyrody i z każdego drgnięcia jego własnego wnętrza, a biją na świadectwo odwiecznemu prawu bytu i ruchu, że to prawo jest jedno dla staczającego się po pochyłości kamienia i dla myśli ludzkiej, szukającej sobie dróg w mgławicy abstrakcyi; że nakoniec poza tem prawem, a raczej poza tem pojęciem prawa, niema już nic i nigdy nie będzie nic, czegoby się myśl ludzka uchwycić mogła.

A skoro niema nadto nic, skoro oprócz ruchu cząstek, w taki a taki sposób skoordynowanych, niema poza niemi żadnych miłości i żadnych nienawiści, żadnych zawikłań ani celów; jeżeli te wszystkie miłości, nienawiści, zawikłania i cele, które sobie ludzkość w biedzie swej wyroiła, nie są czem innem jeno fantazmagoryą tchniętą w organiczną powłokę ziemi — jeżeli zatem ofiara i cierpienie spalają się na ołtarzu żłudy, tak samo, jak słowa modlitwy padają w próżnię: to pocóż modlić się ofiarą czy słowami? Poco cierpieć?

Idzie więc tylko o energię, o odwagę wzięcia rozbratu z resztkami mniej oświeconych czasów. Wiem, że nie przychodzi to z łatwością, bo oprócz przeszkód innych stawia tu także opór duma osobista, broniąca się przed uznaniem bezcelowości dotychczasowych działań, branych poważnie.

Wielką przeszkodą jest także nieprzerwany wpływ otoczenia i ta dekoracja niezmienna, z którą dotychczasowa kanwa myśli i uczuć, jak z wyszytymi na niej wzorami, ściśle się spoiła. Wobec tak potężnych przeciwników słowa moje czy się przydadzą na cokolwiek, zwłaszcza, gdy ich nie

wesprą żywiołowym kaznodziejstwem swem Alpy Szwajcarskie?

Lecz jeżeli pozytywna trzeźwość, a z nią wiedza i prawda, odniosą zwycięstwo nad marami ofiary, zasługi i t. p., wtedy rozmowa nasza przyniesie dla Pani istotnie «trójliść dobrej wróżby»; dla Pani, bo dla mnie wróżby złe ani dobre nie istnieją, ponieważ ja nic utracić nie mogę, nawet nadziei, bo nie spodziewam się niczego. Po tem zwycięstwie zależeć będzie tylko od woli Pani wybór pomiędzy opuszczeniem twierdzy zburzonej, a trwaniem w niej już nie z przekonania, lecz... dla sportu i, tak jak dotąd, zaludnianie jej na pociechę korowodami anielskimi, skoro stać Panią na taki zbytek. Niech w takim razie jasne hufce Auszry staczają i nadal małownice i — bezskuteczne walki ze zgrają smoków, «lecących na słońce, aby wyžerać jego blask i ciepło», a w nagrodę za to, niech tarcza słoneczna, wszechwidoma i wszechobecna, oświetlając i ogrzewając wszelkie istoty dobrej woli, nie skąpi Pani swego bladego, smutnego, samotnego, północnego światła i ciepła!

Co do mnie, obywam się bez wszelkich sztucznych pozłot. Patrząc na lesiste góry i na strzelające pod niebo lodowcowe szczyty, słuchając szumu wichrów, które im z zimnego czoła zrywają śnieżne dyademy, nie widzę i nie słyszę nic więcej nad ruch i symfonię cząstek powszechnego i niezmaconego nigdy w prawach swych mechanizmu, mechanizmu, na którego poznanie i obliczenie wysila się myśl moja.

Pomimo to Szwajcarya daje mi wszystko, co tylko turyscie dać może. Pomimo to, z utęsknieniem spieszę co roku albo pod stopy alpejskich olbrzymów, albo nad morza bezbrzeżne. I pomimo to umiem ocenić piękno tętniące w symfonii przyrody i oceniam je może dokładniej od wielu, wielu bardzo lirycznie nastrojonych turystów, a już najpewniej szczerzej od szanownego grona, któremu miałem zaszczyt towarzyszyć dziś do Lauterbrunnen.

Ojciec mój prawie nieustannie rozmawiał tam ze swym

ministeryalnym kolegą o sanacyi austriackich, wiecznie zawiąanych, stosunków wewnętrznych i tylko przy kaskadzie, o której wspominałem, gdyśmy właśnie stanęli w samym jej szumie i brylantowym deszczu, zwrócił się do mnie z zapytaniem o jej wysokość, wyrażoną w cyfrach.

Pani Idalia zachwyciła się, i deszczem, i szumem i tęczkami w sposób nader chwalebny, lecz potem dwoma psiakami bernardzkiej rasy przy drodze wystawionymi na sprzedaż zachwyciła się tak samo, lub jeszcze więcej, bo wogóle jest do zachwyty skłonna. Z reszty zaś towarzystwa, złożonego z pięciu czy sześciu osób, obchodzićby mię mogła chyba jedna tylko para aksamitnych oczu, wobec których pani Idalia widocznie mię proteguje, bo zabrała mię do jednego z niemi powozu.

Ale te oczy tyle już widziały, i tak lubią być same celem ludzkich wzroków, że u kryształowej, brylantowej, szumem i grzmiotem rozpaczającej kaskady zaczęły się bardzo rychło nudzić, tak niezwalczenie nudzić, że ja również zarażiłem się tem chwilowo i podczas powrotu, zamiast patrzeć w tę piękną istotnie parę czarnych dyamentów, myślałem o tem, że gdyby tu była z nami tajemnicza, daleka pustelnica z Krasowiec, nie nudziłbym się z pewnością.

Jednak dodać muszę, że ten niesmak, uczuwany do otczenia swego, do czarnych dyamentów, które zbyt wiele na świecie oglądały i ogladanymi były, i może do wielu, a wielu składników świata i życia, nie ma nic wspólnego z tą kroplą wyciśniętą z burzanów północnych goryczy, która, zdaniem Pani, w kolebce jeszcze od przodków spadła mi na usta, a teraz przesącza się przez życie i nawet poglądy moje na naukę piolunem zaprawia. Dzielny byłby ze mnie myśliciel, gdyby jakakolwiek kropla piolunu zmącić mogła moje poglądy, krytyki i analizy!

Całem dążeniem mojem jest właśnie wnieść w tę sferę obojętność zupełną i zupełną niepamięć goryczy i słodczy. Wszakże analiza i krytyka, to zaczarowane koło, którego my, pracownicy myśli, nie opuszczamy nigdy.

A stąd jeszcze jedno. Gdyby Pani kiedyś, po otrząśnięciu się z pyłu przeszłości, zapragnęła poświęcić swe siły tej pracy umysłowej, od której przyszło ku Pani wyzwolenie, i przestąpić miała próg warowni, czy samotni, której nam pracownikom myśli opuszczać nie wolno — niech już Pani lepiej pozostanie przy swych uznojonych żniwiarzach i złudnych ekstazach.

VI.

Krasowce.

Zaczynam dziś od Ludwika XIV-go. Kiedyś, w jakichś pamiętnikach francuskich wyczytałam, że pewna mieszcza paryska bardzo piękna, zwróciła na siebie tkliwy wzrok króla-słońca i przez wszechwładną wolę jego do zebrania dworskich wprowadzona, siłą wdzięków swych ufając, w obecności dworu temi słowy do króla przemówiła: «Permettez, Sire, que pour la commodité de la conversation, je vous nomme: Monsieur!» Zdaje się nic, a dla dworaków, dla tych wielkich panów, którzy z lokajskimi serwetami na ramionach, stali za krzesłem władcy, było to przyczyną oburzenia i zgrozy. Zaś ukoronowany wielbiciel pięknej małżonki mera paryskiego, zwracając się do dworzan swych zauważył: «Voici une petite femme à laquelle on n'a pas fait sa leçon!»

Tyle z pamiętników. A teraz, ponieważ nie znajdujemy się na dworze królewskim i nie mamy do czynienia z etykietą dworską de sa Majesté l'Etat c'est moi, więc pewna jestem, że nie spotka mię podobna powyższej odpowiedź druzgocąca, gdy zwrócę się do Pana ze słowami: Permettez, Monsieur... niech Pan pozwoli, abyśmy odtąd zamiast Pan i Pani, mówili sobie kuzynie i kuzynko. Nie będzie w tem fałszu, bośmy istotnie spokrewnieni, a z mowy usunie grude, pozwoli myślom nie przypominać niczem «łodowni stosunków ludzkich». Czy zgadza się Pan na to? Tworzę hipotezę nader zuchwałą, że o czemkolwiek w świecie mieć możemy zdanie jednostajne i zaczynam — od potopu.

Przed gankiem krasowieckiego domu, przed takim dużym głębokim gankiem na potężnych filarach, z których teraz patrzą setki szeroko otwartych oczu powojowych, siadłam na swój mały wózek polowy, wysoki, lekki, do koszyka na kwiaty podobny i, wzięwszy do rąk lejce, zawołałam: leć, Avisie! — Avis to mój ulubiony koń.

Sportsmanką nie jestem. Nie miałam nigdy czasu ani ochoty do ćwiczenia się w sztukach zręczności fizycznej; konno nawet nie jeżdżę i tylko — powozić umiem, ale to już czynię z maestrią, któraby mię przed najpierwszym w świecie sportsmanem na wstyd nie wystawiła. Szczególniej umiem i lubię powozić samą siebie, swoim Avisem.

Mój Avis, to zwierzę piękne i rozumne, pół-krwi Anglik złoto-gniady, tak do mnie przywiązany, że gdy mię zdala zobaczy, z radości parska, a gdy u wózka bieży, kieruję go nie lejcam, lecz słowami, nawet skalą głosu, którym je wy-mawiam.

«Leć, Avisie!» Biedz zaczyna szybko i równo, równo, ze szczupłym ciałem wydłużonym i z łagodnym półkołem wdzięcznie zgiętej szyi. «Prędej, Avisie!» Podwaja biegu i, jak naciągnięta struna wydłużony, zda się, że ziemi nie dotyka, leci, ale tak lekko, że pod kopytami żaden kamyczek nie stuknie i tylko zioła przydrożne, jakby napadem hołdu zdjęte, kłaniają się nam rozkwitłymi głowami. «Stój, Avisie!» Staje jak Tryton z brązu wykuty i gdy odchodzę, ściga mię oczyma, które w biegu ogniem zaszyły, rozwiera szeroko nozdrza, z których ogień buchać się zdaje i, choć długo nie wracam, stoi wciąż, aby, zdala ujrawszy mię, gdy wracam, zadrgać na całej skórze, uszyrna zastrzydz, uprzążą zadzwonić i wdzięcznie zgieniem kopytem parę razy na znak radości głośno o ziemię uderzyć.

Dlaczego na imię mu: Avis? Dawna to historia. Dawno temu — o, tęskne i święte wspomnienie! — gdy niedoroślą jeszcze dziewczynką, z bratem dużo starszym, w ogrodzie krasowieckim lub w zaciszach puszczy, książki rozmaite czytywałam, zdarzyło się, że oboje, ja i mój brat, zakochaliśmy

się — w Marku Aureliusz. Byli już wówczas tacy, którzy utrzymywali, że miłość to niebezpieczna, ku «zakretnym szlakom ducha» i «błękitom abstrakcyi» wiodąca. Były już i wówczas w gronie krewnych i znajomych umysły trzeźwe, które ojca naszego ostrzegały przed oplątującą nas fantastyczną przędzą «kultów i idei». Lecz zdarzyło się, że ojciec nasz sam uderzał czołem przed tą cnotą rzymską, która u Appij-skiej drogi, na grobowcu Trazeuszowego rodu, wyryła napis: «Woleli żyć krótko, niż sromotnie». Więc pobłażliwie słuchając ostrzeżeń, dłonie na głowach naszych składał, nie tylko na miłość naszą dla cnotliwego stoika pozwalając, lecz ten kierunek, który młode serca brały, błogosławiąc. Otóż ja i mój brat bez przeszkody kochaliśmy się w Marku Aureliusz, a Marek Aureliusz miał wierzchowca ulubionego, z imieniem Avis. Imię to daliśmy lotnonogiemu zwierzęciu, na którym w jakąś noc księżycową, srebrzystą i wonną, Adaś od ganku krasowieckiego odjeżdżał, aby nie powrócić nigdy. — A teraz ja mam Avis — ptaka.

Ja i mój Avis lecieliśmy w pole, w gładkie, jasne, wolne pole, z jednej strony półokręgiem lasu, jak wyębioną ścianą twierdzy objęte, a z innych bezbrzeżne łożysko rozkładające pod rzęsiste deszcze kłosów. Co półkolistą błyskawicę stłowe sierpy wyrzuca, to posypia się na łożysko deszcze kłosów zmieszanych z kwiatami, a w powietrzu szeroko rozlewa się szeleszczący szmer upadającej na ziemię słomy. Jakby pokorna i miłośna rozmowa kłosów i kwiatów z ziemią.

Ja i Avis lecimy przez te pola wielkie, przez gorąco słoneczne, przez deszcze kwieciste i szmery kłosiste, z drogi na drogę, z łąnu na łąn, tu i owdzie stając, rozmawiając i znowu dalej, dalej, w złocie, w pogodzie, w swobodzie. Gorąco aż piecze, skry sypią się z powietrza, z nieba kapie żar. «Do lasu, Avisie!» O, jak on wybornie rozumie, co to znaczy i którądy z każdego punktu najbliższej! Dokoła łąnu Budników, brzegiem Dąbrowy Dobrzyńskich... Ależ prawda! nie masz przecie, kuzynie, ani cienia pojęcia o tem, co to takiego: Budnicy i kto to taki: Dobrzyńscy. Opowiem kiedy-

kolwiek, a tymczasem wyobraź sobie tylko, że jest to taka ameba społeczna, szczególna i zawiła, bo złożona z mnóstwa dusz najautentyczniej ludzkich, a przez usta moje prosząca cię, kuzynie, o równouprawnienie z tą amebą, która stanowi przedmiot twoich przyrodniczych badań. Ale o tem tylko *en passant*.

Łan Budników okrążając, mówię do Avisy: «Wolniej!» i głośno wołam: Boże dopomóż! bo z nad kłosistej gęstwiny prostują się wysmukłe dziewczęta mazurskie i, w silnych rękach wznosząc nad głowy naręcza zżętych kłosów, obracają ku mnie twarze, rozkwitające perłami szerokich uśmiechów.

Po łanie, razem z szelestem słomy, toczy się cichym grzmotem chóralna odpowiedź: «Boże zapłać!» tu i owdzie brzmią chromatyczne gamy śmiechów, a z cienia gruszy, rosnącej na miedzy, wychyla się ku mnie twarz przedziwna, drobna, okrągła twarz starca, z głębokich jak otchłanie orbit patrząca oczyma, nalanemi stuletnią mądrością i dwudziestoletnim blaskiem. Pomiędzy mną zwolna jadącą, a tą twarzą wychylającą się z cienia gruszy, powstaje rozmowa, z której, kuzynie, ani słowa nie zrozumiesz, którą jednak dosłownie powtarzam tu, w kształcie — rebusa.

Głos z pod gruszy, stary, lecz silny, woła: — «Dokąd to Bóg prowadzi?» — «Na Zamczysko!» odpowiadam. — «Cha, cha, cha! kunigasów zobaczyć?» — «I Bojarosów także!» — «A może i króle polskie?» — «Najwięcej! ale co tam u Wołodkiewiczów słyszeć?» — «Febra ich jeszcze martwi» — «Pan doktor z Narwi mówił, że wyzdrowieją!» — «Nie wiedzą procy, co w boskiej mocy!» — «Niech pan Dobrzyński w cień się chowa, bo spieka!» — «Niech panią Bóg prowadzi!»

Leć, Avisie! Brzegiem, brzegiem Dąbrowy Dobrzyńskich ja i mój Avis poddajemy czoła pasmom cieni, spływającym od dębów-królów, których majestaty pozwalają mijającym je wzrokom bujać po wesołych, majowych murawach, aż nagle czyni się nam zupełnie cienisto, bardzo świeżo i łagodnie wonno. Wpadliśmy w pełny las, ostąpiły nas drzewa gatunków rozmaitych, opłynęła zieloność odcieni niezliczonych,

owionęła sama jedna woń żywicy, która, soplami bursztynowymi wieszając się po sosnach, do milczenia zmusza nawet grad malin rubinowy, usiewający to dalej, to bliżej gęstwiny, to jasne, to ciemne.

Coraz gęściej, coraz ciasniej, coraz mroczniej... Czy na błękitach prawie niewidzialnych słońce przygasło? Nie: tylko niedawno przeleciał tędy wicher rozhukany i tyle postaci wyniosłych naprzelamywał u góry, że powspierały się wzajem na sobie, poobejmowały się ramionami i potworzyły w górze łuki, mosty, baldachimy, balustrady, wdrażenia, aż dół tego pałacu ze stropem fantastycznym zaległ gruby zmierzch. W zmierzchu zleniwiały rączy kopyta Avisy i, oplątywane pełzającymi bez końca węzłami widłaków, kłute pieszczelami pomarłych gałęzi, jak po krwawem trzęsawisku brnące po bajrakach rozsypanych w czerwone próchno, zwolniły biegu.

«Stój, Avisie!» Zostałam go za sobą i — jakby cały świat rzeczywisty zostawiając za sobą, wstąpiłam — w krainę baśni.

Baśń — może nie baśń — istota fantastyczna, która z łona wieków przybywa na wieczornice zimowe i u ognisk zasiada w sukni z mrozu i szronu, opowiada, że tu, gdzie nocami borsuki, pracując nad wykopywaniem sobie schronisk podziemnych i znoszeniem do nich owoców leśnych, wyrzucają z ziemi odłamy cegieł, ciosane kamienie, szczątki metali, okruchy ozdób architektonicznych, wznosiło się niegdyś zamczysko kunigasów, czyli książąt, dumnych, możnych, walecznych, którzy z wezwaniem Pramżynasa, ukrytego w najgłębszych głębiach niebieskich Boga nad bogami, szczęk zwycięskiego oręża roznosili od migdałowych gajów nadnieprzańskich do usianych bursztynem wybrzeży Bałtyku. Ilekroć orężem nie szczękali, polowali na wielkiego zwierza w puszczach takich, jak ta, polowali też w tej, i teraz jeszcze, gdy w wioskach Budnicznych koguty zapieją na zbliżającą się północ, z oplecionych widłakami, z porytych przez borsuki i dziki gruzowisk Zamczyska, wypuszczają się i w las pędzą widmowe orszaki myśliwskie.

Zgiełk tu wtedy, blask, ruch, gwar. Za Kunigasem swoim, jaśniejącym w ciemności śniegiem gronostajów, jadą na postrojonych koniach Bojarosy — rycerze w kołpakach rysich, z dzidami, które w blaskach pochodni pobłyskują, gdy wielki łowczy z garbem torby borsuczej na plecach, pobudkę myśliwską w długą trąbę dmie, sfory ogarów na różne głosy grają, a figlarne «kaukie» w czerwonych kapturkach, gromadą pomocniczą za ogarami biegną... Wtedy, po chatach Budników dzieci otwierają ze snu oczy i w ciemności zapytują matek: czy to puszcza z takim szumem na wioski idzie? A matki odszeptują: «śpijcie spokojnie! To tylko Kunigasy wyjeżdżają z Zamczyska na łowy». Są zaś takie, które mówią: «króle polskie!»

Teraz było tu cicho, pusto, gęsto, mroczno. Z ziemi wciąż rytej przez borsuki i dziki dobył się kamień ciosany, może niegdyś ozdoba książęcego i królewskiego krużganku. Smutny świerk nad nim stoi i w pobliżu puste legowisko sarny srebrzy się we wklęsłości liściem opadłym z sokora. Siadając na kamieniu, myślałam o wczorajszych słowach twych, kuzynie. Myśląc czułam jak w jednym oku zasiadał mi smok żalu, w drugim smok gniewu i — nie wiedziałam sama, które oko boli mnie silniej.

Bo nie myśl, aby mi obce były te insolacje gniewne, któremi płoną błękity abstrakcyi, ilekroć je obrazi ręka Apostaty. Lecz są natury, dla których gniew, to ból.

Więc na kamieniu kunigasowego Zamczyska, pod smutnym świerkiem, zakryłam oczy dłońmi i duchem wpatrzyłam się w te gęste mroki, którymi duszę twoją, kuzynie, złe moce życia napełniły, gdy uczułam, że coś miękko, lekko dotyka mego ramienia.

Czy kiedykolwiek czytałeś Plutarcha? Ja czytałam go z bratem i oboje zazdrościliśmy Sertoryuszowi tej łani białej, która w momentach przełomowych lub tragicznych przybiegała do niego od bogów, aby mu na ucho szeptać o woli bogów i o dalekich, dalekich Wyspach Błogosławionych. Kiedy zaś ku nam z kolei przybył moment przełomowy i tra-

giczny, ujrzelśmy sami łanią białą. Zmrok nalewać zaczynał gęstwiny, z których wybiegła i, gibką szyję na ramieniu Adasia złożywszy, szeptać mu poczęła o rozkazach Boga i o tem, że most do Wysp Błogosławionych nabijany być musi, jak gwoździami, sercami ludzi dobrej woli. Odtąd widuję ją czasem. Przybywa i szepce mi do ucha rzeczy srogie niekiedy, ale zawsze cudne. I teraz także z gęstwiny zielonej wychylona, łani biała dotknęła mego ramienia i uważnemi oczyma głęboko spojrzała mi w oczy. Ucho miałam pełne puchowego szelestu jej śnieżnej sierści...

Wtedy smok gniewu znikł bez śladu i pozostał tylko ten, który przez obszary Europy jak z brylantu patrzy na ciebie, kuzynie, z braterskiej, czy — jeśli wolisz — z siostrzanej łzy.

Jeżeli w świecie minerałów żaden kryształ nie jest tak dokładnie wykształconym, aby wszystkie jego ściany posiadały wymiary równe, jeżeli po złocistem lub spiżowym tle niektórych metalów natura przeciąga rysy ciemne; cóż dziwnego, że w duszy człowieka, tak zakłóconej, tak różnorodnym wpływom poddanej, istnieć mogą asymetrye i skazy?

W duszy twojej, kuzynie, panuje asymetria i złociste tło jej przerzyna skaza, do rany cięciem ostrza zadanej podobna. Dziwna ta dusza z dreszczem grozy i zachwyty wstępuje się w grzmiące rozpacz kaskad, ściga pod niebem wierzchy lodowców, bierze w siebie z łona królowej Alp pożarne szkarłaty zachodu — a wyśmiewa te inne szумы, szczyty, ognie, które zawiera w sobie świat ducha, niewidzialny wprawdzie, lecz niemniej pewny, owszem, pewniejszy, bo jedyne, niezachwiane świadectwo składający temu, że jesteśmy. Ale wzgarda to jest pozorna; językiem jej przemawia bunt uczucia i wiary przeciw krytyce i analizie, które po nich depcą. Językiem szyderstwa przemawia w tej duszy ból, że nie umie ona, czy nie pozwala sobie, kochać i czcić.

W duszy tej pierwiastki jedne z despotyzmem tyrańskim panować usiłują nad innymi, które poddają się, lecz cierpią i kipią głuchym buntem. Dziwna ta dusza, dzierząc

z pozoru wszystko, co świat ze skarbnicy swojej młodemu życiu dać jest zdolny, czuje, że nic utracić nie może i u początku drogi, ścielącej się blaskami i kwiatami, nie spodziewa się już niczego. Woła ona do innej duszy: pójdź, aby żyć życiem mojem! i zaraz ostrzega: zdala pozostań od głównej osnowy, od najwznioślejszego składnika tego życia.

Ku czemu wzywasz mię, kuzynie? Skoro mam obcą pozostać temu, co [na świecie wskazują jako najwyższe i najczystsze, skoro w nim, jak od złego smoka, mam trzymać się zdala od pracy umysłowej i wiedzy — ku czemu mię wzywasz? Wszakże prace i czyny społeczne nie mają w tobie, jak się zdaje, wielbiciela i propagatora; nie potrafiłabym zresztą spełniać ich na ziemiach obcych, ani też tam szukać spełniania ich potrzebuję. Więc ku czemu mię wzywasz? ku sukniom szeleszczącym i zgrabnemu podnoszeniu ich nad brukiem ulicznym? ku rozmowom pustym i postawom sztucznym, na fotelach stylowych? ku błyszczeniu dowcipem, talentem, wdziękami i rękawiczkami na czternaście guzików zapinanemi? To wprost nie warte zachodu przenosin.

Ale jest jeszcze owo prawo... Nie nazwałeś go, kuzynie, po imieniu; rozumiem dlaczego. Otóż «opłotki», wśród których wzrosła i mieszka myśl moja, są dość szerokie i widne, abym posiadała umiejętność i śmiałość wyręczenia cię i powiedzenia jasno: jest to prawo dążenia ku nasyceniu i zadowoleniu, ku sytości i radości życia. Wiem o niem. Jest to prawo, którego wyraz najwyłączniejszy i najgrubszy rządzi lisem, gdy chyłkiem zaczają się na młode sarnię, i stadem wilków, gdy oczyma, jak gromnicami, nad śniegiem świecąc, wyciem wściekłych głodów napełniają gromniczne noce! Jest to prawo użycia i sobkowstwa, w które zaprzęga szyje takie mnóstwo służebników, że pocóż werbować nowych?

I bez tego następują tam sobie na nogi, tłoczą się aż do wzajemnego zgruchotania klatek piersiowych. Tam to, kuzynie, zamiast na krasawieckich polach, upatruj gmin, masę czarną, która grube swe instynkty perfumuje, fryzuje, tresuje

i wypuszcza w świat jak stada wilków, ubranych w jedwab i połykujące rękawiczki.

Ale ja wiem, że przywołując mię do posłuszeństwa temu prawu, miałeś, kuzynie, na myśli pewien tylko najpoetyczniejszy jego paragraf, ten paragraf, który w koronie kwiatu, na skrzydłach motyli, w tęsknych oczach gołębic, w śpiewie słowiczym, w westchnieniu piersi ludzkiej, natura wypisuje dwoma słowami: on i ona. To prawda, natura dwoma słowami wypisuje ten paragraf na każdym z tworów swoich, ale człowiek z głową myśli pełną buntuje się przeciw lakonizmowi jej stylu i rozszerza go, pogłębia, przyozdabia w sposób sobie właściwy.

Bywają natury górne, które śnią o wiązaniu dwóch tych wyrazów: on i ona, u samych szczytów duchowych spoidłami bardzo subtelными; które nie chcą być jako pary borsucze, zgodnie kopiące jamy na sny leniwe i wygodne, lecz jako pary nadczłowiecze, zgodnie, bądź w łzach lub uśmiechach, bądź w znoju lub rozkoszy, przebywające wspólną drogę miłości, pracy, dążenia...

Jeżeli tak głośna teraz teoria o nadludziach może otrzymać urzeczywistnienie, to tylko w takich parach ludzkich i przez ich pośrednictwo pomiędzy pokoleniami. Tymczasem zaś, gdy dobór ich jest trudny, rzadki, są serca, które, mogąc uderzać szczęściem tylko na łonie spokojnych sumień, nigdy niem nie uderzają. One odracają, one odrzucają to, co zbyt mało harmonizuje z muzyką ich ducha, aby mogło nie stać się wkrótce zgrzytem, co jest zbyt małe, zbyt niskie, zbyt ciasne, aby mogło nie stać się wkrótce wstydem.

Lecz odracając ponętę, któraby musiała zmniejszyć i zubożyć jego ducha, człowiek prawami natury nie poniewiera, owszem, spełnia właśnie prawo jej kardynalne, na każdej stronicy jej księgi zapisane, prawo doskonalenia się.

Jako przyrodoznawca, musisz, kuzynie, stokroć lepiej ode mnie wiedzieć, od jak drobnych początków natura prowadzi twory swoje do wielkości olbrzymich, z jak grubych albo ubogich wątków wysnuwa na rozłogach czasu swe naj-

bogatsze i najsubtelniejsze przędze. Masa materii kosmicznej, chaotyczny zbiór cząstek bez czucia i świadomości błędzący po przestworzach, przez szereg ruchów i wstrząśnień, wpływów i przemian, staje się globem, którego ostygłą skorupę zalega, w rozmaitości niezmienna, w bogactwie niezgłębiona, w piękności nieopisana, scena życia.

Z małej żołędzi wyrasta dąb, którego podchmurne czoło usiewa ziemię tysiącem żołędzi. Z troglodyty, który jak równy z równym mocuje się z niedźwiedziem i surowy szpik wysysa z kości zwyciężonego zwierzęcia, przez długie koleje czasu czyni się Newton, podpatrujący ruchy ciał niebieskich, Rafael, zaklinający na płótnie piękność niebiańską, Petrarca, przedziwną muzyką słów opiewający kobietę, której ręki nigdy nie dotknął i — jeżeli chcesz — Petroniusz, *arbiter elegantiarum*, umiejący żyć i umierać pięknie. Jako przyrodzowiec, stokroć lepiej ode mnie wiedzieć musisz, kuzynie, że natura w wiekuistej swej pracy twórczej, nie od bogactwa i rozmaitości ku ubóstwu i ujednostajnieniu postępuje, lecz, że wcale przeciwnie, ramiona jej dźwigają małość, ubóstwo, jednostajność i nieświadomość ku potędze, bogactwu, zróżnicowaniu i temu szczytowi uświadomienia się nie tylko ciała, lecz i ducha, na którym, królując ogólnemu poziomowi sceny ziemskiej, stoją wieszcz, mędracy, bohaterowie ludzkości — nadludzie.

Dla człowieka to prawo doskonalenia się, jak dąb w żołędzi, jak glob życiem kipiący w bryle materii ślepej i głuchej, zamknięte jest w tem właśnie, w co tak wzgardliwie zdajesz się nie wierzyć: w miłości i obowiązku. Daremnie szukalibyśmy siły, któraby, od tych dwóch odosobniona, małość, złość i nieszczęście człowieka podnosić mogła do stanu wielkości, dobroci i szczęścia; nawet rozum i wiedza, pierwiastki szczytowe, tylko w skojarzeniu z niemi i przez nie natchnione, mogą spełnić to najtrudniejsze z zadań wszystkich, na jakie patrzy słońce ziemskie.

Czy zauważyłeś kiedy, kuzynie, jak powszechnie rzeczy największe są zarazem najprostszymi? Obowiązek, to linia

niezmiernie długa, lecz zarazem prosta. Winnam, więc płacę; wzięłam, więc zwracam. Ciało moje, z ziemi tej, z jej powietrza, kłosów, owoców, ze słońca, które nad nią świeci. Duch mój ze zbiornika duchowego, który z trudem i bólem, bez miary, ni cyfry, zgromadziły pomarłe pokolenia narodu mego. Jak sznur żorawi w oddal, tak płynęły one w górę ku dobru i światłu; temu zawdzięczam, że barbarzyństwo nie gnę mi karku do ziemi, a oczom wznosić się nie przeszkadza ku mlecznym szlakom wysokich pociech i uciech. Z kolei, jestem wspólnie z pokoleniem rówieśnem żorawiem lecącym w dal jeszcze dalszą, w wyż jeszcze wyższą. Mogę zwinąć skrzydła dlatego, aby osiąść nad żerem obfitszym? Nie byłżeby to wstyd? Nie byłżeby żal? Wstyd zjadać za darmo plon, wydobyty z pod ciężkiej tłoczni życia przez mnóstwo serc i woli! Żal rozstać się z tymi, którzy lecą i walczą, gdyż bodaj dlatego tylko żyć warto, aby z nimi razem lecieć i walczyć!

Ale to jeszcze nic. Te jeszcze chłodne, oschłe, niemocne. W tem jeszcze musi być coś, co obowiązkowi, jak ogień żelazu, nadaje ciągliwość i sprężystość, co, jak żyła kruszcowa skałę, przerzyna go tęczą blasków, co z niego, jak stal z krzemienia, krzesze iskry. Musi być w tem jeszcze prawdziwy *nervus rerum*, ta najwyższa racja ludzkich czynów, którą ty, kuzynie, nazywasz — baśnią.

Długo, długo, na kamieniu kunigasowego zamczyska siedząc, myślałam: sąż baśnią te wielkie, przeczyste pola, po których zakrętnych drogach unosił mię dziś mój Avis? Sąż baśnią szumy kłosów, deszcze kwiatów, potoki światła i woni? Jestże baśnią mrowisko ludzi, którzy z grzbietami zgiętymi ku ziemi, w upałach lata i znoju, za całą resztę ludzkości spełniają robotę jej — najpokorniejszą? Jestże baśnią pokora przeznaczeń tych ludzi tak przedziwnie sprzedziona z podstawową ważnością pełnionej przez nich czynności? Sąż baśnią ich żywe serca, pomarszczone twarze, uśmiechy, którymi witają nadzieję, i westchnienia, które mi ją żegnają? Sąż baśnią

ich dzieci niewinne, starce siwowłose, znikomość istnień ich i niezawodność śmiertelnych godzin?

Więc może baśnią są te jądra prawdy historycznej, które poezja owija przędzą podań i pieśni, napęliając nimi, jak motylami podzwrotnikowymi, niskie chaty i głębokie lasy? Sąż baśnią wspomnienia? Czy jest baśnią nic, wiążąca w ciągłość pokolenia i wieki? Baśnią są chwały, w snach zjawiające się upokorzonym? Jestże baśnią nieszczęście, przed którym głowa chyli się nisko, jak przed żałobnym ołtarzem?

Jeżeli to wszystko baśń, cóż jest prawdą? Suknie szeluszczące? Rękawiczki do ramion długie? Wesołe zabawy, wśród których, przy tonach muzyki balowej, pary ludzkie zbiegają się tempem walcowem, aby paragraf prawa natury z napisać: on i ona, wykonać z lakonizmem jej przedczłowieczego stylu? Tak, niezawodnie, są to również realności niezaprzeczane, lecz pomiędzy realnościami jest hierarchia i dla każdego wybór wolny. Ja wolę tamte. Dla mnie w tem, co baśniami nazywasz, nawet baśń nie jest baśnią, ani mitologia zbiorem tylko baśni, bo wypala się w niej ogniwo, wiążące ludzi z ziemią i z przeszłością, świecąc jak nieśmiertelna lampa boża, rozpostarta po stuleciach ludzkiej doli i niedoli. Powiem po prostu: ja baśń tę kocham nad życie i więcej jeszcze, bo nad szczęście, bez którego życie jest bardzo trudnem.

Kocham ją w zapachu świeżo zoranej ziemi i w śpiewie skowronka, w szeleście kłosów, w szumie lasów, w mgłach nad łąkami, w kamieniach i krzyżach przydrożnych, w białych całunach śniegu, w czerwonych żarach zachodu, w świtach sinych i gwiazdzystych nocach.

Kocham ją w chmurach budujących posępne sklepienia nad jesienią gorejącą bronzem i szkarłatem, w gniazdach i falach, we wrzosach i różach, obłokach i echach, w tajemniczym piśmie drobnych zmarszczek, którymi wichry okrywają rozłogi białych piasków i w tej bardziej jeszcze tajemniczej sieci, którą żywe korzenie cisów dawno zmarłych oplatają głębokie spody mojej rodzinnej puszczy.

Kocham ją — tę baśń — w ludzkich łzach, nadziejach, myślach, czynach, snach złotych i kamiennych dolach, w rozpromienianiu się i przygasaniu jej chwały, w jej bohaterach, myślicielach i poetach, w tem, co było i co będzie — a nadewszystko, najsilniej, najwierniej, najdumniej, najrzewniej kocham ją w jej nieszczęściu...

Kocham i powinienam. Tylko. W tem tylko całe to uczucie i cała ta idea, których imienia nie wymówię.. lecz w słowach, które wymówiłam niech mieści się odpowiedź na za pytanie «po co cierpieć?»

Po co! Możnaż dokładnie i od początku do końca ściagać wiedzę koleje, przemiany, pożytki wszystkiego, co na ziemi powstaje i znika, dla zmysłów naszych znika, ale nie ginie? Nic nie ginie. Stokroć pewniej ode mnie wiesz o tem, że w świecie materii nic nie ginie. Z ziarna żyta dziś zżętego uczyni się może atom masy mózgowej, w czaszce myśliciela, molekuła arniki, uwiedłej wśród ciemnych jałowców, może wstąpi w złoty włos piękności, tryumfującej na sali balowej. Tak samo w świecie ducha panują przemiany nieukończane, jest bezprzerwne krążenie życia, ten wiekiasty *Kreislauf des Lebens*, z formy w formę, z łona w łono, z bytu w byt, a nikt powiedzieć mi nie zdoła, gdzie początek i gdzie koniec mojej łzy. W pierwszym zarodzie swym powstała może z tęsknego spojrzenia ku górze którego z przodków moich, odbije się w którymś sercu mnie rówieśnem tęczę nadziei, a z niego do piersi innej przejdzie drobiną szlachetnej woli, która z kolei wejdzie w skład dobrego czynu i do innych jeszcze oczu przeniknie promieniem radości. Nikt nie odgadnie i nikt nie opowie czynów bólu mego i kresów ostatecznych, dla których został stworzon. — I to tylko jest pewnem, że akt duchowy, który wziął początek w pokładach duszy czystych i gorących, tworząc po wiekiustej swej drodze czystość i ciepło, rozszerza płynący światem ich strumień i chwilę przybliża, w której stanie się on morzem. Cierpię, ponieważ kocham, cierpię, ponieważ powinienam, a reszta — w rękę Boga.

Tak schodzą się i rozchodzą, ujmują się i roztrącają myśli nasze, ale pomimo to, mówmy z sobą.

Miałam niegdyś brata. Ach! z jakimże trudem ciężkim i długim serce musi odwykać od słowa: bracie! Czy źle odgaduję, że w duszy twej palą się tu i owdzie lampki grobowe nad pogrzebanymi — i poruszającymi się czasem w mogiłach «błękitami abstrakcyi?» Ja palę swoją nad grobami istot kochanych, na jeden z nich tylko tęsknotę palącą posyłając.

Jakże prawdziwym jest, że gwoździami z serc ludzkich zbitym być musi most, wiodący do Wysp Błogosławionych. Mówmy z sobą o tych wyspach i o wszystkim, co po drodze, obszernie i ufnie. A tymczasem niech wre i kipi na wyżynach górskich, w otchłaniach nie ginąc, potok Twej młodości, i niech lekkimi ci będą «oczy aksamitne», które, «przywykły być celem dla wielu wzroków», zapewne też same dla siebie są gwiazdami...

VII.

Interlaken.

Dziękuję za serdeczną otwartość, za szczerą chęć pogodzenia się ze mną, za tę dobrą wolę, która z każdego słowa twego, kuzynko, przebija.

Pragnąc skłonić mnie do apostazy prawdy na rzecz złudzeń swoich, wywiodłaś w pole walki mnóstwo rzeczy z pod słońca i z ponad słońca, szeroki przestwór ten okraślałaś czarem dzwicznego słowa i rozgrzałaś ciepłem kobiecego serca. Jest w tem bogactwo poetyckiego natchnienia i są rozległe horyzonty myśli, zdumiewającej mnie pomimo wszystko, co już podziwienia godnego o tobie słyszałem.

Olśniony jestem, ale nie przekonany. Jednak, ażeby walkę podjąć i ją rzeczywiście stoczyć, musiałbym rozporządzać tymi samymi sposobami walczenia; musiałbym być złooustym i w sercu mieć płomienie. Tymczasem armatura

moja jest wcale innego rzędu. Umiejętnie obracane ostrze karnej myśli: oto jedyny mój oręż, prosty a tak potężny, iż nie potrzeba mi tamtych, błyskotliwych rynsztunków. Tak jest on potężnym, że cały zresztą świat staje przed nami, pionierami myśli, bezbronny.

Natchnienie i ogień uczuć to dla serca skarby, lecz dla rozumu zero. Cokolwiekby z dziedziny legend tęczyowych i gorących ukochań wyprowadzono do boju z ujarzmioną myślą, chociażby zasypiano ją milionem najwspanialszych i najjaśniejszych zjawisk, na jakie wysilić się zdoła rozkołysana wyobraźnia, choćby próbowano olśnić ją milionem fajerwerków, spalonych z chwilowych prawd i plemiennych interesów wszystkich narodów i czasów, ona nie zadrży, bo hartowne łuski jej pancerza sprzęgła stalowa konieczność tych matematycznych prawideł, które jedynie byt świata stanowią i światem kierują, bez względu na wszczepiony w jego treść pyłek, zwany ludzkością, bez względu na miniaturowe jego sprawy, czucia i natchnienia.

Z drugiej strony, i to wątpliwości nie podlega, że mając do czynienia z tobą, kuzynko, cała potęga mojej myśli musiałaby pójść w kąt wobec przekonującej siły wywodów, na przykład, starej piastunki twojej, o której opowiadała mi pani Idalia, i która nawet ojcu memu utkwiała w pamięci z czasów wypraw myśliwskich w waszej puszczy. Wyższość starej «niani» nade mną leży właśnie w tem, że ona — jak sędziwy Akim w tragedyi Tołstoja — na rozumowaniu się nie zna, ani nawet nie pojęłaby znaczenia tego wyrazu, ale pradawną upornością kilku wyobrażeń, zaledwie w kryształ zajękliwego słowa ściętych, uderza jednostajnie i niestrudzenie w serce; ja zaś z aparatem umiejętnych pojęć i słów ściślych, nie przywykłem zwracać się do serc ludzkich i chyba niczyjego serca nim nie otworzę.

A zatem, kuzynko, należymy do dwu światów odrębnych i spotkanie nasze byłoby walką myśli z sercem. Ja jestem rozum, tyś królowa uczuć. Powiedziałbym, że ty nie tylko kochasz, cierpisz, pragniesz, lecz także myślisz i rozumujesz

sercem. Po wszystkim, com ci poprzednio napisał, w duchu twym nie zrodził się nawet cień, choćby ślad cienia powątpiewania o prawdziwości twych koranów; natomiast w jedną połowę twej duszy wtargnął demon gniewu na bluźniercę, a drugą oświadczył geniusz miłosierdzia nad jego sercem obłąkanem. Gdybym miał wewnętrzne życie twoje określić w sposób ogólny i zwięzły, powiedziałbym, że jest ono snem, ujawnionym na tle uczuciowem serca.

Jednakże wszystko to zajmuje mię i zastanawia. Jakież musi być życie na tym gruncie waszym, jeśli, mimo najcięższych ciosów rodzinnych i przeżyć, bardziej jeszcze osobistych, których gryzący jad wytrawił się w dogmat rezygnacyi z osobistego szczęścia, jeśli, mimo tych ciosów i zawodów, żadna z mar, wplecionych w koło marzycielskiego życia, nie pierzchnęła?

Jakież jutrzeńkowe kolory przywdziewają ziemia i niebo dla Psychy, która, na widok prawdy, ukazywanej z zasłon bóstwa Sais, ma tylko uśmiech niedowierzania, albo łzę litości? Jakże błękitnym musi wydawać się świat, odbity w kielichu takiej błękitnej duszy?

Dusza taka rozcina świat na dwie połowy: ziemię i niebiosą. Niebo, pełne gwiazd srebrnych i płomiennych, wzdęte opalową zamiecią księżyców, komet, meteorów, przemierzone skrzyżowanymi szlakami dróg mlecznych, to niebo jest tłem wspaniałem, rozesłanem dla jednej tylko gwiazdy, dla ziemskiej gwiazdy, wybranej, gdyż na niej mieszka ludzkość. Z tego zaś globu, świecącego stubarwnym puchem kwiecica na dolinach, a perłową emalią śniegów na górskich wierzchołkach, z ziemi, spowitej w różowe obłoki świtów i zachodów, lub w złote blaski południa, ulatują eteryczną strugą wonie modlitwy i glorie hymnów rozśpiewanej i rozmodlonej ludzkości, czekającej ufnie na przyszłość jeszcze piękniejszą. Czekając i ufać może ona spokojnie, bo w każdym atomie eterów spotyka ją czujne oko dobrotliwej opatrności, bo w wędrówce przez ogniska słońc i brylanty gwiazd prowadzi ją korowód tkliwych aniołów, którzy z upadłymi płaczą, ze

smutnymi mają nadzieję, z wielkim szelestem cherubowych skrzydeł bronią przystępu hufcom duchów ciemnych.

Tak młode i wielkie serce twe ogarnia i krąg ziemi, i firmament gwiazdzisty, i to, co nad gwiazdami.

Serce, tak pełne stworzenia, powinno tworzyć.

Powinnaś kochaniom swoim dawać życie i kształty, natenczas serce two mogłoby i na dawnym gruncie być szczęśliwem, przemieniać je w barwy i dźwięki. Przemień więc serce swe w eolską harfę pustyń mistycznych, weź do rąk harfę. Zwróć się ku sztuce, lecz w wiedzy nie szukaj dla siebie niczego...

Ja cię, kuzynko, w szeregi nasze nie wzywam dlatego, że jak świat twój różni się od świata istotnego, tak samo bardzo różnić się musi twój ideał uczoności — jeżeli go masz — od wiedzy prawdziwej. Chciałem nasunąć uwadze twej pewne jej czynniki, które mogłyby dla ciebie być korzyścią i ratunkiem, ponieważ z całej mocy życzę ci dobrze, ponieważ wewnętrzna istota twoja rozwinęła się tak wspaniale, ponieważ nie jestem wyznawcą zdania: błogosławieni ubodzy w duchu, i наконец, ponieważ uważam za stan niegodny ukształconego ducha giąć się z fanatyczną pokorą przed postrachem bożyszcz, wyrzeźbionych biegiem wieków dla nieuświadomionego gminu, który nie potrafiłby żyć bez pokłonów, ani iść bez drogowskazów. Wszakże można pozytywne wyniki wiedzy uwzględniać i żyć zgodnie z prawami natury, a nie poświęcać się ich odkrywaniu. Czyż tłum wiezących, czyż tłum maluczkich, ubogich w duchu, poddaje analizie słowa swych augurów? Więc niema w tem sprzeczności najmniejszej, jeżeli Cię pragnę wyswobodzić z więzów ułudy, a mimo to przed dziedziną Wielkiej Wiedzy ostrzegam.

A dlaczego ostrzegam? Posłuchaj. Każda normalna jednostka ludzka ma prawo do życia i żyć powinna; my zaś, ludzie tylko uczeni, nie stanowimy w zbiorowem życiu żadnego ognia. Żyjemy tylko myślą i tylko dla myśli, bo żeby tę myśl wykształcić i nią pracować, nie mamy po prostu czasu żyć i jesteśmy poniekąd ciężarem świata, który nas biernych

wyżywić musi. Jesteśmy więc zbyt, na jaki jedynie bardzo potężne i bardzo zasobne społeczeństwo może sobie pozwolić. Jesteśmy hyperprodukcją ludzkości. W gospodarce społecznej stolmy — rzeczy można — poza nawiasem. Można więc komu doradzać: umrzyj dlatego, aby żyć myślą!

Przed laty dziesięciu, gdy wiedziony instynktem, złym czy dobrym, chciwemi usty piłem ze źródeł mądrości, sam nie przypuszczałem, że potok życia mego w tak martwym popłynie kierunku. Dziś, patrząc na alpejskie kaskady, myślałem o sobie: czy w przeciągu mego umysłowego rozwoju był jaki zwrot równie gwałtowny, jak spad wody z Mürrenskiej terrasy? Nie wiem i wątpię. Pamiętam chwile, gdy po wielkiem wysileniu zdobywania zawikłanego rozdziału nauki, albo po przejściu się stałym teorematem wielkiego myśliciela, w pojęciach moich powstawały nagle niby ogniem wypalone wyryby, ukazujące jakieś nieznanne, groźne niemal przestworza, i jak wtedy niszczały i rozsypywały się w popiół całe systemy dotychczasowych moich wier i pewników. Niemniej nie spotykam we wspomnieniach żadnej takiej katastrofy, takiej skały, o którejby powiedzieć można:

«Na tem miejscu serce jego pękło».

Ale to znowu pewne, że wypłynął już dawno z niepokojnych rozdwojeń psychicznych fermentów i utonął w Lutschinie teoretycznej pracy. Dla indywidualności znaczy to tyle, co noc głucha i ciemna. W dziedzinie bowiem i pod władaniem Wielkiej Wiedzy bojuje myśl ludzka jako tako, lecz o indywidualności ludzkie tam nie chodzi. Wszystko jedno kto patrzy w mgłę problematów. Jednych po drugich porywa nas śmierć, lub życie ze strażnic nauki, lecz mimo to, placówki nie opuszcza żrenica, patrząca w zagadkową treść bytu...

Kto ścigać ma myślą treść wiekuistej myśli, ten z trwogą liczy krótkie godziny żywota i nie wolno mu tracić ich na pieśń serca. Wkrótce zresztą bląką wyda się mu ta pieśń. Im potężniejszą staje się myśl jego, im wszechwładniej się roze-

skrzydła, tem bardziej serce mu maleje. Świat obchodzi go jedynie jako podłoże, na którem myśl opiera swoje transcendentalne rachuby. Obchodzi on go jako funkcyja działających współmiernie praw natury, a przypadkowa treść jego kalejdoskopowych obrazów jest mu obojętną. Wzrok jego zatrzymuje się na historii ludzi, na ich kołyskach i grobach, z jednostajną zawsze przedmiotową trzeźwością. Z jednaką pobłażliwością spogląda on na grę instynktów, na cnoty, jak na zbrodnie, na aureliuszowych stoików, lubujących się w szczytnych zgonach, jak na hedonistów, zażywających wszelakiej innej uciechy. Niema dla niego ani tragedyi zubrów, wymierających resztką dyluwalną w matecznikach północnych borów, ani tragedyi wymierających narodów, którym odjęte zostały nieodzowne warunki istnienia, ani tragedyi Alp, którym każdy moment, krusząc i zwiewając granit, umniejsza wzrostu, aż legną kiedyś w prochu czoł własnych na dnie przyszłych oceanów. Na wszystko to daje myśliciel baczenie, bo zewsząd wydzielić może jakąś liczbę, potrzebną do abstrakcyjnych obliczeń. Ale jest to widz bezstronny i niemy, podobny słońcu, co świeci ziemskim nędzom i tryumfom, wszechwidome i wszechobojętne.

Spokojny i bezchmurny, nie czuje on żadnych gwiazd ani w sobie, ani nad sobą, a jeśli mu kiedy płomień jaki w oczach zaświeci, to bywa nim tylko przelotny błysk dumy. Jest w tym spokoju coś z lodu i majestatu śmierci. I rzeczywiście pracownicy myśli przebywają w sferze bytu ogółowi obcej i odrębnej. Stoją po stronie życia dla profana zakrytej i badają materiał kulis, wśród których rozgrywa się teatr świata, należąc poniekąd do reżyserów, znających motory, które w każdym dramacie są czynne. Kładą oni dłonie na odwieczne sprężyny, zaś tłum, napętniający scenę, zna tylko każdorazowy ich efekt.

I ciebie również, kuzynko, znajduję na zmiennej arenie świata, wraz z plejadą twych ideałów, bo wszystkie one są owych sprężyn efektem znikomym. Wchłonełaś w siebie blaski z otaczających cię kulis, więc mniemasz, że w sercu masz

słońce i Boga, i mnie samemu prorokujesz lepszą przyszłość, jeśli świat sercem ogarnę, i masz dla mnie łzę żalu, że dusza moja gorzka... Ależ ja prawie czuję się sam współtwórcą świata i dzierzę w ręku wszystkie niemal siły, które, posłane w świat, wykrystalizowują się na kanwie jego przyrody iskrami *Tez*, albo perłami uśmiechów.

I jeszcze innym mógłbym się posłużyć obrazem: że łódź myśli naszej przesuwą się wzdłuż pstrych i wzorzystych ogrodów życia, ale nie zatrzymuje się nigdzie, i my sami nie wsiadamy nigdzie na spoczynek.

Płynąc tak wzdłuż rozwiniętej daleko wstęgi panoramy, chciałbym cię odnaleźć na jakiejś łące lazuruwej i różanej, gdzie widziałbym, że ci jest dobrze, jakimkolwiek łudziłabyś się zatrudnieniem, gdzie nie poniosłabyś szkody, bawiąc się bądź w ofiarną filantropię, bądź w chwiejną ekonomię socjalną, czy też w kojarzenie duchów w znaczeniu chrześcijańskiego braterstwa. I chciałbym, abyś z owej kwietnej oazy pożegnała życzliwym spojrzeniem zasuważając się w coraz gęstsze cienie nawet apostaty...

Jednak i to byłoby dla mnie już zbytkiem. Żadnych nici pomiędzy nawą myśli, a przemijającymi etapami życia wiązać nam nie należy, bo, płacząc się niepotrzebnie, stają się one uciążliwym hamulcem, a zaczepione o serce, mogłyby ból sprawiać.

Ilekcja na horyzontach naszych zdarzyła się jakie tragedye, powód istniał zawsze w tem, że pionier nie zabrał z sobą w świat myśli serca zupełnie pustego. Nie szkodzi to zwykłym rzemieślnikom wiedzy, którzy dziewięć dziesiątych liczego cechu uczonych składają, lecz dla szermierzy prawdziwych połowiczność taka staje się nieszcześnie.

Mówiłaś mi, że istnieją piaski jałowe, pustynie bezludne, na których straszą Sfinksy, blade od żywiołowych zadumań. O! znam ja zadumę tych Sfinksów! Skłębiona fala życia sięga aż pod ich trony, ale one dalekie są od życia na całą odległość abstrakcyi. Z fal życia dolatuje ku nim gwar jednolitych hasła i popędów, ale na białych ich rysach ska-

mieniała niezgłębiona powaga oglądanej wieczności. One słyszą, jak nad zgiełkliwą falą szerokiem tchnieniem przelatuje nieskończoność czasu, i dla nich jednych czas ten nie płynie, bo z nieskończoności snuje się nieskończoność.

Tkwia one samotnie w nieskończoności, lecz na samotność się nie skarżą. Niema dla nich żadnych szczególnych zagadnień, bo analiza zaprowadziła je od pytań doczesnych do jednej jedynej zagadki: pierwotności stworzenia. Fala życia, mącąca się u ich stóp, wie także o tej zagadce i zwie ją Bogiem, a niezdolna wznieść się ponad ubogi świat zmysłów, czyni ją podobną sobie. Ale w oczach tych bladawców jest ten pierwiastek pierwszy i ostatni, na całą odległość abstrakcyi większym od Boga ludzkości. Nie jest on tak ułomny, aby czuć rzeczy z człowiekiem, aby kochać i nienawidzić. Jest on brakiem początku i brakiem końca. Jest bytem samym w sobie, na całą odległość abstrakcyi bardziej nieskończonym od ziemskich, wiekuistych piekieł i rajów. W niego wpatrzone Sfinksy nauczyły się samotności i nie znają w niej smutku i, kamienne jak Masynissa, nie chowają na dnie duszy żadnych pogrzebanych błękitów... Nie znają młodości ni starości, za niczem nie płaczą i niczego nie pragną, a dążą tylko do przyjęcia w najwyższym jej wyrazie prawdy swego Boga. Szukając wykładników tej prawdy, liczą ruchy atomów, wnikają w życie dusz na ziemi, mierzą zazębienia olbrzymich kołowrotów, na których wiruje świat.

I kiedy tak piorunami myśli chcą przemódz chaos zjawisk, rozwidniają się czasem przed nieruchomą ich żrenicą, w nagrodę za trudy, tajemne bezmiary poezyi nowej, wyższej, gigantycznej, na całą odległość abstrakcyi, większej od małuczkiej poezyi człowieka. Z poezją taką, zanieconą w środowisku nieskończoności bytów, mocują się harde duchy Sfinksów, których skroni nie zaćmiła trwoga, a ust nie zhańbiła skarga...

Mam lat trzydzieści, a zdarzają mi się już chwile, w których odmyka się przede mną Walhalla poezyi.

Tak «wre i kipi na wyżynach górskich potok mej młodości»

Czy pożałowałabyś, kuzynko, dla mej biednej młodości, na kilka dni letnich, jednej pary aksamitnych oczu?

VIII.

Interlaken.

Piove! I nasza wybrana dolina zapłynęła łzami. *Jupiter Pluvius* przykrył nas gęstym całunem chmur obfitych, welnianych, pełzających tak nisko nad ziemią, że na ostrzach hotelowych wieżyczek zdają się odzierać ich sinawe szmaty. Z ziemi zaś dobywają się ustawiczne kłęby oparów i toczą się leniwie po łąkach, albo powolnym wzlotem nad szczyty drzew się wznoszą, gdzie wsiąkają w pułap deszczowych chmur. Alpy zniknęły bez śladu i nawet Mały Rugen zaledwie niewyraźną plamą za siatką deszczowych pyłów majaczy.

Z tem wszystkim Interlaken wcale nie wygląda ponuro. Światło dzienne, chociaż przyćmione słotą, ma pozór raczej błękitny niż szary, a aleję ożywia zwykły ruch przyjezdnych turystów, którzy, oszukani w nadziei ujrzenia Jungfrau, wynagradzają sobie ten zawód widokiem wystaw sklepowych i wielojęzycznym tumultem.

Mieliśmy dziś jechać w góry. Wprawdzie przez nasyczone wilgocią powietrze dochodzi mię ciężki oddech lokomotyw, drapiących się zębatami kołami na szczyty po stromym zboczu Schinige-Platte, atoli w gronie naszym nie znalazł się ani jeden tak gorący zwolennik podniebnej jazdy, aby nie dał się odstraszyć chłodem, deszczem i mgłami. Rozbiło się więc towarzystwo i każdy wypełnia czas, dzielący poranek od *lunch'u*, a *luncheon* od obiadu, jak umie najlepiej. Widziałem kilka pań naszych, uchodzących z głównej sali, wprost do smoking-roomu, i słyszałem od ojca, że mimo pory stosunkowo wczesnej, zapytywano go już o mnie. Ale

zamarł dziś jakoś we mnie cywilizacyjny *appetitus societatis*, stwierdzony, jak wiadomo, w naturze ludzkiej już przez Hugona Grocyusza, i zamiast słuchania szelestu wytwornych toalet, wolałem pozostać na mym balkonie, w bezpiecznym schronieniu przed nieprzyjemnościami słoty, aby skorzystać z nabytego prawa i znów chwil parę porozmawiać — z Białowieżą.

Jestem też dzisiaj w takim, dla wielu osób bardzo zwyczajnym, a dla mnie bardzo szczególnym, usposobieniu, że z kimś zaufanym albo życzliwym pomówić chciałbym o tem, co odczuwam i w czasach podobnego, jak obecne, *otium*, sobie uświadamiam. Sposobność do tego rodzaju rozmowy nie często się nadarza. Nie zawsze mamy przy sobie kogoś, z kim o wewnętrznych, uczuciowych drobnostkach mówićby można, nie zawsze też mamy ochotę. Dzisiejszą sposobność zawdzięczam serdecznemu ciepłu, które razem z głosem twoim dolatuje mię z Krasowiec.

Otóż powiedzieć radbym przedewszystkiem, jak dalece miłym był mi twój pomysł, kuzynko, zbliżenia się do mnie.

Ucieszył mię i zaciekawił ten fakt dziwny i niespodziewany, że kędyś, w okolicy świata tak odległej, ktoś osobiście mi nieznany, a przytem tak wybitny i niezwykle świetny, jak Ty, Pani, interesował się mną i myślał o mnie również nieznanym i chyba tylko w Sfinkсовem znaczeniu wzmianki godnym.

Więc kiedy ja, w zamknięciu pracowni swojej, pochłonięty gorączkową pracą myśli, starałem się z doświadczeń swych wydobyć kruszec poznania, tam na północy, w zaciszu leśnym, subtelny, a wielki umysł kobiecy towarzyszył mi niekiedy wyobraźnią w mrozach pracy i z przyjaznem zajęciem śledził jej skutki, kruszec dobyty oglądał i życzył mi powodzenia... Więc mimo olbrzymiej różnicy naszych osobistych natur, naszych pojęć i pragnień, działalności i interesów, mimo największej różnicy, jaką kiedykolwiek umysł męski i kobiecy wykazać mogły, mimo też skrajnie odmiennych warunków życia i otoczenia, istniała pomiędzy nami jakaś

niewidzialna spójnia i most napowietrzny łączył dwa przeciwne bieguny.

Tak, dwa przeciwne bieguny! Bo my dwoje uosobiamy je daleko wielostronniej, niż świat Krasowiecki i świat Granowskich, świat zachowawczej symbiozy z ludem na gruzach ojcowizny i błyskotliwy świat użycia, który — nie wiem dlaczego — czynisz światem moim. Oba te światy, choć w powierzchniowych szczegółach odrębne, są całą siecią życiowych momentów powiązane z sobą i leżą obok siebie po jednej stronie bytu; ja zaś usunąłem się w hemisferę bezcielesnej myśli, jakkolwiek otaczają mnie zwykle jedwabne szelesty sukien i chociaż sam używam rękawiczek. Nie idzie za tem, abym wezwania twego do dalszej rozmowy nie przyjął radośnie? Przeciwnie, mimo dzielących nas rozbieżności, chętnie zacieśniam ogniwo naszej przyjaźni; czuję bowiem w tej przyjaźni, wraz z tchnieniem ciepła twoich leśnych ostępów, kroplę tej rosy ożywczej, której mi życie nie daje za wiele; i dalej jeszcze idąc, chętnie czyniłbym z tej przyjaźni stosunek coraz zażywszy i więcej braterski, gdyby istota do mnie podobna zdolną była wogóle stać się komukolwiek bratem. Więc chętnie i wdzięcznie otwieram serce przed braterskiem «ty», którego względem siebie używać mi pozwalasz.

Widzę na twarzy twej uśmiech szyderczy... «Otwieram serce...» Więc... serce! Tak; w godzinie szczerości — nie pojmuję skąd przybyłej — nasunął mi się ten wyraz nieznany w mowie Sfinksów, które serc nie znają, i nasunął mi się właśnie przy myśli o wielkim paragrafie istnienia, którym jest kochanie!

Słów napisanych nie przekreślam, i zbywając się wszelkiej dumnej oschłości, przyznam ci się w godzinie braterskiego zaufania, że na torach swego zawodu mam do walczenia z wadą, dziedziczną może i bezwinną, lecz znaczną, którą nieściśle i nieumiejętnie, raczej niejasno i po dyletancku określiłbym mógł jednym wyrazem «serce».

Jeżeli chodzi tu rzeczywiście o wadę odziedziczoną, to otrzymałem ją chyba w spadku po matce. Jest to bez wątpie-

nia stygmat znamieny naszego rodu. Jest on prawdopodobnie tą kroplą piołunu, o której twierdzisz, że w niemowlęctwie do warg naszych przysycha, a z warg przesącza się do duszy i życie nam zaprawia niesforną goryczą. Byłby to zarazem jedyny punkt styczny, który mię po dziś dzień z wami łączy i po dziś dzień nie daje się usunąć.

W okresach pracy, gdy ogarnięty tworzeniem tonę cały w konstrukcyi metafizycznych wywodów, wzbijam się łatwo w pychę zawczesną i ludzę się przeświadczeniem, że się na szczytach myśli wyżył dawnej wady, i że zaczynam już rosnąć w prawdziwą wielkość. A później, niestety, najbliższe *otium* idące po pracy, najbliższe, przypadkowo doznane wrażenie, przekonywa mię ponownie o nieuleczalnej ułomności. Niechętnie o tem myślę i kryję się z tem przed światem, ale dziś, wyjątkowo, próbuję nie tać się z tą kresą, psującą mi jednolitość ducha i skarżę się przed tobą. I oto przykład jaskrawy! Czyż to, że się skarżę i że dobrowolnie ukracam przed tobą swój wzrost duchowy, nie dowodzi najsilniej tego dziedzicznego błędu?

Nie umiem nawet powiedzieć, jak mię to niedokształcenie psychiczne gniewa, jak mi przeszkadza, ile mi odkrada myśli, ile marnuje energii! Chwilami tracę zaufanie w hart własnej woli i mniemam, że ideału, ku któremu zmierzam, nie osiągnę nigdy. Jakże inną powinna być młodość Sfinksów, mających chłodem rozumu zgłębić to, co im się u stóp mąci odmętami bytu! Młodość dla pionków ludzkości, to huczne, farysowe loty w piekło Chamsinów lub kryształ eterów, z manekinami kochanek w ramionach, z gwiazdą melancholii na rozwianych włosach; lecz dla Sfinksów, to pora największej sprężystości władz poznawania i najobfitszej w plon pracy. W pamięci też ich młodość powinna pozostać li tylko nazwą tego okresu, w którym myśl najgłębiej rozświeca chaos ciemności.

Nie taką jest moja młodość! Na tle jej czernieją plamy szkodliwych rozprzeżeń.

Wada serca czyni w abstrakcyjnych robotach niczem

nie zapełnione wyręby. Wprowadza ona w zeszeregowane myśli niekarność i chciałaby je węzłem rozkoszy, tęsknoty, czy żalu przywiązać do znikomej ziemi. Jakże boleśnie śmiesznym byłby Sfinks, gdyby przy sprawdzaniu podwalin i początków swej wiedzy, natrafiwszy na okres nazywany młodością, westchnął za nim z tęsknotą, jak Silvio Pellico w swej cierpkiej elegii:

«Lamento sui fuggiti anni primieri...»

Jestem lichym uczonym. Mam duszę pełną fajerwerków. Wybuchają z niej one częstokroć tak ognistą strugą, że świeżo zdobyte horyzonty gasną w grubych cieniach, a na arenę życia rzucają takie blaski mamiące, że serce chciałoby opaść na jej kwiaty, i przylgnąć do nich, i kochać...

Trzeba ją nieraz odrywać przemocą, krępować i wiązać; a wysiłki takie męczą i drażnią niezmiernie. Złamawszy wreszcie bunt serca, pogrążam się znowu w pracy, aż do zupełnego wyczerpania, zaś wysiłki te, bunty i wysiłki umysłu do ostatecznych granic składają się na jedną ogólną barwę, cechującą mię w stosunkach ze światem, bardzo zbliżoną do apatii...

W tej chwili spostrzegam, że w czasie, gdy mówiłem do ciebie, kuzynko, pogoda polepszyła się znacznie.

Deszcz prawie ustał, mgły na łąkach gdzieś się rozpięchły, lub przejrystymi pasemkami tu i owdzie, jak pajęczyna snują się po murawie, w ołowianym całunie nieba porobiły się liczne wyrwy, przez które błękit oczyszczony przeziera, a naprzeciw mego stanowiska, w tem właśnie miejscu, gdzie wznosi się piramida śnieżno białej Jungfrau, o dwie boczne kondygnacje gór oparła się tryumfalnym łukiem tęcza, «na wypłakanej rozwieszona chmurze».

Dostrzegam nawet wśród kotłujących na horyzoncie coraz jaśniejszych oparów miejsca bielsze jeszcze i jeszcze świetniej jasne: są to fragmenty odsłoniętych lodowców. Ukazują się one tak wysoko, że zdawałoby się mogło rzecz

nieprawdopodobną, aby do tych wysokości wznosiły się istotnie ciężkie granity ziemskie i oko bierze nieraz ściany zamczysk spiętrzonych z lodu za fantastyczny sztafaż atmosfery.

Spostrzegam jednocześnie, że w alei czyni się coraz gwarniej i weselej, bo przez otwory w wypłakanych chmurach wpadają ukośne snopy słonecznych promieni, a słońce, tak samo, jak serce, potrzebne jest ludziom do zadowolenia i do rzeźwości.

Ten ruch powszechny, blaski letniej pogody, kłójące się z niedobitkami liliowych obłoków, plamy słoneczne, połamane w deszcz złoty na osypanej rosą zieleni, świeżość bijąca z trawników i z puszystych lasów, co dymią kłębamipary na stokach, ta mieszanina prądów, światła, linii i żywiołów wypełnia nową i czarownie piękną treścią rozwinięty przede mną krajobraz. Zachwycą on każdego i każdy zachwycą się nim inaczej. Większość widzów zwraca się oczywiście ku wypływającym z mglistej topieli lodowcom, gdyż one to stanowią największą lokalną sensację i w czerwonych książkach napisane jest, że one są najpiękniejsze.

Co do mnie, widziałem już tyle śniegów i lodów, skalnych i podniebnych, w srebrze księżyca i w rumieńcach zachodu, w szafirach południa i zorzach północy, że oczy moje zatrzymują się dziś chętniej na skromniejszym widoku pól w części już zżętych i łąk świeżo skoszonych, na niskim terenie, rozciągającym się u podnóża góry, od płaskich brzegów jeziora Brenz, aż ku Wilderswyl, wioski przypartej do skały i wylotu lauterbruńskiej doliny. Tam w bezpośrednim sąsiedztwie z przepychem międzynarodowych hoteli, odbywają się sprawy maluczkich pracowników ziemi. Na łąkach odciętych od nas wąską linią kolejowego toru, pstrzą się postacie szwajcarskich wieśniaków i pachnie mokre siano, rozwieszane na gałęzistych żerdziach...

Apatya moja byłaby skończenie poprawną, gdyby była apatyą zupełną, to znaczy, gdyby była wyrazem obojętności

przedmiotowej dla zjawisk świata. Ale tak wcale nie jest. Ma ona silną przymieszkę jakiegoś niesmaku i zniechęcenia, prowadzącą do uczucia tęsknoty za jakimś stanem bytu odmiennym, przede wszystkim odmiennym i prostym.

Nie wiem dlaczego teraz właśnie, kiedy znajduję się na balkonie pałacu o kilkuset pokojach, pragnąłbym oprzeć się o wiązkę soczystego siana i przymknąć oczy, a obok mnie, zamiast strojnej, o zalotnie zharmonizowanych barwach sukien i uperfumowanej skórze, niechby przechodziła świeża, niewinna, biała, jak narcyz, dziewczeczka z Soplicowego dworu, z tklivością w oczach. Wokoło musiałby być spokój, a w powietrzu zapach narcyzów, świętego siana i wilgotnej ziemi.

Pragnę w tej chwili jędrnej prostoty życia. Daleki widok łąk skoszonych nęci mię zapachem poznanym niegdyś w dzieciństwie i tyle w tej chwili marzę, niejasno i głucho tęsknię, że gdybym kiedyś, w dalekiej przyszłości, znalazł się znów na tej hotelowej terrasie i popatrzał na szmaragdowe łąki, rozestane płaskim kobiercem między szybą jeziora a domkami Wilderswyłu, uczułbym ochotę powtórzyć tęskne słowa Zaleskiego:

«Młodości moja, niegdyś bujna trawo,
Jakże zapachłaś mi dziś zwiędłym sianem!»

Jak z tego widzisz, kuzynko, nie tylko miewam czasem sielankowe gusta, ale popierać je nawet umiem cytatami z naszego Parnasu, który przechowuję w komplecie jako pamiątkę po matce. W formie takich nastrojów objawia się żywotność zawartych w organizmie ludzkim pierwotnych instynktów. Są one składnikami materyjalnej natury człowieka, ociągają myśli nasze ku ziemi, ołowiem ciążą na lotności ducha i przykuwają nas do paragrafu kodeksu, którego interpretacją najszerszą i nieskończoną są ruchy atomów i ruchy brył kosmicznych. Właściwie składa się kodeks bytu z jednego tylko paragrafu, a jest nim sama chęć bytu, popęd samozachowawczy. Rzadko się zdarza, żeby pęd geniuszu ścierał się

z nim zwycięsko i deptał po nim jak zaświatowy archanioł, przecząc jego istnieniu. «Jakżeby istnieć mogła chęć bytu? — woła z samotności swej Zarathustra — to, czego niema, nie może bytu pożądać, a to co już jest, skądżeby brało ochotę trwać jeszcze dłużej?» Mimo to paragraf bytu istnieje i w lakonizmie swym jest może jedyną realnością wypełniającą świat od brzegu do brzegu. Posłuszną jest mu kometa spiesząca w wieczność po nieskończonych parabolach, podlega mu zawieszona w kropli wilgoci ameba, której drobina jest tak samo konieczną, jak pióropusz leżącej przez wszechświat komety, i świadczy o nim człowiek, jako najbardziej zawiła wiązka atomów.

Odpowiednio do swej zawiłej budowy świadczy o nim człowiek w sposób zawilszy i rozmaitszy aniżeli ameba; rozszczepił go w głębi duszy na tysiąc chromatycznych błysków i każdy z tych błysków ochrzcił osobnem imieniem. Mówi więc o miłości ku rodzicom, ku przodkom, ku przeszłości, o miłości braterskiej i szczepowej, o miłości z wyboru, którą wielbi pieśnią nad pieśniami, stwarza sobie pojęcia władztw potężnych, przed którymi się korzy, wyznaje kulty śmiertelnych bohaterów i bóstw nieśmiertelnych, a wszystko to są środki mające być jego na ziemi utrwalić. I dopiero na najwyższym stopniu historycznego i indywidualnego rozwoju dochodzi duch jego do uświadomienia tej epokowej prawdy, że miłości jego, bóstwa i wiary — to kłębki owych nici, po których był wysnuł się z łona przedbytu; poznawszy zaś w nich nic żywiołową, która nas sprzęga z całokształtem świata i wolę naszą zniża do niewolniczego ruchu wtrąconych w ruch chaosów, pragnie się wyzwolić z więzów, zapanować nad biernym chaosem i własną potęgą ruchy jego rozmiarzać.

Jeżeliś mię pytała: czy można wiedzą rozmiarzyć świat od końca do końca i ścigać nią przemiany, koleje i pożytki wszystkiego, co na ziemi powstaje i znika, to znaleźć możesz odpowiedź w tem najwyższem prawie duchowego dążenia. Jeszcze nam do wytknięcia tej mety niesporo i daleko. Czyż-

byśmy się mieli jej dlatego wyrzekać? Ten geniuszowy rozmach należy do przyszłości; kiedy nie będzie już, jak Faros, palić się na samotnych urwiskach myśli, ale z psychicznych ognisk garstki wybrańców przeleje się na tłumy. A dzisiaj? Czy jest on szaleństwem? Zaprawdę nie, bo w najtajniejszej swej naturze zawiera w sobie również wyraz zachowawczej idei wszechświata, rozprężającej się tu przed siebie i przez siebie w wieczność.

Tak ideę tę rozumiem, tak ją znam i taką ją w sobie czuję. Nie mogę więc giąć się pod jarzmo popędów, które człowiek w walce o byt na ziemi sam w sobie i sam dla siebie wyhodował, jeżeli mam nad przeszłością i nad przyszłością tego rozwoju, nad jego alfą i omegą zapanować. Nie wolno mi czuć, jak tłumy, skoro nie pojmuję, jak tłumy. Gdybym, ulegając znużeniu, wziął naręcz siana pod głowę, myśl z czoła spędził i żyć spróbował, jak żyli przodkowie, gdybym wszystkimi siłami duszy przyrósł do ich gleby, zespolił się z pracownicą, którą mi ta gleba wydała, i świecił wszystko, co z przeszłości i przyszłości z tą glebą się wiąże, ażeby teraźniejszości i potomności posiadanie jej zapewnić, gdybym zgasił w duszy zapalone pochodnie, oświetlające mi drogę na szczyty — czyżbym, poczynając tak sobie, nie zdradził tamtych ideałów o cały wszechświat większych i nie stał się hamulcem postępu, który mógłby być we mnie uczynić nowy krok naprzód?

Na tym niskim, więc naturalnym i bardzo ludzkim, ale niskim poziomie rozwojowych instynktów, pleniących się w posłusznej naturze w myśl wszechwładnego paragrafu istnienia, stoisz i ty, kuzynko, na podobieństwo rośliny, która rozkorzenia się głęboko w gruncie rodzimym, i jak twór każdy trzymasz się swego uroczyska, aby nie stracić gotowych pokarmów bytu. Nie zachwiała twych instynktów ani otwarta księga historii, pełna epokowych doświadczeń, ani stos książek różnych, którym poświęciłaś napróżno tyle pięknych godzin młodości. Z nich wynikła twoja zwięzła religia, streszczająca się w dwu krótkich, z fanatycznym uniesieniem

powtarzanych słowach: «kocham i powinnam». To znaczy: obowiązek i serce. Dwie cnoty, dwie łyzy, dwie nadzieje, po całej ziemi od wieków rozgłaszane, a ja miałbym ochotę dodać, że to, zaiste, nie wiele.

Jako kobiecie, dostało ci się w myśl kodeksu istnienia serce wielkie i gorące, wraz z ogromną potrzebą kochania. Kiedy zaś tory twego życia tak się jakoś zgmatwały, że kochać prawdziwie sercu nie dałaś, czy kochać nie mogłaś, wtedy otwartym kielichem zwróciło się to biedne serce twoje ku wszystkiemu, co miałaś najbliżej: po miłość i słodycz ofiary. Był tam najbliżej dom własny, gdzie echem wspomnienia rozlegał się głos czczonego ojca, którego nie stało, i kochanego brata, co odszedł i nie powrócił; był lud, związany z domem osobami piastunki, domowników i sąsiadów; była ziemia, przesłonięta mgłą smutków niezgłębionych; była jej przeszłość obfita w złote glorie, w krwawe płacze i pieśni rapsodów; była wreszcie przyszłość tej ziemi nieznana, bo w zupełności zakryta kirem. To wszystko wetchnęło serce twe w kielich daremnej tęsknoty i, oszołomione napojem, uwierzyło w dogmat miłości i obowiązku. Kocha więc, poświęca się, płonie ofiarą i — uwodzi się złudzeniem szczęścia. Weź w rękę harfę i tonami jej opiewaj swe złudne eklogi! Weź harfę — śpiewaj!

Dom, kraj, lud, przeszłość i wiara w niebo, czyli w przyszłość, taka jest mniej więcej geneza miłości i obowiązku, wypełniających dotąd twe życie. Działalność, która z tych pierwiastków wypływa, da się podciągnąć pod różne kategorie altruizmu, filantropii, pracy społecznej i wszelakich jej odmian. Pojęcia te cenione są powszechnie bardzo wysoko, jako dodatnie czynniki w ogólnej naszej symbiozie i wiele już powiedzieli i napisali o nich politycy, kapłani i wszyscy ci, którzy nie opuścili dotychczas doktryn, uważających człowieka za cel i koronę świata.

Z poziomu tego stanowiska rzuciłaś, kuzynko, uwagę, że nie jestem prawdopodobnie propagatorem prac społecznych; jeżeli masz pod tym względem jakiegokolwiek wątpli-

wości, to gotów jestem dać ci bezpośrednią odpowiedź, że w rzeczy samej osobiście nie jestem ich propagatorem. Znam pewne stopnie czasu i rozstrzeni, wobec których ludzkość, mrowiąca się przez czas pewien na globie i wszystkie interesy jej bytu maleją do takich iskerek martwych i bladych, że w płomiennych jutrzniach poznania giną mi z oczu bez śladu. Znam zagadnienia tak olbrzymiej miary, że elementarny problemat Budników, ścinających białowieskie sosny i zbierających zboże na krasowieckich polach, przestaje dla mnie być problematem.

Jakżeby mógł zastanawiać mnie istotą swoją litewski zagrodnik, drzemający w cieniu dębowym, jeżeli w twojej prześlicznej duszy czytam, jak w rozwartej karcie, obdzieram po kolei wszystkie warstwy smętnego palimpsestu i znam go prawie już do dna? I widzę na tem dnie harfę złotą, operloną łażami! Weź do rąk harfę, śpiewaj!

A zresztą, altruizm twój ma, nawet na ziemską miarę, nader ciasną granicę, jak to przyznałaś sama. Granicą jest mu rodzinna niwa. Przyznałaś sama, że na obcej ziemi nie zdołałabyś z takim samym zapalem oddawać się pracom społecznym, które prowadzisz przez obowiązek i serce. I jest w tem słuszność. W tej właściwości rozumiem cię również aż do dna. Czujesz i działasz w myśl bezpośrednich samozachowawczych popędów, których jesteś biernym wykładnikiem. Ciasny interes lokalny i plemienny każe nam trzymać się odziedziczonego terenu i zajmować się nim całkowicie w odosobnieniu i wyłączności od innych.

Jest to konkurencja miejsca i chleba, które w formie haseł idealnych i górnych niosą na swych sztandarach wszystkie narody i które znają wszystkie ziemskie stworzenia.

Ten sam instynkt kieruje lisem, gdy wypiera współzawodników z wąwozu, gdzie wykopał swą jamę, kieruje ludem sosen, gdy zwartą falangą zagarnia coraz dalsze ugory, trując gradem igieł słabsze, też życia spragnione, roślinki. Różnica pomiędzy ekskluzywnością narodów, a ekskluzywnością roślin i zwierząt zachodzi w tem tylko, że w państwie niższych

tworów chęć bytu wypowiada się przed uchem myśliciela z całą lapidarnością pierwotnego stylu, a w życiu narodów przystraja się migotliwym kramem dodatków i wyobrażeń, które charakteryzują człowieka, jako *animal poeticum* i *religiosum*. Najwybitniejszą rolę wśród tych upiększeń gra wspomniana już miłość przeszłości miejscowej i plemiennej. Duch przecież silny nie obraca twarzy na przeszłość, ale patrzy w przyszłość, dokąd rozwój go wiedzie, i otrząsa z siebie brzemie dawnych pyłów, aby mu stóp nie obciążały. Duch silny nie dba o przeszłość, z której wyszedł, lecz obejmuje ją dalej wstecz, niżeli na kilkadziesiąt lub kilkaset pokoleń, stanowiących historię jego narodu, i wie, że węzły pokrewieństwa łączą go nie tylko z hordami Azji, od których pochodzi, ale i z ludem sosen, zarastających puszcze zwartą falangą, i z jądrem granitów, które skamieniały w urwistą fałę Alp, wyrzuconą nad chmury.

Podobnie, jak nimbem rozokolonym nad mogiłą czasów ubiegłych, krzepi się człowiek, w bycie swym teraźniejszym zagrożony, snami o szczęściu, które jego, lub jego potomków czeka w przyszłości. Nadzieja zgromienia wrogów gromem sprawiedliwości i dojścia do upragnionych celów podwaja siły jego w zapasach z losem, pomnaża odporność i utrzymuje w cnocie, hartującej mu organizm. Nieprzewyciężona chęć bytu umożliwia mu wiarę w mistykę zaświatowej pomocy i służy zarówno skutecznie, jak orłom szpony, lub jak głęboki korzeń roślinie, zwłaszcza jeżeli z pomocą pospieszy siostrzyca poezya.

Ona także wyłoniła się z zamierzców przez kombinację sił biernych i martwych, jako potężna dźwignia zachowawcza, bo, umieszczając zjawiska świata wśród ogni czarnoksięskich, budzi nadzieję i pokrzepia siły. W magicznych jej blaskach błękit przyszłości staje się coraz błękitniejszym, a pokolenia narodu nabierają podobieństwa do stad żórawich, roztopiających się w coraz dalszych i czystszych jutrenkach.

I ty, Pani, karmisz się chlebem mistyki i poezyi, idziesz na ofiarę i chciałabyś być żórawiem ulatującym z wyciągniętą

szyją w lazury; lecz czemuż, tęskniąc za lotnością ptaków i wznosząc ręce ku rozwiniętym na niebie ich girlandom, nie pytasz: «gdzie wy lecicie, mewy?» Dokąd zmierzają mewy, łabędzie, żórawie jednostek i pokoleń? kędy ich cel i koniec? Spróbuj zastanowić się nad tem. Sam mówiąc do ciebie nazwałem się apostatą. Lecz na czemże apostazyja moja polega? Oto na tem, że nie mogę ci wskazać żadnych Wysp Błogosławionych, o których czytałaś w Plutarchu, ani żadnego świata gwiazdzistego, w którymby mogło odżyć to, co rozbiło się na ziemi, a opowiadać umiem tylko o żelaznej konieczności bytu, która drży w falach eteru, a nas ludzi wychowała drogą przypadku i martwej selekcji w ten sposób, że z tęcz i dźwięków, odbitych w nas przez zmysły, budujemy sobie widma cnót i prawd, bóstw i obowiązków.

Łatwo zrozumieć, że za cnotę uważa etyka każdy czyn w zbiorowej walce o byt pożyteczny, a za grzech uznaje każdy czyn w walce zachowawczej szkodliwy; a że w każdym okresie i u każdego ludu w miarę zmiany stosunków muszą się i zasady użyteczne zmieniać, więc w każdym okresie i u każdego narodu co innego uchodzi za cnotę, co innego za grzech.

Jednakże ludzie tak są zwykle pochłonięci ważną sprawą życia, że wzrok ich staje się krótkim i nie zdołają już ocenić należycie owej względności swych etycznych przykazań. Dają oni swym ideałom użyteczności byt nieśmiertelny, dają im głos sumienia i w imię ich ścierają się ze sobą słowem i orężem. Despotyzm natury działa tu tak silnie, że w poszczególnych wypadkach rozmija się pozornie ze swym celem, gdyż jednostki najuporniejsze cenią owe baśnie «wyżej nad szczęście» i w obronie ich oddają chętnie życie. Egoizm tego popędu jest tak potężny, że niekiedy śmierć przybiera dla nich postać najwyszukańszej rozkoszy.

Biczownicy krwawią swe ciała biczami, męczennik modli się do Boga o śmierć z ręki kata, Leonidas umarłby ze wstydu, gdyby mu nie było danem paść trupem pod Termopilami w obronie ojczyzny. I nikomu z was, fanatyków za-

parcia i ofiary, na myśl nie przychodzi, że nurzacie się w najwyłączniejszym egoizmie stworzenia, dla którego istnieje jedno tylko prawo: utrzymanie rodu swego na ziemi.

Nie żałuję słów ostrych, ani obrazów skrajnych, aby ci tę niewzruszoną prawdę przywieść przed oczy, że ty, apostółka miłości i obowiązku, i świat, który się bawi i błyszczy, że ty samotnie cierpiąca i smutna, i sfera uperfumowanych wilków — jak uprzejmie tutejszych moich znajomych nazywasz — jednym jesteście posłuszni instynktom i na jednym stoicie biegunie.

O tej prawdzie pragnąłbym przekonać cię koniecznie i nie zamknę swej apostrofy, nie zwróciwszy jeszcze uwagi na błędne pojęcia twe o rozwojowym postępie ludzkości. Powiadasz, że ona idzie naprzód, że wstępuje na szczyble coraz wyższe, coraz bliższe boskiego pierwowzoru. Nie umiałbym na razie rozstrzygnąć stanowczo, czy ludzkość idzie jeszcze naprzód, albo też na nieboskłonie istnienia zakreśla już łuk zachodni? Prawdopodobnie zdąża jeszcze do swego zenitu. Lecz jakkolwiekby się ta rzecz miała, traci ten szczegół wszelkie znaczenie, jeżeli go umieścimy wobec ogromu ewolucji powszechnej. Byt realizuje się w rytmach nieskończonych, przejawia ruchem wzdymającej się i opadającej fali. Wielkość fal bywa różną: są fale strumieni, rzek, oceanów, narodów, ludzkości i światów. Na niebie w nocy możemy owe największe fale oglądać bezpośrednio. Wśród drogi mlecznej rozsiane są plamki mgieł sinych, z których wyjdą systemy nowych słońc i trabantów. Widzimy bryły materii, miotane jeszcze chaosem dziewiczych pożarów, widzimy planety ostygłe, owiane tchem atmosfery, jak ziemia nasza, i mamy tuż obok siebie księżyc — wypalony, umarły i cichy.

Patrz na księżyc! Miał on swój zenit, przeżył tragedję zachodu, jest teraz w momencie spokoju. Ten sam los, gwoli symetrii kosmicznych ruchów, spotka i nas na ziemi, a kiedy? Za miliard stuleci, czy za godzinę, to wobec kosmicznych wymiarów szczegół błahy i obojętny. Wiemy, że ziemia wymrze. Wiemy, że naprzód zetrze z niej palec czasu pleśń,

która się zwie ludzkością, a później pleśni niższe i najniższe, te na ostatku, co różnicowały się pierwsze z wichrów, gliny i wody.

I gdyby cię ktoś w tej odległej przyszłości wskrzesił i powrócił na biegun, do którego wy, ziemianie, przyrośliście umysłem i sercem, jakież punkty oparcia dla myśli i woli znalazłabyś na jego księżycowej ruinie? Byłabyś, jak Faustowski Euforyon, dziecię ziemskiego piękna, o którym nawet ciemna Forkyada musiała przyznać, że krążyły mu w żyłach anielskie melodye; unicestwiłaby cię realność ostateczna bytu i tylko jakiś twój strzępek jutrzeńkowy zamigotałby przez moment na nieżywym słońcu. Albo rozwiłabyś się jak ukraiński Eolion, o którym nawet łabędzie nie umiały wyśpiewać, kędy wraz z harfą swoją popłynął.

Biegun, na którym stanęła myśl moja, leży gdzieindziej. Biegun mój wyższy jest nad początki, rozkwity i zgony. Napelnia go melodya, w której każdy rytm i akord składają falowe rozbłyski światów. Czyż znalazłbym w języku śmiertelnych Euforyonów dość środków do opisanja horyzontów, wśród jakich melodye te rozlegać się mogą? Nie trzeba zresztą określać ich ubogim językiem ludzkim, aby zrozumieć, że kto raz spojrział w tę zamieć gwiazd roziskrzonych, tego myśl nie znajdzie już spokoju na ziemi i wiecznie wydzierać się będzie — *ad astra!*

Jeżeli naturę i wielkość tych gwiazd najwyższych pojmujesz, a jeżeli nie pojmujesz, to przynajmniej przeczuwasz, nie będziesz się dziwiła, że nic mię tu na waszym świecie zatrzymywać naprawdę i na długo nie może i nie powinno. Zrozumiesz chyba, że słaby duch ludzki, wyczerpujący się niekiedy na sam widok takich horyzontów prawie aż do omdlenia, dbać musi o każdy promień swej siły, i zrozumiesz jak złe są dla niego wszystkie manowce upodobań i nastrojów. A jestem do nich skory. Ciągłe i ciągle otwiera mi się serce na ziemskie barwy i głosy, i chociaż nic nie kocham prawdziwie, coraz bardziej lękać się zaczynam, że nigdy nie oduczę się — pragnąć kochania.

Drobnostka to jest, ale świeżo doświadczyłem w tym kierunku nieznosnej dla siebie rozterki, której sam objaw już mię zaniepokoił. Miałem wczoraj podczas wieczornego koncertu w kursaalu spotkanie, które poruszyło mię w sposób niespodziany. Znalazłem się w sąsiedztwie młodzietkiej Angielki, przypatrującej się w gronie kilku osób rulecie, a powodem nagłego wrażenia było wielkie podobieństwo jej do pewnej, młodzietkiej także, Polki, którą poznałem w Szwajcaryi zeszłego lata. Spędziłem z nią niedaleko stąd, bo w Giessbach, nad Bryenckiem jeziorem, u stóp wspaniałego wodospadu, parę tygodni i znajomość tę usiłowałem pogrzebać w piasku zapomnienia, gdy oto wczoraj, zmylony podobieństwem, o mało ręk ku niej ruchem instyktownym nie wyciągnąłem, i potrzebowałem dopiero pewnego zebrania myśli, aby sobie uprzytomnić, że nie mogła to być ona... Angielkę rychło straciłem w tłumie z oczu, ale wrażenie tego spotkania trwa jeszcze i ustawicznie powraca mi na myśl Giessbach... Otóż są ekloga i elegia, pnące się na sfinksowy tron apostaty!...

Kto wie, czy gdybym poznał Krasowce, nie począłbym potem tęsknić do tamtejszych lip i świerków, szelestów zbóż i szumów sosen, nawet do zagrodników, drzemających w dębowych cieniach? Na razie przesyłam pozdrowienie wszystkiemu, co wzrasta, kwitnie, myśli, cierpi w Krasowcach, a mimo grożącego niebezpieczeństwa nowej eklogi, proszę o rychłe echo z tych dalekich samotni, o echo, które na tle interlackiego sezonu i jego poliglotycznej pstrocinny wydaje mi się czemś prawie legendowem... O, weź do rąk harfę!

IX.

Krasowce.

Przyjmuję harfę, którą mi podajesz, i w dłoniach wzniesionych wystawiam ją na wiatry, na te wiatry lekkie, szmerzące i wonne, które od korony do korony kwiatu i od kie-

licha do kielicha serca, roznoszą po świecie rozpylone brylanty i winne grona! Niech zagrają na niej te skrzydlate posty, co, jak podczaszowie uczt starożytnych, jak owi paziowie, oblani woniami i złotymi włosy, nalewają czary biesiadników bytu, ogniem z Falernu i miodem z Hymetu! Niech na te struny, które mi podałeś, opadną gibkie gałęzie grabowe, niech posypią się na nie granaty dojrzałych jeżyn, niech je obejmie upał lipcowego południa...

Tam, gdzie z różowych margli wyrasta las najobfitszy w liście, na bogatych w liść najrozmaitszy *Hrudach*, upalnie dziś było, sennie, duszno, potno na drzewach od roztopiających się wonności, a na trawach od wysypujących się z dojrzałych wymion roślinnych nasion perłowych i srebrnych. Na niskich krzakach połyskiwały granaty jeżynowych jagód, gromadami kwitnące epilobie brunatność pni plamiły fioletową purpurą — i tylko te kolory, wraz z wyekscytowaniami od gorąca woniami czuwały, igrając ze światłem słońca, rozbitem na miliardy migotliwych drobin. Zresztą, wszystko było sennie, albo i uśpione.

Sennie z gałęzi zwieszały się liście nieruchome i w kołisto utkanej pomiędzy gałęziami pajęczynie spał pająk, złotym punktem spinając promienie srebrnego koła. W podniebnych gniazdach, na morzu zieleni, z powieką, na krwawe źrenice spuszczoną, usnęły krogulce; posnęły wiewiórki w dziuplach drzew i sarny wdzięcznie wyciągnęły się na wrzosach. Usnęły w porosty drzew uplątane gąsienice wełniste i spały do wiotkich trzmielin uczezione motyle ze złożonymi jak do pacierza skrzydły. Za ścianami, zbudowanymi z unerwionych tkanek roślinnych, stały wstrzymane w locie wiatry i głowy szemrzące do szczelin przykładając, podsłuchiwały, czy porusza się cokolwiek w świątyni upału i milczenia? Czy cokolwiek tam mówi, oddycha? Nic nie poruszało się, nic nie mówiło, nawet nie szeptało, nawet nie zdawało się oddychać. Tylko rozszalałe wonie lały się w par spocony i rozproszone kolory tańczyły z rozpylonymi blaskami.

Czyś kiedykolwiek zauważył, jak długie gałęzie grabu

z trzcinową giętkością kładą się na sąsiednie drzewa, przed krokami przechodnia spletając zapory sprężyste i odporne? Rozgarnęłam gałęzie grabu sprężyste, długie, pełne wielkiego, chłodnego liścia, i zaledwie wyjrzałam przez nie — stanęłam. Stałam w jeżynach i chmielach, które miliardem swych niewidzialnych haczyków oczepiły mnie aż do ramion, i tylko nad głową podnosząc feston ciężkiej kotary — patrzałam.

Polana nieduża, okrągłuteńka, obramowana ciemnym lasem, leżała pod płachtą słonecznego światła w gęstej sierści dojrzałego żyta — i na las otwierała się szczeliną wąskiej drogi, pomiędzy dwiema ścianami niebotycznymi wyciągniętej linii prościuteńką, w nieścignioną dal. U brzegu żyta stała para ludzi: wiejski parobczak i wiejska dziewczyna, do kolan w bujnych ziołach, tak, jak ja byłam do ramion w jeżynach i chmielach. Poznałam ich: prawnuki tych kolonistów-pionierów, których przed półtora stuleciem w bezludnych podówcach prągeństwach osiedlił śmiały reformator finansista, aby potężnymi ramionami czynili w nich wyręby dla publicznego przemysłu i bogactwa.

Stali niedaleko mnie, bardzo blisko siebie, i łatwo było odgadnąć, że, spotkawszy się w drodze do pracy, ze spotkania tego uczynili sobie krótkie, promienne święto. Ona jedną ręką opuszczając sierp na jaskrawą odzież, palcami drugiej dotykała wysokiego kłosa żyta; on, z suchymi liniami grabi nad ramieniem splótł ręce na ich drzewcu, i tak stali, nie mówiąc nic, nie czyniąc poruszenia najmniejszego, a tylko oczy w oczach sobie zatapiając. Na poważnie złożonych ich wargach nie było uśmiechów, po czołach gładkich nie przebiegało żadne drgnienie i nieruchome postacie te, z nieruchomymi profilami, tylko magnesem od źrenic do źrenic przeciągniętym skute, uwypuklały się na tle złotego żyta i ciemnego lasu, jak posągi, wyobrażające czysty i uroczysty moment szczęścia. Biła od nich uroczystość zaręczyn, dokonywanych na łonie natury gorącym i cichem; byli, jak ona, gorący i cisi, a nad nimi, nad skamieniałymi w złotym skwa-

rze drzewami, kłosami, ziołami, zdawało się unosić echo sa-
beistycznej pieśni o słońcu:

Cicho, cicho jechał Bóg przez góry i doliny,
Nie zadrżało przed nim ani żyto w kwiecie,
Ani oblicze oracza...

Zadrżały w wewnętrznym słońcu usta dziewczyny i jak
koralowa muszla rozchyliły się nad rzędem pereł. Wtedy i on
uśmiechnął się także, zdjął z żyta jej rękę i, trzymając się
za ręce, poszli żytem, po miedzy, na wąską, prostą drogę
leśną, wśród której długo jeszcze stałowa iskra sierpu pobły-
skiwała na tle czerwonej odzieży to silniej, to słabiej, aż
w odległości zgasła...

Nigdy jeszcze mój lotnonogi Avis nie szedł tak powoli,
tak powoli, jak gdy szeroką, sklepioną nawą leśną, powra-
całam z *Hrud*, bogatych w liście... «Wolniej, Avisie, wolniej!»
prosiłam i marzyłam o jakiejś łodzi tak cichej, jak widmo,
któraby mię po jakiejś toni, tak świetlanej, jak księżycowe
promienie, niosła powoli, powoli, bez ruchu wiosła i bez
plusku fali, ku jakimś nieznanym zaświatom, do jakichś «ogro-
dów kwiatnych», «grót lazurowych i różanych...»

Ach! Te ogrody kwiatne! Ach, te groty lazurowe i ró-
żane! Z ironicznym zgrzytem rzeczywistość żelazna ociera
się o księżycowe srebro marzeń! *Fata morgana* przewlekają
się po ziemi, aby stopom pracowników podrzucać kamienie
obrazy! Ułudy, które niekiedy sprawdzają się pośród Budni-
ków, lecz im wyżej, im wyżej leci duch człowieka, tem szyb-
ciej pierzchają one od niego, daleko, aż przepadają na mgli-
stych cmentarzach niesprawdzonych snów

Jakże dumnym jesteś, kuzynie! Gdyby sto Pelionów na
stu Ossach postawić, jeszczeby ich wysokość nie dorównała
twojej dumie! Więc mniemasz, że znajdujesz się poza ludz-
kością, ponad ludzkością, rozwiązany ze ślubów braterstwa,
którymi łączy ludzi krwawa stuła wspólnych cierpień
i złota obrączka wspólnych wysokich przeznaczeń? To mię

zadziwia. Jam zawsze mniemała, że im w większych wielko-
ściach człowiek tkwi wzrokiem i duszą, tem czuje się mniej-
szym, że im uporczywiej siły swe wspina ku słońcom nie-
śmiertelnym, tem jaśniej spostrzega, że sam jest przed niemi
jako cień, jako sługa i jako pokorny czciciel.

I niepotrzebnie wyśmiewasz zdanie: «błogosławieni ubo-
dzy w duchu», bo pospolicie jest ono tylko tłumaczonym
opacznie. W rozumieniu jego istotnym «ubogim w duchu» nie
jest ten, któremu brak wszelkiej skarbnicy duchowej, ale ten,
który, jakimkolwiek byłoby jego bogactwo, samego siebie
nie poczytuje za drogocenny klejnot w skarbnicy świata. Być
«ubogim w duchu» wszakże to znaczy czuć się małym wobec
rozpoznanych poza sobą wielkości i czuć się małym razem
z małymi, bez uwagi na choćby niezmierną nad nimi wyż-
szość swego wzrostu. To nie tylko wzniosłe, ale i bardzo
rozsądne, bo, doprawdy, jakaż to jest ta nasza wielkość,
choćby największa, i jakież to są te nasze bogactwa, choćby
najwspanialsze, w obliczu tych mąk, tych nędz i tych zniko-
mości, których nieskończoność każdy z nas sam w sobie nosi?

Ty, kuzynie, patrzysz oko w oko w nieskończoność
materii, a co czynisz z duchem? Bo te wszystkie słońca,
gwiazdy, meteory, komety, mleczne drogi, te wszystkie wiązki
atomów, które od ameby, zawieszanej w kropli wilgoci, do
światowej elegantki, kołyszącej się w takt muzyki na ramio-
nach światowego eleganta, rządzące się jedynym prawem
bytu i jego sytości, to tylko bryły materii w różne formy
i wielkości urobione na niepojętym warsztacie wszechświata.
A gdzież jest druga strona obrazu, ta, na której duch po
nieskończonych przeobrażeniach i stopniowaniach dosięga kar-
tezyuszowego: «Myślę więc jestem», lub Chrystusowego:
«Pójdźcie do mnie, wy, którzy cierpicie!»

Gdzież na widnokręgiach swoich umieściłeś to, co na-
wet w młodej parze Budników sprawia, że, oblani żarem, cie-
kącym z prawa bytu, nie rzucają się ku sobie z krzykiem
wścieklej radości, jak wilk i wilczyca, lecz stoją naprzeciw
siebie w skromnej i zadumanej ciszy, w pieśni serc, która

poprzedza uniesienia ciała i jest dla tych uniesień poezją i odkupieniem?

Któż to jest ta młoda Polka, spotkana w Giessbach, której obraz tak trwale odbił się na tle twojej pamięci? Jak wygląda? Jakie jest jej imię? Gdzie znajduje się obecnie? Obraz, odbity w pamięci, musi być jeszcze bardzo kolorowym i wypukłym, skoro pod jego wpływem Sfinks, ze szczytu stu Oss i stu Pelionów spoglądający w nieskończoność materii, zdobył się na pokorę wyznania, że posiada w sobie ten oddech ducha, którym jest serce! Opowiedz mi cokolwiek o młodej bohaterce eklogi w Giessbach

Czy zbyt śmiałą popełnię metaforę, jeżeli powiem, że na gruntach dusz ludzkich miłość wyrasta w tylu różnych postaciach i odmianach, ile ich posiadają rośliny, wyrastające z różnych gruntów puszczy. Dziwią się ludzie, że miłość «jej i jego» nieraz, bardzo często, zapowiadając zrazu cud i raj, szybko przemienia się w gminność i piekło. Lecz któż spostrzega, że pary ludzkie miłość swoją pospolicie przez wrota życia przenoszą w sercach tak lekkich i pustych, jakby z nią razem wstępowały na salę z na wieki wylustrzoną posadzką, z na wieki roznieconymi snopami światła, z na wieki wesołym tańcem rozbrzmiałą muzyką — na salę, słowem, w której odbyć się ma wiekiście ku ich uczczeniu i uraczeniu bankiet.

Serca, w których pary zakochane miłość swoją we wrota życia wnoszą, są pustyniami, nad którymi ptak żądy sam jeden leci ku jednemu słońcu rozkoszy. Cóż dziwnego, że gdy niezbędną koleją rzeczy ludzkich słońce to przygasa, ptak zapada w ciemność, albo na skrzydłach spragnionych ulatuje ku biesiadam innym, a w bankietowej sali nie pozostaje nic, krom odrobiny krwi wyciekłej z poranionych serc i skrzydeł, krom unoszących się w ciemnościach woni zwietrzałego wina, uwiedłych pomarańcz i rozpylonego pieprzu?

Cóż? Chcąc nie chcąc, muszę znowu rysować te słupy, które na twojej mapie geograficznej oznaczają etap ludzkiego

rozwoju, od dawna już przebyty, a na moim obrazie świata wznoszą się jako wiecznotrwale kolumny, podpierające stropy wszystkich Panteonów i Partenonów, wszystkich wieżyc i skarbów ludzkości.

Dwie dusze, nawzajem za siebie odpowiedzialne i nad sobą czuwające, a w niewzruszonym zjednoczeniu łamiące się z sobą twardym chlebem ziemskiej pracy, z jednego kielicha pijące hyzopy ziemskich bólów, na jednych skrzydłach wlatujące w niebo upojeń rajskich; dwie dusze, które z żądy ideału ukuwają sobie puklerze przeciw złemu i lemieże do orania gruntów pod zasiewy Dobra; dwie dusze, które z pożądań własnych umieją na ołtarzach całopalenia czynić, a w krwi serdecznej, oblewającej ofiarę, jeszcze znajdować sobie czarne perły szczęścia; dwie dusze, zaludnione chórem postaci nieskazitelnych, nieśmiertelnych, które wstępującą w ich koło miłość «jej i jego», skazitelną i śmiertelną, poją światłem wysokich natchnień, miodem ukojeń i eliksirem wiecznego życia, — jeżeli kiedykolwiek widziałeś takie dwu dusz połączenie, widziałeś miłość, odlaną w formę najdrogocenniejszą i najrzadszą. Niestychanie rzadką jest, bo któż trudni się kunsztem, dla powstawania jej koniecznym? Kunszt to jest rozróżniania głosów materii od głosów ducha i prowadzenia wszystkich nici życia od ziemi do nieba.

Czy pamiętasz ten moment wędrówki Alighierego po sferach niebieskich, gdy razem z Beatrycą ujrzał się zamkniętym w perle, która przyjęła ich do łona, jak kropla wody przyjmuje promień słońca, a była gwiazdą, mającą na sobie znaki ciemne. Beatryx, z okiem, utkwionem w wiekiście kręgi, tak ziemskiemu oblubieńcowi niebieskie rzeczy tłómaczyła:

Niebo, co gwiazdy zdobią je tak mnogie,

Głębokiej myśli, która w krąg je toczy,

Przybiera obraz...

A jako dusza na rozliczne członki

Tam w prochu waszym niewiedomie spływa,

Podobnie Dobro swoje rozmnożone

Najwyższa Miłość zlewa na gwiazd krocie.

Ona unosi ogień do księżycy,
 Ona porusza śmiertelników serca,
 Ona ziemię ściska i w całość jednocy,
 Ona, płonąc, tak się iskrzy,
 Że wieczne Piękno rozłącza dokoła,
 Od niej to idzie światła różnaitość.

A gdy na twarzy Alighierego rozlewał się wciąż smutek niedokończonych rozpoznań, Beatryx, z takimi uśmiechy, że, patrząc na nie, «człowiek wśród tortur czułby się szczęśliwym», mówiła jeszcze:

Jeśli blask rzucam w miłości zapale
 Większy, niż widzieć go można na ziemi,
 Taki, że siłę twych oczu przemaga,
 Nie dziw się wcale, bowiem to wynika
 Z doskonałego poznania...

Nie jedna droga wiedzie do poznania. Czasem, poeci, przez najwyższy rzut uczucia, wzbijają się ku empirejskim wysokościami i dostrzegają ten punkt środkowy, z którego na Wszechbytu «leje się światła różnaitość!» Czasem, poeci to właśnie zdobywają poznanie najtrudniejsze, bo sami są głębszymi łóżyskami lejących się z góry światła, najwyższym wyrazem skupienia i natężenia siły uczuciowej. Bo nad ziemią, obok rozświetlającego ziemskie noce księżycy rozumu, goreje ożywiający wszystko, co żyje, słońce uczucia, a któżkolwiek od tego słońca się oddala, tego życie zakreślać musi łuk nocny.

Klucze do wszystkich zagadnień ludzkiego życia tkwią w stosunku żyjących do tej najwyższej Myśli i Miłości, którą Beatryx wskazywała Dantemu z łona perły, będącej gwiazdą. Te złote żyły, które duszę naszą przebiegają: wiara, wiedza, sztuka, ludzkość, ojczyzna, miłość «jej i jego», to drabina z tyłu szczeblami, ile tęsknot ku celom wielkim goreje w pierśiach ludzkich. A każdy z tych szczebli, im mocniejszymi nićmi połączony ze środkowym punktem Wszechbytu, z najwyższą Myślą i Miłością — Bogiem, tem więcej forma jego

jest z wolą Mistrza zgodną, tem mniej materya zostaje na odpowiedź wołaniom ducha głuchą...

Taką staje przedemną miłość «jej i jego», ...lecz wnet pierzcha i znika, na cmentarzach nieziszczonych snów.

A teraz ekloga druga i razem z nią może krótka strofa eposu.

Zaczyna się jak w bajce.

Był żył raz w pobliżu tej puszczy mąż ręki mocnej i wielkiego serca, który doświadczył objawienia, że pod strop zamczyska, runięciem grożący, podstawić ma kolumny i ściany jego, okrywające się białością śmierci, zabarwiać rumianym hematytom życia. Doznawszy objawienia, wieszczącego mu czyny i znoje, naprzód pokornie rzekł: «Dobrze o Panie! rozkaz Twój pełnić będę», a potem spojrzeniem szeroko zatoczył, szukając po widnokręgu marmurów na kolumny, żelaza i purpury na hematyt życia. Spojrzeniem tem spotkał się z ciemną, głęboką, tajemnic pełną Puszczą, skrzydłem orłem o nią uderzył i zawołał: «otwórz się!» Na imię temu mężowi było: Antoni Tyzenhauz. Imię cudzoziemsko brzmiało, lecz ten, kto je nosił, był synem zamczyska rodzonym i dobrym.

Rozpoczął tedy otwieranie skarbnicy. Z sąsiedniej krainy mazowieckiej przywoławszy ludzi wolnych, noszących szlacheckie nazwiska Dobrzyńskich, Młodnickich, Wołodkiewiczów i t. p., oddał zaczarowane klucze odważnym i silnym ich rękami. Wyludnił się podówczas na Mazowszu nie jeden zaścianek, który, według poety: «słynął szeroko z męstwa szlachciców, z piękności szlachcianek», lecz w zamian Puszcza zawrzała życiem ludzkim.

I przedtem już nieraz wrzało tu życie ludzkie. Przy muzyce trąb myśliwskich, Jagiellońskie orszaki kładły trupem tysiące żubrów i łosi, mających żywici rycerskie hufy grunwaldzkich zwycięzców; kiedyindziej, o niebotyczne sklepienia lip i modrzewi, w wiatach tryumfalnych uderzało kochane imię Zygmunta Augusta; a w innym jeszcze, zniknionym na oceanie czasu momencie, mostem nad Lsną zawieszonym, mądry Siedmiogrodzianin przejeżdżał w królewskiej swej chwale

i, jedno z uroczysk purpurą myśliwskich namiotów okrywszy, związał z nim na zawsze imię Batorego. Lecz były to momenta krótkie, po których znowu dno zielonego morza zalegały cisze bezdenne, toczące w sobie tylko szумы Boru-Lady i łoskoty lub szmery zwierzęcych walk, goniw, miłości i gniewów.

Teraz, powstało tu nie takie życie, jakie ze szczytów zamczysk jaśniej hełmami przepychu i sławy, lecz takie, jakie u podstaw ich migoce stała toporów i temi iskrami, które skwarne słońca i blade księżycy rozniecają w kroplach ludzkich znojów. Lud wolny, mężny, silny, wiedzący co czyni, rozmachał topory, ogniem napełnił paszcze smolarni, zębami pił zazgrzytał po ciałach olbrzymów leśnych, a w ścianach hutniczych z materii roztopionych ukreślać począł płomienne węże. I niewiadomo, czy dlatego, że smolarnie i huty wznoszone były w kształcie bud stogowatych i okrągłych, czy, że odgłosy wezbranego życia zrywały z legowisk nocnych żubry posępne i łanie płochliwe, a w przepastnych lasu głębinach echa przez wieki śpiące budziły, lud ten otrzymał nazwę Budników.

Było to już dawno temu, dawno. Na zegarze czasu wskazówki posuwały się odtąd o dwie niemal godziny, które w języku ludzkim noszą nazwę stuleci. Jeszcze wówczas tabuny dzikich koni tętentem kopyt i wesołem rżeniem napełniały polany i łąki; niedźwiedzie, u wierzchołków lip spokojnie rozsiadłe, z pomrukami rozkoszy ograbiały z miodu nieprzeliczone roje pszczelne; rysie nocami zapalały po drzewach iluminacje świecących oczu; nad Lsną, Narewką, Białą, Jełonką, Krynicą, Gwoźną, wszędy, gdziekolwiek woda płynęła, narody bobrów z rześzystym płaczem budowały kunsztowne swe wsie i gródki.

Jeszcze wówczas, krom tych ludzi odważnych i tegich, którzy na wezwanie męża z wielkiem sercem świat gwarny i widny rzucili a w ciszach i cieniach tutejszych osiedli, nie było tu nikogo.

Z pod ich to rąk sosny białowieskie, w postaci masz-

tów o nieporównanej wysokości i sile, wypływały na dalekie morza i szeroko po świecie rozlewały się rzeki miodowe. Z pod ich rąk, po świątyniach i salach tanecznych, snopy światła wytryskiwały z woskowych pochodni, a z wiecznotrwałych desek wznosiły się ściany dworów i świątyń. Ich to ręce owijały dokoła ciał wykwintnych futra niedźwiedzie, bobrowe lub wilcze, pod uśpione członki wojowników rozciągały skóry łosiowe, a stoły biesiadne osypywały deszczami połysków szklanych.

Wiedząc co czynili, żądali dla siebie praw, czynom równych, a że rodem szli od tych, którzy po zaściankach rodzinnych mieszkali wedle poety: «klamki, ćwieki, haki albo ucięte albo noszące szabel znaki», więc działy się tu czasem rzeczy dziwne, posępne i straszne. Gdy lud ten tak wolny, jak żyjące z nim obok tabuny dzikich koni, a tak hartowny, jak żelazo toporów, którymi sosny w złoto przekuwał, murem przeciwko czemukolwiek stanął, to mur ten obalić było tak prawie trudno, jak w palcach przełamać jeden z tych dębów, w którego wydrążonem wnętrzu koń z jeźdźcem swobodnie obrócić się może. Codziennie smoła, a w święto walki krew z pod rąk mu ciekła. Na codzień, jak mazowieckie równiny i jak ta puszcza, cicho zadumany, do walki miał kły, rogi i świecące oczy puszczych żubrów, odyńców i rysiów. Na tych gruntach, które wzrosty rzucają pod obłoki, rósł wysoki i wysmukły, pod woalami cieniów, którymi las przysłaniał mu skwary słoneczne, białął na twarzach, w głębokich nawach dróg leśnych pogłębiał w sobie duszę i scena życia jego niejednokrotnie na tle kulis leśnych napełniała się odgłosami tragedii ponurych, idyli lirycznych, albo eposów niepokonanego męstwa... Aż wszystko ucichło i szumny żywioł, wylewający na rozległe samotnie fale dzikiej, lub bohaterskiej poezyi, popłynął ciasnem, sennem, monotónnie wytkniętem korytem, nad którem już tylko sama jedna wieszczka natury potężnej i wolnej bezprzestannie rozwiesza czarowne swe płótna.

Lecz trwają wspomnienia. Jest w miejscu pewnem oko-

pisko, młodą dębiną porosie, z kopcem wysokim i długim pośrodku.

Tam, wśród cienkich dąbków, różanem światłem zachodu oblany, siwy Dobrzyński opowiada czasem, czyje to ręce wznosiły ten wał obozowy i kto snem wiecznym usypia pod kopcem, na którym błyszczą gwiazdy nieśmiertelników i powiewają z wysokich łądyg liliowe dzwonki. Gdy opowiada, oczy z głębokich zapadlin goreją mu czasem naksztalt czarnych żużli, a gdy zmrok go tam znajdzie i nad okopisko przyplynie odgłos dzwonu, który rozlega się od podziemnego miasta, to wtedy zwiędłe usta starca razem z liśćmi młodych dębów, z przygasającymi gwiazdami nieśmiertelników i chwiejącymi się zwolna kielichami dzwonek, szepcą nad okopiskiem: «a światłość wiekuista niechaj im świeci, Panie, o! Panie!»

Przed kilku dniami, Avis mój zaniósł mię do jednej z najbliższych osad budniczych; na obejściu Dobrzyńskich, czystem, zielonem, bukiet brzoź mającem u wrót, otwierających się na szerokie błonie, półkolem lasu otoczone, siedziałam pod gruszą, która gałęzisty parasol rozpina tak szeroko, że zachodzące słońce nie dosięgało nawet rąbka mojej sukni i tylko u stóp moich rozkładało na murawie sieć ze złotych nici. Nie byłam samą i nie panowała cisza wkoło mnie. Przeciwnie; nad głową miałam wielki gwar ptactwa, a dokoła siebie szczebiot mnóstwa dzieci.

Było ich mnóstwo. Patrzac na nie, myślałam, że gdybyś mógł je widzieć... O, gdybyś widział te kądziele lniane nad czołami, które pocałunki słońca okryły czerstwą śniadością, z pod czół tych świecący rój gwiazdek błękitnych lub piwnych, czerwone wargi rozedrgane śmiechem, gdy tymczasem w drobnych zębach, jak orzeszki u wiewiórek, chrupały karmelki, a rączyny, jak gałązki przez wiatr miotane, wyciągały się ku błyszczącym krzyżkom i jaskrawym literom elementarzy; gdybyś widział, jak potem, między rozwartemi rąbkami koszulin, krzyżyki srebrną rosą rozsypały się po piersiach dziecięcych i jak ich połyski ścięły się o lepsze

z błyskami gwiazdek błękitnych i piwnych — gdybyś to wszystko mógł widzieć, pewna jestem, o! pewna, że oczy twe z rozkoszą utonęłyby, tak, jak tonęły moje, w tej mlecznej drodze niewinności i radosnego wdzięku!

Wtem młoda Dobrzyńska, mazurka wysmukła i zgrabna, z ciężkim warkoczem za głową, wyszła za wrota obejścia i widziałam, jak chodziła wzdłuż grzędy astrów, które przed oknami świetlicy rozkwitły teraz w pełnej swej chwale, różnobarwne, wysokie, ogromne.

Przeglądała się kwiatom, wybierała, wahająca się i żadnego nie dość zadowolona, aż wreszcie zerwała jeden, szybko przeszła podwórko i, śnieżny kwiat na długiej łodydze mnie podając, z uśmiechem rzekła: «Najpiękniejsza!»

Powieki przytem spuściła, rzęsy rzuciły cień na drobne rysy, po których obłokiem różowym przepłynął rumieniec. Przypięłam astrę do stanika i dziwnie lekko poczęło mi bić serce pod tem podziękowaniem matki za radość jej dzieci. Była to w śnieżnym kwiecie zaklęta kropla słodczy — o, jakże potrzebna tej sprężynie ludzkiego życia i tej ranie ludzkiej piersi, którą jest serce człowieka!

Potem wynieśli mi pod gruszę mleko pieniste, chleb woniejący skibą ziemi i klonowym liściem, ów także miód białowieski, w którym więzną wszystkie aromaty lasu, i którego słodkość przenikliwa zostawia na podniebieniu goryczkę, wziętą u mięt i ajerów.

A potem, na obejściu Dobrzyńskich zapanowała cisza; wszyscy rozproszyli się, rozbiegli; słońce kędyś za błoniem spłynęło pod widnokrąg, a ciepły wieczór sypać zaczął na las i wioskę szare mroki, wśród których szyby domostw ozłociły się blaskami roznieconych ognisk. Młoda Dobrzyńska, która dała mi kwiat, nuciła u ogniska i nuta smętnej piosnki dolatywała pod parasol gruszy, w którego ażurach pobłyskiwać zaczęły drobne gwiazdy.

Stary Dobrzyński siedział obok mnie w cieniu tak głębokim, że przerzywał go tylko linią czarną i cienką. Pomimo, że czoło ma nawskróś zorane głębokimi pręgami i gdy

przyjeżdżam, prawnuka woła, aby Avisa mego w wygodny kąt obejścia uprowadził, wysoki jest, ma plecy proste i gładkie, a mówi chętnie i wiele.

— Bo są na świecie ludzie nader silni — mówił — od wszelakiego złego silniejsi, którzy, żeby nie wiedzieć jaka przeszkoda przed nimi stanęła, każdą jak piórko z drogi swej zmiotą. Było raz tak. Legł pośród drogi, którą ludzie chodzili, kamień wielkości tak okrutnej, że ani przejść, ani przejechać nikomu nie dawał. Jednym się koła u wozów o niego potrzaskały, insi, zaczepiwszy oń, śmiertelnych upadków doświadczyli, insi go daleko wokół objeżdżać byli zmuszeni. Skąd się głaz ten wziął? nie wiadomo; ziemia go pewnie sama na utrapienie ludzkie wydała, bo każdy wie, że, karmicielką będąc, czasem i trapiicielką srogą dla człowieka być umie. Dość, że ilu tylko ludzi na całą Puszczę i jej okoliczność było, wszyscy od głazu okrutnego frasunku i biedy, a czasem nawet nieszczęścia cierpieli. Aż nakoniec przebrała się ludzka cierpliwość i razu jednego kto żyw do kupy przybiegł i hejże! wszyscy razem przeciwko spólnemu nieprzyjacielowi. Jako gałęzie przestępu naokoło pnia dębowego, tak ręce co najsilniejsze oplótły się naokoło głazu i hej! ho! w górę go! Silniej! Dłużej! Jeszcze raz! jeszcze raz! Nic. A niechże go jasne pioruny! Jak leżał, tak leży, i z pośród mchu brunatnego, co go obrósł, białe zęby wyszczerza z posmiewiskiem.

Stanęli tedy z poopuszczanemi rękoma, w zasmuceniu wielkiem, aż widzą, że ktośś na koniu drogą nadjeżdża, a ponieważ droga leśna była, tedy co wybłyśnie z pośród drzew promień słoneczny, to mu nad głowę w hełmie wysokim niby gwiazdę złotą, niby brylant tęczą świecący zapali. Pan nie pan; rycerz nie rycerz: chyba rycerz, bo hełm ma na głowie i odzież gdzieniegdzie od stali błyszcząca. Oblicze zaś jego jaśniało taką dobrocią i pięknnością, że wszyscy od razu wielką śmiałość i ufność ku niemu poculi, a gdy przybliżył się i, konia wstrzymawszy, rozpytywać się jął, czego by tu zgromadzili się w liczbie tak wielkiej i z tak zasmuconemi

twarzami, oni zaraz opowiedzieli mu swoją biedę. Tak i tak, jasnie wielmożny panie, opowiadają, tak i tak; aż tu patrzą, że na jasne oblicze rycerza litość występuje i że z konia zsiadać on zamierza. «Ja wam — mówi — kamień ten z drogi odrzucę». Oni na to z podziwieniem: «Gdzieżby jasnie wielmożny pan dla nas taką fatygę ponosił!» A on im na to z cudnym uśmiechem: «W tym celu po świecie jeżdżę, aby niewinnych i ukrzywdzonych ratować». Oni znów na to z wątpliwością: «Nie wystarczy tu żadna siła, choćby największa!» A on im znów z oczyma błyszczącemi, jako gwiazdy: «Moja wystarczy, bo ją z żalu nad wami czerpię!» Głaz okrutny rękoma opasał, zatrzęsł nim, aż ziemia stęknęła, i odrzucił go daleko w las, kędy zagrzmiało w powietrzu i z trzaskiem złamało się kilka młodych świerków. Droga leżała gładka i równa, a po twarzach ludzkich, wprzód zasmuconych, skrzydło anielskie wypisywało litery radości. Rycerz zaś na konia znowu siadł i, pięknie ukłoniwszy się, pojechał dalej niewinnych i ukrzywdzonych ratować.

Tak opowiadał stary Dobrzyński; taka wśród milczy i gwarów tej puszczy krąży legenda o mężu nad wszelkie zło silniejszym. Czy słyszysz załatujące od tej gminnej powieści echo stapań Rosinanty, na której jeździł po świecie szlachetny rycerz z Lamancy, echo wspaniałomyślnych, rycerskich uczuć i dziejów? Sam król Artur chętnie, jak przypuszczam, posadziłby u Okrągłego Stołu towarzysza tego, który, ze złotą gwiazdą na hełmie i cudnym uśmiechem na ustach zabłąkał się na białowieskie drogi.

Ściemniło się. Gwiazdy nie rozpraszały ciemności, w której rozlewała się cichość taka, że możnaby dosłyszeć mały wystrzał balsaminy dzikiej, gdy, potracona skrzydłem nocnego motyla, ziarna swe na trawy rosne wyrzuca.

Kiedy, myśląc o odjeździe, ze słowem pożegnania stanęłam w progu świetlicy, oskoczyły mię dzieci i młoda Dobrzyńska głośno uderzyła w dłoń.

— Jechać chcecie! Jakże to? tak samej jednej... nocą! Poczęła zapraszać i namawiać.

— Ostańcie, bądźcie łaskawi, przenocujcie! Jutro raniusko, jeżeli wam pilno, pojedziecie, a obaczycie, jak tutaj z rana światłości różne cudnie po drzewach grają i jak sarenki biegną przez błonie, aby napoić się w Jelonce...

Pomyślałam, że ciężko istotnie bywa nieraz tym, którzy sami jedni idą nocą, nocą... i wdzięczna byłam tej chłopce, że gdy nikt się nie troszczy, ona się zatroszczyła...

Nazajutrz, kiedy bardzo wcześnie opuszczałam budniczą osadę, światła jutrzni cudnie grały na drzewach, stado sarn bieгло przez zielone błonie i dwa jelenie głowy z potężnymi karkami wychylały z lasu, nad którego półkołem rozchwiewał się po błękitach gasnący rumieniec Auszry.

Nad drzewami wsi, to wyżej, to niżej, rysowały się na różowym niebie ciemne sylwetki stojących po gniazdach bocianów.

X.

Krasowce.

Gdyby słowa wczorajsze już w świat nie uleciały, może-bym dziś niektóre z nich pozostawiła tam, skąd wyszły, to jest, w zakrytej dla ocz wszystkich, oprócz oczu Boga, głębi mojej duszy. Ale już uleciały i zresztą — nie żałuję tego.

Nie chcę przedstawiać się tobie w postaci monolitu, skoro z rozłamań istoty mojej dobywają się niekiedy płomyki takie, jakie czasem błędzą wśród nocy nad gruntami, mającymi w świetle dziennem gładkość i spokój zielonej równiny. Że jeden z tych płomyków, na kształt zranionego ptaka, przyleci do ciebie, aby musnąć twe zamysłone czoło i u serca twojego przez chwilę spocząć, nie trwoży mię to ani martwi. Nie dlatego przecież dusze nasze z oddalonych punktów ziemi prowadzą tę rozmowę, aby dziecinną grą w chowanego zapełniać czas rekreacyjny.

Inna rzecz z tem, że rozłamania te istnieją we mnie; objaw to jest roboty podziemnej, dla której trzeba tłumika.

Posiadam go w swoim rynsztunku: jest nim ściśle kratkowanie dni.

Nie domyślasz się, co to znaczy? Oto, bierze się dzień, jak kartę czystego papieru, kratkuje się go w taki sposób, aby najmniejsza linijka czasu nie pozostała prózną i w każdej kratce zapisuje się imię jakiejś potrzeby, obowiązku lub zamiłowania. Potem, trzeba te kratki odpowiedniami zajęciami wypełniać, jedną po drugiej, bez ociągania się, ani pływania po jeziorach zamyśleń, czy marzeń. Pauzy nie dozwolone. Żadnych próśb od żółwia — lenistwa, ani od latawicy — wyobraźni nie przyjmować! Siłom fizycznym nawet rozkazywać: musicie!

Nawet myśli, któraby chciała wymknąć się z za kretek i na wolnych przestrzeniach pobujać, mówić: «Przepraszam cię! innym razem i owszem, ale dziś nie wolno!» I w ten sposób od jednej kratki do drugiej przechodząc, odtworzyć na swój użytek regułę benedyktyńską, aby u końca dnia móżdż ujrzeć takiego anioła, jakie Benedyktynki na marginesach swych ksiąg przepysznych malowali srebrem czystości i lazurem ukojenia.

Ponieważ zaś, mówiąc po prostu, przepis powyższy stosuję do zażywania w pewnych momentach wzmocnionej dozy pracy, więc za jednym zachodem powiem ci, kuzynie, że w stosunku do tej domniemanej wielkiej pani zajmuję — jak zresztą w bardzo wielu wypadkach — stanowisko puszczone, czyli przeciwne wyobrażeniom powszechnym.

Nie poczytuję pracy za wielką panią, ale tylko za służę wielkich pań. Jest Olimp, na którym panują królowe i boginie, ale praca posiada na nim taki tylko przywilej, jaki u dworów francuskich pozwalał duchess'om, zasiadać na taburetach. Królowe i boginie są celem, ona jest środkiem, tyle wartym, ile warta ręka, która, posługując się nią, zasa-
dza ziemię trzciną cukrową, albo piołunem, buduje wspaniałe gmachy lub robi dziury w cudzych płotach. Owocami pracy są przecież armaty udoskonalone, pracują linoskoki i toreadorzy, a w pocie czoła nieraz pracować musi spekulant z grubą

skórą na sumieniu i sercu. Ze stanowiska więc puszczonego, które ślepem jest na blaski bijące od cielców złotych i od wulkanów błotnych, nie podobna bezwzględnie czcić pracy, lecz istnieje z nią za to ścisła i nieustanna zażyłość, coś w rodzaju stosunku stworzenia ułomnego do przyjaciółki zdrowej i silnej.

Jako przyjaciółka dobrej woli, samotnego serca i ognistej wyobraźni, praca spełnia zadanie ustalania, kojenia i regulowania. Twarda z pozoru dłoń jej miewa dla rozplakanych pieścizoty macierzyńskie, a łono, z pozoru oschłe, pełnem jest mleka i wina, które osładzają napój życia i regulują obieg gorących warów po mózgu i piersi. Wszystkie te zadania praca spełniała względem mnie przez cały dzień dzisiejszy, aż w toń gładką ułożyły się myśli moje i strumień ich, wczoraj nieco wzburzony, znowu płynie spokojnie i ufnie.

Mylisz się, kuzynie, utrzymując, że świat mój, czyli — nazwijmy go po imieniu — świat ideałów etycznych, więcej posiada punktów zbliżenia ze światem płochego i samolubnego użycia... Ale jakżeby ten drugi świat nazwać? Musisz naturalnie wiedzieć o tych ptakach szczególnych, których ojczyzną bywają gorące strefy, a jedynym sposobem odżywiania się spijanie słodkich soków z podzwrotnikowych kwiatów. Ani ziarn, ani muszek nie chcą; tylko wonne nektary kwiatowe piją i dlatego uczeni nazwali je nektarnikami. Otóż utrzymujesz, że świat ideałów etycznych więcej podobnym jest do świata nektarników, niż do świata umysłowych dociekań, którego jesteś mieszkańcem. Przebac, gdy sąd ten nazwę powierzchniowym. Bo z pozoru zdawać się może istotnie, że mimo widocznych różnic czciciele Wielkiego Dobra i nektarnicy zachowują jeszcze wiele wspólności. Bo czyliż nie napełniają w dniu świąteczne naw kościelnych, nie urządzają ku ulżeniu nędzy ludzkiej igrzysk różnorodnych, nie lubują się, z wielką nawet wyłączością, we wrażeniach estetycznych, pełniących, jak wiadomo, względem etyki zadanie nader ważne?

Ale są to pozory; jest to cienka skorupa, obejmująca dusze ludzkie, i którą kombinacye zewnętrznych sił i zdarzeń

wyrzeźbiają w pagórki i doliny, o liniach do siebie podobnych, gdy jednocześnie w głębiach niewidzialnych istnieją wcale odmienne jądra.

Bo dusza ludzka, tak jak kula ziemską, posiada litosferę, na sposoby rozmaite wyrzeźbianą przez przygodne wiatry i wody, a pod tą zwierzchnią skorupą, jądro z naturą niezbadaną, i to skryte jądro właśnie, nie zaś rzeźba powierzchni, stanowi o wartości ludzi i o wzajemnych pomiędzy nimi podobieństwach. W niem mieszka słowo zagadki: dlaczego faryzeusz, rozdający obfite jałmużny, może być nikczemnikiem, a jawnogrzesznik, płaczący nad grzechami swymi, zbawienia blizkim.

W tych tylko najgłębszych pokładach dusz szukać wypada prawdziwej ich miary i tajnych pra-znamion, które one pomiędzy sobą upodobniają się, albo różnią.

Otóż, pra-znamionami jąder dusz nektarnikowych są: małość, lekkość, krótkowzroczność i smak zwrócony w wyłącznym kierunku słodziutkich soków kwiatowych. Mogą być one, te duszyczki, miłe w dotknięciu, pozbawione jadu, pełne gracyi w słowach i płytkich uczuciach, a nawet mogą zdarzenia życiowe wydobywać z nich wcale ładne czułości i postęпки; lecz będzie to zawsze przypadkową rzeźbą wiatru i wody, a pod sformowanymi przez nie pagórkami pozostanie ta sama duszyczka, która gdy mówi: ideał! widzi w przestrzeni krzaczek różami osypany, a gdy dla trosk i wysilen swych cel rysuje, to na mialkim piasku swego umysłu i serca kreśli wyraz: *Ja*.

Innemi wcale są pra-znamiona mieszkańców dwu tamtych światów. Jakkolwiekby się różnili w wyborze gwiazd i w wyborze szlaków, którymi do nich lecą, rozpoznasz je zawsze po tem, że lecą i że sami spalają się w swych skrzydłach płomiennych, na sposoby różne, lecz zawsze na ołtarzach ideałów. Z barysfery ich duszy dobywa się nieustanny krzyk: prędkiej! wyżej! Więc wyteżają siły, aby coraz więcej światła zdzierać z korony bądź Prawdy, bądź Dobra i — nigdy nie znają spokoju.

Rozpoznasz te dusze po tem, że nigdy nie znają spokoju, bo jakkolwiek wielkie nagromadziłyby skarby, zdaje się im zawsze, że plon ich zbyt mały, i czegokolwiekby dokonały, zdaje się im zawsze, że jeszcze nie dokonały niczego; a nie dziwne to wcale, gdyż wielkość swoich zdobyczy przemierzają do wielkości nie swojej, nie ludzkiej, nie ziemskiej, ale tych parabol nieobjętych i nieścigłych, które na niebie ich zakreślają — gwiazdy ideałów. Rozpoznasz te dusze po tem, że w samym ich jądrze słowo: *ja*, zasłonięte jest od brzegu do brzegu przez słowo: *ideał*, i po tem jeszcze, że bardzo rzadko szumiące ich skrzydła ucisza słodycz zapachów kwiatowych, bo kiedy nawet zwijają je na kwiatach, to piją z nich łacniej gorycz, niżli słodycz. Rozpoznasz je po tem jeszcze, że mają zawsze serca, że szczęście w tych sercach bywa gościem rzadkim, i że te serca, jak owe rododendrony himalajskie, których szkarłatne kielichy tylko w cieniach najgłębszych rozwijać się mogą, płoną szkarłatem tęsknoty, samotne i niepoznane. Samotnemi bywać muszą, bo gdy serduszka nektarników latają po kwiatach, nie oglądając się na nic, co nie jest kwiatu słodyczą a ich rozkoszą, mawiają twojemi słowy: «mnie tak jak tłumom czuć nie wolno!» Tak jest; im tak jak tłumom czuć i żyć nie wolno. Dlaczego? Oni to czują, tak jak kapłani od ołtarzy odchodzący czuć muszą, że ręce, które dotykały świętości najwyższych, więcej niż każde inne pozostać winny — czystemi.

Czują odpowiedzialność, i okrywa im ona życie pieczęcią, na której wyryty archanioł z gorejącym mieczem stróży u wrót ich pożądań.

Są, kuzynie, dwa gatunki natur ludzkich: chodzący i skrzydlaty. Tych, którzy umieją tylko chodzić, trzeba ciągle potrącać skrzydłem, aby nie zaczęli pełzać. Więc i po tem jeszcze rozpoznasz duchy do siebie podobne, że to czynią, oddając przez to ważną usługę ludzkości. Bo cóżby się stało, gdyby ci, którzy w jądrach duszy noszą ideał, z powierzchni ziemi zniknęli? Byłaby to niezawodnie klęska publiczna taka, jakiej świat jeszcze nie widział, kula takiego kalibru, że w po-

równaniu z nią wszystkie plagi egipskie, w kłębek zwinięte, okazałyby się piłeczką, którą igrają dzieci.

Więc i po tem jeszcze rozpoznasz braterstwo dusz skrzydlatych, że ku jakimkolwiek leciałyby gwiazdom, nie tylko same ku nim lecą, lecz bronią od zerwania się tę nie jeszcze wątłą, która ludzkość łączy z gwiazdami.

Tu zapytać cię muszę: dlaczego mniemasz, że pogląd mój na ludzkość jest naiwnym i bałwochwalczym? Mówiłam ci już kiedyś, że my tutaj od dawna przestaliśmy być bałwochwalcami i że dzikości naszej dosłownie brać nie należy. Obcem mi jest dziecinne pojęcie, jakoby wszechświat ze wszystkim, co jest na nim, istniał tylko na usługi człowieka. W dzieciństwie jeszcze naczytawszy się w dzień Flamariona, nocami śniłam o istotach zaludniających powierzchnię wielkiego Jowisza. Znacznie później poznałam Heinego, i zapamiętałam rozmowę poety z kupczykiem, spotkanym w podróży po Harcu, który utrzymywał, że drzewa mają barwę zieloną dlatego, że barwa zielona sprzyja zdrowiu ludzkich oczu, na co poeta odpowiedział, że Bóg stworzył osła po to, aby człowiek miał w wypadkach pewnych punkt porównania, a człowieka po to — aby nie był osłem.

Nie uderzając czołem przed ludzkością tak bałwochwalczo, abym we Wszechświecie widziała niewolnika, czołem przed nią uderzającego, nie tonę też, niestety, w naiwnem dla niej uwielbieniu. Skąd wzięłeś mniemanie, że świat odbija się błękitno w błękitnym kielichu mego serca? O! jeżeli istotnie dostrzegam smugi błękitu, przeciągające po zmrokach świata, i jeżeli w kryształach mego kielicha krzyżują się one jeszcze ze smugami cieniów, to nie od ludzkości spływają, lecz pomimo niej zniknąć nie mogą, bo najwyższa Siła Twórcza zasnęła nimi jądro mojej duszy.

Pod względem lat jestem rówieśnicą twoją, kuzynie, ale zważ, że są miejsca i czasy, wśród których żyjącym ludziom, jak żołnierzom na wojnach, wypada liczyć lata podwójnie.

W upale nieszczęść rodzinnych i publicznych dojrzałam

bardzo wcześniej, lecz dojrzałość ta musiała posiadać zrazu naiwne wiary i entuzjazmy swej przedwczesności. Wierzyłam, że gdy świątyni grozi runięcie, wyznawcy wszyscy z powagą kapłanów, z zapalem rycerzy, z pogardą dla bagatelek życia, wspólnie, spójnie, ramię przy ramieniu kuć będą żelastwa na wiązanie jej dachu, szukać rumianych hematytów życia dla zabarwienia poblądłych marmurów fasady. Rołam ligi wzajemnych pomocy, przymierza sił mnóstwa, któreby, jak strzały w kołczanie, tkwiły w idei jednej i z cięciw miłości wypuszczane, jak strzały leciały do jednego celu. Z tą wiarą, z temi rojeniami, przybyłam pomiędzy ludzi światłych, świętych, sławnych, tak pewna jak tego, że żyłam, że są to kapłani, rycerze, wodzowie. Byli to nektarnicy. Wdzięcznie grali na lirach, w ustach lub pod piórami mieli wymowę kwietną i miodną, część życia poświęcali nauce, sztuce, filantropii; niemniej ideałem, dostrzeganym najjaśniej i nęcącym najprzemożniej, był dla nich krzaczek różany. Więc zanuciłam z Heinem:

«Schwarze Röcke, seidne Strümpfe,
Weisse, höfliche Manchetten,
Sanfte Reden, Embrassieren,
Ach, wenn sie nur Herzen hätten!»

I z całego serca zaśpiewawszy:

«Auf die Berge will ich steigen!»

uciekałam do Krasowiec.

Tu, gdzie:

«Die dunklen Tannen ragen,
Bäche rauschen, Vögel singen»,

miałam towarzysza pracy, przedtem współwyznawcę biednego brata mego, w którego siłę wyznawniczą i przyjaźń bezgraniczną wierzyłam, jak w to, że żyłam. Gdy mnóstwo rówieśników jego powiew czasu odnosił za pomyślnością bytu w kraje dalekie, on, z głową otwartą i z wolą tęgą, obok

mnie utkwiał w glebie ojczystej, i sam jeden urzeczywistniał moje dzięki, czy obłąkane rojenia o ligach, przymierzach... Kiedy raz ze łzą wdzięczności mówiłam mu o tem, odpowiedział mi ze łzą rozrzewnienia: «na zawsze!» Nie wiele później ożenił się z dziewczyną prózną i chciwą, która, jak wszystkie natury niższe, posiadała arsenał sposobików do podbijania i obniżania natur wyższych, i przez nią, dla niej pogonił w dalekie kraje, za większą pomyślnością i świetnością bytu. Wówczas pojęłam, jak marnym liczmanem bywa na ustach ludzkich wyraz: na zawsze! i z jak lichych nieraz materyałów powstają te ogniska, w których metale ludzkie, z pozoru najhartowniejsze, przemieniają się na lotne tlenki.

Cóż zresztą znaczą doświadczenia osobiste wobec ogólnego widoku ludzkości?

Gdyby wszystkie jej kalectwa, niedostatki i szaty powcielały się w kształty osobnikowe, nie zmieściłaby natłoku tego dolina Józefatowa, najpewniej! Jeżeli życie posiada powierzchnię tak haczystą, że choć trochę delikatne członki rozdzierać się na niej muszą w zakrwawione szmaty, jeżeli naróża jego są tak ostre, że najmocniejsze serca, uderzając o nie, wydają jęki szkieł pękających, jeżeli jest ono wielką wypłóćnią dni z nadziei, nocy ze snu, serc z radości — to któż je czyni takim, jeżeli nie ludzkość?

Zwiedzałam ja pola jej wdzięczności i, na dużym łanie znalazłszy parę nikłych roślinek, dowiedziałam się, że był to wyjątkowo obfity urodzaj. Chodziłam po błoniach jej przyjaźni i dziwiłam się wielkiej ilości posłonków, obracających twarze za najświetniejszym blaskiem.

Obeszłam niwę jej dobroci i przechadzka ta wydała mi się krótką; lecz gdy okrążyłam pole jej samolubstwa, opadłam z sił, a niwy, na której wzrasta jej głupota, nie powazyłam się okrążyć...

Oprócz tego, nie jest prawdziwem to, co mówisz, że pojęcia i czyny etyczne w rozmaitych swych odmianach i objawach są wysoko przez ludzkość cenionymi. W teorii

tak jest; ale w praktyce? o, nieba! Alboż czciciel i sługa ideału może być kiedy różnym krzaczkiem?

Porównańby go raczej można do wymalowanej na szkle róży mistycznej, przez której barwy gorące i smętne światło dzienne przeciska się do mrocznych naw katedry. Otóż, różom mistycznym i — katedrom mrocznym nieszczególnie powodzi się w krainie upodobań ludzkich, a chociaż bywają często nawiedzane i podziwiane, każdemu pilno od nich na rynek, na giełdę, na pola popisów, do byle jakich ogrodów.

Rzecz w tem, że światło dzienne, przenikając różę mistyczną, nabiera od niej kolorytu gorącego i smętnego, a ogromna większość ludzi najlepiej znosi temperaturę letnią i ze wszystkiego, co na ziemi i niebie istnieje, najwięcej pragnie radości.

W książce jakiejś znajduje się taka wskazówka geograficzna: «Kto do serc ludzkich rzeką Cnotą płynie, nie dopłyne, a najpewniejsza do nich droga prowadzi na gospodę Wesołość i wielkie miasto Pospolitość». I jest to wskazówka prawdziwa. Dobrze też rzecz tę poznał myśliciel, mówiący o nieufności obudzanej przez tych, którzy przybywają z wielkich rozłogów myśli czy uczuć. «Kiedy wśród nocy, dużo przed wschodem słońca, ludzie leżący w pościelach słyszą za oknami samotne stapania, wnet zapytują siebie: dokąd zmierzają złodziej?» Bo istotnie, czy nie po to samotnicy ci przybywają, aby u biesiadujących odkraść rzecz niezbędną dla ich spokoju potrzebną, to jest: rozgrzeszenie?

Istnieje gatunek roślin jadowitych, których trucizna, w pewnej mierze użyta, daje znać o sobie wesołym obłędem, i był czas, że ludzie szeroko używali tej trucizny, zaszczycając rośliny ją wydające nazwą «consolantes». Bodaj, że po wsze czasy, ażeby najstalszą i najpowszechniejszą tkliwość u ludzi obudzać, trzeba być trującą wprawdzie, lecz wesołe obłądy rozniecającą, psianką. Chcąc zaś tę rzecz o ludzkości już zakończyć, raz jeszcze pożyczam słów jednego z myślicieli: «Odbyła długą drogę od robaka do człowieka, lecz jest w niej jeszcze wiele żywiołu robaczego».

Widzę, kuzynie, na twarzy twej uśmiech ironiczny! Z tryumfem myślisz:

«Albożem nie mówił, że to marna pleśń ziemi? Możnaż ją kochać? Wartoż jej służyć?»

Dziwne pytanie: możnaż kochać? Czy można nie kochać? Czy może nie kochać ten, kto miłość ma w sobie, komu ją w samo jądro duszy, jak ziarno orzecha w łupinę, wprawiła najwyższa dłoń Twórcza?

Musiałeś widywać matki, które bez granic kochają dzieci swe słabowite i szpetne, nie pomimo to, lecz właśnie dlatego, że są takimi, więc bardziej, konieczniej potrzebują tkliwości ich i starań, niż gdyby przyniosły z sobą na świat siłę i piękność. Daremnie dziwiłbyś się: możnaż kochać stworzenie tak niedoskonałe i tyle zmartwień sprawijające?

Matka taka odpowie... że kochać musi, bo ta miłość w niej jest i wiąże ją z tem stworzeniem nie tylko rozkoszą kochania, lecz także rozrzewnieniem litości i pragnieniem zmniejszenia przywar jego i jego nieszczęścia.

Czy myślałeś kiedy o tem, że jakimikolwiek byłyby dzielące ludzi różnice zajęć, dostojęństw, cnót, rozumów, wszyscy skuci są jednym łańcuchem żelaznego musu cierpienia, błędzenia i umierania? Cierpienie, błąd, śmierć, to trzy ogniwa, które wpijają się we wszystkich, gdy miłość tylko niektórych usiłuje umniejszyć ich ciężkość i twardość.

Czy wiesz cokolwiek o przebaczeniu?

Niektórzy nazywają je słabością; lecz to jest omyłka, gdyż tylko silni przebaczać umieją. Starożytni zemstę poczytywali za rozkosz bogów; lecz przyszła na świat moc ogromna i dobroczynna, która dziewiętnaście już stuleci prowadząc ludzkość od robaka do człowieka otworzyła we mnie źródło radości zupełnie przeciwne.

Czuję i wiem, że ktokolwiek nigdy dłoni kojącej nie składał na rozpalonem od bólu czole wroga, kto ruchem miłosiernym nie zatrzymał nad otchłanią stopy, która go w otchłań wtrącić próbowała, kto nigdy z czołem w prochu, a z sercem

w niebie nie mówił do Ojca niebieskiego: «Odpuść mi, jako i ja odpuszczam!» — ten nigdy nie zaznał radości boskiej.

A czy znasz ciężkie cielsko siły fizycznej, która nogą w żelaznej podkowie przytłacza pierś obalonej słabości i gruby cień rozpościera pomiędzy nią a słońcem? Ja je znam i powiem ci, że gdybym była najlżejszym ziarnkiem piasku lub najmniejszym listkiem z drzewa opadłym, jeszczeby mnie przeciw temu cielsku i tej żelaznej podkowie rzucił dwuskrzydły wicher gniewu i współczucia.

Nie zapytam cię: czy znasz dumę? ale powiem, że tak, jak ty, choć na swój sposób, jestem dumną. Mam ambicje górne i trudne. Gdy ludzkość odbywa przeobrażenie swe z robaka w człowieka, chcę być w jej żyłach choć jednym obiegiem krwi, który przeobrażenie to przyspieszy. Gdy wielkimi haustami połyka ona truciznę swych rozweselających psianek, chcę w krew jej wstąpić choć jedną kroplą odtrutki. Nie chcę być brudno centkowanym lulkiem, lecz białą brzozą, której sok orzeźwiający pokrzepia siły oraczy. Chcę iść po drabinie Jakóbowej choćby nie w postaci Anioła, lecz tylko mrówki, ciągnącej ku górze drobne żdźbła do budowy mostu pomiędzy ziemią a niebem.

Chcę, mówiąc do Boga: «Przyjdź Królestwo Twoje!» czuć, że sama jestem jedną z prządek, wysnuwających nić złotą, na której to królestwo Wielkiego Dobra zwolna, zwolna, opuszcza się ku ziemi.

Takie to ambicje i dумы nie dają mi spokoju, bo nigdy zadowolić ich nie mogę, tak jak tobie nie daje spokoju ta nieskończoność zjawisk, która badań twych jest przedmiotem, bo nigdy oko twe do jej ostatecznego kresu przedrzeć się nie może.

Ale rzecz prosta, że ta дума moja byłaby nędzą wariatów, którym się zdaje, że są królami, gdybym tak jak ty poczytywała ludzkość za «pleśń ziemi» za «koordynację cząstek», wywołaną z chaosu przez ślepy przypadek i którą ta sama siła, nie wiedzieć skąd powstała, nie wiedzieć do czego zmierzająca, po przelotnym istnieniu straci znowu bez śladu,

w chaos bez ładu ni sensu. Lecz dla mnie z oceanu myśli wynurzył się obraz wcale inny. Ja widzę nieprzejrany łańcuch wszechżycia, jednym końcem zatopiony w otchłaniach materii, a drugim zarzucony na najwyższe szczyty ducha. Wszystko, co żyje, co posiada w sobie choćby zarodczą ledwie iskrę pierwiastku duchowego, łamie się z twardem objęciem materii i, wydzierając z pod jej władania, nabywa coraz pełniejszego uwolnienia, coraz lepszej przeżywalności ku górze.

Ludzkość jest w tym łańcuchu ogniwem, a dlaczego ogniwo to jest jednocześnie tak wielkim i tak małym, tak wspaniałym i tak lichym — nie wiem i nie dochodzę tego, bo to poznanie leży w państwie tajemnic bożych, zamkniętych przed okiem mojem na klucz Niepoznawalności.

Lecz wiem i wierzę, że jestem atomem w ogniwie łańcucha wspinającego się ku Prawdzie prawd, ku Dobru dóbr, ku Pogodzie pogód, ku Pięknu nad pięknami i że, pracując nad mocą i blaskiem tego ogniwa, pracuję na rzecz całego łańcucha.

Istniejemy dla czegoś, jest jakaś potrzeba, dla której jesteśmy, tak ogromna, że bez upokorzenia możemy, jak ziarna piasku przed słońcem, ślać się przed nią po ziemi i bez próżnej pychy, jak tytany prostować się w dumie, że jej służymy.

Odbywając drogę od robaka do człowieka, służymy jakiejś ogromnej przyczynie, której oblicze ujrzemy wtedy zapewne, gdy gobelin nasz będzie już wyszyty i przed robotnikami, którzy go ze złej strony wyszywali, rozwinie się niepojęty dla ziemi obraz ładu bożego, dzieła tej Przyczyny wszystkich przyczyn i tej Prawdy wszystkich prawd, którą jest Bóg...

Oto widzisz! powiedziałam ci wiele więcej, niż mówię komukolwiek na świecie.

I wiesz teraz, co wspiera moją wielką słabość i co jaśniej w cieniach mego niezgłębionego smutku.

XI.

Interlaken.

Harfa twoja śpiewna a pieśni jej pełne blasków natury i gorących oddechów twojej duszy. Dziękuję, że uznajesz mnie za godnego zaufania swego, żeś powiedziała mi tak wiele, żeś doznał niezwykłych wzruszeń, pośród których przecież było uczucie zawodu.

Wydaje się to mało prawdopodobnem, aby ktoś, tak ze wszelkich ukochań i wszelkich nadziei wyzuty, jak ja, doznawać mógł jakichkolwiek zawodów. A jednak tak się stało. Chociaż bowiem powiedziałaś sama, że jesteśmy «na jednym globie dwa różne wcale duchy», a ja wiedziałem również, żeśmy antypodami na dwu biegunach bytu, to przecież miałem nadzieję, że jeżeli nie zdołam cię przekonać całkowicie, to przynajmniej dopomogę ci uświadomić sobie jądro niektórych prawd. I, jak to już leży w naturze ludzkiej, cieszyłem się naprzód z odkrycia w owym świecie, co żyje — nie, jak blade Sfinksy, myślą o życiu — ale życiem samem istoty, zdolnej wziąć udział w moich poglądach i moich dążeniach, zdolnej oceniać wartość przejętych z fali zjawisk wrażeń i wyobrażeń.

Widzę teraz, że cieszyłem się przedwcześnie. Ze słów twych wynika jasno bezowocność tej szermierki dwu żywiołów, nie wykazujących najmniejszego powinowactwa. Tok rozumowań twoich, gdzie rolę poszczególnych pojęć, sądów i wniosków przyjęły szybsze lub wolniejsze uderzenia serca, nie może się zetknąć z rzeką moich myśli, do innych płynącą oceanów.

Twoje rojenia zaświatowe i ekstazy ofiarnicze, twoje miecze i dźwięnie, kute ze snów wspaniałych, lecz ułudnych, dobre są od odpędzania smoków straszących dzieci społeczne, lecz łamią się bezsilne o wielkość opokową panteonu wiedzy.

Zapewne, że daleko nam jeszcze do szczytu, do zaskle-

pienia kopuły panteonu i zamknięcia jej różycą ostatecznego poznania, w której, jak w dyamentowym ognisku, zestrzela się i skupią wszystkie poznania i wiedze... Ale od wieków gromadziła czynna armia gorliwych pracowników, wyszywających gobelin z fałszywej strony, nieświadomych jeszcze celu ani wyniku swej pracy, niezliczone ułamki materyałów, z których myśmy wzniesli gigantyczne mury tak wysokie, że wy, patrząc na nas z dołu, nie potraficie już rozeznaczyć dokładnie ani wyrozumieć naszej nadchmurnej roboty — podczas gdy my niestrudzeni, my nieliczni, którzy nie obawiamy się zawrotu głowy, stoimy na zrębie i na bezpiecznym podłożu matematycznych architrawów i metopów wiążemy już sklepienia. A wiążemy je z pewników tak potężnych, że wobec nich rozmarzone harfy wasze milknąć muszą.

Nie mogłem, nie miałem jeszcze czasu powiedzieć ci o tem wiele. Wskazałem jednak parę arcyprawd przez nas zdobytych, zwięzłych i skąpych w treść, jak kilka krótkich dogmatów etyki, i gdybyś z objawienia tego chciała skorzystać, mogłabyś samoistnie rozmierzyć na niem zakres i kierunki wszystkich twoich bezwzględnych imperatywów... Lecz ty w zwierciadło prawdy pobieżne ledwie rzucasz spojrzenie.

Wiem, że możesz zrozumieć wszystko, ale nie chcesz rozumieć, a mnie to przedewszystkiem obchodzi, że, mając w sobie tyle świetnych warunków wyłączenia się z pospolitej rzeszy, pozostałaś wmieszana w tłum tych, którzy myślą gromadą, czują gromadą i działają gromadnie. A bardziej jeszcze obchodzi mnie ten fakt drugi, że na chwile wytchnienia, w których z wyżyn panteonu zstępuję w doliny powszedniości i zmęczoną dłońią przysłaniam strudzone oczy, że na letnie naprzykład interwala, potrzebne mi koniecznie, aby uchronić mózg przed zawczesnem wyczerpaniem, nie mam, jak, w otoczeniu nektarników żyjąc, nigdy nie miałem nikogo, z kim bym się mógł podzielić najgłębszym samym sobą... Dawniej bardzo rzadko, później, z biegiem lat coraz częściej, w takich porach beczynności, gdy nawet po książki nowe nie sięgam

chętnie, uczuwałem zupełną swoją samotność na świecie; teraz, gdy błysnęła mi możliwość innych rozmów, aniżeli te, które towarzystwo moje prowadzi w czasie *table d'hôte'u* i gdy za nietrwałość błysku tego wszystko ręczyć się zdaje, będzie mi się wydawać jeszcze puściej i jeszcze zimniej na świecie.

Gdybym należał do ubogich w duchu, wmieszanych popołu z nektarnikami w różnobarbną strugę życia, mógłby z uczucia niezgłębionej samotności wyrósć we mnie żal... żal, który w dalszem następstwie doprowadziłby prawdopodobnie do jakiegoś efektownego *finale*. O efektowne rozwiązanie nie trudno. Czyż może być dla wykołejonej Psychy coś bardziej nęcącego nad dźwignięte ku eterom, połyskujące lodowce, opalowe i błękitne, tak wyniosłe, a tak przepaściste — albo nad lecące im przez czoła białe grzmoty lawin, takie wspańiałe, a takie śmiertelne? Nęcić jeszcze mogą tę wykołejoną Psychę dwa wielkie rozlewy jezior bezdennych, ujętych w konchę sinych i ametystowych Alp: Psyche wychyla się z łodzi stojącej nieruchomo na środku topieli i śledzi, jak płynny kryształ — u wierzchu szklisty jak lza — przechodzi w coraz mroczniejszą, coraz głębszą melancholię utopionych seledynów, a potem mętnieje w ciemną zieleń słotnego wieczoru, a jeszcze głębiej przemienia się w czarną noc, pod którą zapadłe otchłanie gaszą zapewne myśli i uczucia wszelkie...

Wogóle, gdybym należał myśla, mową i czuciem do wielkiego współnictwa ziemianów, byłbym najprawdopodobniej osobnikiem bardzo smutnym, bajronistycznym i do współżycia z ludźmi zgoła niezdatnym. Że jednakowoż jestem właśnie sobą, czemś, co pani Idalia nazywa do «reszty panów» wcale niepodobnem, więc, próżen wszelkiej egzaltacji, ani wyszukuję szczelin przepaścistych w lodowcach, ani wypływam na najgłębszą wodę, a to, że mam wokoło siebie samych nektarników, jest mi tak doskonale obojętnem, że — jak się zdaje — niczem szczególnem tych ostatnich nie rażę,

a niewzruszonością apatyi może nawet przychylności ich łatwiej niż «reszta panów» zyskuję.

Nie przychodzi mi też na myśl przed którąkolwiek z mych towarzyszek tutejszych rozwijać analizy bytu z punktu widzenia — powiedzmy — Sfinksowego, albo w austriackiego męża stanu wpajać *per longum et latum* przekonanie, że o historii świata nie stanowią zmiany naszego gabinetu, lecz dyferencyały zmian w ruchu skoordynowanych cząstek tak zwanej materii. Nie zbiera mię ochota do prób tak bezna dziejnych, bo wiem, że, nawet przy niesłychanym wysiłku z mej strony, partnerzy moi doszliby co najwyżej do sprawdzenia głębokiego aksjomatu o marnościach nad marnościami i tym podobnych rzeczach, popularyzowanych już przez Salomona.

Ale w tobie poznawszy takie skarby ducha, jakich dotąd nie napotkałem nigdy, pragnąłem, ażeby przynajmniej raz w życiu stał się wyjątek. Spotkanie nasze było tak piękne, tak niespodziane, tak dziwne, że w istotność tego wyjątku z każdym dniem wierzyłem silniej i wkrótce przywiązałem się do tej myśli, iż odtąd nie będę już między ludźmi takim całkowicie izolowanym żywiołem, który z żadną sferą się nie spaja i nigdzie żadnego powinowactwa nie znajduje. Więc żał mi teraz, że w stosunkach zewnętrznych, w stosunkach do ludzi, pozostanę i nadal samotnym...

Myślałem też w ciągu dni ostatnich o tem, czy nie byłoby najlepszym dla znużonej Psychy wypoczynkiem nie iść we wczasy letnie, ani na tłumną, nektarniczą Dygę Ostendy, ani w Alpy, gdzie snują się natrętne gromady filistrów, ale zapuścić się na północ i przez siedm gór, siedm rzek i siedm lasów, dotrzeć aż do tego lasu, w którym się zakłęte zamczysko krasowieckie ukrywa...

Tam czekałyby mnie rzeczy nowe, rzadkie, cenne; tam wśród odgłosów puszczy toczylibyśmy długie rozmowy, które pani Idalia i «reszta pań» uważałaby bez wątpienia za natężające i nudne, a które my nazywalibyśmy naszymi godzinami wytchnienia.

Rychło przecież, bardzo rychło, kazałaś mi się przekonać, że plan takiego *otium* należy do rzędu nieziszczalnych utopii. Widocznie jestem, mówiąc językiem powszechnym — skazany już na to, aby z kobietami nie rozmawiać inaczej jak brzegiem warg, a przy mechanicznym wypowiedaniu utartych frazesów prowadzić z sobą samym monolog o genezie i rozwojowym znaczeniu istoty, szeleszczącej przy mnie jedwabiem i szebioczącej mniej lub więcej miłe nicości.

Tobie również o czemże mógłbym mówić, tobie, co korzysz się przed jakąś potęgą — mgłą, odbitą z ludzkich wyobrażeń — modlisz się do niej płomiennie i na rzecz jej planów, jej woli, składasz ofiary ze swego serca i szczęścia, ze swej wolności?

To jedno wiem, że nie mówiłbym ci żadnego pozytywistycznego kazania, że nie tłumaczyłbym różnicy, jaka zachodzi między materią a duchem, ani objaśniał, czy jak i kiedy ducha pożarły Sfinksy. Słowem, nie cucilibym cię z twych błogich marzeń. Niepotrzebnie zresztą teraz mówię tak wiele.

Chłodno i trzeźwo powinienbym się ograniczyć do sprawdzenia nie nowego zresztą faktu, że ludziom tem trudniej przychodzi porozumieć się z sobą, im wyższe są szczeble rozwoju i poznania, na które wstąpili. Dwie drobiny materii zróżnicowanej życiowo, dwie ameby, w kropli wilgoci zawieszone, ulegać się zdają magnetycznemu pociągowi, który je niechybnie ku sobie przybliży i w jedność zespoli. Dwa motyle, za jednym dotknięciem pałeczkowatych czułków, identyfikują swą wolę i pragnienia.

I dwojgu Budnikom wystarczyć może jeszcze jedno rozchylenie koralowych warg w uśmiechu i jedno dotknięcie dłoni połyskujących sierpami. Ale nieco wyżej i zupełnie wysoko idylla i harmonia współczucia i współmyślenia staje się coraz trudniejszą, coraz mniej prawdopodobną. Każda jednostka wykształca się na swój sposób, na swój sposób promieniuje na zewnątrz: tak, że pokrzyżowane promienie nie mogą już ześrodkować się w jedną gwiazdę życia i rozpraszają się

w ogólnem półświecie. Więc chociaż często jednostki łączą się w pary lub stają obok siebie w różnych społecznych i psychicznych związkach, mimo to na świecie nie robi się od tego jaśniej.

Te przeszkody wszechstronne, te rowy i gzygzaki, te powkładane pomiędzy ludzi szyby, rozbieżnie załamujące światło, sprawiają, że nawet najwznioślej zharmonizowane istoty, zbywszy się pierwotnego magnetyzmu, przechodzą obok siebie, jak prądy dwu obcych pierwiastków. Przypuszczam, że z tego jednego źródła mógłby wypłynąć źródło niewyczerpany smutku i żalobną powodzią zalać wszystkie przestwory mej duszy — gdybym myślał i wołał należał do wielkiej zespólni ziemianów.

Ty, która myślisz sercem, dzielisz ludzi na takich, w których jest kochanie, i takich, którzy kochania w sobie nie mają. A że nie zdaje się ulegać wątpliwości, iż we mnie kochania niema, więc zaliczać mię oczywiście musisz do kategorii straceńców, nieprawdaż? Zdajesz się nawet posądzać mię o nektarnicze gusta.

Przebija to z pytań twych o moją zeszłoroczną przyjaciółkę z Giessbach, w której przeczuwasz może jaką przez nektarnika porzuconą ofiarę... Jednakże pod tym względem jesteś w błędzie. Ja to jestem raczej ofiarą, bo piękna idylla, krótka i tęczowa, jak bańka mydlana, wróciła teraz do mnie, skądciś, z nicości rzeczy minionych, na elegijnej fali wspomnienia.

A wspomnienia — to refleksy duszy najniepotrzebniejsze ze wszystkich, dlatego takie niepotrzebne, że mogą nieraz najpotężniejsze umysły spychać nad ślizką pochyłość śmieśności...

Wyobraź sobie Sfinksa tkwiącego na wyniosłej skale; Sfinksa odbudowującego w skupionej swej głębi wszechświat. Przed obliczem jego przemknęła młoda dziewczyna, jasna i mówiąca wypadkiem tą samą mową, w której on, odbudowując w sobie wszechświat, myśli. Pomknęła dalej i zapomniała o chmurnej zagadce bladego widziadła, zanu-

rzywszy się w gwarną pustotę życia, które z płaszczyzn ziemskich dolatuje małym echem aż do tronów Rozumu. I wyobraź sobie, Sfinks ów, wpatrzony w kurzawę światów, po roku jeszcze obraca w ustach pytanie:

— Może wtenczas otarło się o mnie szczęście? Więc cóż? Nie każ mi się spowiadać z tej *petite affaire*, ażeby na domiar złego nie uczynił się w twoich oczach śmiesznym. Należę mianowicie do kategorii takich ludzi, z gruntu zepsutych i odjemnych, którzy wolą być pomawianymi o brak serca, o paziowanie ponętym a jadowitym psiankom, o służeńie złotym cielcom użycia, aniżeli uchodzić w twoich oczach za śmiesznych. Poza tem, opinia napęliających świat Abderytów jest mi tak obojętna, jak na przykład ten szczegół, z kim moja jasna towarzysza z Giessbach przeżywa w tym roku eklogę.

Dla mnie w tym roku nie kleją się eklogi. Nawet echa zaczarowanych Krasowiec nie przylegają do mnie idyllą, uderzają się o ogromny zator rozbieżności dusz naszych i rozbijają się po drodze w pył złoty...

Ty, kuzynko, masz dobre serce, więc może zatrwożysz się tym smutnym losem słonecznego echa, bo może jedyną przyczyną tego, że je ku mnie wysyłasz, jest altruistyczna i wielce cnotliwa chęć udzielenia mi antidotu przeciw trującym psiankom. Otóż dodać spieszę, że jeżeli wszelkie oznaki nie mylą, to niebezpieczeństwo raz na zawsze zażegnane. Otaczają mnie czarodziejskie psianki różnych kształtów i kolorów. Wyznam szczerze, że jadąc tu na willegiaturę, miałem po trosze zamiar upoić się ich nektarem, który nazwałeś jadowitym. Jednak mimo jak najlepszych warunków, coś mi się popsuło w moich rachunkach i — niema eklogi.

Otruć mnie chciała pocziwa moja opiekunka, pani Idalia, znajdująca się w tej chwili już w Biarritz. Taki przynajmniej obrót brała ostatnia rozmowa nasza, nadchmurna, toczona na wysokościach świata. Urządzaliśmy wspólną wycieczkę na Schinige Platte, aby z jej szczytu oglądać wschód słońca i odbyć z hotelu przechadzkę na poszczególne cyple. Wieczo-

rem towarzystwo nasze pozostało na hotelowej tarasie, ja zaś, chcąc swobodniej skorzystać z czerwonych fajerwerków zachodu na obłoczystem niebie, wolałem przejść nową, prawie równą drogą ku Oberberghorn; a ponieważ wieczór był ciepły i zupełnie spokojny, ścieżka wygodna i szeroka, więc przyłączyła się do mnie pani Idalia. Wtedy-to dowiedziałem się, że nie jestem podobny do reszty panów, że wydaję się jej jakiś znępany, czy znudzony i niezadowolony, że z całego serca pragnęłaby, abym się rozerwał, i że trudno jej rozmawiać ze mną otwarcie, gdyż majestat mojej wielkości po prostu ją onieśmiela. Rozmowa rozpoczęła w ten sposób obiecywała stać się zajmującą i mogłaby mnie była istotnie zajmować, gdybym właśnie do reszty panów był podobnym. Bo krewna nasza, oparta o moje ramię, zręcznie wymijając rozrzucone na drodze kamyki, i schylając się niekiedy po skromne przydrożne kwiatki alpejskie, jąła powtarzać pochwały, oddawane mi przez ową parę aksamitnych oczu, z którymi jeździłem do Lauterbrunnen. A potem zachwycała się niesłychaną wytwornością ich właścicielki i niesłychaną, lecz ukrywaną, głębią jej ducha, polegającą głównie na tem, że i ona również z willegiatury zadowolona nie jest.

I pytała mnie pani Idalia: czy interesuje mnie którakolwiek z pań świeżo przybyłych? Musisz zaś wiedzieć, kuzynko, że w otoczeniu mojem nie tylko jedna para oczu jest piękną. Otrzymaliśmy w ostatnim tygodniu różne uroczę przybytki. Na wzmiankę zasługują w pierwszej linii dwie doskonale urodzone Paryżanki, dobrze znajome Idalii z Trouville; starsza siostra zameżna, ustylizowana na *genre cocotte*, ma na puszystych włosach farbę jaskrawo żółtą, brwi zaprawione bronzem, pośrednim między tuszem Van Dyka, a płynną miedzią, i rysy twarzy nadzwyczaj dowcipne, graniczące niemal z zuchwałą gaminadą; młodsza zaś, panna, świetnie kontrastuje archaizmem w liniach tualety i w opuszczeniu gładkich włosów na skronie *à la* Cleo de Mérode. O tych-to damach opowiadała mi pani Idalia z właściwą sobie żywością wiele

interesujących szczegółów, chociaż nie ulega kwestyi, że przede wszystkim była rzecznikiem aksamitnych oczu.

Rozmawialiśmy w ten sposób, idąc wązkim grzbietem górskim, usuwającym się w obu kierunkach stromemi zboczami. Po lewej stronie wzrok nasz znajdował oparcie dopiero na dnie krajobrazu, leżącego o kilka tysięcy stóp niżej pod nami. Majaczyło tam w mgłach wieczornych Interlaken, a przez poblaski słoneczne i pęki nisko zawieszonych chmur spoglądały ku nam dwa modre jeziora, jak dwie świetne tafle lazurytu wprawione w płowy teren zielenią pokrytych kamienisk.

W tej samej stronie paliło się niebo krwistą pożyłą zachodu i grało eterycznym kalejdoskopem obłoków, roztrącanych cicho przez drżącą promienistość słońca. I podczas, gdy odległe niziny pogłębiały się coraz bardziej w cieniach, rzucała się cała ta promienistość linią poziomą na nasze dumne skalne wierzchołki, czyniąc z nas dwie ruchome arabeski, ciemno odkreślone na kapryśnych konturach góry i na tle rozwidnionego już nad głowami naszymi błękitu.

Po prawej stronie kładliśmy długie cienie na murawę, opadającą ku południowi w kształt owalnej kotliny, skąd płynęła głośna i jednostajna muzyka trzód gotowych do odrotu.

Stopniowo zbliżyła się tarcza słoneczna do łańcucha gór, za Tuńskim jeziorem rozciągniętych, i położyła się na dekoracyi ziemskiej w sposób taki, że choć cudzoziemski, znalazłby z pewnością twoje uznanie, gdybyś była przechadzała się z nami wzdłuż owej przełęczy; a ja nie kuszę się nawet o bliższe odtworzenie orgii barw i światła, która wnet potem z upadku słońca poza dekoracyę wynikła. Pani Idalia przerywała rozmowę naszą częstymi wykrzyknikami podziwu i żałowała nieskończenie, że Oreada z czarnemi oczyma nie zapuściła się z nami w ten świat romantyczny.

Wielką radość sprawiło jej także spotkanie nasze ze stadkiem kóz, powracających od szałasów na nocleg tą samą drożyną. Kosmate kozły szły buńczucznie na czele, a za niemi

łoczyły się bezładnie samice, wyciągając ku nam wysmukłe, czarne i różowe pyszczki. Wtenczas i my zawróciliśmy również i szliśmy czas jakiś w towarzystwie ruchliwego stadka, które, zatrzymując się przy ponętniejszych ziołach, potracając się wzajemnie i roztrzaskując woń ostrą, zdążyło z lekkim tupotem racić przed nami.

Wszystko to razem, śniady zmrok u stóp naszych położony przez niebo, grzebień kamienisty, od pocałunków sennego Heliosa rumiany, ostre wyziewy kóz, zmieszane z wykwintnym zapachem ylangu, który owiewał mnie za każdym szelestem sukni opartej o ramię moje kobiety, wreszcie sama treść rozmowy naszej, wszystko to składało się na jeden nastrój i przywiodło mi na pamięć słowa twoje o paragrafie życia «on i ona».

I doznałem wrażenia, że nastrój, jakiegoby pragnęła dla mnie moja opiekunka i jakiego doznają z łatwością aksamitne żrenice i inne uroczę przedmioty, jest tak bardzo pierwotny, powiedziałbym biodrowy, tak silnie załatuje atmosferą goniących się faunów, że paragraf bytu, władający towarzystwem, zgromadzonem na nocleg w górskim hotelu, a paragraf ustanowiony dla towarzystwa, biegnącego zwinny truchtem przed nami, w stylizacyi swej bardzo nieznacznie różni się od siebie, mimo oględnej i wytwornej polityry po naszej, a cynicznej otwartości po koziej stronie.

I pomyślałem sobie, że w stosunku do tego paragrafu nie mam w sobie nic wspólnego z towarzystwem zebranem na nocleg u wierzchołka szwajcarskiej góry i że nawet z tego paragrafu wyłoniłyby się z mej duszy nieuleczalne smutki — gdybym chciał w życiu brać udział czynny.

Czuję, że do przyrodzonych nastrojów daleko mniej potrzebowałbym wyziewów zwierzęcego piżma, a o wiele więcej pożądanoby mi były łabędzie korowody, zarumienione jutrznie i konwaliowe śniegi, jeśliby nastroje takie miały mnie istotnie całego ogarnąć i stać się dla mnie, w myśl pierwotnych rozporządzeń natury, maksymizacyą życia. A tymczasem mam blisko siebie wonie ostrych esencji i mam do

zdobycia aksamit połyskliwych źrenic, a nie mam świeżych konwalii i nie mam niepokalanych łabędzi, i nie mam zaklętej łani białej, któraby mi pieściwie opierała głowę o ramię i szeptała o zaświatowych pieśniach Wysp Błogosławionych. I w bajecznej też [tylko oddali widuję Madonny, siadujące pod parasolami grusz wiejskich, ze słoneczną siecią u stóp, z białą astrą u piersi i u kolan z chórem dzieci, uperlonych srebrną rosą krzyżyków...

Naraz pani Idalia przypomniła sobie również Krasowce i zaczęła mi wiele opowiadać o tobie, kuzynko. Uśmiechałem się, myśląc, że wiem daleko więcej od niej. A gdy spytała mnie następnie, czy nie wybiorę się kiedy do Krasowiec, aby cię osobiście poznać, odpowiedziałem, że lękałbym się, aby przy zbliżeniu dwu tak krańcowo rozbieżnych natur, jak twoja i moja, wewnętrzna harmonia którejkolwiek nie rozproszyła się na zgrzyty.

Tegoż wieczora nabyłem pewności, że młoda przyjaciółka Idalii pochylałaby się ku mnie życzliwie i chętnie, aby mi wpleść kilka róż gorących w bezbarwne pasmo żywota i że wprost z owej góry mógłbym ponieść w dolinę trochę wspomnień, ściągających powieki, purpurowych i słodkich...

I byłbym je poniósł bez wątpienia, ale tegoroczne *otium* moje dziwnie się jakoś rozpoczęło. Oddaliłem się kiedyś od życia, wiedząc, iż porzucam je dobrowolnie. Dzisiaj zaś spostrzegam, że chociażbym chciał bodaj na krótki moment do niego powrócić, jużby mi ono nic właściwie dać nie mogło; samotnie mieszkać muszę w pałacu własnym, wystawionym kosztem tysiąca nieprzespanych nocy i tysiąca krwawych analiz. Wzniosłem go na szczycie góry, usypanej przez tysiąc pokoleń żarliwych pracowników postępu, i zejść z niej nie mogę, gdyż wszystkie ścieżki ziemskich przyzwyczajęń i wszystkie powietrzne mosty uczuć stopniowo zawiąły się i rozwiąły.

A z zewnątrz, któż do przybytku mego wstąpić zechce? Nawet takie istoty, jak ty, kuzynko, nie zapragną szukać znikniętych mostów moich i ukrytych kluczy do mego Skarbca.

Wielką jest moc czasu, który bez wiedzy człowieka gospodaruje w jego wnętrzu. Dla was, kochających i kochanych, powinny z tego nieuniknionego działania czasu wyrastać największe życiowe tragedye. *Tempus edax rerum*. Czas, uczuć morderca. Słyszeliśmy o porywach — mniejsza z tem, czy biodrowych albo anielskich — przeczuwaliśmy je w sobie, a kiedy nadejdzie godzina wewnętrznego obrachunku, tam, gdzie miały drzemać iskry piorunowych żarzewi, spotykamy żużle i dymy wytlonych ognisk... Odkrycia takie mogłyby ludzie czynić codziennie.

Ja, w peryodzie letniego snu myślnego, zrobiłem odkrycie, że moja ciemno-włosa Oreada, najpiękniejsza z pięknych, nie jest w stanie ofiarować mi nic, coby miało dla mnie znaczenie prawdziwej radości... Tylko rzeczywiste Sfinksy wolne są od robienia podobnych odkryć i niez mieszeni z tłumem świecą nad światem ogniem własnej potęgi, jak gwiazdy. Czy ja wkroczyłem już na tę gwiaździstą drogę? Jakkolwiek z tem jest, już dzisiaj nie mam ludziom nic do powiedzenia i niczego z ich strony oczekiwać nie mogę...

.....
Czyżby to jednak znaczyło, że wszystkie nici rwać się muszą jak pajęczyna, i że nie będziesz już przysyłać mi swych pieśni? Być może, iż mając duszę w pewnych dążeniach i wiarach rozwiniętą, musisz potępiać myśl moją i nie możesz polecieć za nią w wymiary istnienia nadludzkie, które mrozą cię lodem. Ale czyż pomimo to nie mogę pozostać ci blizkim, czyż nie mogę pozostać uważnym i wdzięcznym posiadaczem twej ufności, słuchaczem wyniosłej mowy twej duszy?

Nie ponowię już prób wyprowadzenia cię na wolność z błędnego koła, w którym nie jest ci przecież miękko i słonecznie. Ale nie przestawaj mówić do mnie... Wiedz zresztą, że i ja miewam godziny modlitwy i błyskawice zaświatowej poezji. W tych właśnie czasach tęsknię do swej modlitwy i zatęskniłem za nią najgoręcej na tej właśnie górze, gdzie nocowałem z Oreadą, i przyniosłem tę tęsknotę w niziny, zamiast wspomnienia słodczy. Przeszła mi wtedy noc bezsenna

na czuwaniu i rozmyślaniach o życiu, lecz nie jak zwykle o ogólnej życia zagadce, jeno o życiu mem własnem. Myślałem o tem, że jak dom, w którym tę noc spędzałem, stoi na ostrzu alpejskiego grzbietu, tak i ja stoję na zenitowej życia połowie; i myślałem o tej ścieżce niebezpiecznej i stromej, po której się na ten szczyt dostałem, i o tej drodze, po której mam zejść w mrok dolin. Tak przeglądałem tę połowę, która już była, i tę, co ma dopiero nastąpić... a przez graniaste wycięcia okien oświecał mi pokój księżyc, stojący na wysokim niebie, nad niezmierzonym morzem ciemnych, gęstych obłoków, srebrnych po wierzchu, które błamem zwartych kłębow rozwiódły się, jak daleko okiem sięgnąć, nad światem, i zasłoniły wszystko, prócz tego jednego górskiego czoła, co wypływało z powodzi chmur na księżyc.

W ciągu owej nocy sierpniowej, nawet w tych wysokościach dziwnie parnej i bezwietrznej, szkarłatne róże, kwitnące na drogach życia, straciły dla mnie resztę swej woni... Nazajutrz, stanawszy przed śliczną Oreadą, która, wyniosła i świeża, z gwiazdką szarotki u piersi, miała na ustach uśmiech enigmatu, uściśnałem jej rękę serdecznie i wnet zagubiłem się samopas w ustronnych załomach kamienistych, wolnych od napływu turystów.

Wtedy-to, podczas kilkugodzinnej tułaczki po odludnych skałach i rumoszach, zatęskniłem do zimnej samotności lodowców, kędybym mógł odprawiać nabożeństwo swoje...

Lecz są to rzeczy tak odległe, tak odludne, tak odmienne od modlitw twoich, tak nadludzko dumne i wyłącznie Sfinksowe, że mówić ci o nich teraz przynajmniej nie będę. Powiem w zamian, że znasz słowa, które wpadają w głąb serca. Przysyłaj mi takie słowa. Dla wypoczynku ciała i umysłu trzeba mi ochłody niepokalanых śniegów, szklanych krynic, rosy — a tem wszystkiem są mi słowa twoje. Przede wszystkim te, które, jak lotne płomyki, dobywają się czasem na zrównoważoną powierzchnię twej duszy, gdy spodem

przeciągają burze. Płomyki te, na skroń mą padając, przechylą i zbliżą ku mnie kielich twojego serca.

Przyjaźni twego serca mi potrzeba. Jest ono wielkie, czyste i niechaj mi będzie źródłem odpocznienia, gdy z wyżyn panteonu zstępuję w cienie powszednie i przymknąć pragnę znużone źrenice...

Powiedz mi też kiedy słów parę o pewnem zagadnieniu sercowem, o którym pragnąłbym usłyszeć zdanie istoty z kategorii dodatnich, to jest mających w sobie kochanie.

Jak myślisz? co uczuwać może dziewczyna młoda i nieobeznana z życiem, gdy ust jej dotkną po raz pierwszy samowolne usta mężczyzny? Czy dziwi się, czy cieszy, czy cierpi? czy trochę tęskni i wspomina? i jak długo wspomina? dzień, tydzień, miesiąc?... Czy tem chętniej poszuka ust nowych, czy też — spotkawszy nowe — powraca myślą do owych pierwszych świętokradzkich.

Mówiliśmy o tem z Idalią — ale to kategoria nektarników.

Pożegnaliśmy już odjeżdżającą do Biarritz panią Idalię snopami kwiatów. Oreada dostarczyła jej całej więzi szarot.

A propos kwiatów. Wraz z nowemi echami swojej puszczy, obdarz mnie, kuzynko, garstką tamtejszych kwiatów. Na ostatniej wycieczce przypomniał mi ubogi świadek roślinny, kołysany wiatrem na jałowych czubach alpejskich, nasze swojskie jaskry i stokrocie, usiewające niegdyś trawniki na wsi u mej matki.

Stamtąd datują moje pierwsze florystyczne wiadomości. Chciałbym po latach niemal trzydziestu zobaczyć znów parę skromnych stokroci z naszych trawników. Może będą mieć dla mnie więcej uroku, niż aksamitne szaroty.

XII.

Krasowce.

«Słońce wylało księżyc błady,
Czemu świeci tak słabo i skromnie,
Cicho odrzekł na to księżyc błady:
Dzień do ciebie, noc należy do mnie,
Świeć ty we dnie na ten świat szeroki,
Ja nocą przyglądam się wodzie głębokiej».

Tak ciała niebieskie rozmawiają ze sobą w starej piosnce litewskiej.

Smutno mi, kuzynie, że nie mogę rozmową swoją uprzyjemnić twojego *otium*, lecz natura nie wetchnęła we mnie zdolności do niewolniczych wtórzeń sumieniom i myślom innych. Mam swoje własne; ale czyliżby Sfinksy, tak niezmiernie dumne i wszelkiej pokorze przeciwne, znajdować mogły wdzięk i zadowolenie w czyjejkolwiek bierności i niewoli?

Na zapytanie twoje, tyczące się serc i ust dziewiczych, nic pewnego odpowiedzieć nie mogę. Serca są różne i usta są różne. Bywają serca pełne hymnów i pełne — kupletów. Bywają usta, na których pocałunki świegocą, jak płóche wróble, i takie, na które kładą pieczęcie niewzruszone, jak święte przysięgi. Gdybym ci o tem opowiadać zaczęła, z łatwością mogłabym w opowiadaniu trafić na serce z hymnem i usta ze świętą pieczęcią, więc na przedmioty twojej ironii...

Pocóż?

Kwiatów nie posyłam także. Z kwiatami mymi stała się rzecz następująca.

W najciemniejszych głębiach puszczy zdarzają się miejsca, olśniewające białością rozkwitłych spirei leśnych, tawuł. Na niezliczonej ilości wysokich łodyg wznoszą się pióropusze, z gwiazdek śnieżystych złożone, tak lekkie, że przy każdym powiewie wiatru chwieją się i rozwiewają, tak przejasne, że zdają się być pochodniami, które litość Boża zapala dla ponurości zmroków. I któżby się spodziewał, że te najjaśniejsze

mieszkanki leśnych gęstw są ulubionym przysmakiem najposępniejszego z jej mieszkańców — żubra? Przychodzi wielki, ciężki, przedpotopowy i białe glorie lasu znikają w ogromnej jego paszczy.

Różne potwory zjadają po świecie rozmaite kwiaty. Przyszły tu również i pożarły moje. Nie mam żadnych.

Przypomina mi to pytanie pewne. Czy nie mógłbyś, kuzynie, obdarzyć mnie trochę szczegółów o swej matce? Od dzieciństwa tkwią mi w pamięci opowiadania o istocie tej, pełnej wdzięku i smętku, która nie tylko na trawnikach swych, ale i w sercu miała podobno mnóstwo pięknych kwiatów, rodzinnych kwiatów. Podobno na obczyźnie żyjąc, nie przedstawiała nigdy tęsknić za ziemią rodzinną i zgasła wcześniej dlatego, że stała w powiewie zbyt suchych i zimnych wiatrów.

Perkun grzmi! Tylko co przeleciała tędy wielka burza. Wściekły wichur niósł kłębiące się tumany kurzawy płowej, przeświecanej czerwonymi węzami błyskawic, które nieustannie wiły się po cielskich ciężkich chmur; świat stanął w ciemności, którą od brzegu do brzegu wypełniły suche trzaski piorunów, przeraźliwe skrzypienie drzew rozmiotanych, potężne stuki łamiących się w puszczy olbrzymów. Na dalekim krańcu łąki zaświecił i długo wśród płowego tumanu czerwona pochodnia świecił zapalony od gromu dąb. Potem spadła nawałnica deszczowa, której szum wszystko zagłuszył, a napowietrzne, z niezmiernym gwałtem spadające morze, zasłoniło wszystko. Aż z wielką nagłością, ten deszcz nawałny ustał i jednocześnie z za welnistych chmur, skupiających się po jednej stronie nieba, spłynęła na ziemię smuga promieni słonecznych. Wtedy na drzewach rozczochranych, na osypujących ziemię gałęziach, na trawnikach, na żwirach, na piaskach, zajaśniała ogromna moc pokruszonych kryształów i sreber, które w tej chwili jeszcze w górze i w dole lśnią, drżą, migocą, gdy jednocześnie w welnistej ścianie chmur, stojącej po jednej stronie nieba, toczy się turkot dalekiego grzmotu, a górą wznosi się tęcza. Jednym końcem o rzeźbę chmur oparty, świetny łuk zanurza się końcem drugim w ciemne

uroczysko puszczy, które, nosząc nazwę Nieznanego Rogu, kryje w sobie tajemnicę z ognia i bursztynu.

Ale ja ci, kuzynie, o naszych ciemnościach, tęczach, uroczyskach, tajemnicach, chyba już opowiadać nie będę...
Pocóż?

XIII.

Interlaken.

Nie zasłaniaj się Perkunową chmurą, toczącą w sobie grzmoty. — Opowiedz mi ognistą i bursztynową tajemnicę Nieznanego Rogu.

Proszę.

XIV.

Krasowce.

Dobrze; opowiem.

Niegdyś, niegdyś — przeddziady pierwszych nawet Budników pomnieć już tego nie mogli, istniała w Puszczy świętynia pogańska, Romowe, czyli dom pokoju. Tuż obok było siedlisko Arcykapłana, miejsce poświęcone, którego wnętrza ujrzyć nie miał prawa żaden wzrok niepoświęcony i stąd miejsce, przez zakaz srogi w niezdobytą warownię przemienione, dostało nazwę Nieznanego Rogu. Przyczyna znikła, lecz nazwa została w późne potomstwa i wieki.

Oprócz kapłańskich modłów, odprawiane tam były akty pewne, tajemne i posępne, zarazem wspaniałe. Gdy na szerokiej przestrzeni ziemi umierał bohater, słynny z czynów mężnych, lub śpiewak za płomienne pieśni uwielbiany, śmiertelne zwłoki ich, wraz z rumakiem i zbroją rycerza, czy z szatą i lirą poety, spalone bywały w tem miejscu na stosie ułożonym z modrzewi i cisów, a okadzany bursztynem i tomką. Lud aktów tych nie widywał, lecz właśnie dlatego w krainie fantazyi jego stawały się cuda zmartwychpowstania. Ilekroć w opasanej srogim zakazem twierdzy zielonej dokonała się tajemnica ognista, nad Nieznany Rogiem

ukazywał się blask płomienny, w którym bohater na rumaku i w zbroi, albo wieszcz z lirą w ramionach, z szybkością błyskawicy przerzywał mroki nocne, wzbijał się ku obłokom czy gwiazdom i pośród nich znikał. Tylko, gdy zniknął, przez chwilę jeszcze drgała pod niebem mgiełka świecąca i w powietrzu rozpyływała się woń spalonego bursztynu.

Jak fale wodne, które na piaskach zacierają pismo wiatrów, tak upływające stulecia zatarły w ludzkiej pamięci pogańską Romowe i gorejące stosy, i same nawet imiona dawnych mocarzy serc ludzkich.

Lecz na spodzie pamięci, jezioro wspomnień stoi nieśmiertelne, choć zmaczone. Więc ilekroć na nocne niebo jakkolwiek siła natury wyrzuci nad Nieznany Róg błyskawice, czy inne światło niewiadomego początku, lud żegna się, ze czcią pochyla głowy i wierzy, że kędyś, na świecie, jedno jakieś mężne, albo śpiewne serce w tej chwili uderzać przestało.

Był moment, w którym i ja uległam złudzeniu. Zdało mi się, że w świetle wybuchającej nad lasem błyskawicy letniej dostrzegłam postać brata, skutą z rumakiem — Avisem, a w przestworzu zapachniały mi bursztyny śmierci, pełnej chwały.

Potem, nieraz, gdy w godzinach nocnych upatrywałam w czarnym szlaku puszczy, miejsca, na którym Nieznany Róg się znajduje, i wzrok podnosiłam ku ciemnemu nad niem niebu, przez myśl przeciągał mi wiersz wielkiego i kochanego poety, o chwili:

«Kiedy ziemi zleciwszy śmiertelne zewłoki,
Ogniu równa prędkiemu przeniknę obłoki...»

XV.

Interlaken.

Nie masz dla mnie kwiatów. Dlatego może nie masz ich dla mnie, iż serce twoje wypełnione hymnami, a usta

niegdyś naznaczone zostały świętą pieczęcią... A może też przypuszczasz, że mam róż za wiele, a źródeł rosy podobnie... Może uważasz mnie za jednego z tych groźnych potworów, co niszczą łąco śnieżne koronki kwiatowe, jak owe puszcz waszych ciemne pierwopłody, depczące bezwzględnie stopą po wiotkich i jasnych tawułach...

Otóż powiem ci, że są serca tak dziwacznie ukształcone, iż nawet w otoczeniu tysiąca róż nie umieją bić tętnem różowem. Bywają także słońca tak wybredne, iż tylko na wypłakanych chmurach promienie swoje wiązałyby chciały w tęczę...

Wiesz, jakich hymnów w ustach twoich nie słuchałbym chętnie, ale nie możesz mieć również, tak przynajmniej po-chlebiam sobie, wątpliwości żadnej, że serce, brzmiące od kupletów, i usta, na których pocałunki świegocą jak wróble, nie są wcale ideałem moich wczasów, ani nawet przedmiotem upodobania. Natomiast wzmianki moje o wielkim świecie nektarników, w którym się obracam, prawdopodobnie obudziły w tobie przypuszczenie, że, nie kępując się powszechnymi normami, także i w paragrafie «on i ona» rozejrzałem się na swój sposób, i że przegląd ten napęłnił mnie w wieku stosunkowo młodym uczuciem przesytu... Dla osób, patrzących na życie pod twoim kątem widzenia, byłby to szczegół dość mętny...

Nie chciałbym, aby na szybko, wstawioną między istoty nasze, i tak już niezbyt przejrzystą, i tak już pełną cieni, padły nowe cienie, zwłaszcza ze źródeł tak mętnych. I dlatego najlepiej będzie, jeżeli ci zdam sprawę z epizodu, który mi dał pochop do ostatniego erotycznego zapytania. Nie chcę uchodzić w twych oczach za nadczłowieka i chronić strzepów rozchwianej aureoli pozorami zupełnego znieczulenia. Nie mogę zresztą rozmawiać z tobą o czemkolwiek nieosobistym, bez wywołania natychmiastowego zgrzytu pojęć o uczucia, wiedzy o wierę...

Nie chodzi tu ani o Cléo de Mérode, ani o *genre Coccotte*, ani o żadną z głośnych mondenek i herytyerek, spotka-

nych na wielkich targowiskach Europy, ale o tę wspomnianą już rodaczkę moją, z którą spędziłem zeszłego roku czas bardzo krótki w sąsiednim Giessbach.

Musiabyś przedewszystkiem znać Giessbach.

Miejscowość tę tworzy jeden tylko hotel, sterczący na zielonej skale, której ostoje wysuwają się z jeziora Brienz naksztalt półwyspu i zapadają ścianą niemal prostopadłą w jeziorne głębiny. Z pokładu parowców, które przewożą do Brienz podróżnych, z daleka już widne są ponad szczytami jodeł i świerków, gęstym płaszczem osłaniających opokę, wysmukłe baszty gmachu, zbudowanego wdzięcznie na wzór średniowiecznych zamków. Widać też na szmaragdowej draperyi koniferów jasne krople rubinu od flag szwajcarskich, zatkniętych na iglicach wieżyczek, zaś u samej podstawy, tam, gdzie półwysep skalisty zapada w jezioro i maluje na niem jasną smugę opoki i ciemny płaszcz świerkowy, różowe ściany zamku i krople rubinu, ruchome na ruchomej fali, zatopione już wreszcie głęboko szmaragdowe odbicie gór wyższych, tam też ściga na siebie uwagę wielka i lśniąca plama śnieżno-biała i zda się nieruchoma. Dopiero gdy parowiec minie płetwiasto spłaszczony przylądek i wysepki Izeltu, zagadkowa białosc nabiera życia, poczyną się kłębić, przyskać pianą i szumieć. Jest to najniższy wodospad i ujście do zbiornika bryenckiego tego strumienia, który, spływając z Alp potężnych, zjawia się u szczytu stromo spiętrzonych borów, rozcina je hucznym słupem białych i srebrnych prądów, rozbijających się w siedmiu coraz gwałtowniejszych kaskadach o głazy i staczających się z zawrotnych wyżyn przez jar poszarpany w jezioro. Hotel ma poza sobą widok zamknięty aż pod niebo tą ścianą spadziastą, lesistą i przerzniętą majestatycznym węzem wodospadów, a przed nim skupiony szereg świerkowych piramid zostawia wśród skratowanych gałęzi wązkie tylko szczeliny, przez które przegląda ciemno-modra przestrzeń jeziora i przeciwległa ściana gór omglonych, z jałowemi turniami Rothhornu. Oto pobieźny obraz Giessbachu,

ustroni, cofniętej od gwarne gościńca międzynarodowego przepływu, w szum wód i w szum lasów.

Ustroń ta nęci do spoczynku i chciałbym powrócić tam jeszcze kiedy w twojem towarzystwie, z twem zamyśleniem, z twoją harfą, grającą na nieznane mi dotąd nuty...

Chciałbym, patrząc na huczną i lśnią grę atomów, wypoczywać, wsparty o głęboki nurt twojej duszy i o rozlaną po nim słoneczność

Tam ją ujrzałem. I wnet rozkochany
Że z tęczy wyszła i z potoku piany,
Wierzyć zacząłem, i wierzę do końca:
Tak jasną była od promieni słońca.

.
Nie, nie było to tak zupełnie w myśl sentymentalnych dziewic i romantycznych poetów. Ja chyba nie byłem rozkochany... a także nie było wtedy słońca. Z końcem sierpnia powracałem z Zachodu do domu i postanowiłem zatrzymać się dobę w Giessbach. Lato było, mianowicie w górach, bardzo dżdżyste, chłodne i już od połowy sierpnia błdziły w powietrzu powiewy jesieni. Chciałem zobaczyć Giessbach wieczorem, w świetle magicznych ogni. Przybyłem na miejsce przy końcu dnia, i gdy wnet prawie po przybyciu wyszedłem na taras, schowało się już słońce, które dnia tego po długiej przerwie zabłysło różycą bladych promieni. Szerokimi schodami, tonącemi w powodzi strojnych krzewów, zstąpiłem z terrasy na małą platformę, splantowaną przed domem w pierścieniu drzew wielkich i cienistych. Miejsce to było w tej porze już nieco mroczne i prawie puste. Na jednej z ławek dostrzegłem małżeńską parę sędziwych ludzi, otulonych w pledy, zapewne blizkich grobu. Ale na załomie platformy, przy kamiennej balustradzie, tuż nad brzegiem przepaści, gdzie rozstępują się jodłowe kurtyny, wpuszczając więcej światła i otwierając przepiękny widok na wodę i prze-

ciwległe skały, znajdowała się jeszcze jedna istota żyjąca, młoda, młodziutka panna.

Siedziała w rozłożystym, trzciniowym fotelu, z otwartą książką na kolanach i, głowę podniesioną trzymając nieruchomo, zdawała się patrzeć z uwagą na wierzchołek Rothornu, zamglony modrem przyćmieniem niedalekiego zmięchu. Zanim mogłem przyjrzeć się dokładniej szczegółom jej postaci, uderzyła mnie dziwnie łagodna i miękka połyskliwość jej płowych włosów, zwiniętych w tyle głowy splotem misternym, a u czoła i skroni rozluźnionych w jasną kędzierzawą gęstwinę. Ogarnąłem ją spojrzeniem i zbliżyłem się do tej samej balustrady, poczem, oparty o kamienną poręcz, jałem przypatrywać się panoramie, a od czasu do czasu przesuwać wzrokiem po nieznajomej. Mogłem to być czynić w tem miejscu bez narażenia się na zarzut natręctwa, lub niegrzeczności, a czyniłem tem chętniej, iż każdy rzut oka na uroczą dziewczynę dodawał coraz nowych i coraz pożądańszych szczegółów do całości, sprawiającej na mnie od pierwszego momentu wrażenie niezmiernie pociągające. Po prostu nie przypominam sobie, by kiedykolwiek jaka inna postać kobieca tak doskonale przystosowaną była do idealnego wzoru, jaki wyobrażnia w każdym z nas wytwarzać zwykła, odpowiednio do współdziałających tu fizyologicznych i duchowych składników indywidualności. Obznajamiałem się z jej obrazem z zadowoleniem nadzwyczajnem; lecz skoro tylko zauważyłem, że odczuła moje spojrzenie i, podejmując przerwana lekturę, pochyliła się nad książką, zwróciłem oczy na nieznana mi wówczas sceneryę i spokoju czytelnicki nie przetrwałem już ani razu. Stałem tak bez poruszenia czas dłuższy, więcej zainteresowany sąsiedztwem panny, aniżeli jakością panoramy i coraz bardziej pragnący poznania. Chodziło mi zarazem o to, czy i ją obecność moja wprawia w roztargnienie? Jakoż, pomimo, że byłem niemal zupełnie odwrócony, odgadywałem zmysłem instynktownym, czy też wprost czułem, że przy odginaniu szybko przebieganych kartek, wzrok jej przelotnym błyskiem padał na mnie i z wielkim pośpie-

chem wracał na stronie książki. Bezpośrednio spotkały się żrenice nasze dopiero w chwili, gdy odsunąłem się od balustrady i, skierowując się z powrotem ku hotelowemu tarasowi, spocząłem na niej wzrokiem. Wtedy odniosłem po raz pierwszy wrażenie, że oczy jej, patrzące z owalnej oprawy rzęs płowych, mają pozór srebrnych, i przekonałem się, że delikatne usta z blado-różowego koralu uwypuklają się na białej twarzy taką prawie pieśczołliwością linii, jak u Bouguerauwskich amatorów. Urok jej drobnej twarzy zaliczyćby trzeba do rodzaju tych piękności, które, nie działając zbyt świetnymi i jaskrawymi efektami na łatwą wrażliwość szerokiego otoczenia, nęcą tem silniej, oglądane z bliska, wytworną rzeźbą rysów i doskonałą harmonią szczegółów.

Nie wiem też po dziś dzień, drogą jakiej tajemnej intuicji powiedziałem sobie od razu, iż musi to być bardzo błękitna Polka, mimo, że obok leżał na taburecie dziennik z napisem francuskim, a czytana książka formatem i żółtą okładką wskazywała paryskie pochodzenie. Panna, mierząc się ze mną przez chwilę wzrokiem, usiłowała nadać oczom swoim wyraz zupełnie obojętny i nieco wyniosły, jednakże właśnie wyniosłość ta pozwoliła mi przypuszczać, że nie patrzyła na mnie tak samo, jak patrzyłaby na pień świerkowy, albo na kandelabry lampionów. Mogłem być pozostać jeszcze czas jakiś obok niej, ale wolałem okazać się zupełnie obojętnym i odejść w stronę parku, z nadzieją, iż niebawem w sali jadalnej znajdę znów sposobność do nasycenia mych estetycznych potrzeb. Wogóle byłem wielce rad z pomysłu, który zaprowadził mnie do Giessbach.

Zadowolenie to ustąpiło miejsca uczuciu zawodu, gdy się powyższa nadzieja moja nie ziściła. Na widok stołów, ciągnących się podwójnym rzędem przez długość obszernej sali, zastanawiałem się nad tem, czy los obdarzy mnie miejscem przynajmniej przy jednym i tym samym stole ze srebrnooką. Tymczasem nieznajoma nie zjawiła się wcale, a ręka losu umieściła mnie najniegodziwiej pomiędzy opasłym Francuzem, a rodziną amerykańską, z kilku głów złożoną, która

przy posilaniu się nie zachowywała wcale rozsądnej i tak często pożądanej w mowie ekonomii. Na domiar złego deszcz padać zaczął i kaskad wieczora tego nie oświetlono.

Odnalazłem ją dopiero nazajutrz w południe, w parku hotelowym, barwistym od mnóstwa kwiatów. Schodziłem właśnie od wodospadów pochyłą nieco aleją kwiatową ku domowi, gdy na przeciwnym końcu tej drogi ujrzałem trzy osoby, kroczące bardzo powoli pod górę. W jednej z nich poznałem ją natychmiast. Prowadziła matkę, kobietę wysoką i szczupłą, rumianą na twarzy, ale bez wątpienia chorą, która też niebawem przystanęła, aby wypocząć, jakkolwiek cała droga, przebyta od hotelu aż do tego punktu, mogła wynosić najwięcej paręset kroków. Jedną ręką opierała się o ramię wysmukłej panienki, w drugiej, opuszczonej bezsilnie, trzymała lekki słomiany wachlarz chiński, rzucający na szary jedwab jej powłóczystej sukni plamę bladego złota. Trzecia, z pozoru dama do towarzystwa, oddaliła się wnet z pospiechem, szukając widocznie krzeseł. Sposobność ta była mi bardzo na rękę. Przeszedłem obok pań, zlekka uchylając kapelusza i napotkawszy opodał kogoś z domowników, znacznie prędzej, aniżeli owa towarzyszka, zdołałem dostarczyć foteli.

Gdy w dwie godziny później panie opuszczały kiosk, z którego rozciągał się widok najbardziej malowniczy na całe Giessbach, ja podać mogłem ramię matce, wyręczając pannę. Jak widzisz, znajomość zawarta bez zbyt trudności. Wszystkie domysły moje były trafne. Nie starałem się zresztą dowiedzieć wiele. Były to rodaczki nasze, w hierarchii społecznej postawione wysoko i świetnie — o ile pamiętam — spokrewnione na Litwie. Miejscem wychowania i wykształcenia panny był Paryż, miejscem pobytu matki były od kilku lat, odkąd stan zdrowia jej znacznie się pogorszył, rozmaite uzdrowiska zachodniej Europy. W Giessbach bawiły od tygodnia z zamiarem pozostania tam do połowy września. Od pierwszego wejrzenia poznałem, że cierpienie tej pani, zaostrome przez wadliwość serca, należy do chorób wycieńczających powoli, ale stale, i że lekarzom chodzi tylko o wy-

tworzenie warunków, wśród których nieunikniony kres przyjszby mógł jak najpóźniej i w formie najłagodniejszej. Chora nie miała w sobie nic, co by mogło w jakimkolwiek kierunku wzbudzić moje zajęcie, czy też sympatyę, owszem, drażniła mnie ciąglem, a zgoła prowincjonalnem i staromodnem używaniem francuszczyzny, a stanem swym chorobliwym przypominała ustawicznie, że w piersi mojej znajduje się również zegar sercowy, który uderza tyle i tyle razy na minutę i każdej minuty, z łada powodu, zatrzymać się może.

Wrażenie mdłych kropli aptecznych sprawiały na mnie rozmowy z tą chorą i pospolitą kobietą, w popielatej sukni, z wielkim wachlarzem blado-żółtym; ale zażywałem je z dobrowolną odwagą, skoro cukierkiem nagrody była dla mnie obecność pięknej panny. Co prawda, tylko obecność, nic więcej. Ani razu bowiem nie zwróciła się do mnie. Uważała mnie prawdopodobnie za intruza, natręta — może wprost za sezonowego łowcę posagów. O istotnej przyczynie okazywanej mi niechęci nie dowiedziałem się nigdy. Być może, iż przystosowanie się do poziomu jej matki powiodło mi się wówczas tak doskonale, że wzięła mnie za jakąś płaskość, ze znikomych najbardziej znikomą. Nie wyprowadzałem jej z błędu, nie uchylałem przyłbicy i stałem się echem prze-różnych spraw bieżących wiedeńskiej i naszej *society*, o ile całkowita moja obojętność na rzeczy tego rodzaju pozwoliła mi zapamiętać szczegóły, roztrząsane często i dokładnie przez panią Idalię. W ten sposób zdobywając sobie bardzo widocznie sympatyę matki, dowiedziałem się, iż panie jadały w prywatnych swych pokojach, i użyłem całej wymowy, aby nakłonić je do odwiedzenia wspólnej sali. Panna zwróciła się do matki z opozycją, miałem jednak większość za sobą i uczyniono mi nadzieję spotkania się, wieczorem w jadalni. W ciągu tych rozmów przekonałem się, że śliczna panienka przywiązana jest do matki całą tkliwością młodego serca, i że oprócz srebrnych żenic posiada jeszcze jeden wdzięk, dodający jej niewypowiedzianego uroku — uśmiech. Uśmiechnęła się parę razy, zamieniając z matką uwagi, i wtedy w de-

likatnych jej ustach ukazywał się rząd ściśnięty zębów, bardzo białych i bardzo drobnych, prawie dzieciennych. Zdawało się, że śmiech ten podszywa różowość jej twarzy jasnością wewnętrznego słońca, które jednak natychmiast chowało się i gasło, ilekroć oczy jej spotkały się z moim badawczym wzrokiem. Nie narzucałem się jej więc żadnym bezpośrednio ku niej zwracaniem słowem, wyłącznie starszemi paniami zajęty, i przy odprowadzaniu ich do domu, zadowolony widokiem panny, idącej o parę kroków naprzód. Zatrzymywała się niekiedy przy wspanialszych rabatach, pieszczotliwym ruchem dotykając róż na wysokopiennych krzewach... Powietrze było ciche i parne.

Dopiero w hotelowym przedsionku, gdy matka usiadła na kozetce, aby ponownie wypocząć, i przemówiła do starszej swej towarzyszki, a panna stanęła opodal z zerwanym świeżo pączkiem róży w rękę, zbliżyłem się na chwilę.

— Szkoda róży — rzekłem bez uśmiechu, wskazując kwiatek.

Popatrzyła na mnie, nie rozumiejąc.

— Zwiędnie i umrze... — dodałem.

To było wszystko, co powiedziałem jej przy pierwszym widzeniu się naszym.

Tegoż dnia widziałem ją raz jeszcze, gdyż panie zeszły istotnie w porze *table d'hôte'u* do jadalni, gdzie zajęliśmy stół osobny, oddalony nieco od zalewającego salę żywiołu brytańskiego. Chociaż nie zdawałem sobie jasno sprawy z tego, o ile mnie ta wyniosła i niełaskawa dla mnie panienka zajęła, spędziłem godziny popołudniowe wyłącznie na oczekiwaniu owego wspólnego obiadu. Niebo zasepiło się ponownie. Z gąszczów szpilkowych i z wawozów górskich podniosły się mgły gęste i deszcz rzęsimy owinął całe wzgórze szarym welonem niedalekiej jesieni, zacierając stopniowo wszystkie piękności krajobrazu. Zabijałem czas w czytelnym przerzucaniem szablonowych skarbów hotelowej biblioteki, co nie nudziło mnie wszakże, ponieważ myślałem powracałem ciągle do świeżo zawiązanej znajomości.

Typ dziewczęcy dziwny i zajmujący. Obok skończonej elegancji wielkiego świata w ubraniu i w każdym ruchu, świeżość wiosni i jak gdyby biała nietykalność. Jeżeli przy dzisiejszem wysubtelizowaniu zmysłów pod względem estetycznym mówi się powszechnie o barwie tonów i o melodyi barw, to ja, określając przenośnią wrażenie, wywarłe na mnie przez tę dziewczynę, musiałbym zmieszać kilka cech razem: białość ałtasu, wonność wczesnej wiosny, perlisko rosy, i na symbol obrać rozwinięty w rosach kwiat narcyza. Jakoż, nie znając jeszcze właściwego jej imienia, nazwałem ją narcyzem.

Gdy przy okrągłym, bogato zastawionym stole siedziałem pomiędzy chorowitą damą w czarnej bogatej toalecie, a pretensjonalną jej towarzyszką, naprzeciw wiosennego narcyza, oblewanego ostrą światłością elektrycznych kinkietów, wiedziałem, że tory naszych istnień, zgoła odmiennych, zetknęły się tylko na moment, i że za moment rozejść się muszą, jak dwie, przypadkowo skrzyżowane, parabole, do dwu różnych należące systemów. Wiedziałem o tem, że pomiędzy mną a tą młodą, może dziewiętnastoletnią, Polką niema i być nie może żadnych punktów styecznych, i pamiętając o tem, postanowiłem nie mniej moment ów w miarę możliwości przedłużyć. Dodanie kilku dni nie stanowiło dla mnie żadnej różnicy, a przez kilka dni mogłem osiągnąć to, o co mi jedynie chodziło, to jest, zapisać spotkanie nasze w pamięci tej dziewczyny dokładniej, aniżeli się to dzieje zwykle w ruchomym kalejdoskopie podróźniczych wrażeń. Nic naturalniejszego, iż okazywany mi chłód obudził mój interes. Wstrząśniesz głową nad dziecinną małostkowością człowieka, oddanego spekulatywnej myśli! Lecz myśl jest tylko częścią ludzkiej istoty! Ludzkie istoty idą zazwyczaj na służbę małostkowych popędów i popędy swe ukazują w zbyt kownych ramach poezji, jako ideały! Dlaczegożby więc myśli nie miało być wolno dotknąć się rąbkami powszednich ideałów, jeżeli nie chce się bynajmniej cała w nich zatracić, lecz szuka tylko odświeżenia przed trudem dalszego pochodu?

Tak rozumowałem wówczas, patrząc z przyjemnością,

graniczącą niemal z podziwem, na narcyzową panienkę, zapewne niezmiernie daleką od chęci wyróżnienia przeżywanego epizodu z potocznej zmienności kalejdoskopu i przechowania go na trwałym gruncie pamięci, zwłaszcza życziwej pamięci. Co do mnie, wiedziałem już, że nie wyjadę zaraz z Giessbach. Na razie rozmawiałem niemal wyłącznie z matką i zadawałem sobie wielki przymus, aby z tem się nie zdradzić, że dyskusya nad poruszonymi przez nią tematami niewystowienie mnie nuży. Panna mało mieszała się do rozmowy. Słowa jej tyczyły się przeważnie chorej i tchnęły ogromnem przywiązaniem. Przy tej sposobności oglądałem znów parę razy jej perłowy uśmiech. Usłyszałem też jej imię, które, jak pieszczota, o słuch mi musnęło. Henrysia! Raz pocałowała ją matka przy mnie w czoło i w usta, co sprawiło na mnie wrażenie poniekąd nieprzyjemne. Pod koniec zacząłem mówić o samem Giessbach i o szczególnych pięknościach berneńskiego kantonu. Okazało się, że biedaczka nigdzie nie była, niczego właściwie nie widziała, nawet nie dotarła jeszcze do wyższych wodospadów, dotrzymując towarzystwa matce, a pełną była szczerzego uwielbienia dla górskiej natury. Ofiarowałem się, oczywiście, na przewodnika, przynajmniej do wodospadów — na razie bez rezultatu. Premisy były jak najgorsze.

W pomoc przyszedł mi przypadek, w posępnej i smutnej formie nagłego pogorszenia się stanu chorej w ciągu nocy. Dowiedziawszy się o tem w godzinach porannych od służby, udałem się natychmiast po bliższe szczegóły do zakładowego lekarza, który nie przedstawił rzeczy w barwach zbyt groźnych, ale też nie wzbudził we mnie wcale dostatecznego zaufania w trafność swej dyagnostyki. Przypomniało mi się wy czytane w dniu poprzednim nazwisko jednego z głośnych kliników wiedeńskich, bawiącego w Lucernie, i wyprawa do Lucerny, celem sprowadzenia tej medycznej znakomitości, była w tejże chwili postanowioną. Jakkolwiek chora czuła się znów nieco lepiej, oznajmiłem mój zamiar pannie za pośrednictwem damy-towarzyszki, którą prosiłem w tym celu o parę słów

rozmowy. Niebawem miałem przed sobą tę, dla której gotów byłem przemienić się w filantropa. Była nad wyraz przestraszona i już nie tak poprawnie chłodną, jak poprzednio. Sądziła, że lekarz odkrył przede mną prawdziwy stan rzeczy. Uspokoilem ją, jak mogłem, zaznaczając, że wycieczka do Lucerny nie będzie dla mnie żadnym wysiłkiem, przeciwnie, że wobec beznadziejnej słoty przyniesie mi pewne urozmaicenie, i że łączące mnie ze słynnym specjalistą stosunki ułatwią znacznie sprowadzenie go do Giessbach, co doda niezawodnie chorej i nam wszystkim otuchy.

W rzeczywistości, przedsięwzięcie moje nie było łatwem. W drodze na wysoką przełęcz Bruenigską, patrząc na strumienie deszczu, zasłaniające świat, i słuchając głośniego turkotu kół, zazębiających się o szyny, stawiałem sobie nawet pytanie, czy nie czynię za wiele i czy nie zasługuję na zarzut śmiesznej donkichoteryi? Nie umiałem postępowania swego ściśle zdefiniować i osądzić.

Wiedeńskiego lekarza odszukałem z trudem, a że pora dnia była już dość spóźniona, nazajutrz dopiero przed południem przybyliśmy do Giessbachu. Po odbytej konsultacji, lekarz zalecił chorej zupełny spokój i wydał kilka nic nieznających higienicznych rozporządzeń. Mogła żyć jeszcze parę tygodni, nawet parę miesięcy, a także mogła zgasnąć za parę dni. Prosiłem medyka, ażeby uspokoił, o ile możliwości, obie panie, a jednocześnie, aby podsunął im ostrożnie myśl zawezwania kogoś z najbliższej rodziny, by, w razie katastrofy, nie zostawić osieroconej panienci bez wszelkiej opieki. Napisano istotnie do kogoś z najbliższych krewnych. Jak się zresztą dowiedziałem, kilka rozmaitych rodzin zapowiedziało swe odwiedziny w Giessbach, w czasie przejazdu przez Szwajcaryę z początkiem września. Chora cieszyła się na to spotkanie i z całą ufnością mówiła o przyszłości. Atak minął bez dostrzegalnej szkody.

Podjętych około niej trudów i starań, a tem samem zmarnowania blisko dwu dni na jazdy i narady z wielkim internistą, bynajmniej nie żałowałem. Ogarnęło mnie uczucie

żywego zadowolenia, gdy, zszedłszy się wnet po odjeździe lekarza z memi paniami, przedstawiałem w obecności chorej raz jeszcze rzecz w ten sposób, iż ów uczony szczęśliwym zbiegiem wypadków zawitał właśnie do Giessbach, w czym niema nawet śladu zasługi z mej strony. Panna, słuchając mych kłamstw niewinnych, zachowywała się już nieco inaczej, niż przedtem, i widać było, że w usposobieniu jej odbywa się jakaś przemiana. Może obok obojętności i nieufności pojawiły się dwa inne czynniki: zaciekawienie i wdzięczność. W szczegóły tego psychologicznego procesu nie próbowałem wglądać, i w dalszym ciągu prowadziłem taktykę uprzednią, gawędząc niemal wyłącznie z matką, która opowiadała mi szeroko jakieś historye sezonowe z Trouville.

Bezpośrednio potem znalazłem się na pięknej terrasie hotelu, sam na sam z moim narcyzem. Pierwszy raz sam na sam, ponieważ niemego spotkania przed trzema dniami liczyć nie mogę. Ona uważała najwidoczniej za swój towarzyski obowiązek podziękować mi za oddane usługi. Powiedziała więc kilka słów uprzejmych, nawet serdecznych, z których zapamiętałem jedno tylko zdanie:

— Pani taki dobry dla mamy, że nie wiem, jak dziękować...

Na słowa te mogła oczekiwać odpowiedzi, że spełniłem tylko elementarny obowiązek, spiesząc z pomocą kobietom i rodaczkom, że będę się czuł szczęśliwym, mogąc być jeszcze nadal przydatnym, i wiele tym podobnych komunałów, które bywają powszechnie przez świat powtarzane każdego czasu i na każdym miejscu, sposobem mechanicznym, wszelako w przekonaniu świata uchodzą za powinność i prawdę. W moich ustach każda taka odpowiedź byłaby śmieszną i maryonetkową, a w oczach tej dziewczyny nie chciałem być ani śmiesznym, ani maryonetkowym.

Po chwilce wahania objaśniłem ją więc, z niepotrzebną może skwapliwością, w tonie suchym i przedmiotowym, że nie ma mi za co dziękować, i że dobrym w jej rozumieniu wcale nie jestem. Sprawiam po prostu sobie samemu przy-

jemność, jeżeli przychodzę jej z pomocą. Na usługi ich pozostanę tak długo, jak długo sama zechce. Powiedziałem jej także wprost, że żaden wzgląd nie wiąże mnie z Giessbachem, że miałem zamiar spędzić tu tylko jeden dzień, ale, zobaczysz ją zaraz pierwszego wieczora, postanowiłem pozostać tak długo, jak długo ona pozostanie.

— Kieruje mną więc tak zwany egoizm, racya bytu, tak wśród ludzi powszechna, iż na podziękę nie zasługuję — dodałem, patrząc w jej srebrne źrenice, które nagle przybrały znów dawny wyraz obojętności, i na różowe usta, które straciły uśmiech i znów stały się ustami chmurnego amora.

A widząc złe skutki, jakie wywołała moja szczerość, zmieniłem pospiesznie temat rozmowy i powróciłem do pomyślnych orzeczeń i horoskopów, stawianych przez tak znakomitego lekarza.

Manewr się powiódł, rozmowa nasza rozgrzała się ponownie błyskami serdeczności. Zadałem jej pytanie znowu nie całkiem poprawne, a przynajmniej zbyt poufne.

— Czy matkę kocha pani bardzo?

A gdy nie wiedziała, jak się wobec pytania tego rodzaju znaleźć, ciągnąłem dalej:

— Ja to już zauważyłem, że pani przywiązana jest do niej całym sercem, jak niewiele dzieci dzisiejszej doby. I ma pani słusność. Niech ją pani bardzo, bardzo kocha, bo tak, jak matka panią kocha, nikt już w świecie kochać pani nie będzie, ani kochać nie może. Wiem już poniekąd, jak pani wskutek otrzymanego wychowania na świat się patrzy i wyobrażam sobie, że wierzy pani szczerze w istnienie na globie naszym wielkich miłości... takich jasnych, lazurowych, archańsko skrzydlatych i wszechpotężnych. Nie znam dotychczasowego życia pani, jednak, na podstawie doświadczenia i znawstwa ludzkiej Psyche, twierdzić mogę, że do dziś dnia nie znalazła jej pani. Byłoby to zresztą za wcześnie. Ale i w przyszłości, gdyby kiedykolwiek spotkała pani, czy w Paryżu, czy w Trouville, czy na wierzchołku samej Jungfrau, jaką miłość, która pogodnym jej wiarom wydałaby się lazur-

rowym aniołem, niech pani i w takim razie nie spodziewa się klejnotu, któryby mógł dorównać sercu matki. Bez wątpienia, jest miłość macierzyńska, jak wszelka inna, czystym egoizmem. Wszelako, oceniając życie, nie ze stanowiska rozwojowych konieczności, lecz ze stanowiska wrodzonych instynktów, trzeba egoizm matki uznać za kruszec stokroć szlachetniejszy, aniżeli kruszec innych serc...

W miarę, jak mówiłem do niej w ten sposób, w kryształowych jej źrenicach mnożyły się pytańki, a głos mój cichł, miękł i wzbierał nieuzasadnioną żadnym zrozumiałym motywem słodyczą. Bo, mówiąc z nią o matce, i widząc, jak błogą ufnością nappełnił ją sąd sprowadzonego lekarza, odczuwałem władzą wyobraźni obecność ciężkiej chmury zgryzoty, która, niedostrzeżona jeszcze przez nią, zatrzymała się nad tą jasną głową, aby pierwszą słoneczność wiosny zawrzeć tak rychło żałobą... Wyobrażałem sobie, jak na jej płowe włosy, oświecone teraz łagodnie powracającą pogodą nieba, padać będą promienie świec, zapalonych przy zwłokach matki, jak ze srebrnych oczu posypią się łzy perliste i jak pieszczotliwe wargi drzeć będą od trawiącego żalu... Patrzyłem w myślach na takie obrazy — na poły jako Sfinks, który zna przeszłość, teraźniejszość i przyszłość, i widzi przed sobą słabe stworzonko, ufające życiu, na poły jako człowiek pragnący miłości, który chętnie dawałby pocałunki tym ślicznym ustom, i oczom, i włosom, a wie, że najtkliwszym wybuchem erotyzmu nie zastąpi tego, co pójdzie pod ziemię wraz tamtemi zwłokami.

Jej zmieszanie wzrastało razem z falą słów moich, słów dla ucha jej zapewne niezwykłych. Może pojmowała już wtedy, że nie ma do czynienia z pospolitym łowcą i wielbicielem kobiet, ale zrozumieć zapewne nie mogła, w jakim celu i dla czego właśnie wówczas mówiłem jej takie rzeczy. Przytem, z całego jej zachowania się przebijała pewna troska i obawa, że znów schodzimy w temacie naszym na tory, jeżeli nie złe, to jednak niewyraźne, a przed tą, nie całkiem

przejrzystą sferą, Psyche jej cofała się z wrodzoną odrazą. I tem właśnie ujęła mnie niepomieranie.

Była dla mnie pierwszą kobietą, która nie próbowała zdobyć sobie moich zachwytów ani minoderyą, ani przysuwaniem się do mnie na odległość oddechu, ani żadną inną sztuką dusznych buduarów, jakimi szermują kosmopolityczne Cléony, a niekiedy i alpejskie Oready. Jej płochliwa Psyche chroniła się przede mną w białą gęstwinę narcyzów, choć oczy moje były czyste i nie muskały jej ciała temi spojrzeniami, które są jak pocałunki.

Usta jej rozchyliły się dwukrotnie, jakby mi chciały przerwać, aż zapytała wreszcie, czy rodzice moi żyją?

— Ojciec mój żyje, ale takich starych dzieci ojcowie nie pieszczą. A matka moja umarła wcześniej, odeszła mię jeszcze w dzieciństwie, więc pocałunków nie odbieram żadnych...

I zacząłem z prostotą i z chęcią wielką opowiadać jej różne szczegóły z dzieciństwa mego i o matce, po której zostało mi wątle, lecz drogie wspomnienie, woniejące tymi kwiatami, jakich, według słów twych, kuzynko, było u niej tak wiele, nie tylko na trawnikach jej domowego królestwa...

I dziwną jest wytrwałość, czy siła życiowa takich kwiatów spłwiałych! Gdy dobywałem je ze skarbca pierwotnych dziecięcych wrażeń, owe stokrotki i jaskry, co rosły na owalnych gazonach naszej wiejskiej posiadłości, i tamte inne kwiaty, które z marzącej duszy swojej chciałyby była przeczepić w maleńkie serce syna, a które poszły zwykłą koleją wraz z nią pod ziemię, wszystkie one zdawały się zmarłychwstawać naprawdę, jak obrońce, przysłane mi na pomoc, i otaczać mi czoło jutrenkową aureolą, ażeby jutrenkowymi blaskami zdobyć dla mnie serce pożądanej dziewczyny.

Czy zmarłychwstająca dla mnie opieka matki pomogła mi wtedy istotnie? To jedno odgadywałem, że sprowadziła pomiędzy nas atmosferę, jaką nie oddychaliśmy przedtem, atmosferę obcą zupełnie salom, terrasom i ogrodom międzynarodowych hoteli, a właściwą prawdopodobnie mura-

wianym zajazdom dziedzicznych siedzib i sielskiej architekturze takich ganków, jaki w Krasowcach mieni się teraz niezliczonymi centkami kielichów powoju. W powiewie, niesionym od tych stron dalekich, znanych nam oboju z lat wczesnych i opuszczonych na zawsze, było nam tak dobrze, że uwagi naszej uszedł zapadający wieczór i długi przeciąg czasu, któryśmy przesiedzieli u kamiennej balustrady, wysoko ponad głębokiem milczeniem jeziornych wód.

Towarzyszka moja podniosła się pospiesznie, aby zajrzeć do chorej... Zastąpiłem jej drogę. Miała przy staniku z jasnopерłowego sukna, na którym hafty białych latorośli występowały wypukłą rzeźbą, parę listków bluszczu i gałązkę barwinku, złożone w mały bukietik: poprosiłem ją o darowanie mi tych listków. Odmówiła bez wahania; odmówiła z owym charakterystycznym u niej wyrazem twarzy, głosu i całej postaci, w którym czuć się dawała nieporadność zmieszanego dziecka i zarazem wyniosłość wielkiej damy, odcień niezadowolienia i jak gdyby obawa przed sprawieniem mi tą odmową przykrości. Dla mnie zaś była ta jej odmowa czemś oczekiwanem i miłem, była probierzem prawdy dla sylwetki, jaką sobie ze spostrzeżeń dotychczasowych urobiłem, radością prawie. Lecz dla niej miałem tylko nagłą powagę we wzroku, a na ustach skonanie uśmiechu.

— Niechże mi tej drobnostki nie odmawia — nalegałem jeszcze, przystępując bardzo blisko. — Żądanie moje wydawać się musi, co prawda, bardzo naiwnem i traci zbutwiałym romantyzmem. Mnie wszakże chodzi nie tyle o owe listki, które tkwią u jej piersi, ile raczej o dar jakiś, otrzymany z jej ręki w nagrodę za rzekomą dobroć serca, a za dar taki obrałem właśnie skromną wiązanek, nie przedstawiającą dla niej żadnej wartości. Proszę o ten drobiazg bardzo usilnie, pragnę objawu życzliwości, nieuświęconego obyczajem. Może już nigdy nic innego, coby mi ofiarować chciała, nie miałoby dla mnie równej wartości, chociażby nazewnętrz wydawało się rzeczą wielką i cenną. Jeżeli odmówi mi teraz, to odmówi wraz z tą jedną gałązką raz na zawsze wszystkiego, gdyż

tylko chwila obecna stanowi dla mnie o wartości ofiary. Chwila ta teraz trwa jeszcze i drży w powietrzu, a za moment rozemdleje się w nicość i nigdy nie wróci. Czy wie, że wyrządza mi krzywdę, której już nigdy i niczem powetować nie zdoła?...

Ale ona, przelekła mem naleganiem, oparła się stanowczo, choć łagodnie. Stanowczość ta, jakkolwiek sam chciałem ją widzieć taką, jaką była, sprawiła mi przecież przykrość.

— Moment minął i nie wróci — rzekłem ze smutkiem.

A kiedy odchodziła, rzuciłem jeszcze pytanie, czy chce pójść ze mną wieczorem, w czasie iluminacji, ku wodospadom? Gdy zaś wstrząsnęła głową przecząco, dodałem sucho:

— Za natarczywość w żądaniach przepraszam i nie dopełnię jej już więcej. — Poczem usiadłem na ogrodowej ławce, pozwalając jej odejść samej i iść przez szerokie wschody fasady do wnętrza budynku.

Nastąpił szereg dni, może tydzień, w ciągu których stosunki nasze ograniczały się na najniezbędniejszej, towarzyskiej wymianie zdań o rzeczach obojętnych. Nigdy nie przemawiałem do niej pierwszy. Natomiast oddałem się całej opiece nad chorą, siłąc się na wynajdywanie i oddawanie jej drobnych na pozór i nieznacznych, a jednak pożądaných i tak licznych przysług i ułatwień, że stawałem się z każdym dniem niezbędniejszym i zaskarbiałem sobie u tych pań coraz większą życzliwość. Szczególniej matka przywykła do swego przygodnego opiekuna tak rychło, że w każdej sprawie zwracała się do mnie i do wskazówek moich nabierała coraz większego zaufania. Ja zaś wmawiałem w nią stałe polepszenie się zdrowia i pielegnowałem coraz chętniej i szczerzej.

Ażeby oddalić od ciebie, kuzynko, przypuszczenie, że troskliwość moja o tę kobietę była zimnym manewrem strategicznym, obrachowanym na usidlenie tamtego młodego serca ze strony najłatwiej dostępnej, dodać tu muszę, że inne czynniki odgrywały tu rolę z pewnością ważniejszą. Po pierwsze: dziele z większością ludzi naukowych tę właściwość, że każde, raz podjęte zadanie, uważam wnet za cel sam w sobie i prze-

prowadzam możliwie dokładnie; powtóre: przyzwyczajam się wogóle nader łatwo do miejsc i ludzi; nakoniec znajdowałem się wobec istoty, którą porządek świata przesunąć miał niebawem w rozciągłość i w wymiary innego bytu, a proces tego przesuwania nie traci nigdy na rdzennej swej wadze i żywiołowym majestacie. Przypadek uczynił mnie obserwatorem zjawiska o nastroju dlatego właśnie do pewnego stopnia tragicznym, że ja, bierny świadek, z całą jasnością analizy widziałem jego mechanizm w pełnym, niewstrzymanym ruchu, a na widowni ludzkiej nie było tragiki ani śladu. Przeciwnie: samo słońce nadziei, otucha, błyskotliwość zbytkownego otoczenia i różowy obłok nieświadomości, rozpostarty przed krótkim wzrokiem trącanych już palcem losu aktorów. Następstwo tej sytuacji wyrazić możemy językiem nieracjonalnym i nienaukowym, ale potocznym, iż mi pacjentki naszej było żal. Nie chciałem, by na zakończenie dostrzegła cokolwiek z zakulisowego mechanizmu. Byłbym, owszem, bardzo chętnie ulubionej błyskotliwości przysporzył, różowy obłok zagaścił i nektarem otuchy upoił ją aż do niepamięci.

Interesowałem się więc niby sezonowymi wiadomościami z Trouville, przybierałem wszystkie gusta i upodobania światowego włóczęgi i niekiedy tylko odzywałem się z jakimś zdaniem, z jakimś poglądem *pro bono meo* na rachunek tej, która już dawno musiała zrozumieć, że w interesie jej matki gram dobrowolną komedię z dużym wkładem ustępczej pobłażliwości dla chorej. Jakoż za każdym razem podchwytывała wątek, zlekka przeze mnie poruszony, usiłując widocznie okazać, że i ona w innych dziedzinach myśli, niż te najpowszedniejsze, chętniej się obraca. Ale ja z wytrwałą powściągliwością nie podejmowałem nigdy obszerniejszej dyskusji. Zwracałem się wprost do niej tylko w razie koniecznej potrzeby, a na skierowane do mnie pytania odpowiadałem zwięźle, patrząc na nią spokojnie, poważnie i z wyrazem tajonego żalu. Wtedy ona srebrnymi żrenicami szukała mego wzroku, jak gdyby pragnęła się przekonać, czy istotnie drobne zajście, wywołane jedynie przez towarzyską niewłaściwość

z mojej strony, mogło się stać dla poważniej myślącego człowieka przedmiotem nieporozumienia, i jak gdyby cień owego nieporozumienia pragnęła z pomiędzy nas usunąć. Ta jej małeńka troska, płynąca, oczywiście, z wrodzonej łagodności serca, była mi tak miłą, że trwałem w swym dziecinnym uporze.

Podobnież i o wspólnych przechadzkach nie było więcej mowy. Pogoda tymczasem ustaliła się i wraz z wrześniem przyszły dni ciepłe, jaskrawe, chociaż jesienne. Hotel zapełnił się świeżą i ostatnią już falą turystów. Dość wiele przesiadywałem z paniami w parku, gdzie koncertowała kapela zakładu. Wieczorem patrzyliśmy z terrasy na czarodziejskie efekty magnezyowych świateł, zapalanych iskrą elektryczną równocześnie na wszystkich piętrach kaskady. Przed olśnionym widzem znikał wtedy cały potężny szmat góry w nieprzeniknionej ciemności, a gorzał tylko kręty słup potoku, który roziskrział się na stropie gdzieś pomiędzy gwiazdami, mgłą chwiejną rozpryskanej wody i posuwistym zygzakiem ześlizgiwał się z czarnego płaszcza nocy w otchłań wąwozu, szeroko rozwartego u podnóża góry. I bywał to istotnie widok arcypiękny, gdy pęki magnezyowych promieni zmieniały raz po raz swą barwę, oświecając czarną koronkę jodłowych gałęzi, bramujących kaskadę, ciskając w srebrzystość nurtów deszcze złote i wysyłając raz po raz na ciemny firmament rakietowe gwiazdy, które stawały krótką chwilę na niebie w świetności wielkiej i cicho gasły, jak myśli zbyt śmiałe, roztrącone o wieczność. Z miejsc, kędy pękły, spadały potem bezsilne łzy ogniste i tonęły w rozchwiejach wodnej kurzawy, unoszącej się nad strumieniem.

Angielskie damy, obróciwszy niedokrewne twarze na te magiczne świty, powtarzały niestrudzenie: «*Splendid! splendid!*», a moja dziewczeczka żałowała tylko, że czarowny moment iluminacji trwa tak krótko!

— Przelotne czary Giessbachu — zauważyłem, zwracając się do matki — mają przynajmniej tę dobrą stronę, że za pieniądze dają się co wieczora wyczarowywać na nowo. Ten

plomień zaś, który na wiosnę ogarnia serca ludzkie i daje im różne piękne kolory, trwa równie krótko, lecz nie wraca nigdy...

Myśl moja przeciągała wówczas przez rozległy obszar uczuć, rozduń i pragnień, pełen nierozjaśnionych cieni i nieuchwytnych granic, który otaczał mi duszę zagadkowym pierścieniem. I dorzuciłem jeszcze:

— Przelotna gwiazda szczęścia zjawia się raz jeden w życiu każdego człowieka, w kształcie iskry nieśmiałej, a niepoznana, lub wzgardzona, leci dalej i już nie wraca.

Przez twarz tej, do której właściwie mówiłem, przemknęło leciutkie drgnienie i zatrzymało się na chwilę w poruszeniu ust, w poziomym ściągnięciu brwi i w słabej zmarszczce na czołe, jak to spostrzegałem u niej zawsze, ilekroć zajęta była intensywnie jaką myślą trudną i niejasną. Czy zastanawiała ją gwiazda szczęścia? Czy mniemała że się skarże?

Tego samego wieczora zapytała mnie: czy bardzo jest daleko do najwyższego wodospadu? Przypuszczałem godzinę drogi pod górę. Bardzoby sobie życzyła dotrzeć aż do szczytu i znaleźć się na szmaragdowych połoninach, usianych szalekami pastuchów, stąd już widniami. Obiecywałem jej, że tam na górze niema już prozaicznych turystów, że natomiast widzi się wokoło niestrzyżoną kwiecistą trawę, nierówno wydeptane ścieżki, trzody, dzwoniące echowo, turnie, porośłe kosodrzewiną i kępami rododendronu, a nad tem wszystkim ogromny krąg kryształowej atmosfery, zatoczony w kopułę światła i wolności nad zjeżonymi grzbietami górskich łańcuchów, łańcuchów szarych, liliowych, sinych, tak wreszcie błękitnych i czystych, jak niebo. Gdzieś w upokarzającej głębi widać może stamtąd dachy i klomby Giessbachu — podobne do dziecinnych zabawek — i jego mieszkańców, drobnych, jak mrówki, które poruszają się między sztucznymi arabskimi klombów, ani przeczuwając, jak to się myśli i czuje na szczytach! Na jasnych i wolnych szczytach!...

Nazajutrz znalazłem się wcześniej niż zwykle przed do-

mem w gwarze poliglotycznym duszyczek wędrownych, rozdawanych wspaniałą pogodą. Nie czekałem długo; ukazała się na stopniach wiodących do westybulu, sama jedna, w gładkim spacerowym kostymie, z kapeluszem i parasolką w rękę. Spostrzegłem też natychmiast ciemno-zieloną wiązaną listków, zatkniętych u paska. I w niej było tego ranka wiele słońca i radości. Uśmiechała się do mnie już z daleka i wyciągnęła rękę na powitanie. Okrążywszy parów, rozcinający opokę tuż pod platformą hotelu, skierowaliśmy się w las ku wodospadom, jak gdybyśmy byli wyprawę tę wyraźnie między sobą umówili poprzedniego wieczora.

Matka czuła się zdrowszą niż zwykle: można było zatem oddalić się na parę godzin.

Szliśmy powoli, cienistym lasem szpilkowym, miejscami świetlistym, miejscami ciemnym i omszonym, drogą pnącą się w krótszych, lub większych zawrotach wzdłuż strumieniowego łożyska, coraz wyżej i wyżej. Tam, gdzie wody potoku głośniejszą i wyższą kaskadą miotają się wśród urwisk i głazów, zatrzymywaliśmy się na lekkich mostkach, rzuconych tuż nad rwącą falą, albo zbaczali ze ścieżki na głązy wysterczające z wody, skąd spędzaly nas bryzgi piany i dyamentowe w słońcu tumany gęstego pyłu, wybuchające z lejkowatych zagłębień. Ona nie słuchała grzmiących okrzyków rozpaczy, bijących z kaskad i fontan o szklaną pogodę powietrza. Ją zachwycała nowość widoków, szumny ruch żywiołów dążących do równowagi, jaskrawość barw i zwycięska świetność słońca, które nasycalo wodę tęczami i było w stanie w naj-marniejszą kroplę wszczepiać swoje blaski. W wędrowce naszej natrafiliśmy w kilku miejscach na kopce brudnych popiołów i wbite w ziemię opalone słupy z resztkami fajerwerków. Te zgłiszczą raziły ją, jako czarne i szare plamy, wśród soczystej gęstwiny ziół leśnych i na tęczujących granitach.

— Jeżeli wszystko, co zdala od nas płonie i olśniewa, tak się przedstawia oglądanie z bliska...

Ale przerwałem jej.

— To tylko żuźle. Nie trzeba myśleć o tych rzeczach spalonych i smutnych.

W rzeczy samej, młodość, mająca żyć, nie powinna myśleć o żuźlach. Gdyby myślała o nich, musiałaby się była przedewszystkiem ode mnie odwrócić.

Szliśmy pod górę po stromym stoku rozgrzanego przez gorąco południowe lasu. Ta narcyzowa dziewczyna kryła w sobie zarzewia wszystkich ogni, z których ludzie rozniecają swe przewodnicze światła, tak nieodzowne dla życia, jak tlen, albo woda. Ja niosłem z sobą pod tę słoneczną górę tyle popiołów zimnych i ciemnych, że musiałbym się jej wydać słupem żałoby, czarniejszym od tych, na których powiewały strzępy wygasłych słońc magnezyowych. Wolałem zaś wydawać się jej czemś zgoła przeciwnem, czemś piękniejszym nawet i ciekawszem, aniżeli brylantowe fontanny, aniżeli te rumieńce promienne, co błędziły po pniach żywicznych, aniżeli gałązki jeżyn i malin zwieszające się z pomiędzy drzew na naszą ścieżkę, niż rój łatek i motyli nad fioletem tojadu i fioletem cyklamów. Dlatego więc udałem się tu po pomoc do kwiatów i czarów natury. Napeniłem swe myśli barwami dzwonek i motyli, wonią malin i jodeł, ubrałem je w srebrzystość stopionego śniegu, który rzucał się obok nas ze skały, niosąc gwar i wrzawę wodospadu w dolinę... i mówiłem jej o pięknościach alpejskiego świata.

Zbliżaliśmy się do niego istotnie, z regionów hotelowego szablonu i płatnych osobliwości. Las stawał się coraz rzadszym, coraz węższa i stromsza ścieżka nasza przecinała zręby poszyte karłowatymi klonami i leszczyną. Kwiatów i jagód było coraz więcej, a brzegi Giessbachu stawały się coraz urwistsze i niedostępniejsze.

Słuchając tego, com mówił, przystanęła z zarumienioną twarzą, z piersią falującą, pod gładkim stanikiem, od długiego pochodu. Ona sama miała w sobie wszystkie uroki i tęczę nieśmiertelne dziewiczej natury, świeżość malin na ustach i błękitną srebrzystość w oczach... Kilku aż tu zagnanych *viveur'ów* w pretensjonalnych nieco, alpinistycznych *dressach*

którzy przecięli nam drogę, obrzuciło nas wzrokiem zacięwanym i badawczym, wymieniając między sobą żywe uwagi. Wzięto nas zapewne za parę narzeczonych, albo kochanków, żądnych samotności.

Prawdą zaś było, że na widok mojej chciwej słuchaczki wołałbym być rzec się wszelkiej słodczy, nawet, gdyby mi jej — któż wiedzieć może? — nie broniła, aniżeli spaść w jej wyobrażeniu do poziomu powszedniej małości. Prawdą było, że nawet w tych miejscach, gdzie ścieżka mogła się jej, nie-wprawnej i niedoświadczonej, wydać zawrotną i niebezpieczną, nie podawałem jej dłoni, na co przecież i surowa władczyni Krasowiec młodej parze budniczej na puszczonej polanie bez skrupułów pozwala. Może dumny myśliciel, nie chcący nic dzielić z gminem, poświęcał we mnie szczęście człowieka. Dość, że zamiast jej mówić słowa słodkie i różane, wielbiłem przed nią majestat nadchmurnych lodowców i porównywałem go z małością ludzkich sił i pragnień. Zamiast stać jej pod stopy miękkie girlandy pochlebstwa, z zawziętą otwartością wyznawałem, że w dzikich pustkowiach niebosiężnych gór wolę być zawsze samotnym... Czyż jest kto duchem tak rozskrzydlony i potężny, by wśród owych najwyższych i najczystszych wymiarów ziemi stanąć zdołał na jednym ze mną poziomie myśli i jej wzlotów?

Nie wiem, nie wiem, czy ona pojmowała w zupełności znaczenie tych i innych słów moich. Mówiła mi, iż prawie nigdy nie bywa zupełnie samotną, że jednak taką samotność, o jakiej opowiadam, przeczuwa i że musi to być uczucie nadziemskie... Czy twierdzenie to harmonizowało istotnie z ogólnym wyrazem jej życiowych dążeń i poglądów? Czy wołałaby była może odkrywać więcej krwistego płomienia?...

Bo płomienie, w które ubierałem się przed nią, były błękitne, ale może posiadały dla niej pewną świetność rzeczy rzadkich... Może, rozwijając się bezpośrednio dla niej i przed nią, nęciły ją podobnie jak szmer górskich wód i zapach górskiego lasu, i może dzielić im wypadło los takich subtelnych wrażeń, które w balowych salach i na trybunach turfu

zwykły ulatniać się bez śladu... Teraz dopiero uświadamiam sobie jak mało zajmowałem się rozpoznawaniem indywidualnego kierunku jej myślenia. Z rozmów, które prowadziliśmy z sobą, przychodzą mi najczęściej na pamięć obrazy moich własnych idei. Postać jej staje dzisiaj przede mną w arabskich, kolorach, blaskach lub cieniach pomysłów, porywów i nastrojów, jakie wkoło niej, w niej i dla niej, sam i własnowolnie wywoływałem... Czy nastroje moje były zarazem poezją, mieszkającą stale w jej duszy, z tego zdać sobie sprawy nie umiem. Ona była przeważnie słuchaczką moją, słuchaczką zasłuchaną i porwaną. Gdy oczyma wyobraźni patrzyła w zakłętość śnieżnej krainy, taką, jaką ja przed nią odsłaniałem, gdzieś wysoko, oprawioną w zorze seraficznych poranków i w purpurę zaświatowych zachodów, tak piękną, jakiej niema ani w górach Szwajcaryi, ani nigdzie na ziemi, natenczas z salonów nektarniczych i z trybun turfu nie pozostawało w niej nic, prócz nieskazitelnego wykwintu postaci i układu, ale żaden pyłek stamtąd przyniesiony nie zamącał jasności jej duszy. Wtedy była samem uniesieniem, samą tęsknotą i byłaby szła przez śniegi ad astra!...

Jednak młodej dziewczynie trudno jest wznosić się długo ku wyżynom tak odległym! Trudno i daleko! Staliśmy zaledwie na połowie góry, las się jeszcze nie skończył, nie gięła się nam jeszcze pod stopy szmaragdowa trawa, ani trzody nie dzwoniły echowo, gdy spostrzegła biedaczka z żalem i przestachem, że musi już wracać do matki, którą na tak długo zostawiła samą!...

Schodziliśmy więc pośpiesznie w dolinę...

Po drodze zaprowadziłem ją jeszcze na skalisty krążanek, który pominęliśmy poprzednio. Trzeci główny wodospad spływa nader szeroką wstęgą z kamiennej ściany tak silnie przechylonej, że obszedłszy rozpadlinę można się dostać poza wodospad i z ciemnej, chłodnej arkady oglądać świat, pełny barw i słońca, przez srebrno-modry welon ruchomej fali. Efekt ten jest tak niespodziewany i czarowny, że mój narcyz zamilkł w najgłębszem skupieniu.

Stała bez ruchu, zapatrzona w naturalne czarnoksiężstwo kolorów i zaszuchana w płaczliwy szmer kaskady, który przenikał tu całą skałę, drżącą od nacisku wód, i wydawał się głosem martwych kamieni, albo uwięzionego tutaj w cieniach i wilgoci niebieskiego światła. Nie przerywałem milczenia, lecz oparty ramieniem o narożnik jodłowych wiązań, tworzących arkadę, począłem przypatrywać się jej z uśmiechem. Zapomniawszy zda się, o wszystkim, co leżało poza urokiem tej szklanej ustroni, słuchała i patrzyła. Nic, tylko słuchała i patrzyła. Myślała także. Zmarszczka zadumy wystąpiła pomiędzy zsuniętymi brwiami i różane wargi rozchyliły się lekkim drgnieniem, jak gdyby chciały szeptem wtórować pracującym w niej myślom, uczuciom, obrazom.

Zaś uczucia te i obrazy musiały być z tych, co «uśmiechami rozrywają łono...» Wkrótce potem pojawił się na jej ustach promień bezwiednego szczęścia, przebił się na twarz całą i napełnił oczy wyrazem cichego rozrzewnienia czy zachwytu... Patrzyłem na grę tych wewnętrznych jutrzeń, na tęczę błękitne i połyski padające na nią od bladawego słońca, którego pienista zasłona pochłonać nie zdołała; patrzyłem tak sporą chwilę, pokąd nie ocknęła się z zamyślenia i nie spotkała mojego wzroku.

A wtedy mieszała się bardzo, jak gdybym podpatrzył zdradliwie jakąś wielką a źle strzeżoną tajemnicę.

I chciała była zapewne wytłómaczyć się żartobliwie z zadumy swojej i tego wniebowzięcia, jednak i w spojrzeniu mem, i w uśmiechu musiało być tyle otwartej i ciepłej tkliwości, że zapominała o ekskuzie, a rumieniec nagły i coraz gorętszy występował na rozgrzane policzki, ogarniając stopniowo łuną przejrzystą i skronie, i czoło, i szyję, jak u dziecka, schwytanego na gorącym uczynku. I w chwili tej, gdy stała przede mną taka zapłoniąca cała i bezradna, przysłoniwszy źrenice rzęsami, odbiegła ją po raz pierwszy wielkoświatowa dostojność i stała się raczej podobną do uczennicy, która źle wydała swą lekcję. Wówczas też, po raz pierwszy przyszło

mi na myśl ująć ją w ramiona, przycisnąć do piersi i zcałować z niej tę łunę nietykalnej skromności.

I byłyby może — nie zdając sobie dokładnie sprawy z tego, co się z nią dzieje — została mi na piersiach cicha i niepamiętna...

Niestety, uprzytomniłem sobie zaraz całą istot naszych odmienność. Równocześnie uprzytomniłem sobie białą i chłodną krainę, moją własną, chłodną i dumną krainę mojej myśli, której — co po narcyzach? i uprzytomniłem sobie jeszcze wesołe przy spotkaniu z nami uśmiechy owych nektarników, od których wzgardliwie zmrużyły mi się powieki.

Aż stało się, że wyprowadziłem ją z błękitu fantastycznej groty na upalną jaskrawość południa, a niedługo oddawałem matce, nietkniętą, jasną i promienną...

Nawet listki barwinku, zatknięte u paska, z nią razem powróciły w dolinę...

W godzinach popołudniowych znaleźliśmy się wszyscy w naszym ogrodowym kiosku. Ona miała przy sobie małą książeczkę Lotiego «Les Pêcheurs d'Islande». Znałem już tę cudną pieśń, wyśpiewaną przez romańskie usta na cześć morza i miłości.

To też chętnie podjąłem się czytania na głos. Były to ostatnie rozdziały smutnej historii kochanków, których rozdzieliło morze.

Na skalistym wybrzeżu Bretanii, w huraganach wiosennych, kwitły śnieżne tarniny i miłość dwojga ludzi dosięgała ekstatycznego zenitu, a od wybrzeża w nieskończoność rozciągał się i wzdymał żywioł nieposkromiony i przepaścisty, nieskończonością dumny, nie znający ani uniesień, ani wiosen... Na rozkołysanej fali zostają potem szczątki utopionego oblubieńca, śmiesznie drobne i martwe w ogromie oceanowych oddechów, zaś na wybrzeżu, obnażonem przez wiatr i fale, czernieje krzyż, jako symbol pociechy.

W oczach słuchaczki mojej szklily się łzy...

Po skończonem czytaniu gawędziliśmy długo. Pytała

mnie — które z tych dwóch zjawisk jest najwyższem pięknem i poezją na ziemi: Alpy czy morze?

Odpowiedziałem:

— «Piękna niema ani na horyzontach oceanu, ani na szczytach Alp. Jedynie wtedy, gdy przeciąga nad nimi potęga czujnej myśli ludzkiej, może z piór jej olbrzymich paść na te fale i na te śniegi tyle atomów piękna, że w sercach ludzi, idących przez wody i śniegi, rodzą się kwiaty poezji».

Następnego dnia trwała pogoda równie niezmacona i znajdowaliśmy się podobnież niemal ciągle przy sobie, w tej samej atmosferze czystej i rozległej, tylko znów lotniejszej i wyższej o stopień, ponieważ nawet w obecności matki nie troszczyłem się już o upodobania i sprawy nektarników, lecz starałem się opisać nieco dokładniej śmiałe loty i błyszczące pióra owej czujnej, wszechpotężnej myśli, której nie oglądały jasne oczy jej dziecka. Starałem się zaś odziać ptaka myśli w tyle boskości i przepychu, że w południe towarzyszka moja nie wiedziała wcale kiedyśmy dotarli do pawilonu, wzniesionego opodal Giessbachu, na wyniosłym kopcu, skąd rozkwierał się widok królewski na dolinę Aaru, jezioro i prospekty gór najdalszych — a wieczorem nie spostrzegła nawet, jak nadeszła pora iluminacji i rozstania.

Dnia następnego użyłem na zwiedzenie bryenckiego Rothhornu. Byłbym bez wątpienia wolał zaniechać wycieczki na tę górę i spędzać znowu czas w towarzystwie moich rodaczek, atoli przeważał wzgląd nader dla mnie ważny. Umyśliłem znaleźć się na dzień cały sam na sam z sobą i stan swój samemu sobie dokładnie uświadomić. Pracował we mnie głuchy niepokój, jakby najwyższe moje dobro zagrożone było utratą, albo jakbym był blizki sprzeniewierzenia się czemuś tak ważnemu, że nawet srebrne oczy tej ślicznej dziewczyny zapomnieć mi o tem nie dawały, gdy czytałem w nich wzrastającą wciąż przychylność dla mnie; nawet wtedy, i właśnie najwięcej wtedy, wzbierał we mnie bunt przeciw temu, co sam czułem, i temu, co, jako rzecz niewymownie dla mnie miłą osiągnąć usiłując — osiągałem. Potrzebowałem oddalić

się i myśleć. O myśli swojej myśleć i, postawiwszy ją przed sobą, obejrzeć pilnie, czy jest całą, nienaruszoną i czy ja zostaję z nią w tym samym co przed tem stosunku.

Wczesnem rankiem wsiadłem na statek, zatrzymujący się tu w drodze z Interlaken do Brienz, skąd przedsięwziąłem wędrowkę na szczyt. Dzień był nader gorący i jeszcze piękny, ale nieskazitelna dotąd pogoda wyraźnie się psuła. Z poza gór północnych i wschodnich wypłynęły chmury. Z początku były nieznaczne i białe, jednakowoż w południe stały się na wysokości półtrzecia tysiąca metrów groźniejszymi i tak już gęstymi, że na parę kroków nie można było nic dostrzedz. Nie skarżyłem się na nie. Chmury bywają nieraz piękniejsze od geograficznych widoków, zapowiadanych w prospekcie. Jeszcze są one od nas daleko, jeszcze kładą się na niebie fantastyczną plamą, jak zwykły sztafaż krajobrazu, a już spostrzegamy u nóg naszych świeży zastęp nowych, podziemnych. Rodzą się gdzieś w głębi, szare, płaskie, nieruchome, a potem wydymają nagle okrągłe grzbiety, jak przebudzone zwierzęta powstające z legowisk, i suną zwartą ławicą, szybko a cicho, z obu stron skalistego ostrza, na którym stoimy, ku górze. Niebawem są tuż pod nami. Czołgają się po skośnych usypach i rumoszach stoków; jedna wieje pod niebo tłumami wstęgami dymu, inne dosięgają wysokości górskiego grzbietu i przekładając przez niższe siodła i wklęsnięcia potworne łapy, czynią z nas na krótką chwilę posagi, płynące na kamiennych okrętach po niebie, zanim połączone z lotnym hucem ciemności, który plami niebiosą, pochłoną nas zupełnie.

Przynoszą z sobą mrok, mróz i wicher.

I właśnie wicher ten, mróz i zamrocz, które przysły z chmurami, powitałem jak gońców upragnionych, a dawno niewidzianych. Niemi otoczony, pojąłem, że za długo przebywałem w ciasnym i gorącym gnieździe, że za długo deptałem arabeski sztucznych klombów i upajałem się niebezpiecznym urokiem egoistycznego szczęścia. Pojąłem, że energia woli, zbyt długo beczynna, może tak rozprężyć się i zleniwieć, że

pozostałbym gnuśnie u podwalin niedokończonego gmachu, uległszy potrzebom i pragnieniom życia, takiego życia, jakim pospolite gromady żyją na płaszczyznach i nizinach.

Tu, wśród surowych wysłanników burzy jesiennej, zetknąłem się znów oko w oko z potęgą pierwotną i niewyczerpaną. Kłęby chmur, oblatujące tę wysoczyznę stadem apokaliptycznych widziadeł, i wichry, świszczący przeraźliwie, były mi zbawieniem i wzorem. Z rozkoszą odpierałem ataki wirów powietrznych i wciągałem w płuca zimne powiewy. Przechodziłem z jednego urwiska na drugie, czasem przystając i szamocąc się z mroźnymi prądami, czasem szukając oparcia przy głazach, sterczących pionowo ze zbocza; czasem na miejscach odkrytych, wygładzonych przez wichry, tak silnie smagany byłem przez burzę, że musiałem się chwytać kęp długiej, spalonej trawy, porastającej południowy stok góry. Ale im bardziej wichry się wzmacniały, a zimno wilgotnych mgieł stawało dokuczliwszem, tem lepiej działało się myślom moim, które spoczywały długo, a teraz budziły się gotowe do pracy i lotu. Radeby były otrząsnąć już z siebie martwość beczynnego letargu i puścić się w przestrzeń nowych horyzontów, jak stada chmur, lecące od tej niewielkiej góry ku lodozwałom Jungfrau. Czułem w sobie nadmiar myśli i pełnię siły do jej dźwignięcia; pojąłem, że ona jest moją kochanką i że chce być kochanką jedyną, zląkłem się o nią, zatęskniłem do pozostania z nią sam na sam i z całej mocy targnąłem przegrodę, która pomiędzy mną a nią wznosić się zaczynała.

Kurzawą prochów marnych, mdłym oparem wód stojących na nizinach, zawiąło ku mnie od wszystkiego, co nie było tą jasną, wielką, nadmateryalną i nadświatową panią i oblubienicą mojej przeszłości. Ona jedna — ta zimna — godną mi się wydała, abym u stóp jej wylał wrzątek piersi mojej... kipiała mi pierś do tamtej, drobnej i cielesnej, alem ja, wzbijając się nad znikome atomy, wyprężył ramiona ku nieśmiertelnej, najczystszej...

Aż wreszcie, kiedy, spędzony z najwyższych turni przez

odgłos grzmotu, cofnąłem się do schroniska, a następnie, wsiadłszy do pociągu, zesuwałem się szybko z bezludnej sfery żywiołowych gwałtów w coraz zaciszniejsze i cieplejsze strefy zielonych łąk, lasów, pól i, na koniec, ogrodów, gdzie ludzie coraz gęściej budują sobie domy i wygodne mieszkania, — wtedy pojąłem jasno i nieodwołalnie, że w tym spokojnym zaduchu i bezpiecznej ciasnocie nie byłbym nigdy zdolnym założyć sobie gniazda czy legowiska. W przekonaniu tem, które ponownie umocniło się we mnie na posępnej wyżynie, leżał wprawdzie wyrok dobrowolnego wygnania mego jestestwa na samotną tułaczkę, na tułaczkę ciężką i wyczerpującą, bez ciepła, bez słodczy, bez kresu; a jednak nie czułem w sobie z tego powodu smutku, ani żalu. Być może, iż żalność ukróconej natury przeobrażała się we mnie w zimną wyniosłość, w tę dumę, którą niekiedy noszę na czole i na ustach, ściągniętych milczeniem.

Pamiętam, że czekając w przystani w Brienze, w powietrzu parnem i mimo późnej godziny jeszcze jaskrawem, w zgiełku podróży, przy dalekiem warczeniu grzmotów, zajęty byłem pomysłem do wielkiej naukowej pracy, w którejbym przedstawił cele i metodyczne drogi, zakres i osiągnięty dotąd rezultat wysiłków ducha, chcącego ujarzmić wszechświat łańcuchem poznawalności. Dzieło, któreby określiło te zapasy i ujęło je w system cyfry i miary, było od dawna moją ideą. Lecz dopiero z Rothhornu przyniosłem w sobie konieczność wykonania go istotnie i własną siłą. Dopiero tam konieczność ta ośwładnęła mną całym i poczęła objawiać się czynem. Tam szukać zacząłem pierwszych zasadniczych punktów dla pracy, którą wykonałem potem w ciągu ubiegłej zimy, i tam było jej właściwe «poczęcie».

Czy rozumiesz tę moją *sui generis* wewnętrzną historię, to despotyczne i bezwzględne zawładnięcie mną myśli o pracy, myśli o trudnem dziele? Takie historie odbywały się we mnie nie rzadko.

Przychodzą zawsze niespodzianie, są nagłą emanacją

czujnego ducha i od razu biorą wszystkie chęci i siły moje, całego mnie w niewolę.

Okręt nappełnił się trzódką podróżnych, odbił od brzegu, przeciął jezioro w poprzek, wysadził mnie i połowę owej trzódki u podnóża Giessbachu, a z drugą połową popłynął dalej; przeładowano nas do wagonu zawieszzonego na stalowej linie i windowano potem mostem powietrznym ponad pianami kaskady. Z trzódki pątników dochodziły mnie odgłosy zaciekawienia, okrzyki zachwyty i grozy; — a tymczasem we mnie żyła ta jedna tylko świadomość, że ciało moje i cała moja istota przywiązane są jakoby do wielkiego złotego płomienia, wspanialszego niż słońca wszelkie, którego treść jest moją treścią i jest zarazem czemś takim, iż w porównaniu z owym pałającym zjawiskiem owe głosy, owe koleje i statki, ów rozlany po jeziorach i łądach ruch gorliwy istot, szukających wrażeń i wspomnień, iż nawet owe jeziora i łądy są cackiem znikomem, malutkiem, jednodniowem, czemś tak czczem, że prawie niewidzialnem, że prawie cieniem, zatracającym się w nicości.

Ostatni rok mego życia, twórczy rok pracy, onego dnia poczętej, rozjaśnił mój sąd i odstąpił przede mną prawdziwy stosunek względności rozmiarów i wagi pomiędzy płomieniem poznającej myśli, a środowiskiem, nad którym rozwijał się jej sztandar złocisty. Rok ten pogłębił mnie bardzo, a ze środowiskiem mojem ostatecznie rozbrała. Dzisiaj jest mi ono już prawie obcem. Dawniej istniało jeszcze powinowactwo pewne. Nie unikałem sideł uwitych z przędzy błyskotliwej, a nieraz, wszedłszy w różane ogrody ziemi, pozwalałem się osnuwać brylantowym pajęczynom, rozpiętym na kobiercu atlasowego kwiecia; nieraz też hafty pajęczne były tak nęcące i miękkie, że nie oswobodziłem się z nich zbyt rychło, w tej zresztą pewności, że wiążą mnie one tylko pozornie. Dziś już ledwo uwagę mą na siebie ściągają. Najgłębszy przewrót dokonał we mnie okres czasu ostatni, okres pisania wspomnianego dzieła. Wymagał takiego nakładu sił, tak doskonałego sprzężenia wszystkich władz ducha w jedną zdol-

ność analizy i poznania, że trzeba było wszelkie przedze porzucać i odrzucić. W nagrodę dostała mi się w udziale ogromna trzeźwość i dokładna miara dla zadań i postępów ludzkich, w stosunkach z ogólnym planem bytu. Nagroda to wielka. Ale ten rzadki i cenny klejnot musiałem okupić do- szczętnem zniszczeniem przedz, łączących mnie z różnymi ogrodami życia. Wtedy to odepchnąłem od siebie to widmo, tak powabne, które mi przeszło przez drogę i owiało mnie tchnieniem osobistego szczęścia. — Czy powiesz może, że lepszym mi losem byłoby opowieć się w biel narcyzów rajskich i na atlasowym ich kobiercu zapaść w letarg myśli? Czy powiesz to? A dlaczegoż sama, w swoje gwiazdy zapatrzona, zdala stoisz od rajów i kwiatnych kobierców i sama jedna idziesz «nocą... nocą?...» Ty zrozumieć mię możesz i powinnaś... ty jedna...

Wróciwszy z Rothhornu do domu, zastałem zmianę. Przybyli krewni, zaproszeni listownie, i innych parę osób. Natknąłem się przypadkowo na całe towarzystwo i zostałem przedstawiony. Nowe, a raczej zawsze te same typy nektarnicze...

Obce głosy, obce twarze rzucają mi spojrzenia zaostrzone lekką ciekawością, rozbiór nieznanych mi kwestyi rodzinnych i nierodzinnych, wzajemne ożywienie, a zwłaszcza wesołość mojej towarzyszki — wszystko to razem akord nie miły intonacji fałszywej, który mi kazał wycofać się co prędzej i powiedzieć sobie, że rola moja dobiegła do końca. Obecność moja nie miałaby nadal racyi. Czułem się zbędnym.

Z jadalni, w której było nieznośnie duszno, wyszedłem przed dom i rzuciwszy się na fotel, począłem myśleć o odjeździe. W ciepłym, nieruchomym powietrzu czuć było zbliżającą się burzę. Z rześystem światłem lamp elektrycznych mieszały się blaski dalekich i cichych błyskawic. Przed domem było pusto. Byłem zmęczony utrudzającym wspinaniem się po górach i podnieceniem umysłem. Drażniła mi też nerwy parność atmosfery i przygnębiała konieczność ostatecznego rozcięcia mojej idyli, o której myśl przenikała mię

ostrzami bólu. Nie wiedziałem jeszcze w jaką formę przyoblecze się rozstanie, ale czułem, że już teraz jest dla mnie cierpieniem. Jakże czyste, słodkie, pełne czaru było tym razem przedziwo więzów!... Mimowoli zadawałem sobie pytanie: czy i ją rozstanie zaboli choć trochę? Czy przyśnią się jej kiedy arkady jęklive, w zasłonach z pereł i błękitu, gdy dusza jej wysychać będzie w zgiełku nadmorskich bulwarów, lub na trybunach turfu?

Czy, patrząc, kiedyś w przyszłości, na zatoki, rojne od zastępów nektarników, odszuka w rytmie pulsującego morza ślad powszechnych sił i motorów bytu, które po szczęściu rybaków bretońskich przesuwają się falą ciężką, jak śmierć, a na piramidach Alp wcielać się mogą w złote pochodnie czujnych duchów i w cherubinowe ekstazy?...

Z myśli tych obudził mnie szelest sukni, odgłos znanych, lekkich kroków i widok smukłej, jasnowłosej postaci, w haftach perłowych, z rubinem ciemnej róży u piersi... Na ów widok serce zabiło mi żywiej i znużenie me zniknęło. Wszakże było rzeczą oczywistą, że przyszła tu, aby znaleźć mnie i porozmawiać nieco, po dniu spędzonym w rozłączeniu. Powitałem ją z nietajoną radością. Ona jęła tłómaczyć, że w pokojach matki, dokąd się wszyscy cofnęli, było jej tak nieznośnie gorąco, iż potrzebowała otwartego przestworu... chociaż i tutaj niepodobna się dziś ochłodzić... przytem lubi patrzeć na błyskawice...

Każdem takim słowem wszczepiała mi się w serce.

Nie wiedziałem o czem mówić. Zagadnąłem o matkę, której wygląd wydał mi się tego dnia jakimś szczególnym, przeszliśmy się kilka razy wzdłuż terrasy — potem ona usiadła na jednej z kanap i wskazała mi miejsce obok siebie... Nie chciałem jednak siadać. Z odległości kilku kroków patrzyłem na nią w milczeniu. Po twarzy jej przesunął się delikatny rumieniec. Siedziała w silnym blasku kinkietów, zwrócona twarzą w stronę jeziora i Rothhornu, kędy raz po raz odmykało się niebo jasnością siną i przepaścistą. Patrząc na

nią, przechodziłem równocześnie w pamięci szereg dni spędzonych przez nas pod jednym dachem.

Wreszcie przerwałem milczenie:

— Biedna róża!...

— Czy dlatego, że zwiędnie i umrze? — spytała, podnosząc wzrok na mnie.

— Nie; nie dlatego. Ta róża jest smutna, bo mówi sobie: «Oto jestem kwiatem przepyszny i woniejącym mocno, a nie mam żadnej wartości; przepadła ona wraz z chwilą, w której stanęła nade mną gwiazda moja, ale niepoznana, czy wzgardzona, zagaśła i już nie wróci...»

Nie śledząc na obliczu jej wrażenia, jakie mowa moja wyrzucić mogła, zwróciłem się ku światłom atmosferycznym i zacząłem zaraz w wizjach oderwanych i jaskrawych powtarzać jej wszystko, co podczas samotnej wycieczki mojej przesunęło mi się przez głowę. Mówiłem niespokojnie, gorąco, szybko. Nie był to hymn uwielbienia dla czekającej mnie pracy, lecz apoteoza jej tematu. Skąpa dotąd rozmowa nasza stała się monologiem. Ona nie przerywała mi ani razu.

Mówiłem może więcej do siebie aniżeli do niej. Powtórzyć tego, co mówiłem, dziś już nie mogę.

Być może, że wraz z sinym blaskiem odmykającym bramę ciemności, rozwarła się wtedy przede mną Walhalla sfinksowej poezji... Cisnęły się do mnie ze wszystkich stron nowe idee, nowe wrażenia, nowe obrazy, coraz dumniejsze, potężniejsze i gorętsze. Jeżelim kiedy oglądał geniusza myśli przesiąkającej w byt i w treść bytu, geniusza w chwale jego największej i niepojętej — to oglądałem go wtenczas. Jeżeli kiedy pojęcia, barwy, ognie i echa objawione w przyrodzie potrafiłem spleść w rytm takich akordów, w którychby się odbiły ognie i echa istniejące poza myślą naszą, w nas samych i poza nami, we wszystkim i poza wszystkim — to w akordach, znalezionych wtenczas, objawiała się przeczuwana prawda bytu tętnem chaotycznym i dalekiem... Jaśniały więc ogromne trony Sfinksów, oskrzydlały je szumy orle i sztandary z płomienia; a przed nimi płynął ocean wieczno

ści z odbitem w nim *fata morgana*, czyli tym strzępkiem istnienia, w którym ludzkość rodzi się, żyje, walczy, cierpi i umiera.

Przypomniałem własne jej zdziwienie, gdy z najwyższego punktu, dokąd na przechadzce naszej zdołaliśmy do-
trzeć, ujrzała zamek, park i kioski Giessbachu. Wszystko wydało jej się nie tylko małym, ale zarazem zupełnie innym, prawie że nieznanym. Jeszcze odmienniejszem i jeszcze bardziej obcem wydałoby się jej gniazdo nasze z wierzchołka Rothhornu...

Wymiary i wartości zmieniają się wraz z wysokością, do jakiej się wznosimy, jakąż zatem wartość przedstawiać mogą klejnoty ludzkiego bytu, oglądane z wyżynowych dumnych tronów?! Poczem próbowałem jej wytłómaczyć w słowach szybkich, zwięzłych i niecierpliwych tę jedyną elementarną prawdę, którą i w ciebie daremnie chciałem wpoić, iż poza władzą i dogmatem analizującej myśli niema dla życia żadnych dóbr, ani celów. Jeżeli duch człowieka posiada w sobie dość siły, aby wstąpić na owe szczyty, już nie ziemskie, lodowe i martwe, ale boskie, żywe i płomienne — czyż ojczysty strzępek istnienia, skąd wleciał, może i powinien mieć możność zepchnięcia go ze zdobytych piedestałów?

Cóż go ma ściągnąć w nizinę? Czy powinowactwo z atomami, z których przypadkowo powstał?

Czy wartość dłuższego życia, okupionego apatią i śmiercią myśli?

— Czy może — wizya osobistego szczęścia??

Długą mowę moją przerwał w tem miejscu donośny syk węzów ognistych, które wypadły z nieprzebytej ciemności, kryjącej wodospad i góry, i skrzyżowawszy się wysoko, cisnęły w ową ciemność gradem iskier, na znak, że iluminacja się rozpoczyna.

I dopiero garść wzlatujących w przestwory iskier raketowych przekonała mnie, że mówić musiałem bardzo już długo i że mówiłem właściwie o rzeczach, które tej ślicznej

panny, dotrzymującej mi towarzystwa, wcale obchodzić nie mogły. Czemuż traciłem czas na atomy i dogmaty, skoro go miałem tak niewiele, a ona znajdowała się przy mnie może już raz ostatni?... To też, zamiast dokończyć rozpoczętego zdania, zawołałem, wskazując na ostatki rozsypanych w powietrzu światełek:

— Nad głową pani żeglują gwiazdy złote!

A myślałem o gwiazdach spadających, o których twierdzi legenda, że palą się dla wszystkich ludzi na niebie jako zakładniczki szczęścia...

Miałem w sobie ogromne upragnienie szczęścia i nie-
złomną wolę nieprzyjęcia go od żadnej z gwiazd, które w dół lecą i w dół ciągną...

Ona zaś nie widziała nic, ani w górze, ani w dole...

Siedziała lekko pochyłona, z rękoma splecionymi na kolanach, w zamyśleniu wielkiem; widocznem było, że zagadnienie jakieś, donośne a trudne, zjawilo się przed nią nagle i że ona rozwiązać go nie może. Na twarzy jej z poprzedniego rumieńca nie pozostało ani śladu. Owszem, stała się bardzo bledziutką i nigdy jeszcze nie widziałem jej tak bladą i tak do głębi poważną. Wreszcie, w odpowiedzi niejako na mój wzrok pytający, zaczęła mówić powoli i cicho, nie patrząc mi w oczy, jak gdyby formułowała na głos wnioski, dobyte z długiego wątku myśli, przez nas oboje wiązanych. W głosie jej brzmiała nuta łagodnego smutku i czuć było odrobinę goryczy:

— Są to rzeczy do zrozumienia nie łatwe... Tak, wątpliwości nie powinno w tem być żadnej... Kto jest dość potężny, aby wstępować na takie piedestały, z których przeglądając można wszystkie światy, widzieć i wiedzieć, skąd się wzięły, po co są i dokąd dążą... i wszystkie ich losy rozumieć — ten chyba nie znajduje na ziemi nic, coby mógł stawić na równi z swą własną władzą i wielkością... Nie znajduje i nie znajdzie... Oczywiście, że ani ludzkość dla niego wartości mieć nie może, ani życie i szczęście tego rodzaju, za jakim tęsknią inni... ani gwiazdy, ani lodowce...

Zawahała się... A potem skłoniwszy czoło bardzo nisko i rozplatając ręce, dokończyła głosem tak cichym, że ledwo słyszalnym:

— Ani mój barwinek...

Nie mogę sobie uprzytomnić dokładnie, co wówczas we mnie zaszło: — czyn mój nie był przygotowany żadnym zamiarem. Dość, że podczas, gdy różowe listki jej warg drżały jeszcze od wyszeptanych wyrazów, już byłem przy niej, już objąłem jej głowę ramieniem, przechyliłem twarzyczkę wstecz i na dziewicze jej usta kładłem pocałunek długi i gorący... Pieszczota moja trwała zaledwo chwilę, a jednak szereg wrażeń i myśli, które uświadamiałem sobie w ciągu tej krótkiej chwili, był nader zawikłany i długi. Naprzód więc przeraziło mnie gwałtowne wstrząśnienie, jakiemu pod dotknięciem mojem uległa.

Bo nie wykonała ani jednego ruchu obrony, tylko ręce jej rozsunęły się połowicznym gestem trwogi. Zresztą znie-ruchomiała i zmartwiała zupełnie. Czułem jedwabną miękkość jej włosów i słodczy pocałunków, a jednocześnie, z obliczem przy obliczu, topiąc wzrok w jej oczach, widziałem, że błękit ich srebrny i przejrzysty zaszklili się i zmacili. I wargi jej wydawały się znieczulonemi i martwemi. Może i serce jej uderzać przestało na tę chwilę, gdy przylgnąłem do niej, i z bładą twarzą Akteona brałem z ust jej pierwszy i ostatni haracz miłości...

A pocałunki moje nie były, zaiste, namiętym wybuchem kochanka. Kochanka!... Tak, było w nich i takiego uniesienia wiele. Włożyłem w nie z pewnością wszystką tkliwość, na jaką istota moja zdobyć się może. I pamiętam nawet, że, poczuwszy ją tak bezpośrednio przy sobie, twarzą przy twarzy, sercem przy sercu, odeprzeć musiałem powstający nagle rzut woli wyrzeczenia się dla pospolitego z nią szczęścia wszystkich mych wielkich lotów i cichego zostania na resztę życia przy tych ustach dziewczęcych i przy tych jedwabistych włosach... Jednakże nagle ta i silna fala zmysłowej tkliwości rozbiła się wnet o potęgę innych uczuć, silniejszych i więcej

śnać u mnie podstawowych. Unosiło mnie piękno faktu, który posiadał w sobie wagę i uroczystość obrzędu, a zarazem tę tragiczność, jaką ma każda chwila stanowcza i przełomowa. Albowiem, niszcząc w niej samowolnie pierwszą nietykalność wiosny i poranku, czyniłem to mniej dla siebie, jak raczej na cześć i na ofiarę władzy powszechnej, odwiecznej i twórczej, której objawem krótkim a błyskotliwym jestem sam i jest dusza moja. Tej władzy płomieniom wiecznym i wszechwładnym należy się to, co ziemia wydaje najkosztowniejszego z żywiołów swoich.

Niech ta dziewczyna idzie dalej przez życie trybem zwyczajnym, niech w rówieśnym tłumie zwycięża i kocha! Jutrzenki najcudniejszego czaru, odjętej przez usta moje, nie będzie już mogła oddać nikomu...

Pojmowałem zresztą, że z obecnym momentem rozstaję się z nią ostatecznie, że tracę ją nieodwołalnie i na zawsze. I ze źródła tej świadomości podniosła się we mnie nowa fala, potężna i dławiąca fala egotycznego żalu nad mglistym, bladym losem własnej młodości mojej. I to bowiem czułem bardzo wyraźnie i nieodwołalnie, iż razem z tem pożegnaniem kończy się jutrznia wiosny życia mego, a następuje okres żmudnych ostatecznych zapasów, walk samotnych, a kto wie czy zwycięskich?...

Więc żal mię zdjął niewymowny za młodocianą poezją róż, narcyzów, słowików i sercowych krynic, którą całą, całą żegnałem w osobie tej dziewczeczki — żal tak bezdenne i bezbrzeżny, że gigantyczny świat myśli i dążeń moich zdołałby zatopić oceanem łez gorzkich i głuchych... jednak najwyższy wysiłek woli i tę falę groźną zmógł i roztrącił.

Wszystkie te bunt i zwycięstwa wezbrały we mnie, starły się i opadły w przeciągu krótkiej chwili, którą spędziłem na jej sercu.

Poza tem wszystkim zostało mi zresztą dość przytomności, by pomyśleć o tem, że znajdowaliśmy się w miejscu publicznym, dość przytomności, by rzucić okiem, czy na platformie byliśmy rzeczywiście sami. Jakoż widziałem zdala

grupę osób, patrzących na rozpoczętą właśnie illuminację strumienia.

Spokojny, uroczysty i smutny, uwolniłem ją delikatnie z objęcia, spojrzałem raz jeszcze na źrenice, przykryte teraz rzęsami i na biedne, szczelnie zaciśnięte usteczka, i odszedłem ku widzom zgromadzonym po drugiej stronie terrasy, zostawiając ją milczącą i samą. Na czarnym płaszczu nocy jaśniała olbrzymia pionowa kresa kipiącego srebra. Ponad nią wlatywały gwiazdy złote, rozsypując się w lzy duże i ogniste. Na niebie grały błyskawice...

W nocy, która po wieczorze tym nastąpiła, ponowił się u jej matki atak, bardzo niebezpieczny, spowodowany może — w części przynajmniej — gwałtowną burzą, jaka przeciągnęła nad Giessbachem w godzinach północnych. Poprzednio już wydałem służbie rozkazy natychmiastowego zawiadomienia mnie w razie jakiegokolwiek wypadku. W pierwszej chwili trzeba się było zadowolić pomocą zakładowego hydropaty. Natychmiast wszakże wprawiliśmy w ruch telefon i telegraf, aby przywołać najlepsze siły medyczne z Interlaken i Lucerny. Drugiego dnia, na wiadomość otrzymaną od jednego z lekarzy, że profesora wiedeńskiego widziano w ostatnich czasach w hotelu Bellevue w Interlaken, udałem się tam bezwzględnie, ale już go w owym domu nie zastałem, w biurze zaś nie umiano mi dać żadnych wyjaśnień. Dopiero jedna z córek hotelisty przypomniła sobie o projektowanych przez gościa odwiedzinach Beatenbergu. Pojechałem więc dalej, i znów nadaremnie. W Thun wreszcie znalazłem poszukiwanego! Uczony, widząc się po raz drugi napastowanym, a może w przekonaniu, że sztuka jego jest w tym wypadku bezsilna, nie chciał o powrotnej wycieczce do chorej damy ani słyszeć i dopiero po najdłuższych i najgorętszych prośbach moich zgodził się jechać. Wieczorem byliśmy już w Giessbach. Po odbytej naradzie uznano stan za beznadziejny, jakkolwiek po zastosowaniu rozmaitych środków chora czuła się znów nieco rzeświejszą i uspokojoną.

Ponieważ obecność rodziny zapewniała biednej panience

opiekę stokroć właściwszą aniżeli moja, przeto odjechałem razem ze słynnym profesorem. Pożegnałem ją, mówiąc, że nagle i ważne sprawy wymagają mego natychmiastowego powrotu. Ona nic na to nie rzekła, tylko z zamkniętymi usty wzroku mego unikając, wyciągnęła do mnie rękę drobną, białą, zimną...

— Dziękuję — szepnęła. — Pan był tak dobry dla mamy...

Nie zapytała o nic i niczego nie żądała.

Jam też, milcząc, ze spuszczonym wzrokiem odszedł.

Od tego czasu nie wiem o niej nic wcale, i oto cała spowiedź moja. Długa spowiedź, ale jej nie żałuję — w tem przeświadczeniu, że odkryłem ci wiele tajemnic swoich i że nie będziesz mnie na przyszłość posądzać o zamięłowanie w aksamitach życia.

XVI.

Interlaken.

Obok wspomnień, które opadają na gościńce życia zaporą silną nieraz, a zwykle posępną, odrzucającą prąd ludzkich dążeń od normalnego szlaku wstecz, ku rzeczom blahym i martwym, ku kwiatom dawno uschłym i ceniom dawno rozwianym; obok żalu, iż po każdym wczoraj musi nastąpić jakieś dziś i jakieś jutro; obok smutków, tęsknych marzeń, nadziei i wielu innych jeszcze podobnych emanacji naszego «ja» — należą także zwierzenia i wyznania wszelkiego rodzaju do najniepotrzebniejszych zjawisk międzyludzkich, a nawet wprost szkodzą. Stanowią one błąd ogromny, jeżeli się uwzględni krótkość czasu i szczupły zasób sił, jakimi rozporządzamy.

Błędu tego dopuściłem się świeżo wobec ciebie, kuzynko, wskrzesiwszy wizję szczęścia, które nie istniało nigdy, i rozwiniawszy sztandary z płomienia, w których powiewie tamta wątła iskierka zatracić się musiała, jak atom zwęglonego pyłu. Błąd ten nie jest zresztą jedynym. Cały już sze-

reg takich nieracyonalnych postępów, przed tobą popełnionych, mam na sumieniu, i co gorsza, dalej grzeszyć nie przestaję. Zaszkożdzi mi to niewątpliwie w twoich oczach, bo wywoła wrażenie optyczne, umniejszające mój wzrost duchowy. Przed tobą jedną wszakże nie wstydę się grzeszyć, ani, wbrew zasadom optyki, maleć, im bardziej zbliżam się niekarną duszą do waszego, do twego bieguna. A skoro już zbliżam się do was, — do ciebie, na odległość egotycznych westchnień i egotycznych żalów, pragnąłbym bardzo wiedzieć, jak ostateczny sąd twój o mnie opiewać będzie? Czy istotnie, ilekroć nawa moja ociera się o krawędzie waszych dziezicznych stanowisk, ucho twe chwytą same tylko zgrzyty??

Ale ty milczysz. Dlaczego milczysz? Czy nawet już ganić nie chcesz?

Za co ganić? Czy ognie mych zniczów, choć może dla wypieszczonych zmysłów straszne zgrzytliwością błyskawic, lub zygzakami gromów, nie są mimo to jasne i potężne?? To prawda, że scenarium przyrody zna inne ogniki, inne znicze, inne sztandary, że światło wątlej iskierki korzystniejszym jest dla zdrowia oczu, niż łuna pochodni, rozwichrzonej na całe niebiosy. Lecz alboż to wina jest moja, że wolałem stanąć z rozpaloną żrenicą i twarzą pobladałą przy tej niebezpiecznej pochodni, aniżeli żywić pod iskierkowem hasłem utrzymania gatunku, jakie tli nad jamą borsuczą i nad sadybą Budnika. Jeżeli wina tu czyja jest, to losu, czy trafu. Również i w tem niema, jak sądzę, żadnego przewinienia, że ująwszy raz ów sztandar w dłonie, zostałem przy nim wiernie i wytrwać przy nim pragnę z całej duszy i ze wszystkich sił mojej woli. I tego wreszcie nikt z żyjących za winę mi nie poczyta, iż srebrne żrenice budzącego się do życia dziecka uchroniłem od sfinksowych żarów, a odesłałem do grot lazurowych i do różowych obłoków. A że dziecię to, zachowane szczęśliwie dla błękitu i słońca, nie uрониło zbyt wiele energii swego życia na jałowe emanacje duszy, zwane wspomnieniem, lub tęsknotą — co do tego nie mam wątpliwości najmniejszej.

Nie możesz mi więc zarzucić żadnego wykroczenia w stosunku do waszego świata. Koranów — po próbie bezowocnej — nie zwalczam, aksamitów nie depcę, różanych krzaczków nie łamię, nektarów nie pijam. Ze strażnicy, własną wydzwigniętą pracą, staram się promienie czujnej myśli cisnąć jak najdalej w chaos mgieł bezkresnych, a wieść o ujranych za mgłą znakach tajemnych posyłam wierzchem społeczności ku szczytom innych wieżyc, skąd wieją pod niebo takie same, tylko że potężniejsze błyski poznania. Nowo zdobyte myśli moje, tocząc się i uderzając o fale innych wieści, zlewają się z niemi w jedno koło wspólne, które wskutek tego wzrasta i stopniowo coraz szersze zatacza kręgi. Świat zajęty wiecznie sprawą swego bytu i nie często zwracający wzrok ku górze, nie dowiaduje się nigdy, albo wyjątkowo tylko dowiaduje się o tej grze kołujących, zlewających się i wzrastających fal świetlanych, a interesuje się niemi jedynie wtedy, gdy nieuchwytnie wyniki nadpowietrznej rozmowy przyczynią się bezpośrednio do ośłodzenia lub przy mnożenia życiowego nektaru. Wtedy z państwa Heliogabalów i męczenników dochodzi nas poszum oklasków, bitych na cześć tak pożytecznych dyalogów i świat rzuca nam w podzięce — mydlaną bańkę sławy. Zresztą jesteśmy sami. Niema i w tem winy po stronie niczyjej.

Ty jednakowoż nie sądz, iż, mówiąc ci o tem, skarzę się na samotność. Nie czynię tego bynajmniej. Wiesz, że własnowolnie poniszczyłem mosty łączące przybytek mój z gwarem i targowiskiem świata. Dawno już temu, chcąc zorientować się w sprawach tego padołu nędzy i nudy, skonstruowałem sobie przyrząd nader subtelny, na którym ważyłem wszystko, co mi pod rękę wpadło, ważyłem i porównywałem. Porównywanie to dało mi ten wynik, że wszystko, co w zgiełku targowicy cieszy się popytem, okazało się nieważkiem, jak puch i próżnia, zaś wszystko, co wykazało wagę i wartość złota, znajduje się bardzo daleko od targowej wrzawy. Stąd dobrowolne przechadzki po ścieżkach odludnych i dlatego nie uskarżam się na samotność.

Natomiast, mówiąc dziś do ciebie, chcę ci przypomnieć, że tęsknię za twym głosem i kosztem osobistych zwierzeń radbym wpoić w ciebie przekonanie, że godny jestem twej pamięci.

A zresztą, chociażbym nawet pełen był przeróżnych zdrożności, i według litery katechizmów waszych zasługiwał na potępienie, to przecież pobłażliwość właściwa sercom, w których jest kochanie, powinna cienie ponurego wyroku rozegnać i pomyśleć, że i potępieni potrzebują czasem kropli nektaru. A że dźwięk twego głosu bywa dla mnie nektarem, o tem wiesz chyba, bez wielu z mej strony słów...

Tymczasem tegoroczne *otium* moje, czyli sen letni sprawowanego umysłu, kształtuje się coraz niefortunniej, a dodam tu zaraz ze szczerością wielką, za wielką może, że w znacznej mierze tyś temu winna.

Dawniej, w czasie letargów, gdy wysiłony umysł zasympiał, serce wraz z całym stadkiem chochlików wewnętrznych, przez organ ten unerwianych i ożywianych, szło na paszę, otwierało się dla barw i woni, tarzało się po kwiatach, owijało w puchy brylantowych pajęczyn, a następnie otrząsało z nich rażno, gdy nadeszła pora nowej szermierki dla odrodzonej myśli. W tym roku chochliki odmłodzenia nie zmarły, wstawały we mnie i nie sięgnęły po eliksir życia. Wyginęły widać od żaru — czy też od chłodu. Serce otwiera się wprawdzie na barwy, i wonie, i echa, ale nie orzeźwia się i nie przejmuję już niczem. Zetknięte z migotliwą strugą życia, odstaje od niej, jak gdyby rzecz martwa.

W otoczeniu gór przepięknych, w powietrzu, nasyonem żywiczną wonią lasów, niosącym powiewy od krystalicznych wód Aaru i od berneńskich lodowców, nie tylko nie znalazłem dotąd szukanego wypoczynku, lecz, przeciwnie, czuję w sobie bezustanne wzmaganie się jakiegoś ogólnego, męczącego mózg i nerwy, rozstroju. W tym stanie jestem nie tylko z siebie, ale i ze wszystkiego, co mnie otacza, coraz bardziej niezadowolony i ulubionym niegdyś kątem świata rozczarowany. Tybyś powiedziała, rozpatrując moje wnętrze,

że zanikają we mnie w brzydki sposób ostatnie ślady bliźniej pobłażliwości, i miałabyś słuszność. Podczas gdy cały świat błyszczący i szumiący teraz koło mnie niecierpliwi mnie coraz silniej, serce moje — znów powiadam: serce, — gdyż wy, ludzie, kochający się wzajemnie, posługujecie się najchętniej tym utopijnym symbolem — serce moje zdobywa się raczej na jakąś nutę żalu, czy tęsknoty za tem, czego mieć nie może. Jest to, oczywiście, objaw nienaturalny i niezdrowy.

A właśnie na ciebie, kuzynko, spada znaczna część winy, że mi się tak rozstroiło serce. Najniespodziewaniej w świecie błysnęłaś ku niemu zagadkową tęczę, dziwnie spojona z kłosów pszenicznych, sośniny, tymianu... potem na mgłach dalekich ukazałaś mu obraz mglisty borów i puszczy tajemniczych, a wśród nich sylwetki nieznanymi domostw i nieznanymi ludźmi, a potem zakryłaś to wszystko perkunową chmurą i umilkłaś, i — zatarło się wszystko, — wraz z echem twego głosu — może bezpowrotnie. Rzecz więc naturalna, iż serce, samo w sobie niemocne, zaniepokoiło się w stopniu szkodliwym tem pasmem dostrzeżonych widziadeł. Więc może mu się roją jakieś łąki świetliste, niwy zbożyste, gaje zieliste, jakieś mury i kształty, niepodobne do tych, które mu są znane, i może dlatego, nawet na szmaragdowej fali Aaru, nie chce bić tętnem rzeświejszem... Czy ja wiem zresztą? Może mu się co przyśniło — i teraz skupia się ono w zadumie nad czemś nieujętem i zniknionem? Któżby potrafił zdać dokładnie sprawę z wewnętrznych doświadczeń istoty tak do poznania trudnej, jak symbol uczucia, najnie dokładniejszy z symbolów.

Dość, że Interlaken, wraz z całą swą sławą i z całym towarzystwem, przelewajacem się przez jego gościnne progi, wydaje mi się coraz cikliwszem i nędzniejszym.

Niesmak i nuda; cikliwość i zniechęcenie; oto wyrazy, określające najtrafniej moją atmosferę. Łączy się z tem równocześnie przekonanie, że natura samego Interlaken nie gra tu żadnej szczególnej roli, że wszędzie, gdziekolwiek towarzysze moi rozbijają namioty, powtórzyć się musi nieomylnie

ten sam akord czczości i nudy! Myślę, że gdybyśmy wszyscy jak tu jesteśmy, zostali aniołami i mogli na środku Danteskiego raju rozłożyć się taborem, to jeszcze przed słońca zachodem wszedłbym dobrowolnie między duchy stracone i wyklęte, chociażbym miał później posyłać wzrok chmurny za utraconym rajem anielic. Nieuniknionem jest tutaj krążenie raz, lub dwa razy na dobę po głównej alei, w czasie koncertów, gdy wokół tłoczą się gromady zwykłych Abderytów, chciwych muzyki, sąsiedztwa słynnej góry, a nadewszystko widoku Abderytów uprzywilejowanych. Ci ostatni, krążąc po słynnej interlakeńskiej alei, albo spoczywając wśród egzotycznych klombów, nie oddają się jednak rozkoszy doczesnego bytu całkowicie i bez reszty, jak mniema zapewne naiwna większość widzów. Owszem, spostrzegam, że zdolność łączenia pożytecznego z przyjemnem jest u bliźnich moich wielce rozpowszechniona, i że świat pracuje. Nikt nie przestaje myśleć o tem, że koło Fortuny należy toczyć naprzód, i czy to się znajdziemy na tłumnej, koncertowej przechadźce, czy przy zastawionym stole, czy w wagonie modnej kolei, grzebiącej się w zamarzłych podwalinach Jungfrau, wszędzie natrafimy na skrętnych pracowników, kółkiem swem zatrudnionych.

Oto, na przykład, uważam, iż ojciec mój nie pomija żadnej sposobności prowadzenia obszernych rozmów z pewnym wysokim dyplomata, przybyłym tu z Berlina. A z wzajemnego ożywienia wnosić mogę, że chodzi tu o nowy jakiś plan ojca, któryby nie tylko korzystnym był dla obu zaprzyjaźnionych rządów, ale i obu panom przysporzył imienia wytrawnych polityków.

Uważam, że powabną Cleonę, która okrąża aleję w przeciwnym, niż my, kierunku, i krzyżuje się z nami w połowie drogi, oblega kilku młodych Francuzów, i że każdy z tych panów pracuje w myśl swych separatycznych zamiarów.

W podobny sposób pracuje tuż przede mną inny, nieznamy mi bliżej, pan, o imponujących plecach i krwistym karku, który w trzech, zdaje się, językach i — jak się zdaje —

bez żadnego skutku usiłuje rozruszać i rozgrzać nieprzystępną Oreadę, często małomówną i zamyśloną.

Nawet arystokratyczny dygnitarz naddunajski, zażyły przyjaciel naszego domu, przechadzając się ze mną, nie marnotrawi czasu, albo przynajmniej przypuszcza, że nie traci go marnie, chętnie bowiem zasięga u mnie zwiezłych informacji o bieżących zagadnieniach i sporach oderwanej nauki, na których dokładniejsze studium w nawale spraw publicznych i towarzyskich czasu mu nie staje. A gdy rozmawiamy tak o rzeczach górnych, oderwanych i mądrych, nie nasuwamy z pewnością tego domysłu żadnemu z widzów, chciwych naszego widoku; niemłody, ale nieskazitelnej wytworności mąż stanu, skierowawszy rozmowę na którąkolwiek z kwestyi tak aktualnych jak czwarty wymiar, lub nieśmiertelność duszy, prowadzi mnie protekcyjnie pod ramię z miną rzymskiego mecenasa, i słysząc wszystko, co do niego mówię (prócz lekkiej ironii, która mi się mimowiednie miesza w te *sui generis* wykłady) zwraca jednocześnie szybką swego monokla w tę i ową stronę, raz po raz witając znajomych porozumiawczem rozjaśnieniem wygolonej twarzy; to znów uporczywie zatrzymuje szybką na postępującej przed nami Oreadzie, jak gdyby interesował się wyłącznie nieśmiertelnością tej jednej pięknej. Aż wreszcie przerywa mi na pół szyderczą, na pół tryumfującą uwagą, że jednak ta nasza wiedza nawet w kwestiach zasadniczych na żadne jasne, krótkie, stanowcze «tak», lub «nie», zdobyć się nie może, poczem przypomina mi z Goethego, że wszelkie nasze filozofowania są dyabła warte. Ja zaś, który bez Fausta, na własną rękę i już od dawna dotarłem do poznania tej prawdy, że filozoficzne systemy są szare, a tylko drzewo życia mai się zielono, wtóruję mu z całą ochotą. Przygodni widzowie są bez wątpienia przekonani, że udzielamy sobie spostrzeżeń nad budową i różnorodnemi zaletami wyprzedzającej nas kobiety, lub innych dam, obecnych na promenadzie, podczas gdy faktem jest, że wielki mąż stanu zaprawia w danej chwili umysł swój na rzeczach

podniosłych, oderwanych i mądrych, i że w kole jednostek pracujących nie przedstawia wyjątku.

Słowem, czynni są wszyscy, i to nie tylko tutaj, nad Aarem, ale i w Trouville, i w Biarritz, i wszędzie. I oto coś się okazuje. Okazuje się, że kiedy wszyscy wokół mnie zatrudniają się i pracują nad tem, aby na gościńcu życia zejść jak najdalej, a przynajmniej iść jak najwygodniej, ja tylko jeden, uważający się ongi za człowieka ambitnego i pilnego, stoję na miejscu beczynnie, z założonemi rękoma, i może niezadługo sam nie będę umiał rozstrzygnąć, co jest na tym świecie ważniejsze: trony Sfinksów, czy lakier mego obuwia?

Nie bierz mi za złe sarkazmu i goryczy. Inny jeszcze pokażę ci obrazek. Naprzeciw naszego hotelu usadowił się na chodniku jakiś pomysły, choć obdarty, astronom z lunetą, przez którą za dnia pokazuje wierzchołek Jungfrau, a gdy się zrobi ciemno — Saturna. I przy tej gwiazdzie wieczornej zatrzymują się nasi pracownicy. Teleskop jest lichy, jednak kontury srebrnej planety odrzynają się ostro od czarnego tła nocy; widać wyraźnie płasko zatoczony pierścień obwodowy, a nawet połowiącą go linię Cassiniego. Ale soczewka teleskopu umieszczona jest niewygodnie i bez żadnej stałej podstawy, tak, że niewprawnemu trudno jest utrzymać źrenicę spokojnie i bez ruchu. Aby więc zadanie to ułatwić, wpada ów silny pan o imponujących plecach na pomysł, który mi jeszcze więcej zaimponował: pochyla nisko swe barki i nie dba o natężającą pozycję, byle tylko panie, zyskawszy punkt oparcia na jego ramionach, mogły dokładnie przypatrzeć się Saturnowi. Rzecz prosta, że i inni mężczyźni nie dają się zawstydzić i ubiegają się gorliwie o rolę słupa i karyatydy. Badania rozpoczynają się na nowo i trwają dłużej, lub krócej, stosownie do tego, kto patrzy, kto pomaga, kto jest wprawniejszy, lub sprawami ciał niebieskich goręcej zajęty i t. p.

Gdy kolej przychodziła na Oreadę, poprosiłem ją półgłosem, aby się widoku Saturna wyrzekła, spojrzała na mnie z chwilowem zdziwieniem i cofnęła się istotnie wraz ze mną

od ulicznego obserwatorium. W nagrodę za tę drobną uległość, opowiedziałem jej wszystko, co wiem i myślę o pierścieniach Saturna. Lotne pasma mgieł fosforycznych i palących uwięziły gwiazdę olbrzymią, której obwód przewyższa o setki tysięcy kilometrów obwód naszego globu. Mimo tych kajdan wyszedł Saturn w opowiadaniu mem bardzo potężnie, i nie tylko Saturn, ale cały firmament, tak potężnie, że garstka istot zebranych przy teleskopie w Interlaken skurczyła się do rozmiaru garstki maryonetek, niepozornych, tanich, poślednich, o mechanizmie jednostajnym, bardzo prostym i bardzo mało zabawnym... Długo mówiłem słuchaczce mojej o wielkich i małych wymiarach — a odwiódłem ją był od zajęć przy lunecie dlatego, że w doborowym towarzystwie naszym ona jedna wydaje mi się często tak samo, jak ja, beczynną, i o kółko życiowej Fortuny niedbałą — ta jedna.

Skoro przyjaciółka Idalii odjedzie, będę na gruncie tu-tejszym jedynym już osobnikiem, stojącym na miejscu i gnuśnością swą odbijającym od innych.

Aby otoczenie swe naszkicować, wybrałem na chybił trafił parę rysów drobnych, jednak dostatecznie charakteryzujących świat ten, w którym kwitną psianki *consolantes*; tak je nazwałaś, jakkolwiek grzeczniej możnaby mówić o orchideach, które, im piękniejsze i droższe są, tem bardziej wyglądają trująco. W otoczeniu ich nic mi się stać nie może, ponieważ orchidee wyczuwają instynktem, że jad ich mnie nie nęci i same odwracają się ode mnie ku wdzięczniejszym ofiarom. Ten tylko paść może ofiarą, kto, zwabiony świetnością kielicha, pragnie gorączkowo wkraść się do jego wewnętrznych tajemnic. Ja je znam i wiem, że oprócz jednego motywu, zawartego w abecadle bytu, nic zresztą w sobie nie kryją, i dlatego wszystkie wydają mi się aż do dna poroztwierane, płaskie i puste. Przebywającemu w zbytkownej kwiaciarni, nasyconej zapachem silnym i drażniącym, zdarzają się momenta pożądań nagłych, niecierpliwych, aby przynajmniej w najpiękniejszych kielichach znalazła się jakaś treść, godna ich zewnętrznej szaty, ognista a tajemna, dla której

wartoby było kusić się o nie. A gdy uświadomię sobie, iż gorącej mej żądz w sferze tej nic nie zaspokoï, wtedy na horyzoncie mym pojawia się ciemny anioł melancholii, sy-
piący hojną dłonią czarne kwiaty, a od tych kwiatów jego padają na mnie cienie, widome dla wszystkich. Wtedy storczyki szukają stron słoneczniejszych i odwracają kielichy, mnie zaś opanowuje uczucie czczości bezmiernej i znużenie doszczętne. W takich razach odczuwam też w dwójnasób mą najzupełniejszą samotność w ludzkim tłumie i jeszcze wszechstronniej poznaję, że koło mego życia o żadne inne się nie ząębia.

Być może, iż w kniejach puszczy, zaludnionej ludem dębów i prastarych sosen, odnajdywałbym dokoła siebie więcej nici powinowactwa i spójności! Tędy ciągnie się wyraźnie granica mojego *ja* i dziedzina moich interesów; tamtędy przebiega wyraźna granica dziedzictwa i interesów ludzkich, pomiędzy niemi przepaść. Tu i tam czuję swą zbędność, odrębność, samotność; przepełnia mnie i aż do omdlenia przepełnia owo uczucie czczości, nudy, niesmaku, na które nie stać tych, co może zazdroszą mi poniekąd domniemanych powodzeń, przywilejów, tryumfów!

Życie uchodzi czasem za olbrzyma, z którym się trzeba borykać, by wywalczyć krawędź ścieżki dla siebie. Mnie wydaje się ono płazem szerokim, przynięcionym czemś olbrzymiem i niewidzialnem, który wije się w szlamie złocistym i dobywa tu i owdzie na powierzchnię koronę kwiatu, splamioną złotem i rozdartą.

Jedyną rzeczą, zawsze piękną i niepokalanie świeżą, jest tutaj Jungfrau, królująca nad wszystkim, zwłaszcza gdy wypływa na niebo z odmętu białych obłoków — niezrównany symbol czystości, wyższy nad lilie i dziewice.

A także pięknym jest Aar, który lubię, że taki zielony, kryształowy i szumny, przynosi w swych falach powiewy i chłody od wyżyn bezludnością świeżych i wyrzuca je z piersi tutaj, wśród połączanej prozy hotelów i zagajeń rojnych od kobiecych tualet. Zazdrość mu prawie tej jego niewzru-

szonej obojętności i tego spokoju egzystencji, wiecznie biernej, z jaką nie przestaje przelewać się z jeziora do jeziora wstęgą szeroką i równą, przeciągniętą bezkarnie przez bulwar wielkomiejski, przez turkot hotelowych pojazdów, przez kalejdoskop uperfumowanych lalek. On zaczyna się, trwa i kończy sam w sobie, ma własny miarowy ruch i oddech własny, przyniesiony z lodowej kolebki, nad którą straż trzyma ciemna piramida Finsteraarhornu. Cóż go obchodzi, czy w licach jego przeglądają się zmurszałe chaty góralskie, czy białe pałace wyrafinowanego zbytku? Nic go nie mąci i nic nie wstrzymuje.

O ileż wyższe strażę otaczają źródła, z których struga myśli mojej bierze swój początek — a los jej mimo to jakże niepewny i chwiejny! Jakież to siły wstrzymały ją i mącą, i wyczerpują tak, że wysychać się zdaje aż do dna? Malutki zgiełk, idący od garstki satyrów, trochę błyskotliwej krasy, tęczącej na ciałach anielic smutnej małości: nic, tak zupełnie, jak atom woni uciekający z przywiedłego kwiatu; a ile zużytej energii, ile zmarnowanych sił i straconych myśli!

Biało ubrana kobieta wstępuje czasem ze mną na stoki Harderu, sąsiedniego wzgórza. Są tam pawilony i ganki drewniane, dające widoki słynnej piękności, a wyżej nieco porasta las modrzewiowy, sadzony w sznurach skośnych i skrzyżowanych. Aż tam dochodzimy niekiedy, my dwoje. Sami dwoje: więc w księdze mego życia otwiera się karta powodzenia, rozkoszy, tryumfu... A jednak nie chcę jej otwierać. Nie warto. Siedzimy na niskiej ławce leśnej w milczeniu, zatopieni w myślach odrębnych. Z dołu przez modrzewie i klony przebłyskuje pas rzeki, a poza nim srebrzą się w półkregu egzotycznych krzewów wysokie obeliski fontanny i minaretowe kopuły kursalu; dolatują też stamtąd urywane dźwięki koncertującej orkiestry, dźwięki niedokładne, bo skrzypcowe śpiewy rozpraszają się gdzieś po drodze, a nas dochodzi jedynie zawrotny refren metalicznych tonów, liczących rytm baletowej muzyki. Z taktów tego rytmu zdają się spletać

taśmy różane, płynące przez modrzewiowe kraty aż do nas. Róże Schillera...

Wzgardziłem różami na wierzchołku skalistej wyżyny, która tuż przede mną zamyka krajobraz, a teraz nie potrzebuję odtrącać ich bo mię nie wabią. Zresztą oczu moich nie nie wabi. Oto szary demon melancholii, którego widuję często, przesuwając się przez dolinę cicho, posępnie i rozrzuciła hojną dłonią posiew cienistych zasmuceń. Od wielkiego demona zapada wokoło mnie zmrok i czyni ze świata rzecz płaską, bladą, martwą, której przytłumione wołanie, ów refren taneczny, odbija się od drzewa do drzewa. To echo schyłkowego przesytu, gdy wzbija się w górę i błądzi wśród pni, tętniących krwią żywiczną i mocną, zamyka w sobie jakąś bezdeń ironii. Dziwniejszym jest to jeszcze, że kobieta, będąca ze mną, która w epoce minionej naiwności i minionej siły byłaby niewątpliwie królową Sądów Miłości, zdaje się również treść metalicznych dźwięków rozumieć i widzieć cienie demona zasłaniające widnokrąg. I ona poniekąd nie posiada umiejętności życia. Aksamitne jej oczy, zamiast błyszczeć świadomością zwycięstw — gasną. Czerwone wargi obciągają się wyrazem gorzkości... A przecież w życiu, którego godziny mierzą się na tanecznych rytmach, czarne oczy i czerwone wargi to potęga, to skrzydła unoszące najdalej i najwyżej!

Gdybym żył w dawno prześnionej epoce pierwotnej naiwności i pierwotnej siły, byłbym się stał rycerzem tej królowej rozkoszy, wykolejonej i smutnej; wiłbym wieńce z pieśni mamiących i, klęcząc u jej kolan, modliłbym się żarliwie o nagrodę miłości. Dzisiaj składamy parę jak gdyby na pośmiewisko tego rdzennie zdrowego lasu, którego korzenie z żywiołowym uporem wciskają się w skałę. Wszystkie iskry życia gasną pod zasłoną owych nieokreślonych zmierzchów, ogarniających całą dolinę. Zaledwie mogę dostrzedz śnieżne oblicze Jungfrau, zawieszone nad nieskończonym mrokiem, daleko i wysoko...

Nie na to jednak się skarzę, iż nie umiem żyć tak

mocno, jak żyje modrzew albo dąb, rozkorzeniony w skale. Inne zakresy bytu otwarte są przede mną.

Jeżeli słowa moje dzisiejsze mają być skargą, to uskarżam się na nędzę i klęskę tej połowiczności, jaka mi pruje duszę na to, że zamiast rozkuć lwa myśli i wskazywać mu nowe szczyty, na których powinien stanąć zdobywcą i obudzić najszerze echa wieścią o nowej zdobyczy, marzę o jakichś mglistych, dalekich baśniach, że, zamiast rozrywki, jaką dawać mi powinna obecność rozbawionego tłumu, zastanawiam się nad tem, iż w tłumie tym twarze kobiet nie czerwienią się nigdy i że z żadnej z nich nie zdołałbym wyczarować dla siebie ani okruszyny szczęścia.

Wreszcie i na to także skarżyć mi się warto, że skargą szukam twego głosu, że wyobrażnię twą chęć skłonić ku sobie, wyznając ci rzeczy, których człowiek mojego stylu nie zwykł mówić nikomu.

Szczęście! Wybraliśmy się w towarzystwie niewielkiem przez Col de la Petite Scheidegg pod lodowce. Budowa kolei na Jungfrau o tyle postąpiła, że lada nektarnik, nie zmieniwszy nawet wielkiej toalety na rynsztunek turysty, może dziś przechadzać się po lodowej skorupie, używać sanny po zaspach śnieżnych, oglądać zblizka tumany śnieżnego miału, ulatujące z lawin, spojrzeć w przepaściste rozręby lodowego płaszcza, w których głębi szemrzą niewidzialne strumienie i czai się śmierć... Ale o śmierci nikt tam nie myśli. Przeciwnie. Widziałem, że ożywiały się tu twarze, najbardziej nawet wybladłe.

Są tam chodniki podziemne, wydrążone w lodzie, w które Eros powinien z zawiązanymi oczyma wprowadzać miłosne pary. Idzie się tam żłobem błękitnym, który na dotknięcie stopą odpowiada jękiem szklanym; błękit przepaja ściany, sklepi się w łuki przejrzyste nad głową, przenika ludzkie postacie, napęnia niebem żrenice, nawet w mowie ludzkiej zdaje się rozbrzmiewać. Im głębiej się tam wchodzi, tem więcej czarów i tajemnic brylantuje na szklistych ścianach, tem chętniej roztopia się serce w srebrno-modrem więzieniu.

I tam znaleźliśmy się sami, we dwoje. I tam również poszedł za mną geniusz żalu, za jakąś stratą wielką, a niewiadomą...

Przekonałem się nieodwołalnie i po raz ostatni, że i ta piękność, która szła u boku mego, górująca nad innemi — nie tylko pięknoscią — nic mi dać nie może. Nie ogrzałem się ciepłem jej oddechu, nie poszukałem jej ust gorących, które mogły być mojemi. Patrzyłem na nią potem, jak stała u wejścia, w kryształowej bramie, z dłonią opartą o filar zimnego sklepienia, na pół jeszcze przymglona światłem podziemnem, na pół już dotykana jaskrawością słoneczną, myśląca może o tajemnej przegranej...

A ja? Myśl moja pierzchła od tej postaci błękitnej i od lodowej groty, wyżej, na stoki śnieżne, piętrzące się opodal w załomiska coraz dziksze... i utknęła niebawem — nie wiem dlaczego — na twym «Awisie».

Czy też przesadziłby on zwycięsko te mroźne zapory? Czemby go rozognić? Jakby go podkuć? Podkowy ze stali byłyby twarde i mocne, ale za mało świetne... ze złota piękniejsze, lecz zbyt miękkie... Możeby mu przypiąć skrzydła jakiegoś niepamiętnego zapału... albo jakiegoś ogromnego uczucia?... Możeby go zresztą zepchnął do lodowatej czeluści, ażebyś nie miała już czem gonić po twojej puszczy i zo stała na swem obejściu, bezradna i opuszczona...

Tymczasem czekała mnie wędrowka na dół elektryką i parą, z całym aparatem monoklów, perfum, pudru, francuszczyzny, krwistych karków i wygolonych twarzy...

XVII.

Interlaken.

Upłynęło znów trochę czasu, nie dałaś mi ani słowa. Jest to znak, że, jakkolwiek daleko zasunąłbym się w przeszłość, przyszłość ta nic mi już nie przyniesie od ciebie. Tak więc nie spełniła się dana mi obietnica o trójliściu dobrej wróżby. Dlaczego przedsięwzięłaś tę próbę, aby wnet tak

bardzo po niewieściemu odmyślić się i nie kończyć?... nie mnie w to wchodzić. Z prozelityzmu nie możesz mi czynić zarzutu; ustał bardzo rychło. Co do mnie, myślałem istotnie o jakiejś dobrej wróżbie. Ale, jak widzę, nic nader dobrego przydarzyć mi się już nie może... Łatwo przyzwyczaiłem się do twego głosu...

Szkoda. Spotkanie nasze było dziwne i piękne.

Gdy cofnę się myślą do chwili, w której ostatni raz zwracałem się ku tobie, spostrzegam, że czas ubiegły wy cisnął znaczne ślady na mej duszy. Przychodzi mi wielka ochota mówić z tobą. Nie waham się ani trochę. Popełniłem w ostatnich czasach tyle niekonsekwencji, że jedna więcej nic nie zepsuje i nic nie naprawi. Wiem zresztą, że milczeć byłoby lepiej, może chlubniej, dumniej... Mniejsza z tem; mówię jednak do ciebie.

Postanowiłem dotrwać na miejscu aż do wyjazdu mojego ojca, chociaż przebywanie w tutejszej atmosferze staje się dla mnie z każdym dniem trudniejszym; ostatecznie nie potrwa to zbyt długo. Powodowały mną różne względy; przede wszystkim wzgląd na ojca, który kocha mnie bardzo, mimo, że niepodobna wyobrazić sobie dwóch ludzi skrajniej obcych sobie i równie oddalonych sferą zapatrywań, interesów lub dążeń. Kierowałem się też pewnymi względami na kobietę, wspomnianą tu kilkakrotnie pod imieniem Oready. Pani ta opuściła przed paru dniami Interlaken, udając się do Idalii nad morze. Otóż gdybym i ja wyjechał stąd bezpośrednio po niej, potwierdziłbym mylne domysły, których przedmiotem stał się wzajemny nasz stosunek. Chciałbym temu zapobiedz, tak dla niej, jak dla siebie, i nie lekceważyć pozorów. Gdy odjeżdżała byłem przy niej; ale między kwiatami, którymi wyścielono jej wagon, nie było żadnych ode mnie.

Gdybym był zwykłym mężczyzną, dbałym o atlasowe epizody życia, dla zaspokojenia żądań swych potrzebowałbym świadomości, że kwiat napelni się słodyczą dla mnie jednego i że ja jeden z pośród tysięcy mam być dopełnieniem jego

losu. Gdybym brał czynny udział w komedii życia i wiedział, że podobny kwiat tęskni do mnie i ku mnie płonie, być może, iż byłby to dla mnie powab silniej nęcący aniżeli królowanie duchem na wysokościach świata... Ale w niezdrowej atmosferze przesyty, niesmaku, niemocy, którą oddycham, niema owego kwiatu z pewnością. Czy może on dla mnie gdziekolwiek rozkwitnąć i wezbrać nektarem? kędy szukać cudotwórczej krainy?

Do szeregu nieroztropnych zagadnień, wyrastających z rozkołysania serca i wyobraźni, należy też marna ciekawość: czy ja i ty, kuzynko, spotkamy się w ciasnych wymiarach niniejszego bytu? czy też na torze naszych przeznaczeń, poruszamy się w kierunkach na zawsze rozbieżnych?

Zapytanie to wzniosło się pewnego dnia mgłą tak gęstą nad pustym brzegiem Aaru, że widok srebrno-zielonej rzeki i skał szaro-złotych, i śniegów liliowo białych, zniknął kędyś zupełnie z przed mych oczu i nie było nic, czemby się myśl moja napełnić mogła. Aż zaludniła się marną gmatwaniną marzeń, przywidzeń, wspomnień i żalów...

Czemże jest gra pamięci? Czemże innem, jeżeli nie snem o rozproszonej plejadzie gwiazd niezatrzymanych, jeśli nie zasypywaniem wypalonych popiołów, odgrzebywaniem zgłiszcz czarnych, od których zaćmiewają się wszystkie słońca w nas samych i nad nami.

Zdaje się nawet, że pytałaś mnie kiedyś o takie wewnętrzne ciemności. Nie znałem ich dawniej.

Gdy bladym tłumem otoczą mnie wspomnienia, nadciąga wnet moc inna, dawniej niewidzialna i nieznaną, moc budzącego się nieopatrzenie żalu nad losem własnego życia. Budzi się żal nad dzieckiem, kochanem przez rodziców, którzy je na świat wydali, szczególnie kochanem niegdyś przez matkę, która pragnęła zapewne całą siłą serca, aby nad czołem jedynaka przez życie całe nie smutne potęgi rozkładały się cieniem, ale aby mu brylantowe słońce świeciło wiecznym weselem. Nie stało się po myśli mej dobrej matki. Przeglą-

dając kartę po karcie z ubiegłej już części mego życia — i to części zwykle najbujniejszej — zlekłoby się jej serce niewątpliwie i w niepokoju swym możeby na nowo bić zaczęło, aby pomagać, ratować! Czemże są zapisane te karty? Czy są na nich plamy i błędy, od których spaczyć się musi i spróchnieć oś pozostającej mi jeszcze przyszłości? W godzinach bezcelowej zadumy przerzucam kartę po karcie i nie znajduję płamiących obłędów. A jednak... Ponad powszedni gościniec wstąpiłem na jakąś wyżynę stosunkowo znaczną, lecz wzniesiona piramida myśli okazuje się górą szklaną, z której ścian jałowych i bezludnych ześlizguje się pamięć od razu aż w początki dzieciństwa, ale z wyprawy w przeszłość nie przynosi nic a nic dla serca, chciwego słodkich pamiątek.

Sercu omdlewającemu za żywymi źródłami, cóż po szklanej górze!

Więc jest gorycz i słoność łez i szereg pogardzonych godzin, które wstają z grobu przeszłości, jak mściciele, i ścigają się w hufce, które wicherzą się wkoło mnie bezkarne, wołając «Gdzie szczęście?» Lękam się chwili, gdy otoczą mnie z wołaniem «Zapóźno» i zapadną znów w otchłań niebytu, zostawiając za sobą tuman rozmiecionych popiołów i ostatnie błyski strąconych gwiazd...

Nie ja zniszczyłem w sobie narzędzie pieśni, ale zniszczyła je nieubłagana trzeźwość poznania. Musiała je zniweczyć. Sądzę, iż tylko istoty, oddalone od analizy i nieznające mechaniki bytu mogą wyśpiewać pieśń życia. Potrzebna do tego uległość i pokora stworzenia jest ich wrodzoną naturą.

Ja byłem snadź nazbyt niecierpliwy i rączy, analizowałem za długo, rozokolilem horyzont swych pojęć za szeroko — i teraz wiem za wiele. Mądrość moja wynaturzyła mnie z pierwotnej uległości i pokory. Z obszarów przeznaczonych ludziom, aby w nich żyli i trwali z pokolenia w pokolenie, wyszedłem z ciekawością palącą i po długiej wędrówce oparłem

się aż tam, skąd źródła wszelkiego życia biorą swój początek. Znam każdą nić, z której życie się przedzie i genezę każdej z sił, które we mnie samym są czynne: i dlatego, wyschły dla mnie wszystkie źródła.

Nieprawdę mówię, twierdząc, że jestem utożsamieniem prawdy absolutnej, pierwszej i ostatniej. Nikt jej nie zna. Im mędrszym czynią mnie lata pracy, tem odległość dzieląca mnie od tej prawdy coraz bardziej wzrasta. Zaledwo przeczuwam wielkość i wyraz jej oblicza. Wszystko, co u ludzi nazywa się wiedzą, jest tylko mglistem jest odbiciem, cieniem tego odbicia, cieniem cienia i wykładnikiem tak bardzo odsuniętym i pośrednim, że wiedza sama w sobie — mało się różni od wiary. Ale już te słabe rozbłyski, te odbicia i okrucy poznania odzierają z wszelkiej zjawiskowej krasy szkielet życia. Patrząc na jego nagość, niepodobna śnić życia, śpiewać i kochać. Wiedza, jak Empuza greckiego Hadesu, odziera i obnaża wszystko, czego się dotknie. Trzeba się wyodrębnić na tron Losu i Stwórcy i trzeba skrzepnąć w kamienność sfinkсового wzroku, aby znieść widok odsłoniętych kołowrotów, zależnych, niewiadomo jak i niewiadomo po co, od wiru jednej osi, osadzonej poza czasem i poza przestrzenią. Kto nie skrzepnie, dla tego ów widok nieubłagane przejrzyście staje się gromem nadczołowieczego bólu, albo wybuchem nadczołowieczego szyderstwa.

Cokolwiek ma być i żyje, szarpie się na łańcuchach i smyczach, które sobie samo uwiło i wić musi w nieskończoność. Jest to przymusowa praca dobrowolnych tortur i samobójstw, ciągnąca się od czasów, kiedy nie było jeszcze ani czasu, ani przestrzeni, ani nawet wyraźnej granicy pomiędzy bytem a niebytem. Te same siły tarzają się w paroksyzmach, którymi ludzkość znaczyć musi swą historię, te same potęgi ścierają się w walce o chleb, toczonej przez jednostkę z głodem społeczeństwa, do którego krwią i kością należy, i te same siły rzucają narody o narody, jakie szamotały się z sobą ongiś, w pierwszych ruchach, huraganach i oddechach przedbytu. Jako człowiek, nie mogę nic pomyśleć,

nic powiedzieć, niczego chcieć i za niczem tęsknić, co nie było koniecznem następstwem całej przeszłości i koniecznym początkiem tego, co przyjdzie. Gdy pełzak, w przegniłej wodzie urodzony, wyciąga cieniuchne niteczki swej plazmy, aby wessać w siebie odrobinę tlenu, gdy glista wgryza się w grunt, pochłaniając ziemię i przemienia ją niestrudzenie w czarną próchnicę, i gdy ja sam wysiłkiem mózgu staram się wtargnąć w jądro bytu i zdobywać zeń cząstkę po cząstce dla poznającej myśli, wszędzie powtarza się jedno i toż samo natężenie woli, jeden ruch, w trzy fazy zróżnicowany, i nie wiadomo nawet czy faza moich usiłowań jest w czemkolwiek wyższą od usiłowań ameby? Najpewniej nawet wyższą nie jest, bo w tym i tamtym ruchu, w tem i tamtem napięciu woli realizuje się jedna i ta sama konieczność, jedna i ta sama prawdziwość matematycznych pewników, ziszczających się raz po raz — w nieskończoność.

Chociażbym był wcieleniem wszystkich geniuszów i zapłonął pożarem najwyższej ekstazy, jeszcze-bym nie zdołał wyzwolić się z tej błędnej obierzy i wydobyć z siebie coś, co nie byłoby dziedzictwem, wziętem od glisty, ameby i kosmicznych mgławic. Jeżeli rozmyślam nad możliwością narcyzowego szczęścia, to daję wyraz tym samym popędom, które robaka łączą z robakiem i każą astronomce-kokocie wpatrywać się uporczywie w teleskop. Wszystko, co w nastrojach interlackiego sezonu i niespodzianie obudziło się we mnie i zawiadnęło wyobraźnią, to poszukiwanie wspomnień, ów żal tajony, że nie miesza wspomnień innego rodzaju, jak pusty Aar, Harder, Schinige Platte lub Giessbach: wszystko to jest znamieniem mego fizycznego wieku, instynkt wskazuje mi porę zakładania własnego gniazda.

Ze świata nikt nie powinien schodzić bezpotomnie. «Il lauro non ad altro serve che ad attirare il mirto» — wołają wasi poeci. Oto źródło Hippokreny, z którego wypływa cała wasza poezja. Tocznie krwawych bojów w interesie instynktów, albo spijanie wszystkich piołunów w walce z instynktami gatunku. Dla kamiennej przedmiotowości Sfinksa wynikają

stąd formuły cenne i doniosłe, tem ważniejsze, że identyczne z klótnią atomów w retorcji i z obrotami światów; skoro atoli czujemy, że sami jesteśmy ujęci w pierścień tych formuł, że żadnym rokoszem, ani żadną rozpaczą nie możemy się usamowolnić, chybabyśmy zniszczyli samych siebie, wtedy stan naszej duszy jest nie do zniesienia, i dla tych, którzyby szczęścia pragnęli — bez wyjścia. Bo wtedy krew woła we mnie o prawa swoje, wyobrażenia idzie w służbę tego wołania, pierś tęskni za drugą piersią, aby stworzyć gmach szczęścia różowy, a inna strona mej samowiedzy mówi mi równocześnie, że epitalamium miłości mojej równa mnie z robakiem i garścią błota, które ma również swe prawa spójności i ciążenia.

Ach, zdaje mi się, że i z aniołem nie zbudowałbym szczęścia na ziemi! I jego pokalałbym, dotknąwszy ustami jego czoła. A przytem, miewam serce dziwnie dotkliwe... i w chwilach swych bezprzykładnych smutków i uniesień załamywałbym nieraz dłonie w rozpacznej żądzy wyższego bytu i wyższej miłości ponad światem i ponad ludzkością. I chcę kochać inaczej, niż kochają się atomy, ludzie i planety. I zrywa się we mnie jakieś bezdenne płkanie, iż nie mogę, jak bóg indyjski, wyjąć dla siebie kochanki z płonącego stosu i ponieść ją w krainę własną, nieznającą ani czasów, ani wymiarów, aby przez życie i miłość swoją tworzyć nowe prawa, nowe myśli, nowe uczucia, nową przeszłość i przyszłość!...

Wydawać się to może oznaką obłędu, a jest, przeciwnie, nadzwyczajną trzeźwością. Tak zachowuje się umysł ludzki na najwyższym szczeblu uświadomienia. Złym jest jedynie ów rozstrój nerwowy, który okazał się silniejszym od zdrowotnych wpływów alpejskiego klimatu, i resztę młodzieńczej żywotności stara się we mnie zgładzić. To też, mimo klimatu i rozrywek, wyglądam tak lichy, jak pesymistyczny poeta, i w miarę jak lato przemija, a sezon zbliża się do końca, czuję w sobie wzrastające znużenie. Nie opuszczę jeszcze Szwajcaryi, ale przeniosę się głębiej w góry, gdzie piękno przyrody nie sprzedaje się hurtownie, jak gdyby na targu, i gdzie mógłbym sobie po długim czasie przypomnieć,

jak właściwie wygląda las, skała i lodowiec. Może się tam nerwy moje uśmierzą. Nęci mnie Jungfrau, niebotyczna i biała. W dziewictwie swem wydaje się wieczną. Ale i ona przeminie...

Tymczasem życie rozściela przede mną swe aksamity. Wieczór dzisiejszy zapowiada się świetnie. Do okien moich wpadają już światła pierwszych lampionów. Niebawem zaśnie park cały tysiącem płomieni. Na wierzchołkach gór jawią się ognie czerwone i białe, podobne do gorejących kwiatów, Kanton obchodzi dziś iluminacją i nocnym festynem jakąś narodową rocznicę. I nasze towarzystwo uświetni tę uroczystość. Będą przytem ludzie pracowali. Ojciec mój ugodzi się zapewne dzisiaj ostatecznie, co do programu swej zamierzonej dyplomatycznej akcji. A ja? Pod wpływem ogólnej wesołości, pod żarem namiętnych spojrzeń, przy dotykaniu ramion, cofających się w ścisku w moją stronę, obudzi się może i we mnie zdrowy instynkt gatunku i weźmie górę nad chorą hypertrofią myśli.

Może owładnie mną żal nowego rodzaju, żal, iż nie umiem być ulicznym piechotnikiem, i zazdrość, że krótkiej błyskawicy mego istnienia nie potrafię wykorzystać tak, jak wyzyskuje ją gmin z pochodzenia albo z ducha, niewylegający w swym mózgu żadnych ambicyi ani pożądań, któreby wychodziły poza granice i cele najpierwotniejszych kodeksów natury. Czuję się zdolnym do podobnej zazdrości i dlatego na widok tych pstrych lampionów i w obliczu rojnego tłumu, wstyd pali mi czoło, że, gardząc niziną jego instynktów i rozrywek, nie mam prawa wyłączać się od współnictwa, gdyż sam lepszy nie jestem — ja, syn Arysteuszowy...

Zaiste, chociaż sto lamp stubarnych oświeca mi drogę, a przy twarzy mej błyskają ogniste źrenice, widnokreśli moje nie są widne ani ciepłe. Ani widne, ani ciepłe!

Więc usuń z przed twarzy swej perkunową chmurę... Powróć z chórem widziadeł... z królewską swą baśnią...

...
Och, wiem, wiem, coby mnie jeszcze wesprzeć i ukoić mogło!

Nie śnieżne konwalie, nie korowody łabędzie, nie wiosny płomienie błękitne! Pomódz-by mi mogła potęga olbrzymiej miłości jasnej istoty, która całą sumę własnego szczęścia przeniosłaby na mnie i nie tylko pragnęła być kochanką moją, ale zarazem siostrą, piastunką, matką, opatrnością... zdrojem natchnienia, zdrojem głębokim... Nie promienistość dziecka, lecącego na blask i do słońca, ale łagodna, mleczna jasność miesięczna, rozpostarta nad głębiną wylanych i uspokojonych łez, a przytem wielkość ducha... Ale — to sen...

Byłoby to kochanie, od którego się robi cieplej i jaśniej na świecie. Poszedłbym bez lęku w tę srebrzystość czucia, pod strażę bezpieczne i słodkie, pod gwiazdy...

Ona, niosąc w piersiach bezmiar miłości i przebaczenia, chłodziłaby mi skroń miękką dłonią. Przed nią jedną otworzyłbym mroczne tajniki mej duszy. Dla ran moich ona-by miała mądrość ofiarniczego serca i cichy balsam życiowego doświadczenia. W piołuny zwątpień, z analiz mych wyciągnięte, wlewałaby kropla po kropli miód przedziwnie słodkiego serca, boski nektar wzajemnej tkliwości... Z nią osiedliłbym się w krainie przestrzeni czystych i lśniących, jak koncha perłowa, jak ta gwiazda-perła, która uwięziła w sobie Danta i Beatrycę... Ale — to sen!

A w zamian za wszystkie jej bogactwa, cóżbym jej ofiarował? Chyba to, co z piękności zdobywanych światów zostało we mnie odbite, i resztę harfianej spuścizny po matce, dzwoniącą w głębiach mej duszy! Któż zresztą wiedzieć zdoła? Może-bym tą resztą mógł jeszcze kochać ogromnie!

Utrzymuj ją niektórzy, że dla kobiety — kiedy kocha — szczęściem może być nawet cierpienie.

Czy to prawda?

Kiedy kocha!... Nie kocha mię nikt... Nie troszczyłem się o świat, i do zbudowania szczęścia nie jestem nikomu na świecie potrzebny. Nikomu. Wieszczyki-gwiazdziarki gonią iskry tęczowe, grające w słonecznych falach i doglądają świętych zniczów w rodowej świątyni — i nikt nie obraca wzroku w stronę, gdzie ciemno i duszno — i zimno...

Nieprawdaż?

A gdyby nawet działały się na ziemi cuda, gdyby znalazła się ta jedyna, ta dobra, ta wielka, któraby zdolną była pokochać jałowe i znużone serce moje, czyżby mogła pokochać tak, iżby już tylko dla mnie żyła, jako Anioł miłości, otuchy, spokoju i ukojenia?

Czy znasz ty taką? Czy ją znasz? Czy znasz rozskrzydlonego cheruba wielkiej, czystej, głębokiej duszy kobiecej?

— Ja widzę go... Przechodzi nad mrowiem ludzkości, wysoko, samotnie, tam, gdzie najwyższe szczyty na obłokach się biela, gwiazdy ma nad głową — lazurowe skrzydła rozwiewa na niepokalane śniegi, a do stóp mu się garną — ot takie białe szarotki!...

II.

NAD LSNA.

XVIII.

Od Wielkiego Nikaru, ojca wód białowieskich, dnem rozłożystej kotliny pędzi Lsna i rozmigotanymi falami mknie pod kłamrą Mostu Królewskiego, spinającą wysokie ściany jej wybrzeży. Na szczycie jednego z wybrzeży, u stóp gęstego lasu, ściele się wstęga łąki szmaragdowej, tak długa, że krańce jej znikają w mętnych oddalach. Ogród to jest, kwiatami usiany, krzewami zasadzony, muzyką niezliczonych barw i linii grający, bajeczny ogród bez końca.

Drzewa wznoszą się tu gdzieniegdzie tylko, zrzadka. Świerk ciemnym płaszczem obejmuje białą brzozę, topol siwe warkocze zarzuca na ciemną lipę, samotna jarzębina stoi w koralowych gronach, wierzba przelewa w gałęziach połyski stalowe i srebrne — a w dole, wszędzie niezliczone leszczyny, z połączenia gibkich ramion budują łuki, altany, arkady, nawy niskie i cieniste, które wzrok wiodą w coraz odnawiające się głębie, półmroki, półświatła...

Ostatni miesiąc lata wybuchnął podwójnem życiem odnawiających się kwiatów i dojrzałych nasion. Ostatnie upały na jarzębinach i kalinach rozogniły purpurowe grona i czerwonymi łzami oblały dzikie róże. Lnice odkwitły żółtym, a gerania fioletowym płomieniem.

Po architektonicznych i rzeźbiarskich liniach drzew i krzewów pięły się koronki z liścia, osypane kolorowemi skrami kwiatów. Zamiast ptaków, które pomilkły, barwy śpiewały. W błękitcie i złocie powietrza, z krystalicznym szmerem Lsny rozpyływa się mocna woń mięć rozkwieconych i gorzkiej trawy żubrzej.

U stóp kaliny, obwieszanej kolorowemi gronami, wśród gęsto kwitnących geraniów, Seweryna z nieśmiałym i zamyślonym uśmiechem wpatrywała się w leżącą na rozwartej dłoni górską szarotę.

Jaki podmuch, czy jakie westchnienie, zwiały kwiat ten z alpejskich wierzchołków na to wybrzeże Lsny, rozzielenione w leszczynach, kalinach i dzikich różach? Jaka błyskawica wyrwała go z łona skały i rzuciła na te spokojne murawy, do stóp olbrzymów leśnych, surowych i smutnych?

Od dwóch już dni kwiat górski szeptał jej o tajemnicach górnego i nieszczęśliwego serca. Pomiedzy tem sercem a swoim, czuła zaciągającą się przedzę marzenia. Było ono, marzenie to, tak dalekie, jak obłok, który w mgłę srebrną rozpraszał się pod niebem, i tak gorące jak promień słońca, który w cienistym krzaku rozognił jagodę kaliny. Niosło z dalekiej dali tęskny, nieśmiały, przedziwnie słodki śpiew... Kto tam woła, wzdycha, błaga? Kto w oddalonym zmroku śpiewa o słońcu?

W sercu jej królował smutek, ten sam, który omraczał tamto, dalekie serce i nad głową swą miała skrzydła demona melancholii, tego samego, który na daleką dolinę Aaru hojną dłonią rozrzucał posiew cienistych zasmuceń. Tu i tam, jej i jemu, na drodze ku wielkiej Wiedzy i na drodze ku wielkiemu Dobru, życie stało się płazem olbrzymim, wijącym się w szlamie złocistym i gdzieniegdzie dobywało na powierzchnię koronę kwiatu splamioną i podartą.

Jej i jemu, u skrzydeł wzbijających się pod gwiazdy, zwiślało brzemię, ciągnące je ku ziemi. Czem było? niczem i wszystkiem, słabością i siłą; ach! było ono śpiewającą w każdym pyłku świata i w sercach ludzkich nigdy nie prze-

śpiewaną pieśnią o szczęściu. Było ono, to brzemie ociągające w dół skrzydła, rozkazem i oporem, rozkazem materii i oporem duszy — pożądaniem też duszy w formie Anielskiej. Lecz są gdziekolwiek na ziemi serca i dole anielsko szczęśliwe i anielsko czyste? Czy tak samo, jak istnieją niebo i ziemia, wybierać zawsze trzeba pomiędzy piołunem cierpienia, a słodyczą winy?

Co za spotkanie i jaki traf! Dokąd zmierza strzała, a gdzie utkwiała! Jaka moc wykrzywia łot pocisków? Z jakich mroków tajemniczych wychylają się dłonie, które płaczą nici zamiarów? Nic zamiaru, na czystych wysokościach wyprzedzoną coś porywa i zarzuca w stronę, w którą nie spoglądały oczy prządków. O, biedne ręce ludzkie, które, gdy prąść zaczynają, nie wiedzą nigdy, co wyprzędą! Słabe ręce, od podmuchów nieprzewidywanych drżące, od kółców niedostrzeżonych krwawiące się i bolące, kierowane wzrokiem krótkim, olśniewanym przez blaski i zaciemnianym przez lzy!...

Aksamitna pierś górskiego kwiatu zdawała się oddychać i szeptać swe poselstwo:

«Czy nigdy nie spotkamy się w ciasnych wymiarach niniejszego bytu? Czy na torze naszych przeznaczeń poruszamy się w kierunkach na zawsze rozbieżnych?»

Dłaczegóż: nigdy? Dłaczegóż: na zawsze? Alboż duchom wzlatującym pod gwiazdy nie wolno zniżać lotu ku ziemi, aby na czoła, w tęsknocie więdące, zlewać potoki krzepiącej siły, a w sercach pod głuchymi opokami oniemiałych, zaciągać struny wiary i miłości? Nie jest-że to nawet sztuką, w której mistrzami one tylko być mogą? Nie jest-że to arcydziełem, do którego wykonania moc spoczywa tylko w ich dłoniach gorących a czystych?...

Śnieżny kwiat górski z piersi aksamitnej wydawał szept, czy westchnienia:

«Nie śnieżne konwalie, nie korowody łabędzie, nie wiosny promienie błękitne ukoić i wesprzeć mię mogą, lecz tylko mleczna jasność miesięczna, rozpostarta nad głębiną wylanych i uspokojonych łez — a przytem wielkość ducha».

«Byłoby to kochanie, od którego się robi cieplej i jaśniej na świecie. Ale to sen...»

«Z nią osiedliłbym się w krainie przestrzeni czystych i lśniących, jak koncha perłowa, jak ta gwiazda — perła, która uwięziła w sobie Danta i Beatrycę... Ale to sen!»

«Czy znasz rozskrzydłonego Cheruba wielkiej, czystej, głębokiej duszy kobiecej?... Ja widzę go... do stóp mu się garną, ot takie białe szaroty...»

Sen... Tęskny, daleki, błękitny, śpiewny sen!...

.....

Nizko pochyliła głowę, kwiat alpejski upuściła na suknię i oczy pełne błyskawic ukryła w dłoniach...

.....

Wtedy uczuła nad sobą cichy, świeży, srebrny śmiech. Piękna dziewczyna w blado-liliowej sukni stała nad nią, i śmiejąc się, osypywała ją deszczem geraniów płomiennych i skabioz, tak samo liliowych, jak ona. Płowe jej włosy, rozluźnione u czoła w gęstwinę blado-żółtych promieni, usta z linią pieszczotliwą, oczy rozmięgotane srebrem i błękitem, wszystkie jej rysy i wszystkie jej ruchy wydawały z siebie tę niezwalczoną i wiecznie odradzającą się wesołość, którą pogoda, lazury i kwiaty przepajają muszą dni wczesnej młodości. Z sercem bardzo młodem ciężko jest walczyć złym urzeczeniom życia, bo jakkolwiek okryłyby je żałobą, jeden promyk słoneczny krzesze w niem iskrę nadziei, trochę woni różanej wystarcza, aby powrócić mu wizję raję i wiarę w jego istnienie.

Upał słoneczny jutrzniową różanością zaprawił białość jej twarzy i gorącymi skrami zapalił błękit oczu.

Obok towarzyszki na murawie siadając, prędko mówić zaczęła:

— Och, jak daleko chodziłam! jakie tam są, wśród tych leszczyn, aleje długie, łuki ozdobne, rzeźbione, altany zaciszne! A jaka moc kwiatów — najrozmaitszych! Narwałam ich mnóstwo i oto je masz! Osypałam cię nimi, jak deszczem

czarodziejskim. Czarodziejską tu jest natura. Z rzeczy tak prostych, zwyczajnych, jak drzewa, trawy, dzikie kwiaty, leśne zwierzęta, tworzy raj cichy, niewinny, promienny. Widziałam sarnę, która wybiegła z cienistej alei, pod łukami sklepienia stanęła i w cieniu zanurzona, lecz złotem słonecznym tu i owdzie tknięta, patrzała na mnie. Nie lękała się mnie ani trochę. Patrzyliśmy na siebie przez chwilę, jak siostry. Lecz powiew wiatru zaszeleścił w jarzębinie, strącając z niej trochę liści i jagód. Wtedy uciekła. Jak rudy płomyk po gładkiej murawie przemknęła w złocie słonecznym i zniknęła w świerkowych cieniach...

Opuściła splecione ręce na suknię i wzrokiem tocząc dokoła, zawołała:

— Ach! jak ja kocham to wszystko! jak kocham! Drzewa, trawę, wody, ciszę... niebo i ziemię!... ludzi, zwierzęta...

Ciszej dodała.

— W tem kochaniu pociecha... cicha radość po smutkach płynąca... balsam...

Potem, z pochyloną nieco głową, zaczęła kwiaty rozsypywać na sukni towarzyszek układając w fantastyczne rzuty i girlandy. Przytem mówiła:

— Czy pamiętasz, Sewerko?

Przypominała dzień, w którym dzieckiem jeszcze przybyła tu z matką i po raz pierwszy ujrzała puszcę. Z Paryża przybyła i do Paryża powrócić miała. Biedna mama nade wszystko kochała Paryż. A ona, dotąd, jedną tylko matkę kochała bardzo i nic więcej, ani nikogo. Tu dopiero otworzyło się jej serce.

— Czy pamiętasz?

Pojechały razem na Zamczysko i długo siedziały tam pod świerkiem, rozmawiając. Rozmowa smutną była, lecz jak z chmury błyskawica, wystrzeliło z niej, po raz pierwszy dla olśnionych jej oczu, pojęcie wielkich uczuć i czynów. Dowiedziała się wtedy, że one są — i ile w nich bólu. Dowiedziała się z jej ust...

— Czy pamiętasz?

W taki sam dzień, jak dzisiejszy, w tem samem miejscu, wśród leszczyn i kalin, dowiedziała się dla kogo po raz pierwszy zawieszonym został nad Lsną ten most królewski. Przeciągały po nim, przed wyobraźnią jej, karoce złożone, dudniły wozy, w powietrzu fruwały sztandary, wiewały pióra czaple, błyszczała stal, leciał ptak chwały... Miała wtedy wizję przeszłości i po raz pierwszy wstąpiły w jej oczy łzy ciekące nad tem, co nie było nią samą, co było, być przestało, w pamięciach tylko żyło wiekuiście. Czy miała pełne łez przejętych z jej oczu.

— Czy pamiętasz?

— Obudziłaś we mnie duszę. Jeżeli to, co w nas myśli, kocha, czci, jest duszą, tyś obudziła moją... Nie zasnęła potem już nigdy i przez to może cierpiała, lecz cierpiąc była ci jeszcze wdzięczną...

Mówiąc to, patrzała na towarzyszkę i po raz pierwszy, odkąd dziecięcą swą duszą, jak promień u tarczy słonecznej, zawisła u jej duszy, nie rozumiała wyrazu jej ust i oczu. Te usta, mające dla niej zawsze tklliwe i pobłażliwe uśmiechy, były teraz szczelnie zamknięte, surowe, a spojrzenie ślizgało się po jej twarzy wahające się, badawcze i razem nieśmiałe. Więc nieśmielej też, ciszej, jakby uniewinniając się z winy niewiadomej, lecz głucho przeczutej, mówiła jeszcze:

— Cóż dziwnego, że gdy mamy kochanej na świecie już nie było, do ciebie, jak ptak zraniony, leciałam?... Sama przecież mię zawołałaś... Ty wiesz, różni krewni, dobrzy zresztą i mili... ale nie chciałam! Do ciebie jednej chciałam... Przed tobą jedną otworzyć mogłam serce płaczące po biednej mamie i... po tem mojem dziwnem... krótkim, lecz niepozbytem... niezapomnianem złudzeniu...

Siedziała teraz wyprostowana, z rękoma splecionymi na kolanach i spojrzeniem wodziła po chmurach, które szarą ławą ciągnąć zaczynały ku ciemnej ścianie lasu.

— Czyżbym komukolwiek oprócz ciebie jednej powiedzieć o tem mogła? Ciebie jednej zapytać mogłam: co się stało? Dlaczego tak się stało? Teraz już wiem. Sama zna-

lażłam odpowiedź: pozory zwodzą... Serca ludzkie są płuche... wszystko przemija... niczemu ufać nie można... Ale wtedy wspomnienia napastowały mię w snach i na jawie, nawet na świeżej mogile mamy... Przed nią, na wieki śpiącą, skarżyłam się: po coś mię tam zawiozła? Taki żal... wstyd... i pomimo wszystko — taka tęsknota! Czułam w sobie gorzkie nieszczęście i zerwałam się, aby od niego uciekać. Na skrzydłach leciałam do twej dobroci, do twego rozumu, do ciszy twego domu, pod to niebo, ku tej ziemi, które kochać tyś mię nauczyła... Wszystko, co twoje, wydawało mi się portem czy oazą, w której nakoniec ucinie, pocieszysz się serce...

Zmieniona, pobladła, z piętnem cierpienia na młodziutkiej twarzy, mówiła coraz ciszej, głosem, z coraz większą trudnością wychodzącym z piersi. Umilkła i była pomiędzy niemi — wśród mnóstwa kwiatów i pałających po krzakach gron purpurowych — długa chwila milczenia.

Potem na zamyślonych ustach Seweryny drgnęło pytanie.

— A teraz... czy serce pocieszyło się, umilkło?

Henryka nisko pochyliła głowę i przecząco nią wstrząsała. Nie mówiła nic, tylko przecząco wstrząsała głową, roztargnionymi palcami przebierając wśród kwiatów, którymi sama suknię towarzyszki osypała. Z oczu jej, otoczonych ciemnymi smugami cierpienia, na suknię i na kwiaty, jedna po drugiej, powoli, spadać poczęły łzy...

Nagle wyprostowała się i zawołała:

— Szarotka!

Wśród białowieskich geraniów, lnic, skabioz zobaczyła śnieżną gwiazdę alpejskiego kwiatu.

— Skąd masz ją, Sewerko? Skąd się tu wzięła? Dlaczego ją tu przyniosłaś? Ach, jak ich tam było wiele... wiele!...

Tam! Spadający od obłoków szumny wąż wodospadu, chłodna arkada z welonem rozsrebrzonej wody, modra toń jeziora w wieńcu skalnych szczytów, jego postać, rysy, głos... pod niebem usianem ulewą sinych i fioletowych gwiazd, błada

twarz nad jej twarzą, płomień ust... cały obraz i cały moment zmartwychpowstały z niebytu rzeczy minionych, zakłębem drobnego kwiatu...

Czoło Seweryny, przetrznięte zmarszczką cierpienia, okrył rumieniec i pozostał na niem długo. Wtedy narcyzową twarz Henryki oblała również łuna różowa i na ustach jej urwały się pytania. Uczuła tajemnicę i, nie odgadując jaką była, odwróciła przełękłe oczy. Obie spłonię, odwracały od siebie spojrzenia.

Z twarzą pobladłą i zmartwiałą, z szarotą w palcach, Seweryna powstała. Kwiaty opadłe z sukni wyhaftowały u stóp jej wzorzysty kobierzec, postać, jak biały posąg uwypukliła się na tle kalinowego krzaku, pełnego liści szerokich i gron purpurowych.

Za nią ława chmur kładła pierś szarą na ciemne czoło lasu i w leszczynowych zaroślach latały szelesty wiatru, płosząc wiewiórki, które po gibkich gałęziach, napowietrzniemi drogami, pomykały ku gniazdom.

Przed nią, Lsna, nadlatującym wichrem pędzona, szybko i szumnie gnała fale za falami, pod kłamrą królewskiego mostu, a rozmiotane nad nią wierzby i topole przybrały postać pielgrzymów osiwiiałych, którzy, rozwierając, to załamując ramiona, wołają o pomoc, ratunek, spoczynek...

Obok niej, liliowa dziewczyna, głowę ku ramieniu jej pochylając, trwożnie szeptała:

— Burza nadlatuje! Wielka burza!

I daleko kędyś, w ciemnem wnętrzu lasu, głośno rozsumiał się bór. Daleko, o igły i o liście uderzać zaczęły wielkie krople deszczu, wzniecając szmer, który zataczał się powietrzem i przybywał na to wybrzeże, stojące jeszcze pod rozdzielającą chmury smugą czystego błękitu.

Pod zwężającą się coraz smugą czystego błękitu, wśród szelestów i szumów, szeroko rozwichrzały się liście kaliny i przez wicher stręcane, kapały z drzew i krzaków czerwone łzy...

XIX.

Krasowce.

Przebacz, że milczałam długo i że dziś jeszcze mówić nie będę o twej eklodzie w Giëssbach. Przebacz, jeżeli połową tylko ust mówić będę i nie przypisuj tego obojętności dla zwierzeń twoich. Uwierz mi, proszę! Szczerłość jest przymiotem, którego zdobywać nie potrzebowałam, bo przysłałam z nim na świat i nie znam ohydy, któraby dla mnie dorównywała ohydzie fałszu, ani sroższego cierpienia, jak gdy na ustach więzić muszę słowa wyrwywające się z serca. Jest dla ciebie w sercu mojem słów wiele i jest moc nad nie silniejsza, która je więzi na szczerych ustach moich.

Ale zupełnie umilknąć, teraz, gdy «skargą szukasz mego głosu», nie mogę! Gdybyś go szukał nutą piosnki wesolej... Gdybyś był, kiedy po raz pierwszy przemówiłam do ciebie, taką nutę w odpowiedź mi przesłał... Bom ja mniemała, żeś upojony sławą wcześniej zdobytą i rozkochany w światowych blaskach, wśród których upływa ci życie. Miałam przyczynić mniemać, że obok wielkiego umysłu jest w tobie serce motyle, które, z kwiatów wypijając miody, wzgardliwie czy lekomyślnie opuszcza ich spustoszone korony. Zamiast tego usłyszałam twą harfę pomacierzyńską, która z pod głuchej opoki dzwoni bólem i tęsknotą za tem, co umysł twój wzgardą okrył, ze wzgardą odrzucił. Dlatego zaczęłam przemawiać do ciebie często i nastawiałam ucha na przestrzeń, czy nie przynosi mi twej odpowiedzi.

I patrz, co się stało! Cóż się stało? O, nic zresztą tak ważnego, aby dorównać mogło tym prapoczątkom i całokształtom wszechbytu, w których zatapia się myśl twoja. I w mojem również pojęciu, straty, cierpienia, zdobycze, rozkosze jednostek, nieważkie są wobec rzeczy zbiorowych, zarządzających mnóstwem dusz i losów. Więc nie stało się nic ważnego; a jednak, coś się stało! Rozmowy tej przerwać jeszcze nie mogę.

Czy wiesz o tem, że w życiu, najwięcej wypełnionem przez pracę i rezygnację, bywają jednak dni bez koloru i ciężkie omdlewania woli. Rozmowa z tobą stała mi się kolorem dni i tą kroplą ciepła, która przywraca do życia zmarznięte od chłodu ptaki. Mówię o tem, bo wiem, że rozmowa ta przerwać się musi, więc słowa, które wyrwały się z klatki znikną i zmlkną w głuchocie wiecznego milczenia. Prędkiej czy później, umilknąć będą musiały te strofy, w któreśmy, zaklinali iskry naszych duchów, nad przestworami śląc je ku sobie, jak napowietrzne gońce.

Strofy umilkną, a żywe serca...

«Wieki miną,

Te gwiazdy, które dziś świecą, zagasną,

A nie odmieni się sercom, co giną,

Nic a nic...»

Wszakże ja twoich, ty moich rysów i postaci nie widzieliśmy nigdy inaczej, jak na fotograficznych odbiciach. Odbicia te, to widma. Widmami również są głosy, ogołocone ze swych brzmień cielesnych. Szybko mdleją i nikną widma wobec postaci żywych, widomych. Rychło widmo moje omdleje i zniknie przed oczyma twemi i głos widmowy połączy się w zapomnieniu z tem wszystkiem, co, mając być bezcielesny, dla świata obleczonego w ciało długo żyć nie może...

Widzisz, co się stało. Mówię ci o tem i mówię z żalem. Lecz chwila jeszcze, a długo mówić będę o twej eklodzie w Giëssbach.

Teraz, trochę o Puszczy...

Miałam niedawno przed sobą jeden z jej obrazów posępnych i dziwnych. Na przestrzeni bardzo rozległej stoją tam wody tak czarne, jak smoła, a tak połyskliwe, jak w ziemię wprawione zwierciadło. W szkliwie tem czarnem odbicia drzew i obłoków, utracając swe barwy, nabierają postaci widmowych, a światła słoneczne chodzą po niem smugami bladawo- czy trupio-srebrnymi i wyrasta z niego rzadki ludek olsz i sośnin cieniuchnych, niskich, z pomiędzy których gdzie-

niegdzie, w odległościach znacznych, bujają wzniosłe dęby tak wyniosłe, tak proste i mocne, że na myśl przywodzą wyprężone ku niebu ramiona Atlasów. Czoła tych dębów kąpią się w wysokościach podobłocznych i na czarne wody, w których tkwią ich podnóża, leją szumy zamyślane i głębokie.

Jakie-to żale łkają w szumach olbrzymów, gdy nad rosnącym im u stóp drobiazgiem patrzą one w dal bezgraniczną, rysującą im na chmurach widziadła czarowne, rajske, rozwiewne? Czy potężne westchnienia, którymi wzdymają się te szumy, to wołania i prośby, aby z krańców firmamentu przybywały mary cudne i na wyprężonych ku niebu ramionach Atlasów wieszały powoje, wydające z ust różanych wonie migdałowe?

Długo słuchałam mowy dębów, które nad czarnymi wodami topią czoła w wysokościach podślonecznych, i «liść szumiący z wichrami rozumiałam co mówił».

Długo, wśród paproci, które już okrywają się krwistą rdzawością, ramionami młodą olszę obejmując, stałam nad brzegiem czarnego zwierciadła, patrząc na zaludniające je widma drzew i obłoków, na ścielące się po niem smugi trupio-srebrne i po raz pierwszy wtedy przez głowę przewinęła mi się myśl, tak samo, jak te wody czarna i trupich widm pełna: a cóż? jeżeli jestem w błędzie?

Cóż? «Błąd wiek człowieczy». Wszyscy szukają i błądzą. Ten tylko nie błądzi, kto niczego nie szuka. Należę do szukających, może błądzę...

Cóż? Gdybyś ty właśnie był w prawdzie, a ja w błędzie? Kto mi dał patent na nieomyślność? Wieki? Powagi? Wiemy dobrze, że szeregi wieków i powag chadzały po drogach, które inne szeregi nazwały manowcami.

Cóż, gdyby męzne boje mego dziada, ból ojca, tragiczny los brata i moja własna młodość, siła, radość, ciekły do szlamu pozłoconego przez wyobraźnię poetów?

Mam głowę pełną poetów. Wzrok topiąc w czarnem zwierciadle słowami jednego z nich myślałam:

«...Oto widzisz płotkę, co przeleciała przez powietrze i znów utonęła.

«A teraz opowiada siostronom swoim na dzień, że zobaczyła niebo i opowiada o niebie różne rzeczy i z tego ma sławę pomiędzy rybkami.

«Słuchając więc o niebiosach, zapłyną do sieci i jutro będą sprzedane na rynku».

Jaka to prawda! Słuchanie o niebiosach prowadzi do sieci. Siecią o ciasnych okach jest służenie ideałom.

Jestem rybką zasłuchaną w opowiadanie płotek, które przelatywały powietrzem i widziały niebo.

Lecz jeżeli tym płotkom zdawało się tylko, że widziały niebo?

Jeżeli, jak utrzymujesz — łyzy i uśmiechy sypią się na świat bez celu, bez planu, nie z ogniska najwyższej Mądrości i Woli, lecz z głuchego chaosu, który bezmyślnie pracuje na dramat rybek, chwytanym w sieci twarde i krwawiące?...

Ucieklam od czarnego zwierciadła i od szumiących nad niem dębów. Niedobrze jest wsłuchiwać się w głosy smutnych Atlasów i wpatrywać się długo w topiele, pełne czarnych tajemnic. Niedobrze, bo boli, i chwiejąc się razem z wiotką olszą nadbrzeżną, można wpaść w czarną topiel.

A gdyby w nią wpaść? «Cóż jest życie, aby go żałować? Czy to jest Anioł dobry, opuszczający nas w godzinie śmierci?» Ale zaraz, ten sam poeta upomina: «A wieszli, czy nie jesteś wybrany na ofiarę spokojną?» Spokojną, zatem z poddaniem znoszącą życie, od którego zależy coś, co jest wobec ciebie, pyłku, górą niebosięzną i więcej jeszcze niż niebosięzną górą, bo woła Tego, który stwarza i pyłki, i góry.

Skarżysz się na połowiczność duszy swojej; widzisz, jak połowicznymi bywają poeci. Lecz i o tem wiedz, że duża wszelka im poetyczniejsza jest, tem pewniej rozdarta, i że przez to właśnie rozdarcie poetyczność jej wylewa się na świat. Krew wylewająca się z serc jednych wlewa się do serc innych pod postaciami wina i miodu, a takich cudów

galilejskich jest na ziemi tyle, ile jest na niej czynów cnoty i dzieł sztuki. To bardzo dziwne i myślą trąca — o niesprawiedliwości.

Któż może być takim ślepcem, aby nie dostrzegać, że niesprawiedliwość rozlewa się od kresu do kresu świata i życia? Lecz wierzyłam, że zgłoski sprawiedliwości doskonałej jaśnieją jednak w sferach najwyższych wszechbytu, których mądrość ludzka dostrzedz i poznać nie może, lecz ku którym wszechbyt dąży przez mądrość i przez miłość. Tak wierząc, pragnęłam brać czynny udział w galilejskich cudach przemieniania krwi serca swego na wino i miód dla serc innych.

Teraz... niekiedy... cóż? oto pamięć przeprowadza mi pod czołem słowa twoje o szalbierstwach, dokonywanych przez poetów świata.

Niedawno stałam oko w oko z dziwnie rozpołowionym widokiem natury. Jechałam do jednej z osad budniczych, gdy w ucho mi wpadł rozlegający się w pobliżu łoskot, huk, szum. Porzuciłam Avisę wśród wrzosów, które teraz właśnie lilowe kobierce po lesie rozkładają, i poszłam zobaczyć, jaki to żywioł natury rozgadał się tak głośno. Bo głosy to były nie zwierzęce, ani ludzkie, tylko jakieś siły żywiołowej. Bardzo też wkrótce zobaczyłam jeden z tych naszyjników kryształowych, którymi wieszczki wód gęsto obwieszają łono tej Puszczy: znalazłam się nad Narewką.

Las w tem miejscu ściśliwy, nieprzebitą ścianą stał jakby w skupieniu religijnem, czy w przepaścistej zadumie, i milczał, zdawał się modlić, czy myśleć i tylko w tajemniczym wnętrzu jego coś kiedy niekiedy wzdychało. Narewka zaś, w oddali turkusowa, tu przeskakując wysokie śluzy, tworzyła biały wodospad, który, rzucając się na skośne fale, wznosił piętra alabastrowej piany, huczał, szumiał, dzwonił, krzyczał.

Wśród modlącego się w skupionem milczeniu i czasem tylko wzdychającego lasu szął i gwałt wód tych podobny był do rozpacz, wybuchającej w zrezygnowanej duszy. Las

i rezygnacya cicho strzelają ku niebu, wodospad i rozpacz z krzykiem rzucają się ku przepaściom. Jak las ten był cichym, w tak ciche zapadłam dumanie.

Cóżemy przecie za jedni — myślałam — my, ludzie, nigdy nie syci nieba, ani ziemi, spragnieni ziemi, gdy pograżamy się w niebie, a umierający z tęsknoty za niebem, ilekroć zbyt szczelnie łonem zwieramy się z ziemią?

Powtórzyłam sobie słowa twoje o wiedzy: «Wszystko, co u ludzi nazywa się wiedzą, jest tylko mglistem jej odbiciem, cieniem tego odbicia, cieniem cienia — wiedza sama w sobie mało się różni od wiary».

I z wolna, z trudnością te słowa twoje przełożyłam na swoje: wszystko, co ludzie poczytują w sobie za cnotę, jest tylko mglistem jej odbiciem, cieniem odbicia, cieniem cienia — cnota z tej strony jest podobną do wiedzy, że pełnej doskonałości nie dociga nigdy.

Musi przyjść zawsze taki kraniec dociekań, na którym czciciel wiedzy mówi sobie: nie wiem! i taki moment, w którym czciciel cnoty mówi sobie: grzeszę! W pierwszym istnieje bezzaradna niedostateczność zmysłów, którymi bada otchłanie wszechbytu; w drugim — z tajemniczych spodów natury ludzkiej wznoszą się nad rolę, zaoraną przez Dobro, pierwotne a niepozbyte ily.

A ideały?

Te nieśmiertelnie, lecz szkicowo unoszą się nad ziemią. Próby niedokonane, szkice niewypełnione... Ale dokończenie, wypełnienie ich kędyś wyżej musi być chyba, bo jeżeli nie, to skąd i po co te początki?

Pragnęłam być Beatryczą, wiodącą istotę kochaną ze sfery w sferę, z gwiazdy na gwiazdę... lecz teraz powstaje we mnie pragnienie palące, aby ktoś mnie samą wziął za rękę, powiodł górą i przywiódł ku gwieździe, któraby przez perłowe zasłony swe ukazała obraz pełny, jawę doskonałą tego, co ziemskie sny przepływa nie wypełnionym i niedościgłym szkicem...

XX.

Mürren.

Głos twój znalazł mnie w najustronniejszych matecznikach gór, w których głąb się cofałem.

Przestałem się go spodziewać, a dziś po pierwszym okrzyku powitania nie umiem się już nim cieszyć. Może nawykły do gardzenia kwiatami ziemskimi, przepoilem się wyłącznie gorzkim hyzopem życia? Może owa kropla piotunu, dawana nam w kolebce na pierwszy życia sakrament, u mnie była wyjątkowo wielką. Dość, że nawet teraz, nawet teraz, kiedy znów mówić mogę do ciebie, oczy moje są czemś zgaszone i nie napełniają się weselem.

Jestem, oczywiście, niewdzięczny. Czegóż więcej wymagać mogłem? Przywiązałem się do rozmowy z tobą. Gdy mi było duszno i ckliwo, pożałowałem jej, jak rosy. I oto nie zapomniałaś o mnie. Bynajmniej nie zapomniałaś... Doszło mnie jak gdyby wyznanie, że cierpkie słowa moje, że myśli moje nie są dla ciebie gościem nienawistnym. Co więcej, dochodzi mnie jak gdyby przyznanie, że mogą być dźwiękiem, do całokształtu pieśni twojej zdatnym — potrzebnym. I dowiaduję się, że masz dla mnie jeszcze innych słów wiele... Szczególnie więzi mnie każdy mój wyraz własny, zrodzony w mej zimnej i jałowej duszy, ilekroć z dalekiej za lasy i rzeki podróży powraca do mnie, przez usta twoje, pełne nieba i poezyi. Każdy taki wyraz, powracający do mnie tak pieściwą drogą, witam chciwie i oglądam z uśmiechem zdziwienia, poznaję bowiem, że jest mój własny, a jednak, gdy wzięła go w siebie twoja seraficzna Psyche, tak jakoś zbłękitniał, że mógłby prawie uchodzić za westchnienie... poety.

Ten los gońców moich i to błękitne echo, a zwłaszcza tych słów wiele przeznaczonych dla mnie, lecz w świat nie posłanych, mogłyby być przyczyną gorącej radości. Ale ja, widzisz, nie mogę ani na chwilę utracić z oczu owej wielkiej różnicy, która, jak ostrze ciężkiego żelaza, wrzyna się w rdzeń

naszego dwugłosu, wykluczając jednolitość pieśni. Różnica leży w tem, że gdy strofy twoich uczuć stawały się dla mnie źródłem upojenia, dźwięk mojego głosu zmienia się w sercu twem na szarą chmurę.

Smutna to rola w dwudźwięku, spływać na jutrznie mistycznych zachwyceń kirem ciemności. To też, nie chcąc się plamić fałszem, zapowiedziałas otwarcie, że pieśń rozbita o tę fatalną zaporę, prędzej czy później skończyć się musi, a najpewniej skończy się rychło. I dlatego, przyjaciółko moja, sam nie wiem, czy z przedłużenia pieśni, której koniec dobrotliwie oddalas, cieszyć się mam istotnie. Jeżeli zaś z tego mnóstwa słów ciepłych, przeznaczonych dla mnie, odbiorę jeszcze odpowiednią część na karb twych ofiarniczych lotów, na karb obowiązkowego współczucia, na karb wreszcie solidarności rodowej, to chociaż żal ci rozmowy, nie myślę, aby z owych zasobów dla mnie samego zostało zbyt wiele.

Nie pytam: czemu rozmowa nasza przerwać się musi? Dziwi mnie tylko, dla jakiego kaprysu chcesz zaprzętać mnie i siebie tą rzeczą minioną, którą jest moja ekloga w Giessbach? Cóż cię ona obchodzić może? Jeżeli cokolwiek opowiadał o sobie, to chciałem cię jedynie przekonać, że — wbrew mniemaniu twemu — nie tarzam się w szlamie złocistym, i... że leśne wieszczki-gwiazdźce, uganiające się na skrzydlatych rumakach po puszczy, nie trzymają w sieci — motyla.

Cóż ci powiedzieć, aby trochę koloru rzucić na dzień twój, a nie splamić twoich błękitów? O ludziach? o górach? o sobie?

Ludzi nie brak i tutaj. Chociaż uciekłem z Interlaken, aby koczować po najwyższej wzniesionych emporiach tego kantonu i u progów wiekuistej martwoty zaczerpnąć sił do dalszego pochodu, mimo to stanąć musiałem główną kwaterą na mureńskiej terrasie, jako ostatniej placówce hotelowej cywilizacji, następstwem zaś tego jest, że prąd letnich podróży skrajną swą falą dociera aż tutaj, i że ludzi nie brak. Jednakże skrajny ten nurt inaczej się tu przedstawia, aniżeli

niżej «là, en bas!» — jak mówią tubylcy, wyciągając rękę w stronę doliny Aaru. Mniej tutaj bulwaru, a więcej turystów. Niestety, po bliższem zbadaniu okazuje się, że większość tych podróżników to gromady filistrów w sportowym przebraniu. Ach, jakież pary się tu zdarzają! Jemu wspomnienie cynizmu, zachowane z lat młodych, dyktuje na widok dostępnej dziś Jungfrau jakiś żart dowcipny. Ona, roznosząc w fałdach sukni zebrane z gospodarstwa wyziewy, cieszy się, że mąż tak wesoły. Nie lubię ludzi.

Natomiast wielbię przyrodę. Przyroda taką tu jest różnorodną i przestrzenną, że przyjezdni, rozproszywszy się po okolicy, wsiakają wnet bez śladu w murawę, w śnieg, w kamienie — i atmosfera pozostaje czystą. Jeżeli zaś wypłyną później gdziekolwiek na przejmach pustego wąwozu, albo na rozesełanej draperyi ciemno-piórych jodeł, to są już tylko nutą ruchomą, wpadającą zgodnie w symfonię obszernych krajobrazów. Stają się oni często pstrą różnaitością dla jednostajnych połonin, lub czarną kresą na kamienistym rozłogu, a czasem czyni z nich słońce fioletowe iskry, rozrzucone po śniegach.

Słońce! Piękniej jeszcze niż ludzi, umie ono przeobrażać ludzkie mieszkania. Jest tu zwłaszcza jedno takie gniazdo, garść chat góralskich, widzialna z przeciwległego emporium, na której słońce, gdy skłania się ku zachodowi, dokazuje nieraz prawdziwych magii. Właśnie bowiem nad wysmukłą ścianą, gdzie domki Isenfluk do pochyłości się kleją, rozpęka zwykle słońce w gwiazdę promieni, rozżarzonych miedzią, i promienie te, wybuchnąwszy na połowę nieba, zlewają się wnet potem strugą wrzącego kruszcu na owe śmiałe szalety; i wówczas oczy ludzkie ogarnia zdziwienie, że tak nawałna struga lejących się ogni nie zmywa wszystkiego ze skały, w dół, hen, tam aż w głąb Lutschiny!

Lutschinę — pamiętasz? — malowałem ci kiedyś jej młodość, aby cię dla Szwajcaryi zniewolić. Ona wydawała mi się wtedy, tam wysoko, dumną, huczną i hardą. A teraz strumień, poczęty kiedyś na białem łonie Jungfrau, wije się niktó,

gdzieś pod stopą moją, w zawrotnej otchłani, jak wężyk drobny, przydeptany, cichy. Przydeptały go rodzinne Alp kolosy, wyrastające zewsząd gigantycznym orszakiem ku firmamentom i gwiazdom. Ciężkie brzemiona pradawnych kryształów dobyły się z gorących posad ziemi, a teraz ścina je wicher lodowy i rozgryza mróz.

Wy, poetyczni, wraz ze swymi poetami, lubicie zaludniać ułomnością ludzką niebo i ziemię. Goethe albo Słowacki powiedzieliby niewątpliwie, że to jakiś Samos helleński, przyniesiony skorupą globu, w pogańskiej ślepotcie i zawiści swojej buntuje się przeciw losom, rozpręża i wysadza na światło takie rumowiska. Ja, nędzny samotnik z odartemi skrzydłami, nie odgaduję — co prawda — pod stopą moją nic prócz pojęcia ociężałej masy, a nad sobą nic, oprócz pojęcia eteru czy próżnej przestrzeni... Ale choć nie mam, ani waszej fantazyi, ani waszego sposobu czucia, to przecież w obliczu olbrzymów sięgających głowami tam, gdzie tylko gwiazdy lub orły spotykać przywykło, w obliczu alpejskiego słońca, które późno, późno wychyla się kicią złotą z poza potopu dzikich granitów i wcześniej, coraz wcześniej na szczytach przeciwległej warowni umiera, wobec zbiorowych czarów i tęczowych śpiewów arcypięknego świata — czuję i wiem, że w całym ubóstwie mych prawd i w całym mem z ułud odarcia, jestem tej przyrody bliższym synem, aniżeli wasi poeci, nadewszystko bliższym jej serca, co tętni po mojemu i w mglistych brzaskach, i w konającym słońcu, i w granicie, i w lodzie, i w próżni. To jest jedyna nagroda za wysiłki moje w ciągłym dążeniu do jej prostego serca i do jej prostej prawdy. I dziwnej tej nagrody, niezrozumiałej może dla innych, nie chciałbym za żadną cenę utracić. Stała mi się ona droższą, odkąd zacząłem się o nią obawiać. Złakłem się nieco o mój świat wyższego gatunku, w który wchodzi, obcując z górami.

Tak, jak ty, przyjaciółko, posiadasz swoje wsie, lasy i łąki, swój ojczysty szmat ziemi, a na nim własne drzewa, trawy, zboża, domy, ludzi, kościoły świętych pamiątek i w to

wszystko, jak w nieśmiertelny liść aloesu, owijasza szczerze swe serce; tak ja, ukrytymi rzutami ducha, przywykłem wytworzać sobie z niebotyczności gór, falistości morza, z barwności krajobrazów świat wyłączny i własny, którego strzegę zazdrośnie, bo okrywa on mnie i chroni jak niewidzialna zbroja, bez której byłbym bezbronnym, bezdomnym i w szlamy najlichsze wtłoczonym. Jest to rodzaj takiego zaświata, o jakich wy marzycie w ścianach kościołów.

Tak, jak w zaświatach waszych znajduje się wasze szczęście i zbawienie, tak przez mój świat prowadzi droga do zenitów ducha, na których wznoszą się trony zagadkowych i w zagadkę wieczną wiecznie wpatrzonych Sfinksów.

Teraz zaś lękam się o władztwo nad tym światem, wywalczone pracą i nie jedną ofiarą, bo odkąd się mu sprzeniewierzyłem tak haniebnie, jak nigdy przedtem, daremnie usiłuję odzyskać opuszczone królestwo, chociaż udałem się po nie aż tutaj, w tajnię pierwotnych gór. Szermierz mój i jedyny towarzysz pancerny, myśl moja wymaga snadź dłuższej chwili, by podnieść się z trującego letargu. A przytem nagromadziło się we mnie tam w dole tyle niespodziewanych sprzeczności, odkrywam w sobie raz po raz tyle złamanych linii, ciągle jeszcze spotykam w sobie tyle skrajnych niekonsekwencji, że z każdą chwilą czuję coraz naglejszą potrzebę pomocy czy ratunku, i niecierpliwość się wzmacnia. Oto wieść najgłówniejsza, którą mogę ci teraz donieść o sobie. Czy cię ona obchodzi?

I jedno jeszcze mogłoby cię zająć — dziwna zbieżność naszych dusz odległych. W tej samej może godzinie, kiedy przeraził cię los rybek, słuchających o niebie i wpadających w sieci, przemknęło i mnie przez głowę pytanie: czy obrana przeze mnie droga, na której mam życie przeżyć i utracić, jest prawdziwą? Czy kończy się w ognisku wszelkich początków i końców, czy też gubi się może na jałowych manowcach, jak owa fałszywa ścieżka, którą niedawno dostać się chciałem do lodowego stawu ze Steinberskiej gospody?

Bo właśnie, gdy zbłądziłem w wędrówce po skałach,

uderzyła mnie po raz pierwszy możliwość pomyłki. Był to, oczywiście, przelotny zasiew sceptycyzmu. Wszak nie oślepiły mnie dotąd blaski gwiazd Krasowieckich. A przecież od tego momentu, jak gdyby na odgłos groźnej, acz cichej, pobudki, zerwałem się z gnuśnej półjawy, otrząsając resztki pół sennych marzeń i zaniedbaną myśl swoją otoczywszy tęskliwym ramieniem, wodzę ją odtąd, towarzyszkę wierną, po głązach, po śniegach, kaskadach i patrzę niespokojnie w jej dumne oblicze, czy oczu przed ową wielkością nie mruży?

Tak, ja i myśl moja, razem zamknięci w bezmiernej milkliwości rozrzedzonego powietrza, wśród łoskotu białych lawin, co chwila rwących się głucho na wysokościach, mierzymy razem wszystkie gór szczyty i wszystkie otchłanie, a o zmroku wracamy razem do mego szałas. Jak widzisz, nie jestem sam.

Nieraz ten i ów szczegół, z systemu mych ścisłych wniosków wyjęty, oglądam niestrudzenie a nieufnie na całodziennych włóczęgach, na otwartych skalnych platformach w poszarpanem łożysku lodników, w blaskach jaskrawych i w chmurach. Niespokojny zaś bywam dlatego, że te przelewające się z formy w formę zjawiska świata, przed którymi stoję, choć milczące i skrzepłe, są często sędziami dla myśli i sąd ich bywa często nieubłagany. Trzeba ci bowiem wiedzieć, że nawet przy naukowym rozbiorze zjawisk, uproszczonych do czystego schematu, zachodzi różnica pomiędzy światem czy bytem rozpatrywanym w ciszy i skupieniu ciasnej pracowni, a światem bezpośrednim, rozokolonym przed nami w świątynię kształtów i kolorów. Wtedy dopiero na purpurowych wybuchach słońce i grzmotnem echu lawinowych katastrof, duch nasz ocenia swe siły. Podobne chwile przechodzić musi artysta, jeśli w zacieśnieniu miasta wyśpiewał hymn żywiołowy gór, albo morza, a potem znów znajdzie się na bezdrożach wiecznego śniegu, albo przed majestatem oceanu. Wtedy, wraz z dziełem swem w sercu i w głowie, przynosi on z sobą konieczną bojaźń i nieufność, czy jego własna

wyśpiewana twórczość nie padnie w proch przed twórczością realizującej się przyrody?

Z taką samą obawą, z sercem tak samo ściśniętym zapuszczam się i ja teraz w zmierzch odludnych parowów, drę się przez haszcze cierniste, przez gąszcz splątany pokrzyw i paproci, potykam się o głazy oślizłe od dżdżu wodosпадów, wiejących gdzieś niewidzialnie nad stropem z listowia i szpilek... Z takim samym ciężarem złych przeczuć witam i ja nieraz swobodę nadleśnych czubatów, lotność przezroczych motyli, rozbujanych po kwiatach i połyskliwość ich skrzydeł szklanych.

Wtenczas, wypoczywając na kamiennej lub darniowej ławie i ocierając pot z czoła, miewam godziny nieruchomej walki własnej swej myśli z wielką myślą świata i roztrząsam sumienie przed dobą nowej pracy. I wtenczas podnoszą czasem głowę węzowe skręty pytańników: czy duch mój jest istotnie dość wkorzeniony i mocny u podstaw, a dość giętki i rozłożysty w szczegółowych wynikach, by sprostać nagromadzonej tu wielości przejawów i ujarzmić je w ogniach poznania? Może się łudzę? Może paść mam ofiarą tych pominiętych czy nierozpoznanych pierwiastków, które przygnały do mnie na skrzydłach losu... z litewskich kniei...

Właśnie wspomniana ścieżka zawodna, ścieżka zaledwie wydeptana przez kozy i halnych pasterzy, rąbkiem wążuchnym rozpięta na połowie wysokości prostopadłych stoków, o tysiąc metrów górująca nad amfiteatrem Alp najwspanialszych, rozciągniętych od Jungfrau do Spalhornu, ta ścieżka jest miejscem rzadkiem i przeze mnie wybranem do rozmyślań nad trudnemi drogami ducha. Czyliż te nastroszone wokół, śpieszące zwartym hufcem pod niebo ciała herosów o ciemnych czołach i hełmach brylantowych nie są karydami, godnemi Panteonu, który my, samotnicy ducha, pragniemy wznieść nad światem? Gdzie wśród nich stanowisko moje? Czy dotarłem już tak wysoko, jak śnieżne piuropusze tych hełmów, trzymające wszystko pod sobą, a nad sobą mające już tylko firmament? I czy jestem już tak silny, by

z wyżyn zdobytych zarzucić na bezmiar firmamentu sklepienie?

Takie pytania rodzą mi się w mózgu.

Tak w przededniu świeżej, i pewno dozgonnej już pracy, będę się czasem i troszcę, ponieważ myśl moja i ta moja praca muszą mi wystarczać na wszystkich obszar życia i zastępować wszystko, co inni posiadają na ziemi.

Chciałbym zostawić po sobie dzieło myśli wielkie i nowe, gdyż bez niego życie moje poszłoby rzeczywiście na marne.

Lecz inną jeszcze pokładałam w tem nadzieję: czuję, że tylko mózół takiej pracy zdoła zasklepić i wyrównać terazniejszej duszy mej rozdarcie, o którym mówisz, że jest poezją duszy. Czy i mnie zaliczasz do owych dębów, rozsianych z rzadka na wodach czarnoziem, z konarami wyciągniętymi ku czarownym widmom, w oddali rysującym się na niebie? Ach! jeżeli istotnie mam być w twojej myśli takim pośród wód czarnych dębem samotnym, to nie przeczuwasz nawet, jak bardzo ten dąb jest pęknięty! Teraz dopiero, gdy ponownie trącił go zefir twego głosu, poznałem całą głębokość rany. I zaraz zastanowiłem się nad tem, jak różną bywa siła w roślinach i że niekiedy dość byłoby jednej latorośli wiotkiego powoju, aby pień dębu rozdarty uchronić od zguby.

Bo gdyby gałąź powoju, uniesiona wichrem szczerzej, zwycięskiej tklivości, nie pomna przeszkód, przemogła zapory i opadła na samotność chorego Atlasa, by mu ramię zawiązać szarfą liliowych kwiatów, Atlas mógłby ocaleć. W powoju mogłaby tkwić siła galilejskich cudów, a ognie piorunów, dla olbrzymów zgubne, zdrząłyby przed liliowością delikatnego kwiatu i spływałyby, bez przyniesienia szkody, po wonnej szarfie, w smołę trzęsawisk.

Tak bywa niekiedy, ale tylko w baśni. Dla mnie nawet baśni cudów nie mają. Latorośle kwietne może tęsknią czasem do posępnych dębów, lecz boją się ciemnic martwej topieli i zwijają wcześniej swe wonne kielichy...

Oto widzisz, co się i mnie zdarzyło po rozmowach naszych. W przededniu pracy zaczynam przemawiać językiem poetów. I kto wie, gdybym spróbował, możebym śpiewać potrafił jeszcze świetniej, aniżeli niejednen z tamtych... Postarałbym się wzbogacić świętą księgę galilejskich metafor, przypowieścią o sennym dębie wśród czarnej przestrzeni, któremu śniły się liliowe kwiaty, poczem rozdarły go iskrzyste pioruny, a kwiaty dumwały dalej na bezpiecznym brzegu... I dodałbym, że dąb ten jest szczęśliwy... bo rozdarła go poetyczność. Czy zasklepi się połowiąca go rana? nie wiem, czy wróci mu dawna potęga, urągająca piorunom? nie wiem; ale blizna, już wiem, ta zostanie.

Napisałbym tedy przypowieść, a tobie radziłbym włączyć ją jako nową kartę do księgi, której na imię: Księga Miłości. Bo omdlewanie Atlasów i ich połowiczność, a treść owej księgi wielbionej — to jedno...

Na przekór wszystkim wysileniom i trwogom — jestem omdlały.

Więc i to jeszcze stało mi się przez rozmowy nasze, że w przededniu odrodzenia dla pracy, marząco, czy sennie omdlewałam. Mówiłem i wyznawałem ci o sobie już tak wiele, że to jeszcze wyznam... Myśl pobudzam do pracy i walki — a popadam często w niepokonaną omdlałość woli i myśli. W słonecznych blaskach i nad krawędzią przepaści pragnę paść na mchy... albo na północne wrzosa — nie czując w sobie ani tchnienia myśli — śnić, marzyć i czekać cudu...

Czekać białego oblicza, jasnych źrenic, płomiennych ust — pochylonej nad sobą z uśmiechem słodkim wieszczki gwiazdziarki, urzeczonej przez ziemię, oderwanej od nieba, z firmamentów gwiazdzistych, lecz chłodnych i smutnych przez upał słońca i przez widmo szczęścia aż do mnie przywiedzionej Beatryczy.

XXI.

Krasowce.

Więc i w twej myśli powstało zapytanie: czy droga, na której masz życie przeżyć, jest prawdziwą!

Czy obchodzą mię zwierzenia twoje?

Gdziekolwiek jestem i cokolwiek czynię...

Widzę cię «w górskim szalecie», gdy szczegół wyjęty z systematu swych ścisłych wniosków, oglądasz niestrudzenie, a nieufnie...»

Zaczynam dowiadywać się, jak przeraża i jak boli zachwianie się ufności w stałość gruntu, na którym opierają się stopy.

Widzę cię, gdy samotny, z widmem dumnej myśli: «zapuszczasz się w zmierzch parowów, drzesz się przez haszcze cierniste...»

Nie! tak nie powinno być, aby ludzie chadzali po zmierzchach i haszczach, sami jedni! Nie powinno być, bo bywają momenty życia, w których samotność a zguba, to jedno.

Masz słuszność. Zranione Atlasy, aby nie zginąć, potrzebują przewiązek z powoju. I nie tylko one. Każdemu sercu życie winno przepaskę z kwiatów i gdy nie wywiąże się z tego długu, serce swojego spłacać życiu nie ma siły...

Na język codzienny tak się to tłómaczy: człowiek jest takim stworzeniem, które potrzebuje koniecznie, aby mu do napoju życia wlałą była kropla miodu, bo inaczej otruć się może tym napojem. Słabe, śmieszne stworzenie! Śmieszne, bo przecież wie o tem, że to jest tylko chwilka, tu, na ziemi, jedna krótka chwilka, która przeleci, jak dmuchnięcie wiatru. A przecież i na tę chwilkę krótką, marną... śmieszne stworzenie! I jakże słabe — nawet wtedy, kiedy mniema, że jest silne, może najwięcej wtedy.

Wszystko to jest bezładne, niejasne, dla mnie samej niejasne, a razem wzięte, prowadzi do zapytania, którego

chciej wysłuchać uważnie i odpowiedzieć na nie konieczne, do takiego zapytania: co uczułeś i uczynił, gdyby cię doszła wieść, że dobre i piękne dziecko z Giessbach dotąd jeszcze nie zapomniało o tobie i według słów twych: «oni wiele ze swej życiowej energii na jałowe emanacje duszy, zwane wspomnieniem?» Co uczułeś i uczynił na wieść, że ta dusza kobieca jest stokroć jeszcze czystsza, głębsza, podnioslejsza, niż przez krótki moment wpatrywania się w nią poznać mogłeś, i że w tej duszy obraz wyniesiony z Giessbach nie pobladł, nie zamarł, lecz wbrew szronom rozłączenia kwitnie na podobieństwo róży, codziennie skrapianej żywymi perłami żalu?

Nie składaj tego pytania na szali rzeczy drobnych i nieważnych. Wniknij w nie i w samego siebie i odpowiedz szybko... szybko. Czekam!

XXII.

Mürren.

W dzień beznadziejnej szarugi, w taki dzień jak dzisiaj, powiodłbym ją ścieżką urwistą ku lodowym wodom i pokazał Walhallę szczytów ściętych lodem, na których świat się kończy. I na amfiteatrze granitowych progów, idących coraz wyżej w mróz i świetność Gigantów, na bujnej zieleni zacisznych podnóży, na załamanej linii lasów wspiętych nad szorstkie stromizny, na spróchniałych zwłokach drzew najzuchwalszych, sterczących w biernej niesławie opodal sinych lodników, pokazałbym jej rozum i nierozum życia; śmieszna rolę drzew, wysyłanych przez życie w krainę martwoty, po bezpłodną zgubę!

Nie tam kwitnąć kwiatkom wiosennym!

Nie takie wcale kwiatki współczuć mogą niebezpieczeństwu śmiałków, toczących zapasy z orkanem. Im krzewić się przystoi na grzędzie rodzinnej, w drżącym lęku przed nadaremным szaleństwem. A pouczywszy je w ten sposób, ode-

słałbym to dziecko na kępy szmaragdowe, gdzie konwalie i narcyzy wonią młodości i białości łona kwitną w każdym — co siania się przy ziemi.

Tak-bym uczynił.

A cobym uczuł?

Czy mamy czas skracać dyalogami wyjętymi z epoki Sądów Miłości? Zabawa to niegodna mnie i ciebie.

Dopóki znajdowałem się na terenie Idalii, w dusznych wyziewach instynktów ludzkich, pędziły mnie ustawicznie tęsknoty ku owym wyższym, coraz dalszym i coraz wspanialszym sceneryom Alp, które ukazywały mi się poza ruchliwą falą obłoczystych zasłon, w półmroku pełnym tajemnic. Wszystko tam było jakieś niedopowiedziane. Ułamki zatarłych, to znów odsłaniających się widoków nabierały przez mgłę oddalenia wspaniałości i grozy. Wyobrażałem sobie, że zostawiwszy Aar i to, co się z nim łączy, za siódmą górą i w siódmej otchłani, dostanę się do obiecaney krainy oczyszczenia, wolności i spokoju. Tak nęcącym, fantastycznym i wielkim wydawał mi się ten świat alpejski jeszcze w czasie krótkich wycieczek, odbywanych z Interlaken na sąsiednie szczyty. Uderzały mnie obrazy dla oka niezwykle, a każdy wydawał się nowym. Szeregi białych piramid, świecące na nieboskłonie w liniach nieogarniętych jeszcze i nieskończonych, zlewały się w ogólną, chaotyczną epopeję mas ciężkich, szturmujących błękity.

Teraz świat ten znam. Owa jednolita, ogromna i ogromnie posepna góra, ujrzana pewnej księżycowej nocy ławicą śniadą i długą, a potem zatracona zupełnie w srebrnych roztopach mgły, to punkt alpinistyczny, sławny bardzo, ale taki, jak inne, z gospodą, lunetą, z kupnym hejnałem pasterskiego rogu, i szczyt ten bez trudu zdobyłem z Wengern.

Tamten grzbiet zębaty, w brunatne i ciśawe centki, podobny do profilu smoka leżącego na straży przed Jungfrau, to niższy Tschuggen i cielsko tej samej głowicy. Owa perspektywa najdalsza, zasunięta najbardziej w głąb, pomiędzy

grzbiety wschodnich i zachodnich łańcuchów, pełna zwykle obłoków gęstych, dymnych i nieprawdopodobnie przepaścistych, nakazywała o sobie mniemać, że kryje przestrzenie bez końca i bez miary. Dziś chociaż sina mżytość przedjesiennych tumanów ją nalewa po brzegi, wiadome mi są przecież postać jej i granice. Znam i oglądam zbliżka wszystko to, co jawiło mi się przedtem w oderwaniu od ziemi, jako kontur powietrzny albo jako plama, lub tylko jako cień błądzący od niewidzialnych kształtów, utopionych w niebie, na melancholiję obłoków, mdlejących w poniżeniu. I wiem, że wszędzie znajdę to samo, powtórzone sto razy; te same zawsze drogi kręte, przecinające spadzistość karłowatych lasów, te same nad niemi drewniane gospody, te same przekosy traw cienkich w pierścieniu zwietrzałych turni, a wyżej jeszcze te same gońce ostatnie zamierającej flory, jasny łomikami i ciemne jazyony, fiolety nikłych wyżlinów i blade runo rogownic. A ponad wszystkim tem lśni lód.

I chociaż ta przyroda wielką jest i szlachetną, nie daje mi jednak tego, czegom pragnął i czekał. Zawrzały, podniosły się we mnie jakieś fermenty psychiczne i przelewają się dnem duszy. Mroczy się od nich, maleje nawet obraz Jungfrau, zawsze świeżej i pięknej, ale już nie tej, co niegdyś. I na wysokości dwóch tysięcy metrów nad horyzontem morza, płucem mym robi się ciasno i duszno, a mózg przepaja myśl ciężka i cikliwa, że jak z temi górami, tak dzieje się i dźbiać się musi z życiem.

Z życiem!

Jeżeli zdarza się jakie piękno wśród życia, jeśli tęsknimy doń, jak do szczęścia, to tylko przez mgłę oddalenia staje się ono pięknem i tylko przez trwanie błyskawicy przyrzeka nam szczęście! Czasem głosy górali, chodzące po przepaściach, wołają na nas donośnie i są nam marą szczęścia... Niekiedy z białego astra, drżącego na piersiach wybranych, wyrasta widmo rajów, spowitych w pienia anielskie... Ale to nic trwałego. To tylko wizye tęsknot nieziszczonych, czcze iskry i błyski ulotne... Na taki moment jeden nadciąga wnet

cały ocean płaski, urągłiwy, szarzyzną dławiący... Nadciąga huragan popiołów i grzebie wszystkie kwiaty. Zatrzuwa nawet lilie mistyczne, w ciemnicy puszczy świecącej. Znikają *fata-morgana* cudu, i niema Sulamity! Tam, gdzie na firmamencie pałała zorza złota, ćmi się ohydna tama, wyższa od wierzchołów najwyższych, zaporą niebotyczną, wzniesiona z mroźnia ulud...

Lepiej nie szukać meteorów piękna, by nie widzieć ich zgonów bezpłodnych! Lepiej rozwinąć skrzydła silnej woli i odlecieć daleko, daleko!

.....
Gdzie są marzone ideały poetów waszych, kapłanki Odyna, rzucające ojców, ojczyznę i ołtarze ojczystych bożyszczy na skinienie obcego rycerza?

Gdzie kochanki Irydyonów, z obłąkaniem rozkoszy odchodzące od stołów Pańskich za sercem bluźnierstwami spalonem miłowanego szatana?

Gdzie znaleźć tak królewską wszechwładzę jestestwa i taką siłę kochania? Gdzie szukać świętej krainy, z której płyną purpury i światła takiej miłości?

.....
Miałem nadzieję, że na emporjach życia znajdę jedną, piękną i szlachetną, która zdoła pokochać moją smutną duszę i zapomni dla niej o dawnych kochaniach, i odepchnie kajdany i wzleci, na pierś mi padnie...

Ach, gdyby ta jedna była tak silną i tak szczytną, porwałbym kochankę zdobytą i niósłbym ją na szczyt najbielszej góry, aby pokazywać mój klejnot i śniegom, i gwiazdom, i słońcom!

Ale nie znalazł.

Nadzieja niknie, jak *fata-morgana*.

Popełniłem śmiertelny grzech marzenia. I znam karę...

A przyszłość moja — ta leży przecież gdzieindziej.

.....
Ciagle jeszcze błąkam się po wyżynach, słucham huków lawin i szeptów kryształowych stopionego śniegu; wciąż je-

szcze odwlekam pożegnanie tej surowej ziemi, ze wstrętu przed powrotem w pospolitą wygodę nizin *«en bas...»*

Żałuję coraz więcej, iż nie mam wielkiej wprawy w zawodzie turysty i że nie mogę bezkarnie zapuścić się w tę sferę gór najdumniejszych, gdzie ziemia spoista i twarda, okuta niezłomnym pancerzem, snuje od wieków sen śmierci i milczenia. Tam, dokąd tylko najśmielsze chmury wzbijają się mogą, jest może niebo pogodne i świeci teraz słońce...

Tutaj otulił mnie dziś płacz ziemi.

W tej chwili otrzymuję rzecz najmniej spodziewaną: dzieło moje. Okazuje się, że wnet po wyjeździe mym do Szwajcaryi, a więc od wielu już tygodni, opuściło prasę i odszukało mnie dopiero tutaj. Przybywa w porę. Przybywa w czas bolesnego adwentu nowych lotów, w ciemność, w godzinę rozburzających paroksyzmów duszy, i przeczuwam, że mi będzie lekarstwem.

Oto przecież witam jakiś plon mej pracy, który zostanie po mnie, kiedy ja sam przeminię.

Wichrzyste wirchy Rothhornu widziały, jak zacząłem płonać do tej największej twórczości. Zamknięte w sercu, przeniosłem szczęśliwie te znicze przez rwącą moc Giessbachu w chłód refleksyjny pracowni, i nie otworzywszy serca żadnym innym promieniom, wyrzeźbiłem z nich kształty, mające przetrwać przyszłość. I dziś, po długiej przerwie, wracają one do mnie w szacie nowej i dla oka mego tak jeszcze obcej, iż zrazu trudno mi poznać, że to twór mój własny. Z ciekawością rozcinam karty i zapomnę może o śniadych zmierzchach, które zaległy przede mną wszystkie strony świata...

Jednak nad kartami książki wzbila się jeszcze ze śniadego zmięzchu biała twarz, z gwiazdami szafirowych źrenic. W źrenicach tych stoi brylant łyzy. Bo tyś miała w oczach łyżę, zapytując mnie o tę moją eklogę z Giessbach, nieprawdaż? Dlaczego zapytujesz? Dlaczego o tem mówisz? Gdzie źródło

twojej łyzy? W sercu? W tej — jak raz powiedziałaś — sprężynie ludzkich czynów i ranie ludzkiej piersi, którą jest serce? Czy tak? Czy nie powiesz mi o tem — nic a nic?

Mów do mnie. Co robisz o tym smutnym jesiennym już zachodzie słońca?

Jakimi szlakami chodzą myśli twoje i twoje sny? Czy rąbkiem choćby takim, jaki teraz obrzeża złotą nicią chmurę ogromną zachodu, zaczepiają o mnie?

XXIII.

Krasowce.

Co robiłam o tym smutnym, jesiennym już zachodzie słońca? Pragnę opowiedzieć, i waham się, i nie śmiem dotknąć słowem tego, przed czem myśl zatrzymuje się zdumiona. A jednak taka zapanowała nade mną potrzeba otworzenia duszy i tak zimną, twardą jest obręczą ten mus wiecznego milczenia, że... opowiem.

Nie zawsze tylko pociąg do przyrody i potrzeba użycia przyjemności jedynej, która mi jest dostępną, wyprowadzają mnie w świat zjawisk dziwnych i dzikich; ale niekiedy czynią to również przyczyny zupełnie powszednie. Z przyczyn zupełnie powszednich znalazłam się przed paru dniami nad brzegiem Wielkiego Nikaru. Są tam w pobliżu jakieś drzewa do mnie należące, które w celach gospodarskich oglądał uczony technik, umyślnie dlatego sprowadzony z daleka; jest w straży leśnej chory ojciec strażnika, który pragnął wyrazić przede mną jakąś ostatnią swą prośbę czy wolę, i jest dziewczyna młoda, którą pora mi już wziąć do Krasowieckiej szkoły szycia i haftów. Słowem, dzień cały spędziłam na rozmowach z uczonym technikiem i wśród budniczej rodziny leśnego stróża, aż droga powrotna przywiodła mnie w miejsce mało mi dotąd znane, a o którym tobie, przyjacielu, nigdy jeszcze nie mówiłam.

Czy znasz dnie takie, w których człowiek, ciężko o naj-

droższe własności swe zatroszczony, musi samego siebie od siebie odepchnąć, a troszczyć się o innych? Takim właśnie dzień ów był dla mnie; czułam się zmęczoną zadawanym sobie przymusem, zapragnęłam wolności i przywołania z powrotem ku sobie samej siebie. Oprócz tego, niewiele dotąd miejsce to znałam, a w miarę zbliżania się ku niemu, uczuwałam jakby dech pustyni i spostrzegałam wśród drzew, które rzedniały, zagładające do lasu jakieś wielkie, srebrne oczy. Wiatry też przelatywały coraz silniejsze, niosąc w wilgoci woń rozmarynu i niewyraźny zapach żelaza; cisza pogłębiała się ubytkiem istot żyjących, aż nakoniec odstąpił się przede mną obszar niezmierny równiny gładkiej, pustej, rozpostartej pod kopułą nieba taflą rdzawej zieleni, zarzuconą plamami połyskującego szkliwia i zgaszonych tęcz.

Zatrzymałam Awisa i gdy wśród pni sosnowych rzadkich, suchych, ubogich, na sprężystym podścielisku opadłych igieł stanął spokojnie, odeszłam ku spostrzeżonemu zdała siedzeniu.

Była to kłoda sosnowa, leżąca tu snadź od niezmiernie dawna, bo pluszową powłoką szczelnie obrósł ją seledynowy mech i gęstem zagajeniem puściła się z niej młoda roślinność. Z mchowego pluszu wyrastały sośninki już wysmukłe, równe im wzrostem paprocie i na wysokich łodygach kołyszące się w wietrze śnieżne spiree. A nad tem wszystkim stało kilka wysokich brzóz.

Gdy wśród olbrzymich paproci i kołyszących się spirei usiadłam na tej leśnej kanapie, objęły mię zewsząd gałęzie brzóz; więc plecami opierać się mogłam o te liściaste poręcze, a pod stopami miałam rozmarynowy kobierzec. Tak umieszczona puściłam wzrok po tęsknej, niezmiernej równinie.

Jest to jakby szeroka pierś Puszczy, z której wytryskują wszystkie zraszające ją biegi wód, u początków swych tworząc rozlewy rozmaitych wielkości i kształtów. Na powierzchni tych szklanych tafli występują z ziemi rudy żelazne w postaci zgaszonych tęcz i możnaby myśleć, że ktoś zdjął z nieba świetny łuk nadziei, zgasił go, podarł na szmaty

i szmaty te rozrzucił po szklanych wodach. Wszystkie barwy tęczowe w nich są, ale niema ani iskry blasku.

Tu plamą, tam smugą, owdzie kropłą zaledwie, leżą na wodach matowe i ciężkie w miarę oddalenia rozdrabniając się i znikając u brzegów horyzontu. Bo aż do brzegów horyzontu ściele się ta równina z rojem szklanych oczu i tęczowych źrenic; zręby jej ze zrębami jego tworzą jedną oddal, a kresy, jak kresy morza, przepadają niewidzialne. I jest ona, ta równina, sama jedna pod kopułą nieba, pusta i głucha. Tylko skłon kopuły plamą tu i owdzie nieruchome wyspy jodłowe, czarną farbą malując na nim budynki z zębatych pił. Od dawna już posępne jodły zniknęły z puszczy, zamordowane przez wrogie im siły natury, lecz na Wielkim Nikarze przetrwały, wznosząc gdzieś dla wiatrów tej pustyni milczące i ciemne pustelnie. Oprócz wiatrów nikt w nich nie mieszka i chyba zabłąkany ptak jaki strwożonym trzepotem skrzydeł przerwie niekiedy głuchą niemotę tych twierdz, obwarowanych grzęzkami początkami rzecznych biegów. W gorących miesiącach lata i tu, jak wszędzie, wre i kipi życie roślinne i zwierzęce, ale teraz pozostały już tylko przy życiu lasy łóz, które z powiewami wiatru falują jak kłosa na łanie, i wojska trzcin, dumnie wyprostowane w rycerskich kołpakach z czarnego aksamitu. Są też zarośla oczeretów, tych fletni o wydrążonem wnętrzu, w które niekiedy gwiżdżą swawolne wiatry, i gdy pogwizdy te, jak długie szpilki przetrznawszy powietrze, milkną, żaden już inny głos nie wpada w otchłań ciszy.

Jest to otchłań ciszy. Oprócz łóz falujących w milczeniu i milczących hufców trzcin, nic tu nie żyje. Umarłe szmaty tęcz ciężko leżą na martwych wodach, jodłowe wyspy wydają się domami umarłych. Podchodzące ku progom tego zakłętego państwa, sosny stają się smutnemi, ubogimi i schną; a tylko bukiet brzóz, wznoszący się nade mną, stoi w świeżości kor białych i w ruchliwym ożywieniu powiewnych swych liści.

Na dnie otchłani, nalanej głuchą niemotą, podniosłam

twarz i zapuściłam spojrzenie w ruchliwe głębie brzoźowych wierzchołków, na których każdym liściu leżała iskra i migotała przy każdym poruszeniu się liścia; więc był to na błękanie nieba srebrny deszczyk, zawieszony w powietrzu, drobny deszczyk isker, lekko szumiący.

Jak opowiedzieć to, co wtedy stało się ze mną?

Nie chcę myśleć, aby wyznanie moje mogło ci na usta wywołać uśmiech ironiczny. Zbyt głęboko zapuściłeś wzrok w tajnie natury, abys dla różnych momentów psychiki ludzkiej nie znajdował wytłomaczeń umiętnych, lub pobłażliwych przynajmniej. Ja ich nie szukam, bo leżą one poza granicami mojej wiedzy.

Niekiedy, bardzo rzadko, lecz bardzo wyraźnie, uczuвам w sobie dwoistość istoty i świadomość moja rozłamuje się pomiędzy tem, czem jestem codziennie, widzialnie, i czemś drugim, czego nazwy ani natury nie znam, ale co w chwilach takich odzywa się pod warstwami wrażeń, doświadczeń i myśli, i jest chyba czemś od nich odrębnem. To coś w widzialnej powłoce ciała, imię moje noszącej, wydaje mi się bezimienną i skrytą mną samą. I wówczas nawiedza mnie myśl, że gdyby ta powłoka skruszyła się na szczątki, opadłaby tylko jak rozdarta suknia z tej drugiej mnie, która pozostałaby całą i żywą, jak ja całą i żywą zostaje po zrzućeniu z siebie odzieży dziennej. Uczucie to, którego tajemniczych głębi żadne słowo nie może przeświecić aż do dna, bywa przecież tak jasne, że pokąd trwa, daje mi niemal dotyk dwoistości pierwiastków, spojonych we mnie w zależność taką, w jakiej względem siebie zostają muszla i perła. Gdy atak wód wzburzonych rozkrusza muszlę, perła nienaruszona kąpać się nie przestaje w bezkresności oceanu... tylko życie jej musi być inne.

Dziwny ten stan uświadamiania się, czy objawiania, zamieszkującej mnie Psychy, przybywa zazwyczaj po wielkich wysileniach myśli, albo woli, w nieskazitelnym ciszy dni zupełnie samotnych lub nocy bezsennych i posiada trwanie

błyskawicy, przeryniającej ciemność. Tym razem trwał dłużej i wyciągnął się wzwyż...

Im dłużej z podniesioną twarzą patrzałam na liście brzoź, które wysoko nade mną migotały w złotym eterze, tem więcej eter ten przemieniał mi się w mgłę świetlistą, która wzrastała, szerzyła się, płynęła w wyż i w niż, aż zasłoniła wszystko i brać poczęła w siebie to coś z naturą niewiadomą, co jest we mnie skrytą i bezimienną mną samą.

Wszystko zniknęło; nie było szklwia rozrzuconego po bezbrzeżnej pustyni, ani ubogich sosen nad jej brzegami, ani jodłowych pustelni, ani wydętej nad tem wszystkim kopuły nieba; nic nie było, tylko samo jedno nieskończone morze poświaty błado-złotej, jasne, bezbrzeżne, przezyste, ciche morze, unoszące mię na łagodnej fali nad ziemię, coraz wyżej.

Utraciłam uczucie związku z ziemią, przenikałam w coraz wyższe strefy bezkresnego oceanu światła i ogarnęło mię zachwycenie, dla którego nadaremnie szukałabym miary w ludzkich uczuciach. To tylko wiem, że nie było bez bólu. Jak smuga krwista ciągnął się ból za mną od ziemi, do Psychy mojej uczipiony, a kiedy spróbowałam odgarnąć go jak resztkę obciążających mię brzemion ziemskich, przemienił mi się w rękę w ogromny brylant lży. Te lże, nie wiem dlaczego, niosłam na rozwartęj dłoni i, przyglądając się jej, dostrzegłam, że jak zwierciadło odbija w sobie puszcę, pola, mrowiska ludzkie, chaty budnicze, wszystko kochane, i wszystko cierpiące, o co na ziemskich nizinach serce mi drży...

Nie wiem jak długo trwało to zupełne omdlenie czy uśnięcie zmysłów moich, lecz gdy zmysł wzroku powrócił do rzeczywistości, Wielki Nikar miał już zmienioną nieco postać. W świetle zachodzącego za lasem słońca powietrze napełniło się płowym pyłem, zarumieniły się w oddalach spojone z sobą wargi nieba i ziemi, wiatr ucichł i w pogłębionej otchłani ciszy stanęła zaczarowana nieruchomość.

Wtem, w odległości znacznej, coś pod lasem zamajażyło żywymi i poruszającymi się kształtami, a gdy stało się wyraźniejszym, rozpoznałam, że są to łosie, które z rozma-

rynowego pastwiska dążyły na nocne leże. Było ich wiele; wąską drogą, którą ich własne, ciężkie stopy udeptały pośród trzciny i sitowia, szły jeden za drugim, na ogromnych tułowiach niosąc głowy oskrzydłone konchiastymi rogami. Przeciągały w płowym pyłe powietrza karawaną leniwą i ciemną, trzciny i sitowia przeświecone płowem światłem sięgały im do kolan i czasem, rozbite ciężkiem ich stąpieniem szklawia brodów tryskały ku ich szerokim piersiom. Tak, rozlewając dech wschodniej pustyni, przeciągały karawaną i jeden po drugim zanurzały się w lesie, a właśnie wtedy, na równinę spływać poczęły z góry dźwięki, podobne do żalonych i urywanych pobrzękiwań strun. Był to klucz żórawi, który, rzucając za siebie nuty harf eolskich, leciał tak wysoko, że zdawał się ocierać o błękity niebieskiej kopuły. Gdy przeleciał i gdy karawana łosiów do końca zanurzyła się w lesie, Wielki Nikar, spajając w oddalach wargę swą z wargą nieba, stał znowu w płowym powietrzu nieruchomą i martwą taflą rudej zieleni, której szkliste oczy patrzyły w niebo źrenicami z pogastych tęcz.

Takim jest Wielki Nikar i taki moment nad brzegiem jego spędziłam. Było to przed kilku dniami, które upłynęły w zajęciach utrudzających i powszednich. Takim jest życie. Momenty jego zachwyceń — to krótkie mrugnięcia powieki, a po nich są długie dnie, w których trzeba ziarenka piasku cierpliwie znosić na drobne pagórki i poddawać głowę długim szeregom minut, spadających na nią kroplami ołowiu . . .

Ołowiem ciąży mi na głowie od czasu pewnego myśli, z którymi poradzić sobie nie umiem. Goście nieproszeni! Przyjąć ich do domu ducha swojego nie chcę, a odpędzić nie mogę. Straszidłami są, lecz w straszidłach mieszczą się czasem magnesy.

Dostał mi się w tych dniach do ręki nieznany przedtem utwór obcego poety o Mojżeszcu. A że w tej porze życia mi przynosi dziwnie sprzęgane wydarzenia i wpływy, sam uznasz, gdy cię z treścią utworu tego poznamię.

W noc poprzedzającą obwieszczenie ludowi przykazań Jehowy Mojżesz czuwał przed ogniem, płonącym wysoko i setnymi języki strzelającym ku chmurze, która nisko wisiała nad górą i w której Jahwe przed oczyma śmiertelnych był skryty.

Naraz: «Mojżesz lęku uczuł tchnienie, a kłam, omyłność, niepewność i złuda wszech ludzkich pojęć złowrogo przed duszą jego stanęły».

Zadał sobie pytanie: «czy On jest?» i dusza jego «z wżyn świętych ekstaz, jako głaz ciężki stoczyła się w otchłań, gdzie czyha chmurne, śmiertelne wątplenie. «Cóż, gdyby jednak świat ten był chaosem błędnych, ślepych w boju sił? Cóż, gdyby snem to było gorączkowym, co dotąd mu się zdało objawieniem?»

Zadrżał, że może pustą jest ta chmura, w której — jak wierzył — Jahwe krył się wieczny.

Na tę myśl Mojżeszowi «krew zastygła w żyłach, na głowie włosy zjeżyły się lasem, a z oczu łza wytrysła wielka, że omamieniem chorobliwym mózgu może być Ten...»

Mniejsza o ciąg dalszy, ale początek poematu uczepił się mej wyobraźni i nie mogę przestać go widzieć. Jest to zapewne skutek dziwnej jego zbieżności z treścią tej naszej rozmowy i — z temi kroplami ołowiu, które mi od pewnego czasu na głowę padają.

Moment taki, jak ów Mojżeszowy, straszliwym być musi przecież nie tylko dla wieszczów bożych, lecz i dla tych wszystkich, którzy na poziomach powszednich miłując, pracując, wyrzekając się, poddając głowę kapiącym z życia kroplom ołowiu, za całą nagrodę posiadają wiarę, że są pokornymi robotnikami w winnicy Najwyższej Woli i Mądrości.

Straszną przecież musi być łza, padająca na zgłiszczą tej wiary... bo bez niej jakież cel? jakież sens? Czemu służyć? Do kogo mówić: Tobie to ofiarowuję? Po co spalać się w ofierze? Po co być?

Utracić Boga!

Utracić z oczu wszystkiego przyczynę i cel, Pra-myśl,

od której idą wszystkie myśli, Pra-dobro, ku któremu zmierzają wszystkie dobra, mądrość arcytwórczą, której my pomocnicy posłuszni, gdy ufni, że wykonywamy Przedziw, Przedoskonałość, Przedzieło... ach i nadewszystko Ojca, który kocha, który kocha nieukochanych, do którego serca sieroce, serca beznadziejne, serca żeglarzy i serca rozbitków, serca szermierzy i serca nędzarzy, wołać mogą z ziemi: Ojczy, któryś jest w niebie!

Ale, gdy zastanawiam się nad tym poematem, wyblisuje we mnie myśl pewna, nie zupełnie jasna i którą przed sobą wyjaśnić może, gdy spróbuję wypowiedzieć ją przed tobą.

Otóż, myślę, że kto wie, czy dreszcz lęku o prawdziwość istnienia Jahwy nie wybiegł, jak mrówki z mrowiska, na ciało synajskiego wieszczą z duszy jego, w tej chwili czemś postronnem przyćmionej? Kto wie, czy w tej chwili nie przelatował przez to ogromne serce dech zła, rwąc spójnię?... Kto wie, czy utrata wiary nie jest utratą spójni?... Wytrysnął żużel z dna wulkanicznego i spalił nic... zło weszło do serca i opuściło je poczucie Boga...

Czyste serca czują Boga w sobie i nie mogą wątpić.

Wiem, że o tem wszystkim, ty, przyjacielu, nic mi nie powiesz, lub mówić będziesz z uśmiechem, wiem, że milczenie i uśmiech twój będą mi zarówno gorzkie; jednak mówię, bo wzbiera to we mnie, a powstało — pod twoją dłoń.

Nauczałeś mnie raz, abym mówiła do przelatujących ptaków: «dokąd lecicie, mewy?»

O, tak! dokąd lecimy?

Raz, w kraju starożytnych Saksonów, zajaśniał w powietrzu krzyż srebrny i rozległy się tony pobożnych litanii, a wielki kapłan Northumbryjski wszystką szlachtę zgromadził przed króla, aby rzecz swoją o nowej wierze mówiła. Wówczas powstał jeden z dowódców i rzekł: «Przypomnij sobie, o królu, co bywa niekiedy w dnie zimowe, gdy wraz z hrabiami i thanami swymi zasiadasz u stołu. W sali ogień na kominie płonie, ciepło jest, jasno, a na dworze śnieg i wichur. Wtedy mały wróbel z szybkością strzały przelatuje przez salę.

Jednemi drzwiami wleciał, drugimi wyleciał, w mgnieniu oka zniknął. Z zimy przybył, do zimy powrócił. Tak człowiek przez życie przelatuje pośród dwóch ciemności. Z ciemności przybywa, do ciemności powraca...»

My, wróble maleńkie, skąd i dokąd lecimy? Jeżeli z ciemności jednej nikt nas po nic nie wysyła, a w ciemnościach drugich nikt umęczonych nie przyodziewa w skrzydła nowe — to co? To przeraźliwa i przekłętą jest moc tego głuchego chaosu, która, jak dziecię piłki, wyrzuca nas ze swych bezmyślnych bojów! Po co wyrzuca?

Po co nadewszystko gwiazdziarstwo? Niech żyje radość! Niech białe mewy zlatują z «Emporyów» i padają na róże i aksamity życia, choćby za nimi przeciągać miały szlaki żałób i jęków!

Widzisz, jakie myśli mię zajmują i, pomimo tego dziwnego nad Nikarem momentu, pierzchać nie chcą: przeciwnie, stają się coraz natrętniejszemi, a moja wola staje się przeciw nim coraz chwiejniejszą.

Zaraz, jutro zrana, pokratkuję sobie dzień ołówkiem pracy ciasno, ciasno, aby o tem nie myśleć.

Jeżeli możesz, przyślij mi to dzieło swoje, którego widok przywróci ci spokój. Czytając je, przestawać będę «o śniadych zmierzchach» z myślą twoją i zostanie mi ono po tobie, gdy ty sam przeminiesz!

XXIV.

Mürren.

Zachwiliśmy się tedy oboje na ostojach naszych, ale nie trwożę się o ciebie. Dusza twoja tak pławi się w mistycznych zachwytach i ekstatycznych natchnieniach różnych narodów i epok, że nie zdołają jej zwabić żadne aksamity,

te zwłaszcza, na które pada mroczny cień mego ducha. Wszak od szwajcarskich lodowców zawiąły cię te podmuchy sceptycyzmu, tak fatalne, że aż kratami przegradzać się od nich zamierzasz. Słusznie postępujesz, odganiając co rychlej niepotrzebnych natrętów. Dnie muszą być regularnie pokratkowane i trzeba długie rozmowy prowadzić z uczonymi technikami o gospodarstwie leśnem. Trzeba również nastawiać uszu na ostatnie spowiedzie umierających budników i — niech żyje Krasowiecka szkoła szycia i haftów! Niech też dziedziczka Krasowiec wieszczkuje dalej państwu swemu. Pomimo lekkich zachwiał w dziedzinie myśli, jest ona tak silną w dziedzinie kratkowanych dni, że na białej jej szacie nie zostanie skaza — po śmiertelnym grzechu marzenia. Pozwól mi jednak nad tem przelotnem marzeniem zawiesić westchnienie i parę zapytań:

Czemu ten wasz altruizm, taki szczytny i nieraz rozrzućny, umie być jednak tak przezornym i odkreślonym? Czy na twych trójwymiarowych niebiosach nawet miłosierdzie aniołów musi mieć granice? Czy duchy przeczyste nigdy z litości nie zstępują do otchłani?...

Żałuję, iż nie jestem wyznawcą tak dobroczynnych zasad. Był moment, gdy sam zamarzyłem o nich, gdy i mnie opadło przelotne tchnienie zwątpienia, przywiane od północnej strony. To zwątpienie targnęło mną nawet mocno, bo osłabły byłem od złej zgryzoty. Teraz, kiedym się wzmocnił skutecznem lekarstwem, aż mi wierzyć trudno, że mogłem się tak zachwiać. Byłem widocznie bardzo, bardzo już chory.

Nie; nie było się o co lękać. Mury, na które się wzniosłem, mocniejsze od twojej kraty, stoją niewzruszone. Związane zostały tak silnie, jak tylko wiązać umie rozum i rozumowa konieczność. Nie wszedłem na ścieżki obłądne. Idę drogą prostą, a opieram się o stal prawdy.

Powiedziało mi o tem dzieło moje.

Ono było mi lekiem. Ufam, że ozdowieje od niego nie tylko myśl moja, ale i to, co ty nazywasz sprężyną życia i raną piersi. Muszę wyprostować się i ozdowieć. Bez prze-

wiązki z powojów, bez kropli miodu w napoju życia, muszę ozdowieć...

Życzysz sobie, abym ci przysłał mą książkę. Niegdyś, niedawno jeszcze, spodziewałem się wiele — i inaczej. Dzisiaj, posyłam ci ją, jako częśćkę jedyną mego ja, którą mi ofiarować sobie pozwalasz. Byłem gotów złożyć ci w daninie rzeczy bliższe serca — ale zwróciłaś mi je w pogardzie, i miałaś słuszność, bo nie mogły być one ani w przybliżeniu tak cenne, jak rzecz umiejętna — chociażby się w nich nawet znalazło całe serce.

Zresztą, to już poza mną. Już jestem poprawny i spokojny. Oto żądana książka.

Niechże cię więc dzieło moje wprowadzi w dziedzinę wielkiej przyrody i w istotę wszelkiego bytu. Może łańcuchy zdań, ujęte w jednolitość systemu, przydadzą ci się lepiej, aniżeli dorywcze słowa moje, które mogły być iskrami niecącami promienie i płomienie, a nie były ci niczem.

Nie znajdziesz tam, to pewna, prawd nowych. Nowość i zasługa polegają tylko na umiejętnem i nieugiętem sformułowaniu tego, o czem wie umysł prostaczka. I Budnik twój rozumie, że wszystko, co z roli mu się rodzi, zależy od biegu słońca na niebie, i każdy śmiertelnik to pojmuje, że tok dziejów naszych nie zawisł ani od cnót, ani od złości archontów, ale raczej od kąta, pod którym ziemia ku temu słońcu się chyli. Nie zniewolą cię także kuglarstwa wymowy, ni żadne wdzięki, często miłe, lecz zawsze nieściste, w jakie język ludzki tak chętnie się stroi. Ale ową zależność, co łączy części światów ze sobą, zgłębić i przemyśleć do końca, doszukać się pierwiastków, które dla pstrocinny kalejdoskopowych przejawów bytu są podścieliskiem nieodmiennem i trwałem, dostarczyć ścisłego dla tych prawd wyrazu, wykryć transcendentálne łączniki myśli odwiecznych w przestrzeni i w czasie i ujarzmić mętne poczucia instynktów naszych wiedzą i miarą, to było ideą i zadaniem mojem.

The is no poetical way to the metaphysics. Pragnąłem rdzeń bytu skreślać siecią metafizycznych rachunków. Chcia-

łem, aby każde niedowiarstwo mogło się prawdą moją przejąć. Chciałem, aby ona rosła w prostotę i wielkość. Więc szedłem powoli, cierpliwie a upornie, krok za krokiem, od zleпка okrucich, będących uświadczeniem naszym, od analizy zewnętrznych zjawin, które znam jako splot barw i kształtów, głosów i milczenia, od ciasnej anatomii własnego czucia i woli do uczucia ludzkości, do woli światów, do nieskończoności wymiarów. Legiony rzemieślników nauki rozpatrywały to samo, jeszcze cierpliwiej i bardziej wyczerpująco, chociaż zosobna: ułudę zmysłów, myśl wolnej woli, problemat przypadku i przeznaczenia, genezę etyki, rozkwity i upadki cywilizacyi, zwycięstwo ich i pogromy, losy ziemi i gwiazd. Szereg dochodzeń, rojeń, walk, podbojów myśli i jej buntów. Lecz któż kiedy ogarnął świat jednym rzutem poznania?!

Ja pierwszy pokusiłem się o to. Ja pierwszy, zdobywając dla myśli krok za krokiem fundament silny i trwały, zrobiłem w tajemniczej zasłonie wyrab olbrzymi, przez który duch rzucać się może w nieskończoność. Człowiek łudzi się, sądząc, że to on sam wytwarza w sobie losy ducha, że żądza wiedzy i pragnienie szczęścia w nim tylko walczą o zwycięstwo, że to on sam gotuje sobie przyszłość, która nie urodziła się jeszcze w łonie czasów. Nim rządzą te same prawa, które pędzą przez eter wiry atomów. Znalazłem jedne symbole prawideł dla nikłych mrowisk człowieczych i dla komet, których rozpalone dusze miotają się w grzywach niezmiernych po niebie, te same dla chaotycznych żarów, skąd wykryzalizować się mają nowe światy, i dla uświadczonego prochu stworzenia, który osiada na stygnących planetach.

Odnalazłszy to, co mówię o postępach ludzkości, doznasz może zawodu na widok tekstu, pełnego liczebnich formuł i chemicznych znaków. Wszelako analiza współczynników dziejowych nie wykazała mi nic innego, jak rosnącą ciągle dążność każdego ustroju do udoskonalenia swego chemizmu, do jak najobfitszego odtwarzania tkanek. A odnośne rozdziały noszą tytuł: *«Polityka proteinów w walce o tlen»*.

Po drobnej sprawie ludzkości, idę do większych kół

rozpędowych, określam związki i koleje światów. Odtąd narzędziem i skrzydłem mojem staje się trudny rachunek wielościami, z których najmniejsza jest już nieskończonością. Czas stopił mi się pod ręką w nowy wymiar przestrzeni. Choć gwiazdy niebieskie idą na gwiazdy, natknąłem się na światy nowe, warunkujące swój byt wzajemnie, na całe łańcuchy tych światów, a straszna nieskończoność kosmicznych ruchów zmieniała mi się w przelotny rozbłysk pozaświatowej wieczności.

Może, z monad zlepieni, wciągnięci jesteście w jakąś falistość ruchu, i wyczerpawszy treść życia, przepłynąć mamy byt następny w powrotnym rozkładzie na samoistne monady? Może przez nasz świat terażniejszy przejawia się nieszczęsny Lucyfer, w pył ludzki rozbity, a dopiero w przyszłości zdolny do odrodzenia? A wtedy istoty nasze, odrębne dziś i popychane ku sobie magnesem miłości, lub roztrącane wstrętami i gniewem, złożyć się mają na jedność nowej, doskonalszej świadomości, na zakłętę w dusze ludzkie anioła, o tyle wyższego od nas, o ile my wyżsi jesteście od unoszonej powietrzem monady.

A Bóg?

Dotarłem aż do Niego, do wielkiej Niewiadomej, pierwszej i ostatniej. Aby się do niej dostać i z nią się połączyć, wysnuć się i przeminać muszą wszystkie stopnie istnienia, a że ilość ich jest to nieskończoność mnożona przez nieskończoność, więc poza ten twórczy pytańnik przebić się już nie można. W nim leży centrum wszystkich emanacyi bytu, ostatnia konkomitencya i eutropia światów, kreatoryczne «x», bez którego żadne równanie rzetelnej wiedzy obejść się nie może.

Choćbyś zresztą nie mogła zrozumieć pewnych zbyt trudnych wywodów, mimo to zapozna cię niniejsza książka w krótkim zarysie z treścią i obszarem mej filozofii. Pokazane są tam wszystkie linie i wszystkie dźwignie rusztowania, będącego dla mnie fortecą ducha. Może wobec tej zamkniętej

w sobie i bezpiecznej budowy przynasz, że Sfinksy wznoszą swój panteon z twardego granitu i chcą mu dać sklepienie ze stali. Może też w rachunkach moich wyczytasz, jak wielkim jest majestat wszechbytu, z którego płynie wszelki ruch, imponujący nam jako energia i materya, wymiana sił, gra światła, dźwięków, czasów i rozstrzeni; że ruch ten większy jest nad wszelką ludzką wielkość i małość, znikomość i nieskończoność, wieczność i krótkotrwałość, bo czas i przestrzeń, to tylko dwa cienie jego skrzydeł potężnych! I przeczujesz może jaki on jest, ów świat czy ów ruch, niemający żadnych określonych kształtów ani barw, ani głosu, a jednak taki powszechny, taki ogólny, taki trwały, że cokolwiek się z tobą dzieje, cokolwiek myślisz, cokolwiek czujesz, czegokolwiek pragniesz, myślisz, czujesz i pragniesz tylko jako bierne odbicie jego ocierających się o ciebie przejawów.

Ostatecznie mogę przypuścić, że w pewnych uprzywilejowanych godzinach potrafi cię zająć ta lektura, ja zaś, któremu na mniemaniu twem zawsze w równej mierze zależy, spodziewam się z niej poniekąd i dla siebie zysku. Spodziewam się mianowicie, że bez względu na zgodę lub opozycję, przynasz przecie, że takich rzeczy nie można napisać z dnia na dzień, i że jakimkolwiek jest owoc mej pracy, młodych lat życia nie obróciłem na marne. Będziesz miała w ręku sprawdzian mego charakteru, wiarogodniejszy od wszelkich spowiedzi, będziesz miała w ręku materyał dostateczny, by uzasadniać swe sądy o mnie.

W gruncie rzeczy nie powinno mi nic wcale zależeć na sądach twych o mnie, skoro wolą twą jest, aby rozmowa nasza ustała rychło, a drogi życia na zawsze rozbieżnymi pozostały. A jednak zależy mi na nich wiele. Nic to nie znaczy, że człowiek myśli trzeźwo i widzi jasno pierwszy początek i nieubłagany bieg wszystkiego, co mieści się w jego świadomości. Nie gasi to i nie wysusza wiecznie w głębinach bijącego ogniem i łzami źródłiska wzruszeń.

XXV.

Krasowce.

Czytając dzieło twoje, miałam takie uczucie, jakby mię łódź, z żaglem na wichry rozpiętym, niosła po morzu beżmiernem, z grzbietu na grzbiet fal spienionych, które pędzą ku niewidzialnym brzegom, gdy spodem i górą rozwierają się otchłanie. Kiedy zamknęłam książkę i oczy utkwiliam w wydrukowane na okładce zgłoski twojego imienia, zdawało mi się, że oślepiam i że już nigdy na świat spoglądać nie będę inaczej, jak tylko twojemi oczyma. Olśnił mię niewymowny obszar roztoczonego przez ciebie obrazu i pałający żar twego słowa. Wzroku pozbawioną skrzydło geniuszu twego porwało mię z malutkiej ziemi i, pomiędzy powieki wstawiwszy twoje źrenice, niosło po nieskończoności światów i wymiarów, aż do tej ostatniej ich «konkomitencyi», do tego centrum «wszystkich emanacji bytu», które u ciebie zwie się «x kreatorycznem», a w mowie przodków moich nosi imię Boga. Tu cofnęłam się w głąb swej duszy, usiłowałam przejrzeć i ze skupieniem wszystkich sił swego jestestwa...

Ale muszę dziś mówić spokojnie. Spokój jest pięknoscią, mawiali starożytni Grecy. Spokój jest koniecznością dla tych, którzy kroczą brzegami otchłani. Muszę dziś mówić do ciebie spokojnie i — długo.

Muszę powiedzieć ci najpierw, że do zrozumienia dzieła twego byłam przygotowana dobrze. Jestem dzieckiem narodu i tej jego społecznej sfery, po których liczne pokolenia przesuwaly pługi umysłowej kultury, więc od niemowlęstwa prawie tradycje, zwyczaje, potrzeby rozkazywały mi uczyć się i myśleć. Umysł mój, z natury ciekawy i czynny, nie tylko poddawał się chętnie tym rozkazom, lecz jeszcze po wielokroć je prześcigał, a osamotnienie, na które wypadki publiczne, nieszczęścia rodzinne i własny mój wybór skazały młodość moją, uczyniły mi zdroj wiedzy, więcej i wyłącznie niż dla innych, drogocennym i ponętnym. Z powodu uczuć i zasad

pewnego rzędu usunawszy się od świetnych i wesołych towarzystw, ze wszech względów naościę przede mną otwartych, zamknęłam się w dość szerokim kole zajęć i czynności, ale także i w licznym gronie duchów wielkich, które powoływałam do rozmowy z sobą w senne dnie słońca jesiennych, w pałace momenty wielkich smutków, w długie noce wspomnień, żalów i rozmyślań. Nie sami poeci grono to składali, lecz także i ci, którzy ze szkiełkiem przy oku ścigają wieczną robotę natury na rozmaitych jej drogach, a nadewszystko ci, którzy przez drobnowidz bystrych rozumów rozkładają na pierwiastki losy narodów, aby je potem układać w koordynacje pojęć i poglądów dziejowych i filozoficznych. Jakkolwiek ty, kuzynie, wagę, niewielką przywiązywać musisz do studyów nad tą drobiną, którą, fizycznie biorąc, wobec wszechbytu jest ludzkość, to jednak przyznasz może, iż gimnastykując i mnóstwem światła napełniając umysł, czynią go te studia sposobnym do zrozumienia i przyswojenia sobie myśli i wiadomości, chociażby wcale mu dotąd nieznanych. Lecz wcale nieznanymi nie były mi i te horyzonty, które rozwijasz w dziele swoim, tylko że nigdy nie widziałam, aby rozwijały się z tak rozległą wytrzymałością myśli, z tak żywiołową niejako śmiałością i potęgą słowa. Nigdy też sama nie zatrzymywałam wzroku na tych bezgranicznych horyzontach z takim jak teraz wytrwaniem i natężeniem uwagi, z taką siłą umysłowej żądzy doświadczenia razem z tobą ostatnich kresów ludzkiego poznania. Widzisz więc, że chociaż dotąd skrzydła ducha mego opierałam na przeciwległej półkuli abstrakcyjnego świata, ta, nad którą twój duch siłą wiedzy, logiki i wyobraźni zapanował, nie była zrozumieniu memu niedostępna. Z winem wiedzy oswojoną jestem, tylko że to, któreś ty mi podał, posiada woń i tęgość przedtem mi nieznana.

A druga rzecz taka, że do zrozumienia myśli twoich w pewnym przynajmniej stopniu uzdolniona, miałam w sobie, pod zasiew ich krytyk i negacyi, grunt również przygotowany. To wydaje się dziwnem, bardzo przeciwnem wszystkim skład-

nikom jestestwa mojego, wszystkiemu, czem dotąd żywiłam się i dlaczego żyłam, a jednak jest prawdziwem. Gdybyż to duch ludzki był płótnem tkanem na jednych zawsze krosnach, w izbie szczelnie zamkniętej przed prądami wolnego powietrza, które krzyżują i rwą nici wątków! Bywają wprawdzie takie: *la foi du bucheron*, to taka nitka z grubej kądzieli osnuta na jedne wiecznie wrzeczono, wśród ścian ciemnowych i ciasnych. Nieraz już dawniej, nieraz gdy nieprzeliczone bóle i plamy świata brały mi serce wkoło ostrych noży, gorzko myślałam: o! czemuż nie urodziłam się w chacie węglarza! Urodziłam się w domu, którego liczne okna szeroko porozwierane były na wszystkie widoki i podmuchy świata, a co przez nie widziałam i na co patrzę jeszcze, od tego, przypuszczam, że twoje nawet oczy, zataczające po rozłogach wszechbytu kręgi tak bezgranicznie śmiałe, odwróciłyby się z powieką spuszczoną na rozemdlone źrenice. Wzrok mój, z natury nie tępy, zaostrzyły światła umysłowe, a więcej jeszcze uczucia, bo w sferze spostrzegania arcyszlifierzem promieni wzrokowych jest uczucie. Nie mogły tedy pozostać mi tajnymi szpetoty i krzywizny świata, ani skryć się przede mną zakrwawione i łzami zalane perypetye i pathosy jego tragedyi. Tyś tych tragedyi nie ścigał spojrzeniem przerażeniem, nie oblewał żalością i gniewem, nie okrążał zadziwioną myślą, zamknięty w świątyni wielkiej wiedzy i jej dumnymi ścianami broniony od najścia poczwary okrutnych, fał zmienionych i cieni znikomych. Pod tym względem wiedza moja przenosi twoją, i powiem ci, że wszystko to jest olbrzymim kłębem zagadek, niepokojących każdego, kto nie urodził się w chacie węglarza, niepokojących często do męki, czasem do choroby ducha i ciała. Po co? Za co? Dlaczego? Więc co? Więc... jeżeli... Skargi i pytania tak stare jak Hiobowy barłóg, lecz które nigdy na ustach ludzkości nie milkły zupełnie, a przeciągają przez wszystkie duchy oświecone i gorące, i nigdy nie przeciągają bez śladu. Gdy ratunkową wiarą jakąś lub królującym uczuciem odepchnięte zasuną się w zapomnienie, zostaje po nich blizna, która przy pewnych do-

tknięciach ożywa raną i znowu mówi lub krzyczy ich głosem, ich bólem, ich gwałtem...

Jeżeli zechcesz przypomnieć sobie, com ci mówiła nieraz o całokształcie swych myśli i wierzeń, to się przekonasz, że nigdy nie oddawała olbrzymiego kosmosu na usługi małej ziemi, ani na tronie wszechbytu i wszechstworzenia nie umieszczała ułomnej istoty człowieczej, której wartość i zadanie całe, jak mniemałam, polegają na wspinaniu się z wyżej sił ku wyższemu stopniowi niezmiernej drabiny. Przed memi, tak jak przed twemi oczyma rozciągał się w przestrzeni bezkresnej niepojęty łańcuch ustrojów i bytów, którego nasz świat, wraz z nami, ludźmi, jest jedną zgłoską w dziele i jedną z linii w planie...

Tu rozległ się zgrzyt, od którego na kryształach myśli mojej powstała rysa pęknięcia. Twoje «x kreatoryczne» za łańcuchami światów skryte i niczem o sobie znać nie dające, abstrakcja oddalona, zimna, niema i głucha, której sama jedna myśl tylko drżącym rąbkiem dotknąć może, aby wnet znowu utracić z nią wszelką spójność, a całe połowie bytu naszego, którą jest uczucie, ani odrobiny z niej nie dać na pokarm... to rozłamanie się gruntu pod stopami w otchłani... Więc odwrócić oczy od otchłani! Gdybyż można! Ale, nie można. Pociąga je ona i wciąga, jak gardziel węża wciąga ptaszę zahypnotyzowane fosforycznym blaskiem jego oczu.

Rzecz dziwna! Nie po raz pierwszy przecież spotkałam się z negacją tego, co mi było pancerzem dla piersi, opoką dla stóp, łodzią ratunkową wśród gorzkich odmętów życia. Wszakże czas nasz, aż do rdzenia, przenikają powątpiewania i przeczenia, a ja, dziecko jego, nie pustelnica i nie zakonnica, słyszę szmery i szumy wszystkich jego prądów. Nie jeden z nich otarł się o mnie z bliska, porywał i nie porwał, a jeżeli dotknął, to zlekka i na krótko. Dlaczegoż myśli i słowa twoje dokazały tego, czego żadne inne dokazać nie mogły? Znowu zagadka, może pokrewna tej, która objawia się w pewnych organizacjach wyjątkowych, wywierających na organizacje inne, często z odległości znacznych, potężną i ta-

jemniczą siłę sugestyi? Może wielowładność słów twych polega na ich piękności, o którą nie ubiegasz się najpewniej, o której nawet nie wiesz może, lecz która nieświadomą dla ciebie samego robotą rylca, pędzla i tonu, hipnotyzuje wsłuchaną w nie duszę. Nieświadomie dla ciebie samego, na ściśle wywody rozumu i wiedzy, ze spodów twego jestestwa wystrzeliwiają akcenty słowicze i biją o nie szerokimi skrzydłami orły fantazyi.

W tem też, pomimo rozbieżności mnóstwa, tkwi zbieżność jestestw naszych i przyczyna, dla której głosy nasze po przypadkowym spotkaniu splotły się w dwugłos, przez zgrzyty i błyskawice wzbijający się *ad astra!*

Jak ty cudownie marzysz, przypuszczając, że «przez nasz świat ziemski przejawia się może nieszczęsny Lucyfer, w pył ludzki rozbity, a dopiero w przyszłości światów zdolny do odrodzenia». Jam roiła nieraz, że ziemia nasza to siedlisko olbrzyma Zła, a zadaniem ludzkości jest walka z nim długa, krwawa, u której zwycięskiego końca, nad powalonym wrogiem bożego dzieła, ludzkość odrodzona stanie olbrzymem Dobra!

Ale, jeżeli, jak utrzymujesz, w najoddalniejszej głębi przepastnych rozłogów wszechbytu, zasłonięte przed nami nieprzebitą tkaniną ze słońc i gwiazd, istnieje tylko jakieś *x* nieświadome, w absolutnem osamotnieniu swem obce i ponure, w niezłomności raz na wszystkie wieki wydanych rozkazów okrutne, od tworów swych nie żądające niczego i żadną nicią współdziałania i współmiłości z nimi niezłączone, a z ich narodzin i śmierci, mąk i rozkoszy, szukań i błędzeń, ze wszystkich duchów i ze wszystkich bytów, czyniące przedziwne *theatrum*, którego samo jedno jest autorem i zarazem widzem; to jakież odrodzenia i jakież olbrzymy? Jakie zło i jakie dobro? Masz słusność. To logiczne. Gdy niema woli wyższej, niema też i sprzeciwiania się jej, ani służenia, gdy niema zadania i celu, niema też i winy ani zasługi, wzrastania ani malenia, doskonalenia ani upadłania, żadnego odrodzenia... nic! nic! oprócz gotowania mniej lub więcej wykwintnej

strawy, dla mniej lub więcej kształtnie ulepionych prochów! Tak jest; ale co ja teraz zrobię z bólem, nie tylko swoim, lecz i tym, który naokół mnie, jak morze? Po co on? Czy mnie do niego nic? Oblędny wir metamorfozy! Wszystko pod zmienionem światłem przemienia postać i naturę. Słychać stukanie młotów, rozłamujących góry, aby zrównały się z nizinami. W konchach serc z jękiem pękają perły. Ideały kładą się do trumien. Po trumnach szemrze deszcz łez... To czasy płaczą, te które przeszły, nad tymi, które przyjdą...

Muszę umilknąć na chwilę, zastanowić się, pomyśleć. Trzeba przecież mówić spokojnie...

Ja, kuzynie, potężnego dzieła twego rozbierać nie zamierzam, ani polemizować, czy katechizować. Gdzieżbym mogła! Ani umiem, ani chcę. Tylko odsłaniam przed tobą oblędne krążenie po mózgu myśli swoich i tajemnicę nierównych, rozdzwonionych uderzeń serca. Mówię do ciebie, jakbym mówiła do brata — ach, do tego, który zgorzał na stosie, wzniesionym może przez omyłkę! Zrozumiej, zrozumiej, ile śmiertelnych przerażeń mieści się w tej jednej, tylko w tej jednej myśli, że jego kwitnące życie połknęła — ułuda! Bądź do brym, słuchaj cierpliwie...

Duży dom mój, osiadły przez ciszę sieroctwa, nie jest przecież wykutą w skale Thebaidy jaskinią pustelniczą. Widuję ludzi i nie samych tylko Budników. Węzły pokrewieństwa i współdziałania łączą mię z ludźmi i sprowadzają dość częste spotkania. Ale ty wiesz, że samotność nie jest jednoznaczniakiem bezludzia i że tam tylko jej niema, gdzie jest przyjaźń myśli i zaufanie serc. A gdybyś mię zapytał, czy znam dusze nie samotne, odpowiedziałabym: wątpię, chyba te, które w rozwoju swym nie przebyły jeszcze stopnia zaćmowości. Inne, dojrzalsze i uwykwintnione, w kajdanach nieufności i oziębłości cofają się wzajem przed sobą, zmrażane byle kropelką chłodu, zrażane draśnięciem najłżejszem, i gdy usta mówią, one milczą, ironicznie uśmiechając się nad robotą ust, marną dla głowy i płoną dla serca. A przecież

nie zagasają nigdy, nie kończą się nigdy tęsknoty dla słodkich lepów i silnych spoidel, któreby mogły różność dusz w jedność przekształcać. Może są one pierwszymi pobłyskami tej ery naszego świata, w której, jak przypuszczasz: «jednostki dziś odrębne, a pociągane ku sobie przez miłość, lub roztrącane przez nienawiść, zleją się w duszę rozprysniętego na iskry anioła, o tyle wyższą od dusz naszych, o ile my wyżsi jesteśmy od jestestwa unoszonej powietrzem monady». Jakkolwiek bądź, ci z pomiędzy nas, których rozkwitłe albo i wybujane myśli i uczucia dziś już czynią podobnymi do iskier anielskich, rozsianych pośród monad, muszą być łupem samotności, tej samotności, która nie jest jednoznaczniakiem bezludzia.

Co do mnie, nie znam tych szarych godzin o zapadającym zmroku, w których u okien zawieszonych purpurą zorzy szemrzą rozmowy poufne, długie; ani wspólnych z innemi żrenicami wejrzeń ku wschodzącym na nocne niebo gwiazdom; ani wspólnego słuchania szelestów, z jakimi jesień roznosi wędrujące liście po cienistych drogach; ani przybliżania się głów, pochylonych nad skarbnicą wiedzy, ani łączenia się dłoni w cierpieniu, czy trwodze. Jeżeli czyjekolwiek czoło razem z mojem kloni się ku dołowi, to tylko nad rozlaniami po obszarach rodzinnej ziemi czarnemi wodami nieszczęścia; jeżeli palce moje czemkolwiek łamią się z innemi, to tylko stępałam i do skruszenia trudnym kirem żałoby.

Lecz jak świat jest szeroki i długi, niema na nim nikogo, ktoby chciał choć przez moment pogрузić wzrok w toni mojego nieszczęścia, albo przynieść do przełamania się ze mną różowy opłatek radości. Niema też nikogo, czyjejbym troski serdecznej mogła, a nadewszystko chciała, ginać, zawołać na pomoc. Jestże to więc dziwnem, że mówię do ciebie i teraz zwłaszcza nie mogę przestać mówić?...

Czuję potrzebę zapytywania. Gdyby długim szeregiem stanęły przede mną wieki, przez świat nasz przeżyte, od jednego do drugiego szłabym, błagając, aby każdy pokazał mi ten okrucieństwo prawdy, który z ciężkim mozołem wywojował

u ziemi i nieba. Gdyby objawił się na globie naszym Mistrz z naturą nad nędze ludzkie wyższą, przez rzeki i góry szła-
bym ku niemu, aby jak ewangeliczna Marya włosami swymi
zamieść przed nim ziemię i zapytywać — i zapytywać...

Zrozumiałam to, co mówisz o monadach i o kometo-
wych miotłach, «które mkną niewolniczo torem, przez wyższe
prawidło nakreślonym» i że prawidło to stanowi o przezna-
czeniu chaotycznych żarów, z których wykrystalizować się
mają różnice nowych globów». Zrozumiałam, ale jeszcze —
nie dość rozumiem. Życie staje naprzeciw teorii i muszę je
godzić.

Był w życiu mojem moment, w którym opłatywały mię
więzy z kwiatów czarownych uwite, a wszystko, cokolwiek
jest w człowieku samozachowawczem uczuciem miłości dla
samego siebie, lejąc mi w serce strumienie upojeń, wołało
o szczęście. Jednak podniosłam się, wyprostowałam i pozo-
stałam sama jedna, pod złotymi oczyma gwiazd, których
światłości nie chciałam zamienić na upajające wonie i aksa-
mitne purpury czarownych kwiatów. Nie chciałam? Mniema-
łam wówczas, że nie chciałam i że to Psyche moja przecięła
łańcuchy, czyniąc pomiędzy ideałem a szczęściem wybór do-
browolny.

Czegom ja zresztą wówczas nie mniemała! Bo i to my-
ślałam sobie, że z olbrzymem złą, na ziemi tej osiedlonym,
zwycięski bój stoczywszy, o atom czasu przybliżyłam mo-
ment, w którym ludzkość stanie się olbrzymem dobra; i to
jeszcze, że ten akt dobrej woli był aż do ran wierną służbą
ideałom... A potem... Gdy przeminęło pierwsze wstrząśnienie,
które następuje po opadnięciu z piersi kwiecistych więzów,
uczułam, że nie utraciłam szczęścia, lecz tylko zamieniłam je
na inne...

Czyś kiedykolwiek przyglądał się czarnym perłom? Wy-
glądają one tak, jak gdyby napełniające je blaski tęczowe
przewijały się przez czarną krepe, a rzadkie są i mają cenę
bajeczną. Otóż w życiu bywają szczęścia podobne czarnym
perłom, głębokie tęcze swe nurzające w cieniach, i ja taką

perłę trzymałam wówczas w ręku, a przyglądając się jej bla-
skom przyćmionym, zaświatowym, myślałam, że kupiła ją
za niezmierną cenę aktu woli, która rozcięła więzy i rozdarła
serce. Czy będziesz dziwił się temu, jeżeli teraz postępek ten
swój oglądam ciekawie, jakby rzecz nową i nie swoją?
Istotnie, nie był moim. Był koniecznością, od której uchylić
się nie mogłam. Jednak, zarazem, mogłam. Wystarczyło je-
dnego, potwierdzającego skinienia...

Pracowało w tym postępku, niezależnie od woli mojej,
męstwo dziada mego i ofiarnictwo ojca, gdy aż do kresu
dokonywał całopalenia, zamierzonego tylko przez Abrahama
na górze Moria. Lecz i oni również, uwodzeni byli przez
mary, złudy, sny... Oni i ja mówiliśmy: współczucie, obowią-
zek, sprawiedliwość, cnota, a było to niczem innym, jak tylko
pracującym w nas instynktem samozachowawczym gatunku,
czy, mówiąc ściślej, części gatunku, plemienia.

Zrozumiałam. Myśl twoja uczepiła się mego jestestwa
i odstać od niego nie chce; co więcej, ja sama z uporem
niepojętym wpatruję się w nurty twego słowa, w sieć twych
wywodów... Czy będziesz dziwił się, że nad nurtami tymi
stoję bezradna, osłupiała, niewiedząca co czynić, zbита z drogi?
Mówię ci o tem bez trwogi o ciebie. Dla autora książki —
to tryumf, a dla człowieka — nic wcale. Cóż ciebie, który
obracasz ogromami brył niebieskich i nieskończoności mno-
żysz przez nieskończoność, obchodzić może jedna daleka
gwiazdka, spadająca z wysokich niebios w ciemnicę nocy?

Jednak i to jeszcze wyznać przed tobą muszę, że, po-
mimo wszystko, nie mogę pozbyć się myśli, czy przypuszcze-
nia, że gdybym znowu zdołała wydać z siebie tę energię,
która trudnego czynu dopełnia, znowu też uczułabym w so-
bie swoją Psyche, z rycerską laną w dłoni. Ogromnie tru-
dno jest wyzbywać się tego, z czego zakładaliśmy długo
fundament całej budowy życia. Więc też jeszcze i ta myśl
przychodzi mi do głowy, że kto wie? może upadek wiary
w wolną wolę postępuje równolegle z upadaniem zdolności
do trudnych czynów? Może i ja teraz siłę słowa twego od-

daję wiarę w jej istnienie dlatego, że nie mogę wymódl na sobie takiego natężenia woli, z któregooby wydobyć się mogła jej emanacja — czyn? Na te pytania jednak nie proszę, abyś mi odpowiadał, bo, rzecz prosta, że uznasz je za błahe, za niższe od swego rozumu i przez niego stworzonych wniosków. Zresztą, dopóki zostaję w okowach i nie zdobywam się na siłę do ich rozkucia, nawet twoje słowa, gdyby w tym kierunku możliwymi były, nie zdołałyby mię utwierdzić na nowo w zachwianej wierze.

Lecz oto na jakie pytanie proszę cię o odpowiedź. Jest ono palącym i niecierpliwem.

Dlaczego nie jesteś szczęśliwy? Ty, który wiesz wszystko, dociekleś wszystkiego, myśl nieznająca przerwy ani trwogi zarzuciłaś aż za słońca, który dostrzegasz spoidła, łączące we wszechświecie ogniwa wszechbytu, znasz tajemnice wszystkich narodzin i śmierci, trzymasz rozumiejące oko na całym przestworzu wiekuistych robót natury, jej składów i jej rozkładów — dlaczego nie jesteś szczęśliwy? Wszakże Bóg twój nie rozkazuje ci nic i niczego nie zabrania, a na swym instynkcie samozachowawczej miłości własnej nie nosisz pęt obowiązku. I z tymi, którzy cierpią, nie cierpisz, ani wichry gniewów i żalów nie unoszą cię w krwawą kurzawę walk o sprawiedliwość, i niema takiego gwoźdźcia, któryby zdołał cię przykuć do ciemnych Erebów tej ziemi. Cnota, ta najczęstsza gubicielka osobistego szczęścia, jest w oczach twoich chorobą monady, nie podążającej ku tym warstwom doświadczonego zbiornika, w których dla żywiołu swego znaleźć może najwięcej światła i tlenu. Dlaczegoż nie jesteś szczęśliwy? Posiadasz sławę, młodość, fizyczną siłę, umysłową potęgę, wysokie miejsce w hierarchii społecznych stanowisk: dlaczegoż nie jesteś szczęśliwym?...

Pozwól też, abym poskarżyła się przed tobą na ciebie. Co ty piszesz w swej książce o samolubnych, interesownych pobudkach, które rządzą się rycerze idei i zasad! Nie czyniąc pomiędzy niemi różnic i nie rozdzielając ich na kategorie, oskarżasz wszystkich o względy indywidualne i o ego-

tyczne nadzieje, o chęć zażegnania rokoszów ziemskich, albo o spekulowanie na odpłaty niebieskie. Jakże widać, że żaden głos z Coliseum nie rozkazał ci zwiedzić «ziemi, mogił i krzyżów!» Po drogach swych spotykać musiałeś samych faryzeuszów, rozdających jałmużny na rogach ulic i przy dźwiękach mosiężnych fletni, a żadne echo nie opowiedziało ci o tych, którzy nie prosili o chwałę swoją, ale o tryumf tego, za co walczyli, spokojni byli na dumę, ucisk i natrząśanie się niesprawiedliwych, byleby tylko po ich męczeństwie zorza rozwiódła się nad tem, co ukochali». Ach, ja ich znałam! Nad dachem rodzinnego domu mego, przez trwanie studenta powiewa proporzec z napisem: Przy zasadach stójmy! Stali przy zasadach i świetny, sowity zaiste! żołd za rycerską straż otrzymali od ziemi, a czy jakiegokolwiek spodziewali się od nieba? Tak; sama nieraz, nad wspomnieniem ich żalobną myśl roztaczając, marzyłam, że tak bardzo uduchowieni, od egotycznych względów i nadziei wolni, tak przez ziemię skrzywdzeni, a w służbie dziełu bożemu wytrwali, osiągnęli zapewne w sferach zaświatowych, nad ten mały światek nasz wyższych, czystszych, przestrzenniejszych, nagrodę świetną w postaci jeszcze zupełniejszego uduchownienia się, udoskonalenia, otrząśnięcia z prochów żądz poziomych i marnych. Marzyłam, że oni tam kędyś, z rozpiętymi skrzydłami Serafów ważą się w gloryi tryumfującego dobra, jeszcze spojrzeniem troskliwym to obejmując, co na tej biednej ziemi kochali tak niezmiernie, że w kochaniu tem, jak ziarno piasku w oceanie, utopili całą o sobie samych pamięć...

Dlaczego pomiędzy ludźmi, a ludźmi tak wielkie różnice? Są tacy, którzy tylko wśród dotykalnych realności życia czują się jak w domu, a dla idei abstrakcyjnych, jak dla krain cudzoziemskich, żywią obojętność doskonałą. Grzmoty i orkany szaleć mogą na tych wyżynach, a oni wzroku nawet nie podniosą, aby zobaczyć, co się tam dzieje. Wiara, którą słowami wyznają, jest szybką mechanicznie w dusze ich wprowadzoną, która jeżeli trwa, to dobrze, jeżeli, przez jakiś kamyczek stłuczona wypada, to znowu dobrze, a często i bez żadnego

kamyczka wydziela się z organizmu, jako ciało obce i niepotrzebne. Gorzej niekiedy, ale tylko ogniami pożądań własnych, łzy wylewają, ale tylko nad mogiłami dzieci swego ciała, żadnych zresztą mogił nie nosząc w sercach długo, bo coraz nowe realności szybko zmiatają z ich pamięci zwłoki tych, które przeminęły. Nie są to zawsze źli ludzie. Owszem, do powszednich użytków ludzkości bywają zdolni i miewają humory przyjemne. Są po prostu odmianą rodu ludzkiego, w ziemię wrosłą, do latania niesposobną, niemającą z abstrakcjami łącznika żadnego.

A jeżeli chcesz drugą odmianę poznać, to przedewszystkiem spojrz w samego siebie, a ja również wiele o niej wiem. Myślałam nieraz, że przedstawiciele tej drugiej odmiany są to dzwonnicy, którzy wdzierają się na szczyty wieżyc, aby stamtąd szarą powszedniość, leniwą ociężałość i krwawe rozpłakania zwoływać do świątyń. Czy to, ku czemu przywołują, nazywa się Prawdą i Wiedzą, czy Dobrem i Cnotą, czy Pięknością i Sztuką, jest to zawsze wyżyna i ołtarz, a oni, dzwonnicy, z uczuć i myśli swych spletają łańcuchy, którymi poruszają serca dzwonów. Dla nich abstrakcje są tem, czem dla monady światło i tlen. Są to monady ludzkie, dotknięte heliotropizmem. Ziemia wywiera na nich swą potężną siłę przyciągania, lecz oni pomimo to wspinają się ku słońcu, na stromą tę drogę, biorąc w serca za jedyny kordyał wiarę w istnienie słońca i ogromne jego pożądanie. Z tym kordyałem i z rosą czarnych pereł na skrzydłach pną się, lecą, wzbijają się *ad astra!* Lecz gdy kordyał jedyny z serc im się wylewa, wątłują i kruszą się ich serca. Z wyżyn wygnani, wśród realności, dla których stworzonymi nie byli, drogi dla siebie żadnej odnaleźć nie mogą i bardzo cierpią. Cierpią na chorobę niektórych dusz z ojczyzny wydalonych, na dławiącą i nudną nostalgię abstrakcji.

Heliotropizmem nacechowana monada ludzka, gdy wyszła z niej to, w czem zakładała nie tylko swoją, lecz świata i życia siłę i wartość, staje się...

Ale ja ci jej wizerunku kreślić nie będę. Po co? Uspokojony odzyskaną wiarą w niemyślność prawd swoich i w swoją własną wielkość, ty się o nią nie zatrwożysz!

XXVI.

Mürren.

Masz słuszność. Ziemskie istoty i ich losy nie mogą już obudzać we mnie trwogi, ni troski, bo sam do pyłów ziemskich należeć przestałem. Już wybiłem się ponad mroki, które były we mnie słabością człowieka. Dotarłem do zenitu, wyzwolony i zwycięski. Stałem u celu i otrząsnąć mi trzeba wszelki atom powszednich żalów i nadziei. Czy możesz tryumfy moje zrozumieć? Czy mi uwierzysz? Ach, ty nie wiesz, co w jednej godzinie stać się może z pogromcą szczytów, walczącym nieustraszenie na wietrze, ciemnościach i słońcu!

W jednej godzinie przedarłem się przez ostateczne zasłony poznania. Dzisiaj na koniec jestem jak słońce, o którym śpiewały fińskie runy Kalewali, że niema dlań nic ukrytego. I potężniejszy od słońca, bo ono tylko planetom swoim króluje, a ja patrzę okiem odtwórcy na obroty wszechświatów. To dzieło, które znasz, było zaledwie niedołączną, drżącą przygrywką do tej wiedzy i władzy, które należą do mnie dziś. Jakże daleko poza mną zostały dawne myśli moje!

Czego szukałem tak długo, niepewnie i po omacku, co mi się w ciasnocie umiejętnych formułek majaczyło przeczuć nieśmiałem, ową tajemnicę, nieodgadnioną, a jednak już bliską, chwyciłem wreszcie w gorejące dłonie, jak znicz prometejski. Kamień mądrości, za którym wzdychały wieki, kryształ prawdy, dyament poznania — jest dziś moim, i nawet już nie wiem, dokąd jeszcze dążyć? Sam jeszcze nie wiem dobrze, czem jest to, co posiadam. Mnie samego łup mój jeszcze przeraża. Ale czuję ją już w sobie, tę gwiazdę gwiazd — i mógłbym ręce założyć na piersi...

Pragnęłabyś może i ty dostrzedz rąbek mojej jasności?

Nikommu nie odstąpiłbym jej chętniej, aniżeli tobie. Wszak uikomu nie ofiarowałem tyle, co tobie. Hojną dłonią rzucałem ci pod stopy klejnoty, zebrane na mych drogach odludnych — daremnie! A jeżeli nie chciałaś, czy nie mogłaś, nadażyć za mną przez trzeźwe etapy rachunku, tem bardziej dziś nie dosłyszalabyś żadnej treści dla siebie w deklamacyach żywiołowej, mistycznej, nie wiedzy, ale wyższej od wiedzy czułości, czy harmonii, spływającej z elementów bytu, w słońce twórczego ducha. Tam poza mną, na ziemi niema, zaiste, tajemnic dość głębokich, ani symbolów dość ciemnych, którychby najprostsza dusza niewieścia nie zdołała odgadnąć sercem — jeżeli serce zadzwęczy. Leczą, aby stanąć tu przy mnie, trzeba wprzód zaprzeć się życia i wyrzec się szczęścia, jakim jest istnienie. Więc trzeba także wyzwolić się z bólów miłości i płaczów — a czyż nie jest po ziemsku szczęśliwy ten, kto ma jeszcze za co cierpieć i płakać?

Czy wogóle z gościńców, kędy zawiane duchy same sobie starczą, przyniosę kiedy wieść taką, jak z Rothornu? Czy wogóle można wyjąć cośkolwiek z blasku obrażonej prawdy i zamknąć w łupinę naukowej ścisłości? Tu, gdzie się teraz znajduję, może nigdy nie przyjdzie za mną ludzka powszechność, i próżno-bym szukał dziś zrozumiałych wystowień dla mojej obecnej wiedzy. Prawdy, które oglądam teraz jak krąg nowego horyzontu, i w które wierzyć muszę, bo czuję je nie tylko dokoła siebie, ale i w sobie, wydają się dla biednych wykładników ludzkiego rozumu zbyt wielkimi, zbyt boskimi. Ogarniam je poza naukową ścisłością i ogarniam je tylko dla siebie. Mózgi filozofów tkają w rzemieślniczym znoju bezpieczną kanwę systemów, aby mogły dopełznąć aż do ich mądrości ślimaki przeciętnych umysłów. I ja wlokłem za sobą dotychczas taki splot powrozów i dziwiło mię, że posuwam się naprzód tylko krok za krokiem! Dziś rzuciłem pęta śmiesznie ciasnych schematów i nie troszczę się o ślimaka ludzkości. Co wiem i czuję obecnie, to już nie system, ale ocean światła, żadnym łańcuchem nie skuty z ziemią, bez drabin, dostępnych dla tłumu. Pocóż zresztą bezcześcić jego wielkość paradyą

nieomyślnej umiejętności. Czyż nie dość, że przynajmniej ja jeden doszedłem do mety? Czyż prawda dopiero wtedy nabyla ceny, gdy przetrawi ją cała zgraja? Czyż nie starczy jeden duch?

Pereat mundus!

Sam chcę się dzisiaj poić nieskończonością i usta moje niechaj będą zamknięte. Drogą, którą zaszedłem aż tutaj, mogą pójść wszyscy, bo wysnuła się ona z najpierwotniejszych poziomów — z kłębka waszej ołowianej chmury. Ostatnią placówką tępej umiejętności, spowitej w całun chmury, było mi zrozumienie, że w odrobinie mego własnego ja zastąpione są wszystkie istniejące gdziekolwiek żywioły, a związane takim samym węzłem, jak świat i światy. W tem leży tajemnica mojej nowej wiedzy, jądro prawdy, wyniesionej z alpejskich pustkowi. By ją zrozumieć, trzeba, jak ja, analizą rozeznąć w sobie ułamki wiecznie powszechnych pierwiastków, i rozpoznane fragmenty zharmonizować tak, jak zestrajają się one wzajemnie w przyrodzie. Wtedy uderzył we mnie grom poznania, znikła fatalna granica pomiędzy jednostką a bytem ogólnym, i duch mój wybucha, jak wulkan z ciężkich brzemion chmury. Nie zostało we mnie żadnego atomu, którybym mógł nazwać sobą i skreślić jako ja człowieka, zdolne samo przez się coś czuć, myśleć, kochać, pożądać, lub cierpieć. Nie znajduję w sobie nic, czegoby nie było w żdźbale trawy, w powiewie górskiego wiatru, w kamieniu, staczającym się ze stromizna do przepaści. A jednak czuję się pełnym potęgi. Czemże więc jestem? Więzią strun, drgających w kalejdoskopie świata, ogniskiem zbieżnym powszechnych promieni bytu, ale ogniskiem, które mogłoby się skupić i zapłonąć gdziekolwiekbydą w przestworzu, na wierzchołku lodowca, w próżniach szafiru, albo we wnętrzu granitowych Alp. Jestem czemś drobnem, a zarazem ogromnem, pyłkiem i wszystkim; mógłbym cały rozproszyc się w przyrodę i w jakimkolwiek jej punkcie, jako świadomość myślna, na nowo się począć, bo ja a wszechświat to jedno. To klucz potęgi stwórcy i bierności stworzenia, rdzeń przyrody i bo-

skości, wiedza nieśmiertelnego Sfinksa. Myśl moja, zestrojona z myślą świata, rozlewać się może w kręgi nieskończone. Poezya duszy mojej jest zarazem rapsodyą chaosów.

Jestem więc tam, gdzie być chciałem, i nic mnie już z tronu nie strąci. Rozeznałem w sobie wszystkie akordy symfonii wieków i nie potrzeba mi już nikogo. Obce mi są skargi i uśmiechy niemowlęcej Psychy. Nie krępuje już mej wszechwładzy żaden ujawniony dogmat nieświadomości.

Jednak zwycięstwo nie było łatwe. Nigdy nie walczyłem z wewnętrznymi wrogami ducha tak strasznie, jak w chwilach ostatnich. Raz jeszcze ziemia poczęła mnie przyzywać wszystkimi głosami do siebie. Raz jeszcze widma osobistego szczęścia opadły mnie zapalczywą sforą. Raz jeszcze, patrząc na zasepioną panoramę Alp Wallisu i na smugi słoneczne, które przez szczeliny śniadych sufitów schodziły z nieba na ziemię, i na tę, to na ową okolicę lodowców złotawym blaskiem się kładły, pomyślałem sobie, że w tem przypadkowym kołysaniu się blasków i szarości zawarte jest odbicie zbiorowej nawy istnienia. I ona tak się chwieje, zasuwa się w mroki, to znów na smugi jaśniejsze wypływa, a wtenczas losy poszczególnych ludzi, bez winy ich i bez zasługi, świetnieją albo gasną — i nazywa się to ślepotą Przeznaczenia. I zadumany nad rozległością krajobrazu, pomyślałem sobie, iż moje własne życie padło może na taki załom skał smutny, kędy w godzinie mojej żadna światłość nie schodzi, i padło nie-
szczęśliwie, bo niema anioła miłosierdzia, któryby siłą uczucia zwyciężył chmury i wyłamał w nich okno i ubrał mnie w aureolę przyniesionych z zenitu promieni. Niefortunny przypadek — rzecz nieciekawa. Można wszakże wyczuwać rozumem obieg sił w przyrodzie i wyprowadzać analizą konieczność jałowej zagłady, a mimo to modlić się do życia i chcieć wszystkie jego obszary własną wypełnić istotą! I oto dlatego, mimo całej mądrości mej, nie czułem się szczęśliwy.

Tymczasem z posiewu trudów i prac, które zmordowały mnie do omdlenia, powstały zarody nowej siły, możności, stokroć wyższej nad możność dawnych i dzisiejszych umy-

słów. I tęskniąc, jak pacholik zbłąkany, do macierzyńskich skrzydeł kochania, trwożyłem się bardzo, że wszystko, co było mną, we śnie moim umarło, a to tymczasem z myśli mojej, zapłodnionej błyskawicą minionej ekstazy i pogrążonej w niemoc, urodził się taki kolos nieznanej mi dotąd potęgi, że trzeba było nadludzkiego wysiłku, aby go pchnąć i zbudzić do życia! W krótkim, ale gwałtownym znoju tych zapasów byłem już gotów zgasić w sobie wszystkie płomienie i tęsknić począłem za ciszą grobu... I grób ten chciałbym już być mieć na tych rodzinnych kurhanach, przy których ty czuwasz z aureolą dziewictwa i męczeństwa na pięknym czole... Gotów już byłem zasiąść przy tobie na cmentarnej straży, i chociaż wiem, że nic zostać nie może po narodach bojujących na ziemi, chciwy byłem kochać, łudzić się i choćby cierpieć z tobą. Jednakże w żelaznych okowach losu kryła się jakaś pozawymiarowa Opatrzność, która nie chciała, abym utonął we wspólnym odmiecie ludzkości — i z próby ognistej wyszedłem zwycięzcą.

Coś zamigotało mi przed oczyma ogromną glorią niezananego na ziemi ideału. W nagłej błyskawicy zjeżyło się we mnie jakieś sumienie wyższego stopnia i każdą chwilę przebląkaną marzeniem w cienistych ustroniach puszczy, do których nie przyzywałaś mię do siebie, bo do życia nie byłem ci potrzebny, każdą cząstkę siły, którą ideałom szczytnym odkradłem ze skąpej sumy mojego życia, każdy dzień nektarniczey gnuśności i każdy dzień rozpaczliwej tęsknoty, każdy grzech taki, których tyle nagromadziło się poza mną, wytknęło mi gniewne sumienie jak zbrodnię, jak hańbę, jak krzywoprzysięstwo. Więc chwycił mnie żal, i gniew, i strach o coś olbrzymiego, co pali się gdzieś nade mną na wysokościach, mnie jednemu ukazane a przez słabość ducha może utracone, i razem ogarnęła mnie jakaś ostateczna zaciekłość i ostateczna żądza przesadzenia granic, o które rozbijają się inni.

Bliżej ci o tem mówić nie będę, ani nawet mogę. Dość, że wszelką wszechwładzę i niespożytość świata, o ile zakłęte

są w iskrę ludzkiej istności, opłotem myślą — i uderzyłem jak gromem w tysiąc pęt człowieczych. Doczekałem godziny tryumfu. Mózg i nerwy nie pękły. Od razu rozkruszyły się wokoło mnie, jakoby okowy i skorupy, stanowiące człowieczeństwo i cierpienie moje, i odrazu znalazłem się jakoby przed morzem ulatującym w górę, na którego bezmiary wyciągniętą była linia mego życia. Od razu też, wyzbyty z mamiel szczęścia i straconych bojów, odczułem, że ocknęła się we mnie właściwa przyszłość moja, że zadrżał we mnie kolos Sfinksowej potęgi i teraz wyskrzydła się i występuje ze mnie na kształt pożogi tak olbrzymiej, iż mnie samego oslepia. Rwie mnie ona naprzód gościńcami przebóstwień. Zapadły za mną w głąb zapomnienia horyzonty ludzkie wraz z plejadami gwiazd waszych. Roztoczony przede mną majestat straszliwej powagi bytów nagością swą ścina mi rysy w nieruchomość marmuru. Ludzie nie będą wiedzieli, czemu twarz moja staje się bledszą, a w wytężonych orbitach silniej płoną oczy. Wzrok mój nie może ani pragnie zwracać się ku stopniom przebytym. I nawet pamięć o tem zgasnąć powinna, iż są półsennie przestanki rozwoju, gdzie pragnienie słodkich lepów, łączących jednostki, zapala i strąca z firmamentu gwiazdki ludzkich przeznaczeń.

Cóż mnie obchodzi, że tam, gdzie ciała nasze snują się we śnie biernym a ciężkim, zostanie ktoś bez współnika swych krótkich smutków, że ja sam, ginąc, próżno wołać będę czyjejs troski serdecznej; że moja gwiazda szczęścia zesuwa się ze stropu i w nicości przepada, coż mnie obchodzi, czy pożegna mnie tam śmiech pusty, czy stoczy się ciemna perła czyjegoś żalu i skruszy pod stopą moją. Wszak najognistszy piorun ludzkiego serca, pękającego z erotycznej rozpacz, już-by nie przemógł otchłani, rozemkniętej pomiędzy mną a światem, i duszy-by mi nie spalił! Niech one biją w jałowe pnie Atlosów, strojnych w wianki powoju, a utkwionych bezwładnie w szklowie bagniska, niechaj im prują wypróchniałe wnętrzel... I to mi się kiedyś śniło.

Nie zdołałem przywołać cię ku sobie i ty mnie do siebie nie wołasz: więc rozstajemy się. Już jesteśmy sobie obcy. Ale, zanim umrę dla ciebie, niech mi wolno będzie raz jeszcze odwrócić się i pojrzeć: czy ścigają mnie smutne oczy twoje? Czy widzisz mnie na szczytach? Na strasznych, samotnych szczytach myśli przeczystej i dumy nadludzkiej.

Dzięki wam, góry Szwajcaryi! Na zrębie waszej dumnej, mroźnej skalistości odkryłem wreszcie misteryum magicznego węzła. Gdy chcę, mogę się z wami w jedno przeradzać, myślą moją czynić waszą myślą, serce moje wkładać w wasze piersi, silnym być waszą siłą, pięknym być zorzą waszych śniegów, oddychać tchnieniem waszego wiatru, gniewać się waszym orkanem. Najrozleglejszy krajobraz jest obrazem mej duszy. Na głębiach widnieją złoża luźnych szutrów i rozpięzchłe głazy opuszczonej moreny; tu i owdzie połyskują wśród żwirów srebrne prądy lodowego strumienia i czerwienią się płaty drobnych goździków, jak krople krwi; wyżej biegną łańcuchy ścian stromych i bezludnych, ponad niemi wstęga alpejskich lodowców, której końce wtapiają się w niebo. Po niebie płyną obłoki, jak myśli. Ciężkie i nieprzejrzyste, białe, wysokie i lotne, wszystkie płyną w jednym kierunku, jaki im wyznaczy wiew duszy. Czasem który obłok z tych, co płyną niżej, utknąwszy na wystającym zadziornie skały, wstrzymuje się w drodze i staje nad nim cicho, jak fioletowy posąg zadumy, póki go nowe myśli nie spłoszą. Czasem który z obłoków najniższych oprze się czołem o piękną rzeźbę ziemi, nęcącą go szmaragdowym lasem, i już nie idzie dalej, lecz tuli się do zieleni miękkim zawojem; a gdy opadnie zupełnie, ruń lasu zachodzi mgłą. Są też chmury dalekie, nagromadzone kędyś w niewyraźnej głębi, jak mroki legend Homera; mroczą się, lub rozstępują, gdy wnikną w ich kłęby promienie pogodnej godziny, dobywając z poza nich blade zarysy przestrzeni, czy zdarzeń, nieznanych, lub zapomnianych. To znów słońce przed zachodem zgarnie je wszystkie gorejącą dłonią

i wszystkie pod zenit odrzuci, a wtenczas poszarpane krawędzie Alp zostają bez zasłony i kamienieją na niebie gestem rozpacz, lub bólu. Aż zakrzwiają się całe zorzą borealną i gasną w ciemności.

Tak mieszają się, płyną, myśli nieba i ziemi, a ta gra elementów stworzenia jest tożsamością mojej własnej myśli, sięgającej bez kresu na niebo i na ziemię. Na bezludnych ołtarzach alpejskiej świątyni, gdy piechotnicy globu, w żądaniach swych mali, nie znieważają ich wzrokiem, gdy grunt pod nogami nie wydaje już kwiatów, gdy lody świecą kręgiem brylantowym, gdy ciszę świata mąci tylko szelest zimnej wody i wołanie wron górskich, błędzących ponad moreną — wtenczas z każdym tętnem wielkiej godziny mnożą się nici spójni ostatecznej. Z myśli i uczuć, godnych człowieka, zostaje tylko pojęcie wiecznej jednolitości istniejących i możliwych światów. Ta jedna myśl spójni rozwiązała mi usta, pozwala rozmawiać z bezmiarem stworzenia i być tego bezmiaru uduchowioną modlitwą. Nie znajduję i nie znam żadnego jądra, którebym z elementów bytu mógł wyodrębnić jako własne *ja*, a jednak widzę, że nie zginąłem i trwam. Wszystko jest jednością. Ów orszak niebotyczny lodowych szczytów, od wschodu do zachodu ciągnący się nieprzerwanie, owa jednolita wstęga biała, o lśniących liniach, pełna granitowych cieni, wspaniale rozwinięta w fałdach olbrzymich, to jeden rzut twórczości genialnego twórcy. Fałdy jej, zda się kapryśne, a przecież od jednego rozmachu zawisłe, nazywa ludzkość rozmaitemi imionami szczytów, i patrzy w nie od wieków zdumionem okiem, dziwiąc się własnej małości. Zaś na tło tej wstęgi rzucony jestem ja, odrębny, zda się, i samoistny, zanieiony tu wyrokiem samodzielnej woli, a jednak będący pomysłem tego samego artysty, który rozwinął przede mną białą szarfę grzbietów, ja, szczególnie przypadkowy, ale do zupełności obrazu konieczny, garść światła, w którym tęcza lodowych blasków i błękitów odbija się niespokojną gamą wrażeń, tęsknot i uniesień. Szukałem niegdyś serca bijącego w przyrodzie i chciałem chwycić uchem jego tętna. I nie

wiedziałem dlaczego niebo i ziemia milczą? A one milczały, bo tętno ich bytu zrastało się ze mną samym, z jednym kruchem sercem człowieka, bijącym za siebie i za obszar granitowej martwoty. Taka wspólność i jednorodność nie daje się nawet przemysleć do końca, a nie mniej wyłania się z samowiedzy, jak pewnik najdoskonalszy i najwyższy. Cały świat jest wariantem jednej rzeczywistości. Realizuje się on w jednej prawdzie, w znaku jedynej trójcy, którą jestem ja sam, przyroda i żyjąca w nas obojgu myśl.

Opanowawszy zaś myśl, która przejawia się światłem mego ducha, jestem tak silny i tak wytrwały, jak ona; stanąć też mogę, gdy zechcę, ponad obszarem przyrody i tróję stworzenia przemienić na wykładnik mej własnej twórczej istoty. I odtąd mam wszystko pod sobą: wierzchy gór i szczyty ludzkości. Moc moja nie zależy odtąd od zewnętrznych czynów; wyższa jest od trudów i znoju zasługi. Wszystkie gościńce stoją przede mną otworem. Tysiącem rzek i oceanów może we mnie spływać wszelka moc bytu, energia i eutropia światów. One są odtąd falami krwi mojej i przeistaczają mi duszę w śpiewną lirę, w ekstatyczną harmonię porywów, uczuć i przecuć na tle arcypięknego świata. Do kogo z żywych czy umarłych geniuszów zwrócę się, każdego duchem przerastam. Rozumiałem dawniej, że musiałbym życie zaczynać na nowo i niewolniczo przykuć się do pracy, aby któremukolwiek z nich dorównać w dziełach wiedzy, w samoistości talentu. Atoli odkryta potęga moja wynosi mnie ponad miarę ludzkich dzieł i geniuszów. Tam orły spętane targają swoje więzy, ja jeden zdobyłem wolność. Żadna rana nie psuje mi piersi, żadna blizna nie szpeci mi czoła. Zaczynam się tam, gdzie wszystko wasze się kończy. Gdzie wieczność wasza idzie do grobu, tam dopiero zmartwychwstaje moja nieśmiertelność. Rozkuty wreszcie lew mego ducha wstaje z nizin szlamistych, z krainy zwiędłych Atłosów, i pnie się na szczyty. Każdy krok jego rozrywa skałę i strąca lawinę szyderstwa na kretowiska ludzkie, pachnące bagnem i gliną.

Czemże są dla niego szranki Alp i globów!

Poezya wasza nigdy nie wzleci ponad ich ciasną arenę. Czystość śniegów i błękitu, srebrność wód, złoto i purpura słońca, orle skrzydła i zygzaki gromów — oto wszystkie natchnienia i palety wasze. I ja widzę, iż na szafirowym rozłogu żarzy się tarcza wrącego bursztynu, iż jasne jej promienie rozbijają się na ostrzach skał kaskadami opalów, a wieczorem pławią się w topielach złocistego szkarłatu. I ja mógłbym przed wami stawać złocisty i brylantowy, gdy grają mi w duszy błyskawice. I ja wiem co skrzydła, bo w godzinie objawień spadła na mnie dzika skrzydlatość — różna od orlej. I ja wreszcie widywałem rozkazy gniewnych bogów, pisane głoskami piorunów na czarnem niebie. Jednakowoż ja wiem, że te blaski i kolory są tworem żrenic moich, że to ja sam rzucam przed siebie tę arenę jaskrawą, i wiem, że milion nowych tęcz barwnych, grzmotów i piorunów zależy od twórczej woli, której przypływy i odpływy skupiają się we mnie.

Wyjęty jestem z pod prawa czasu i przestrzeni. Nie stworzyłem sobie żadnego wczoraj, więc nie trzeba mi i żadnego jutra. Kędyś dołami przemyka się pode mną czas światów, toczą się wieki z wrzawą takich kataklizmów, takich tarć nowych prądów o stare, że ogromny ich łoskot mógłby się stąd wydawać prawie spokojem i ciszą. Można się zresztą nauczyć rozmiarzać te odległe zjawiska całkiem dokładnie i dostrajać do takich wyżyn, z których duch opasuje ogólną historię egzoterycznych rozwojów, a na stulecia i tysiące stuleci spogląda, jak na niknące stada jednostajnych, szarych i krótkodniowych ptaków.

W przestrzeniach moich topnieją góry, jak w nurtach potopu. Oto znaleźcie Jungfrau, zimną i niebotyczną, Matterhorn, wzbity, jak protest ziemi, pod niebo. Ze słońca wytryskują góry ogniste, wielkie, jak cała ziemia. A teraz przychodzę ja i jednym zamachem skrzydeł żywiołowych roztrącam w puch wzrosty nadchmurne. Pracą jednego oddechu mogę je w siebie pochłonać, a potem znów wcielać w naturę, stokroć większe, śmielsze i trwalsze. Biadałem wczoraj, że Jungfrau stroić się w złote rumieńce i świecić będzie je-

dnako, gdy z prochów moich i śladu już nie zostanie. Dziś poznaję, że od niej silniejszy. W lodach jej widzę rany, głęboko wypalone jesiennem słońcem, a każda rana płacze potokiem łez. Tak rozleje się ona w płaczach cała, i zapadnie w morza, które przyjdą po niej, by rychło wyschnąć i zniknąć, jak gwiazda, na której szumiały, a ja, pradawny i starszy od świata, tak przysięgam wzrokiem te wszystkie minione i przyszłe upadki, że trwały jestem, jak wieczność.

Tak więc, na wysokościach bezludnych ołtarzy staję się poetą, eklezyastą i hierofantem natury. W słowach tak silnych, jak fale wieczności, odprowadzam modlitwę moją, a paramentami odprowadzanej ofiary są mi glorie kosmicznych chaosów. Gdzie kolumnady świątyń, tak bezmiernych, jak moje? Modlitwa moja jest poezją eterów, rozlewających się kręgami twórczej myśli.

Moja poezja — to niewyczerpana wszechmoc ducha i tryumf siły. Któżby mógł tekst jej zrozumieć, zmysłami pochwycić? Zdławiłby was huk lawin, zwęgliłyby was piorunowe słońca, rozmiotłyby was echa ciosów, rozwalających globy na ćwierci. Jak słabe echa!!

Jestem psalmistą kreatorycznej boskości, o którą zaczepiona istota moja rozgorzała nade mną w pochodnię wielką, jak Bóg. Jestem na raz ofiarnikiem i ofiarą. Jakiegoż giganta ciało przetrwałoby żar takiego ogniska dłużej nad godzinę. Toż czuję wyraźnie, jak z każdym tętnem pulsu wypala się i ucieka życie moje. Ale cóż po życiu!

Na mgnienie chwili, którą mam przeżyć pomiędzy wami, miałbym może prawo być dumnym świetnością lodowca i żądać czci waszej, zanim przymknę spalone powieki. Wszak przyrzeczone wam było w świętojańskich objawieniach, że stanie anioł na lądach i na morzu i, rękę podniósłszy, ogłosi, że czasu już nie będzie. I oto dzisiaj przybywam do was ja, mieszkaniac szczytów. Kiedyż ujrzy ludzkość podobną wiedzę i potęgę! Skoro z gór cichych wchodzę w mury miasta, odkrywają się przede mną dachy falansterów, gdzie pędzą żywot niewolnicy bioder i obowiązków. Znam każdą sprężynę

ich istnienia, ich losów i przeznaczeń, i — ludzkość nic mi już dać nie może — mnie, który poruszam atomy, przenoszę góry i światy.

Więc grzmieć przede mną powinny najgłośniejsze surmy chwały. Więc witać mnie powinny wszystkie ludzkie ekstazy i tęsknoty. Do mnie powinny się modlić żrenice błękitnych anielic. Ku mnie niech śpieszą z za siódmej skały i z siódmej otchłani korowody dziewic łabędzych i narcyzowych, mdlejących za pieśnią boskości i za kotwicą zbawienia. Wszystko, co ułomne, cierpiące i zrozpaczone powinno iść za mną, który jeden nie potrzebuję niczyich ramion, żadnej podpory, żadnych kwiatów, żadnych marzeń, żadnych żalów, ani nawet tego żalu... Cóż dać-by mi mogło jedno wątle serce?

Znów chowa się ziemia za obłok szary.

Bez świata, bez ludzi, bez Boga...

Myśl moja pali się jak dyament. Krwią kipi rubin serca.

XXVII.

Krasowce.

W przerażeniu, którem napełniły mię obłędne twe uniesienia, mówić jeszcze nie mogę. Ratunku trzeba; ja to wiem, czuję i — nic nie mogę! Rozumiem, że te próby zatracenia się w naturze i te szaleństwa samoprzeobrażenia są niczem innym, jak tylko rozpaczem wzbijaniem się nad otchłań zguby. Ale to nie pomoże. I ja nie mogę nic. Zaczekaj trochę; niech odzyskam mowę. Niech trochę czasu przepłynie nad otchłanią, którą pod stopami twojemi ujrzałam.

Upłynął cały dzień i nie powstało we mnie żadne światło, któreby mogło zaświecić w ciemności. Skądże mam brać światła? Skąd wziąć siłę do rozdawania? Twojej filozofii, ani twojej tryumfującej radości nie rozumiem, bo w głowie mi się nie mieści, jakim sposobem duch wielki i lotny może, zatracając się w świecie materii, rozradowywać się aż do obłęd-

nych szaleństw. I przeobrażać się, jak ty to czynisz, ani próbować mi nie podobna, bo owszem, czuję się tak małą i samą w sobie poniżoną, że gotowam nisko skłaniać głowę przed każdą trawą niewinną i prosto stojącą w obliczu ziemi i nieba.

Jest mi tak, jakbym od stóp do głowy okrytą była łachmanami; ale to nie suknie moje podarły się: to tylko z duszy zwisają w strzępach niedawne jeszcze jej blaski.

Zawiodłam się na samej sobie. Pozwoliłam zwątpieniu, aby naniósł mi chmur na gwiazdy; pozwoliłam marzeniu, aby, jak wezbrane wody, spodnie łyły istoty mojej wyrzuciło na szczytne jej wierzchołki. I zaszło we mnie najgorsze z rozłamów się wewnętrznych: rozłamanie się pojęcia o życiu z jego urzeczywistnieniem.

Muszę wyznać ci prawdę: popełniłam coś wręcz sprzecznego z tem pojęciem o życiu, za które niedawno jeszcze oddałabym była życie. Łamię główną sprężynę życia, którą jest zgoda z duszą własną; coś dziwnego, że życie omdlewa?

Myśli i słowa omdlewają; dni pustoszeją. To, co przedtem zajmowało, dokucza, co pocieszało, udręcza, co kołło balsamem wiary i nadziei, nudzi niesmakiem zwątpienia i piecze piołunem ironii. W clikiem morzu próżni przegląda się blada nuda. Wiem, gdzie ucieczka od nich, lecz wstyd mi uciekać. Jeszcze godność człowiecza cofa mnie przed zmałowaniem aż do złego czynu, i jeszcze nad Letą, w której toną święte pamiątki, za skraj sukni trzymają mię dawne bogi.

Gdy ty przed męką pustki i chłodu chronisz się w nieprzejrzanym labiryncie myśli i na skrzydłach piekielnej poezji szalejesz po szczytach niebosiężnej pychy, ja z ciężkiem czołem i zwartemi ustami spełniam wszystko, nad czem dotąd jaśniały mi święte słowa: dobro, cnota, obowiązek, tak, jak Julian Apostata, utraciwszy wiarę w naukę Chrystusową, a wiedziony wszczepionemi mu przez nią nawykami, wznosił przybytki Chrystusowemu miłosierdziu. Ale czasem doświadczam chęci upadnięcia na ziemię przed jakimś hufcem Aniołów czy bohaterów, aby po mnie deptała, lub ukrycia się

pod ziemią, aby nie widziało mię oko słońca, ani żadnego człowieka z duszą czystą i mężną.

Mówisz o sobie: «Bez Boga, bez świata, bez ludzi!» A któż jest z ludźmi? Kto w krwawych i znojných momentach jest z ludźmi? W takich momentach nikt z nikim nie jest. Ludzie z ludźmi bywają tylko na godach i giełdach, różnego rodzaju godach i giełdach. I jeszcze tam oni bywają z sobą niekiedy, gdzie jaskrawe nędze życia lub śmierci uderzają w źrenice i targają serca za struny elementarnych wzruszeń. Może i wilczyca za żerem idąca przystanie na chwilę, aby żalosnem wejrzeniem ogarnąć inną wilczycę, wyjąca nad zwłokami swojego wilczęcia. Ale dla dumnych czy skromnych boleści, dla smutków głębokich, dla podmywających sam fundament życia fal myśli wzburzonych zwątpieniem, ufnych zapytań, mądrych odpowiedzi, powierników, pomocników, obrońców — niema. One dla łyżwiarzy trzeźwo i zręcznie mknących po ślizgawkach życia są kaprysem próżnym lub sentymentem błahym, a lenistwu dobrych nawet nektarników grożą zbyt wielką fatygą. Aby ich serca do współczucia pobudzić, trzeba im w same uszy przeraźliwie krzyżeć, a od przeraźliwości krzyku zależy siła współczucia. Lecz kto dla wydawania krzyków jest zbyt dumny czy skromny, ten samotne pojedynki z życiem staczać musi i sprzymierzeńców ani lekarzy nie ma.

Jak okiem po świecie sięgnąć, nie mam w walkach z sercem i z myślą sprzymierzeńca, ni spowiednika. Jednak gdy łódź moja trafiła na wir z zawrotnymi kręgi, uczuwałam tęskne, niezmożone pragnienie zarzucania rąk na szyję istoty współczującej, garnięcia się do opiekuńczej piersi, ufego wynawiania całej siebie przed duszą silną, a dobrą.

Ufać bez granic tkliwości i przyjaźni czyjejs naościęz otwierać duszę przed rozumem a wyrozumiałem okiem, chwielejąc się, czuć na dłoni swej dłoń podtrzymującą, musi to być szczęściem takim, że przed samą myślą o niem oczy mrużą się, jak przed oślepiającym blaskiem. Nie mam tego szczęścia.

Dlaczego nie mam? Nie jestem dezzerterką z pod chorągwi prac, cierpień i nadziei wspólnych. Więc gdy teraz, jak przelekniona łani cienistej ubieży, pragnę i szukam myśli uważnej i nad moją wyższą, której wezwać na pomoc byłoby dla mnie ratunkiem, a nie znajduję. Na usta piołunem sparzone cisną mi się twoje słowa: «nie lubię ludzi!», na usta cisną się — a wszakże z ust nie wychodzą, bo na uwięzi trzyma je ogromny żal. Coś niewynagrodzonego pękłoby mi w sercu, gdybym na wyrzeczenie słów tych przystała i na samem sercu powstałaby rysa, której zagoić nie mógłby olejek, z róż choćby rajskich wyciśnięty.

Taką, widzisz, jestem przepołowioną, taką pomiędzy wiarą i zwątpieniem, miłością a zniechęceniem, rozdartą; takim jestem motylem ze spalonymi w ogniu skrzydłami i z rozpaczynem żalem po dawnej lotności swych skrzydeł. I patrz, co się to staje z harmonią harf, długo strojonych na tony wysokie; na jak nędzne okruchy rozpadają się monolity wyniosłe, gdy podstawami ich zachwieją burze uczuć i myśli.

Budowniczymi monolitów, artystami życia bywają tylko fanatycy wiary albo przeczenia, cnoty czy zbrodni, zdolni rzecz wszelką widzieć ze strony tylko jednej, bo do oglądania jej ze stron różnych wzroku im nie starczy, i postępować drogą zawsze jedną, bo do wstąpienia na inną chęć się w nich nie budzi. Inni, ci, z widzeniem wszechstronnem i z mnóstwem strun na sercach napiętem, te natury, tak zwane, bogate, uskrzydłone, dotknięciom świata i życia poddające przestrzeń szeroką, pokrytą unerwieniem subtellem i tkliwem — to fuszerzy życia, którzy wyrzeźbiać z niego nie umieją ani wspaniałego posągu świętości, ani wdzięcznej statuetki miłego grzechu. Tacy, idąc ku wschodowi, z żalem oglądają się ku stronie zachodniej, a na zachód puściwszy się, umierają z tęsknoty za wschodem. Na każdym słońcu niebieskiem zdolni są spostrzedz szczerby i każdy kwiat ziemski razem z wonią przynosi im truciznę. Ikary to są, wiecznie lepiały sobie skrzydła z wosku, który, od własnego ich ognia topniejąc, umyka im przez blade palce. Zbyt miękkie, zby

drżące, zbyt niespokojne są te palce, aby woskowi życia nadawać mogły niespożytość kruszcu i wygniatać go w kształty wiecznotrwałę.

Niema dla nich miejsca pomiędzy nasyconymi, ani pomiędzy świętymi tego świata, a poza światem jedynym losem ich godnym jest w towarzystwie Franceski i Paola miotać się z wolą wiatrów po kręgu Dantejskiego piekła.

Siły potrzeba! Wśród walk i pokus życia — powiadają — silnym być trzeba!

Lecz skąd brać siłę, gdy z wiary i miłości bić ona przestaje? Życie — to ciężkie brzemie, ludzkość — to nizin; tylko wiara podejmować może brzemiona i tylko miłość chroni przed wzgardą dla nizin. Skąd brać siłę, gdy usychają te górne jej krynice?

I jak rozróżnić siłę od słabości? Stonoga nie spala się w ogniu jak motyl, bo skrzydeł nie ma. Pociąg motyla do ognia to słabość, niosąca zgubę; lecz skrzydła to siła, która, nim spłonął, lśniącym dyamentem wzbija go w słoneczne złoto.

.....
Przed kilku dniami umarł tu nagle jeden z najlepszych ludzi, jakich kiedykolwiek znałam. Nie był to umysł świetny, ale było to serce złote i szczerze mi oddane. Nazywał się *tout simplement*: Zwirkiewicz. Myśli moich podzielać nie mógł, lecz wiele rzeczy razem ze mną kochał. Niegdyś dopomogłam mu zachować w ręku kawał ziemi, namiętnie kochany, i wykształcić dzieci; więc w pocziwych oczach, z pod powiek zmęczonych, jaśniały mu zawsze, gdy na mnie patrzył, dwa rzadkie, trudno nawet przypuścić, jak rzadkie uczucia: wdzięczność i tliłość. Czasem, gdy bywałam smutna, dość mi było spojrzeć na te dobre, wdzięczne oczy, aby uczuć szczęście, że obroniłam je od łez rozpacz. Czasem też gdy, wierząc we wszechwagę serc na losy nasze, z głębokim zaniepokojeniem myślałam o tem, jak lekką, lekką jest szala, na której są złożone, jechałam do niego, aby popatrzeć na człowieka z sercem czystym i prawem. Pojechałam i teraz.

Nad prostą podłogą, pod niskim sufitem, wśród cisnącej się przez otwarte okna zieleni bzów i klonów, ujrzałam go przemienionego ręką potężnej rzeźbiarki w marmur biały, gładki, spokojny, majestatyczny. Wybielał, wygładziły się zmarszczki jego czoła, ukoiliła się ust bolesność, powieki odmłodzone okryły zatroskanie źrenic — i rozwlókł się po nim majestat spokoju bez granic i końca. Dokoła rozlegały się łkania i westchnienia, a ze mną stało się coś dziwnego.

Uczułam wielką, bezosobistą, altruistyczną radość, że to pocziwe serce nigdy już cierpieć i ta skołatana głowa nigdy już frasować się nie będzie, że tak upiękaszony, ukojony, w szlachetny marmur zaklęty, wpłynął on już na bezkresny ocean spokoju. «Bo cóż jest życie, aby go żałować? Czy jest to Anioł dobry, który nas opuszcza w godzinie śmierci?» On wiedział i ja wiem dobrze, jakie groty Anioł życia miota na swych poddanych, jakie żagwie zniszczeń rzuca na ich gmachy. Więc dobrze być musi zrzucac z siebie szatę Dejaniry...

Lecz, gdy znalazłam się już w domu, zjął mię żal wielki, własny, nad pogłębioną o jedno to dobre serce samotnością swoją, nad zgęstniałą, przez zgaśnięcie tej jednej pary oczu przyjaznych, swoją ciemnością. Z jednej ciemności ptak ten wyleciał niegdyś, do drugiej teraz wleciał — i zniknął. Wszystko trwa chwilę i znika. Wszystko przepływa; wszyscy przemijamy. Cieniami jesteśmy, które płaczą po cieniach.

W pomrokę nocy patrząc, myślałam o tym tylko co przeminionym i w duchu wołałam: «Gdziekolwiek jest, jeśliś jest, lituj mej żałości!» Jeśliś jest? Czy jest? A jeżeli nie jest, po co był? O, któż mi to powie? Nikt. Własny duch mi to mówił, pokąd miał dar wiary. A teraz, na tem zapytaniu, jak na zachwianej osi, chwieją się nad przepaścią wszystkie gwiazdy.

Przedmiot ironii twojej, kratkowanie dni na zajęcia różne, już nie istnieje. Wszystko mi jedno. Zimno, pusto, nudno, martwo. Tak jestem smutną, że nawet smutną być nie mogę.

Osądź, czy dla kogokolwiek, cokolwiek mogę? Czy mogę cokolwiek dla ciebie?

Ostatni raz przemów jeszcze do mnie, a potem... niech nad twe biedne życie znijdzie jaka jutrznia poranna. Mój poranek przeminął, a o południu zaszła mi drogę noc...

XXVIII.

Giessbach.

Ostatni raz!

Ostatni raz przemawiam do ciebie.

Dziękuję, że wyciągnęłaś do mnie dłoń przyjazną. Dziękuję za życzliwość, za słodycz, za wyrozumiałość siostry, i za to także, że młodość moja nie będzie próżną pamiątek.

Na więcej nie zasłużyłem, albo może nie prosiłem dość gorąco. Lecz ja kolan zginać nie umiem.

Ty musiałaś przecież zrozumieć, czy odgadnąć sercem, co jątrzyło się we mnie raną tęsknoty, co mi było do życia tak potrzebne, jak kwiatom słońce, jak płucom powietrze, co się mogło stać kotwicą i zbawieniem mojem! A że, wiedząc o tem, nie możesz dla mnie nic, to znak, iż tych przepaści, którymi odstręczyłem się od życia i świata, nic też wypełnić nie zdoła. Wydziedziczyłem się z kochania dobrowolnie i z nim już sprzęgać się niem nie mogę. Wydziedziczony i samotny zostać-bym musiał na zawsze, choćbym nie miał za sobą płomiennych godzin pychy i obłąkania.

Jest to dziś dla mnie jasne i oczywiste jak nigdy, i dlatego nie będę już pukał do wrót twoich.

Jeżelim ci zgotował chwile udręczenia i smutku, wybacz, zapomnij. Twe serce to potrafi. Wierz mi, że takiego końca nie spodziewał się, ani pragnął. Podawałem ci napój ze źródeł mocnych i trzeźwiących: a tyś się napiła hyzopu zaprawnego piołunem. Nie, nie chciałem niewolnictwa twych wierzeń. Nie chciałem gasić gwiazd twoich! A jeżeli próbowałem jaskrawą pochodnią rozumu oświecić grobowce, z któ-

rych wyrastają twoje świętości, to dlatego, że szukałem tych łańcuchów, które przykuwają cię do pustyni. Łańcuchy okazały się silniejszymi ode mnie, nie pękły, a ja sam spuściłem ci błękitny kościół duszy. Podkopałem w tobie tajemnicę mojego wytrwania i zatrąłem cię jadem analiz, a nie dałem siły powstania i nie włożyłem w rękę nowego oręża. Zaciężyłem nad tobą postrachem nocy okrutnej i nieskończonej, a nie umiałem wskazać żadnego świtu. I nie zdołałem dokonać jednej największej rzeczy: przywołać cię do siebie.

I oto zostaję sam jeden, opuszczony, jak nigdy, i jak nigdy rozdarty sam w sobie, bez broni i bez oparcia. Był moment, że mierząc siłę prawd moich z twojem królestwem spodziewałem się zwycięskiej nade mną przewagi twoich gwiazd. Teraz doleciał mnie łoskot zdruzgotanej strażnicy i jęk gwiazd konających. Oh, jakże mi się krwawia w sercu ostatnie słowa twoje, jak się krwawia!

To jedno wiedz, że jestem nieszczęśliwszy od ciebie. Kiedym zrozumiał, do czego się najszybciej tajni duszy mej wyrывa i że to płonna tęsknota, podniosłem rozpaczliwy bunt przeciw samemu sobie, chciałem się otoczyć murami własnej warowni, chciałem zdeptać wszystko i stanąć na szczycie za cenę wszystkiego. I miałem przez chwilę złudzenie, że na szczycie, że zbudowałem kościół dla samego siebie, którego nic nie rozwali, że już jestem jak słońce i że zgrozadził w sobie dosyć promieni, by nimi przestrzelić wszelką wieczność i nieskończoność.

A teraz wiem, że budowałem kościół, który miał być wiecznie pustym.

Myślałem, że stworzył świat, który cały wypełni sobą: a teraz widzę, że chodziły tam tylko myśli me na gonitwy i podboje, ale duszy mojej nie było tam nigdy. I gdy myślałem, że go już zasklepił potężnie ponad wszystkie niebiosy, dziś odnajduję się na jałowej mieliźnie, a ocean wieczności przepływa gdzieś nade mną, jak dawniej, z grzmo-tem wszechmocy — wysoko, wysoko i niedościgle.

Co się z tem wszystkim stało, nie pytaj. Nie trafilem

na gościniec przebóstwień. Nie jestem ani Slinksem, ani prorokiem nadniebiańskich tronów, ani chorążym płomienia. O duszy własnej nie umiem powiedzieć pół słowa. Jestem czemś takim, o czym wspominać nie warto. Ty jedna mogłaś... ty jedna.

Jestem w Giessbach.

Nieszczęście zaniosło mnie w ten kąt opuszczony, dławiony teraz przez jesień. Nie wiem zresztą, czy winna temu tylko jesień, występująca suchotniczym rumieńcem na żółtke wzgórz, które widywałem w zdrowiu i kwiatach, czy winien temu jakiś jęk echowy? dość, że tu właśnie uległem zupełnemu rozbiciu. Pierwszy liść spelzły i martwy, lecący przede mną na wietrze, rozdarł królewską purpurę mojej filozofii. Jeden liść wystarczył, aby strącić mnie z piedestałów w jakąś nicość bezkresną, gdzie wszelka myśl gmatwa się i zamiera. Jeszcze się patrzył na ten kraj jesienny, jak człowiek obcy i ciekawy, na smugi mgły, która nasycy fioletem zrudziałe tło borów lub wznosi się ponad drzewa, jak liliowe westchnienia, jeszcze spoglądał na skłębione iskry jasnego złota, które mi mieniały się klony na ciemnych ścianach świerkowych — a już przypadł do mnie i owionął mnie całego wróg, odpychany ze wzgardą — smutek.

Znów zrobiłem odkrycie, że samotny i smutny. Długo mocowałem się z tem prostem zdaniem, jak z tytanem. Rozgryzałem je myślą, jak najzawilszy z problematów; ale siła przemożna ściągnęła mnie w dół.

Wszystko we mnie zagasło i wszystko się rozprzegło. Uczułem się nagle martwym i wypalonym aż do dna. To już nie cienie dawnej melancholii, okraszzonej dumnym złudzeniem, żeś świetniejszy i większy od tłumy. To już upadek tak zupełny, że nawet nie pragnę rzucić okiem wstecz, na zawrotną piramidę myśli, i że mi się stało zgoła obojętnem, czy to ona chwieje się jak domek karciany, będąc dziełem błędu i zaślepienia, czy też ja niedorośli jestem i niedokształcony. Wiem jednak tyle, że mnie samemu ta moja filozofia, błędna czy słuszną, na nic się nie zdała. Ona może iść w gruzu

albo stać i burzom urągać, ale nic nie zmieni faktu, że jestem sam, a serce moje puste.

Serce jest chorobą myśli. Myśl przez selekcję wieków nabawiła się tej niemocy, a teraz na nią we mnie umarła. Zostało tylko delirium głuchych pragnień i tęsknoty. Właśnie wtedy, gdy gwiazdy twoje gasły, we mnie zatliły się światełka lamp żałobnych nad utajonymi grobami, gdzie leżą strofy przygniecione kamieniem, lecz w pogrzebanych żywem życie przetrwało uciski i poruszyły się w grobie, chcąc jeszcze zmartwychpowstać. Ulegam mściwym władzom, z którymi szamotałem się długo a daremnie. I w tej okrutnej godzinie pogromu jestem sam.

Dlaczego ja jeden mam cierpieć w opuszczeniu? Dlaczego nie wyciągnie się ku mnie litosna ręka, aby odegnąć upiory, osłodzić cierpienie? Zazdroszczę najlichszej cząstce tych gromad, co tłoczą się przez lato na tych stokach szumiących.

Najlichszy miał dokąd wracać i powrócić do kogoś, kto razem z nim czuje i walczy. Na mnie patrzano czasem, jak na rzecz błyszczącą, ale nikt istoty swej ze mną stale nie związał. Twój i mój duch otarły się o siebie jak dwa liście niesione na wietrze: spotkały się i rozeszły. Czyś ty spytała siebie: co się z sercem mem stanie?

Więc podniosły się we mnie gęste mgły goryczy i spoiły mi przyszłość. Ta natura, pachnąca jesienią, przecieka mi do serca fermentem rozkładu. Wzera się we mnie ta sama rdza, która przylgnęła do ziemi całunem nieżywych liści. Ja, duch, niegdyś znikomością bytu niespokojny, nie gromadziłem żadnych skarbów za sobą, bo przed sobą widziałem wszystko. Dzisiaj wiem już, że wszystko leży poza mną, że nie posiadam dla siebie nic, ani na życie, ani na wieczność.

Na dnie tych mogił, innych niż moje, przy których chcesz wytrwać na straży, musi coś być, coś jednak potężnego

i zbawczego, czego ja nie znam. Dlaczego nie znam? Dlaczego nie znam?

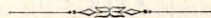
Nazwałaś się raz mrówką, ciągnącą drobne żdźbła słomy do budowy mostu pomiędzy ziemią a niebem. Powracaj, powracaj do swej promiennej, do swej błękitnej roboty i bądź szczęśliwą. Wiara, praca, wytrwaniem bądź szczęśliwą i nie daj wyschnąć w swem sercu zdrojowi miłości powszechnej, bo kto wie? czy nie w jego to wodach tkwi zagadka przebóstwienia, którą daremnie ścigał w szalach myśli i pychy, próbujących wystarczać samym sobie. Bądź szczęśliwa! Otaiczaj skronie i napełniaj serce czarnymi perłami szczęścia, wyłowionymi w morzu niedoli swojej i powszechnej! Ty posiadasz tę sztukę. Nie zarzucaj jej, nie trać w niej wprawę. Dlaczegoż nie chciałaś mnie jej nauczyć? Ach, dlaczego palce twe zadrżały na strunach harfy i pieśń zakołysała się w powietrzu, jak słup ognia w podmuchu złego wichru? Z mojej duszy zionął ten podmuch...

Zapomnij, powracaj na szlaki anielskie! Niechaj po mnie na drodze twej nie zostanie ani śladu, ani popiołu pamięci. Niech nigdy nic nie przypomni ci potępieńca, który za dobroć odpłacił ci złością, za słodycz goryczą. Nie chciałaś zbawiać go, niechże on nie będzie sprawcą twego piekła. Powiedz sobie, że wszystko, com mówił, że i ta książka moja — to kłamstwo. Powiedz sobie, że wszystko jest kłamstwem, oprócz twoich gwiazd, i stój jak przedtem w świetle ich, wspaniała i dobra. Taką widzieć cię będę wtedy, gdy przyjdzie mi szukać ratunku od zadławienia się śmiechem ze świata, z jego omyłek, z nudy życia i z samego siebie. A ja?...

Ja wrócę pomiędzy ludzkie twarze, blaski, sławy, omyłki i nudy. Będę dalej zarabiał na sławę wielkiego augura, a gdy żądza słodyczy zbyt natarczywie przemówi w mojem gorzkim sercu, znajdzie się zawsze w pobliżu jakaś Kleo czy Oreada, która poda mi kroplę mętnej jej surogatu.

Będzie więc sława i miłości nie zabraknie. Możesz być o mnie spokojną i nie mąć sobie jasności gwiazdzistych żadnym z mego powodu żalem, ni wyrzutem. Nie jestem Alighierim...

Jestem śmiertelnie smutny. W duszy mojej, tak, jak na świecie, opadają liście.



III.

W CIEMNOŚCI.

XXIX.

Zmierzch zapadał. Na wielkie, niskie, ciche pokoje, na poważne kształty sprzętów staroświeckich, na spłowiałe złoceń ram u obrazów i na grupy zielonych roślin u okien, zapadał zmierzch. Za oknami, gdzieniegdzie, wznosiły się nieruchomo czarne kolumny modrzewi i wiatr wstrząsał szkarłatnymi wachlarzami sumaków, a u filarów ganku rozwiewał pręty uwiedłych powoi. Jesień, opuszczając na ziemię płaszcze ze szkarłatu i złota, stała pod niebem w szarości i mętnej bieli. W oddali, czarna smuga puszczy odrzynała niebo od ziemi i szedł stamtąd głuchy, tęskny szum.

W wielkich, niskich, cichych pokojach, o zapadającym zmierzchu, Seweryna przechodziła od okna do okna i od sprzętu do sprzętu, a kroki i poruszenia jej miały chwiejność, wahania, porywania się i omdlewania, znamionujące niepokój. Była istotą, która nieznośnym niepokojem zdjęta, przechodzi z miejsca na miejsce i w żadnej myśli, w żadnym zamiarze, w żadnym pokoju, na żadnym spręcie spoczynku i ukojenia znaleźć nie może.

Tak stawała w progach drzwi wysokich i z szyją, podaną naprzód, patrzyła w głąb bezludnego pokoju, jak w pustkę przepaści, poczem, zniechęconym krokiem go przebywszy,

ręką roztargnioną przerzucała książkę, i opuszczając ją, kładła ręce na klawiszach fortepianu; lecz zaledwie nut kilka dobyło się z pod jej palców, usta drzeć zaczynały od wzbierającego płaczu, i szybko zwróciwszy się ku oknu, wzrok omglony zawieszając na czarnych kolumnach modrzewi, czy słuchała głębokiego, tęsknego szumu puszczy.

Lecz gdziekolwiek szła, albo stawała, cokolwiek-by mocą nawyknień, lub konieczności czyniła, zmysły jej, zarówno jak myśli i uczucia, omijały wszystkie widoki, dźwięki i roboty, pogrążone w rozważaniu, w powtarzaniu, w braniu do serca coraz głębiej i głębiej, otrzymanej przed dwoma dniami wieści. Idalia Olska, z wielkiej stolicy, w której przez nadchodzącą zimę poić się zamierzała nektarem światowych wesołości i tryumfów, przesłała jej słowa, które tyle razy powtórzyły się w jej pamięci, że jaśniały tam aż do ostatniej zgłoski widne i wyraźne.

«Mamy tu w kółku naszym zmartwienie ciężkie i taki niepokój, że zatruwa mi nawet najmiłsze wrażenie urządzania sobie zimowego gniazdka w moim ukochanym grodzie nadunajskim. Bo gdybyś ty, Sewerko, widzieć mogła te terazniejsze mebelki według wzorów secesyjnych, które ja dziś właśnie oglądałam na Grabenie! Azagino-Sabro — wiesz? ten sekretarz ambasady japońskiej, o którym ci już raz pisałam — namawia mnie na styl czysto japoński, ale ja przepadam za secesją i zresztą dwa te style zostają z sobą w ścisłym pokrewieństwie i można dokonać z ich połączenia coś przedziwnie oryginalnego, o czym przekonałam się wczoraj, odwiedzając żonę Azaginy, zupełnie dystygowaną i ładną Gotarę-Gimę. Spotkałam się tam z samym ambasadorem, Jamato-Dahem, który najpiękniejszą w świecie angielszczyzną powiedział mi parę najgrzeczniejszych w świecie rzeczy i lada dzień, najpewniej, złoży mi wizytę. Z moją manią osobliwości i egzotyczności, apartamencik w stylu secesyjno-japońskim i ambasada japońska w komplecie... wyobraź sobie. A że i inne okoliczności równie wybornie się składają, mogłabym na tę całą zimę tworzyć sobie horoskop najmiłszy, gdyby nie to zmar-

twienie, mącące mi spokój i psujące humor. Jesteśmy tu wszyscy w kółku naszym zaniepokojeni o Tadeusza Rodowskiego, do tego stopnia zaniepokojeni, że ojciec jego, pomimo odznaczającej go zawsze zimnej krwi (ktoś złośliwszy ode mnie powiedziałby może: zimnego serca) wkrótce puścić się ma na odszukiwanie go wśród alpejskich lodowców i przepaści. Dawno już powinien był to uczynić, ale, gdy mu o tem mówię, z tą swoją powagą niewzruszonego statysty, która mię zawsze do pąsyi doprowadza, odpowiada: «Trzeba jeszcze zaczekać!» I czego tu czekać? Tego chyba, aby chłopak ten do reszty pograżył się w czarnej melancholii i dobrowolnie, czy pomimo woli, roztrzaskał sobie o jaki zrab skalny swą piękną, rozumną głowę? Może zresztą ten ojciec i kocha syna po swojemu, a że bywa z niego niekiedy dumny, to odbija się wyraźnie na jego wygolonej twarzy i ociężałej figurze; ale że ta miłość i ta duma ojcowska wielkiego dyplomaty nic wcale Tadeuszowi w desperacyach jego dopomódz nie mogą, to rzecz najpewniejsza. «Jaka desperacya? Czego on ma desperować?» z pogardliwą miną, choć ogromnie zafrasowany, zapytuje mię ten Machiawel, podszyty Lukullusem, a kiedy mu odpowiadam, że kto tam z nas odgadnąć zdoła, jakie poruszenia duszy powstawać mogą u takich, jak Tadeusz, myślicieli i poetów, dziwi się bez granic. «Myślicielstwo przecież czyni właśnie ludzi trzeźwymi, a wierszy Tadeusz nie pisze». No, i gadaj tu z takim! Jednak pojedzie, za dni parę najdalej pojechać musi, aby na żywe oczy zobaczyć, co się z tym kochanym szaleńcem dzieje. Już ja go wyprawię, choćbym wszystkich kolegów jego, dyplomatów chińskich, koreańskich i syamskich na niego nasłać miała!

«Ale, powiedz mi, Sewerko, jaka to bieda na tym świecie z temi wszystkimi zawikłaniami ludzkimi, w których mój przynajmniej biedny kolibrzy rozumek gubi się i nic zrozumieć nie może. Taka na przykład, jak u Tadeusza bujność, lotność, wrażliwość myśli, czy wyobraźni, czy serca, nie wiem, — mówmy ogółem: duszy — to w człowieku przymiot przedni, urok wielki i zarazem pewny zadatek nieszczę-

ścia. I tak bywa zawsze; natura zdaje się mówić: masz, człowieku, coś pięknego, rzadkiego, w dobrym gatunku, ale płac za to, płac! Nic darmo!

«Bo czego on właściwie od życia chce, tego, po prostu rzeczy biorąc, odgadnąć niepodobna; ale w tem właśnie leży słowo zagadki, że tacy, jak on, po prostu rzeczy brać nie umieją. Gwiazd niebieskich zachciało mu się chyba, bo ziemskie wszystkie posiada, lub posiąć może, gdyby tylko rękę chciał po nie wyciągnąć, ale nie chce, obrzydły mu, myśmy wszyscy mu obrzydli i do pary ze światem iść już mu niepodobna. Zauważyłam to w lecie, bawiąc z nim razem w Szwajcaryi, gdzie w towarzystwach najmilszych, najbogatszych w różne ponęty, albo milczącym i zimnym był jak głąz, albo gryzł rzeczy i ludzi ironią, czy jakąś skrytą trucizną wszystko ogarniającej krytyki i niechęci. Jednak z wycieczek letnich powrócił tu, na stanowisko swoje, pracować zaczął, w towarzystwach ukazał się parę razy, i zdawać się mogło, że wszystko z nim jest dobrze, jak zwykle. Ja jedna spostrzegłam, że nie jest ani dobrze, ani jak zwykle, a przenikliwości tej nie przypisuję wcale temu, abym mędrszą od innych być miała, lecz tylko temu, że on mię więcej, serdeczniej, niż innych, obchodzi.

«Bo prawdę mówiąc, w naszym świecie to tak: blask lubimy, więc gdy człowiek czemkolwiek błyszczy, kręcimy się koło niego, jak planety około słońca, i sprawiać to może złudzenie, że go kochamy. Ale w gruncie rzeczy, kochania w tem niema żadnego; w blask lecimy, jak motyl w płomień świecy, lecz świeca, z której płomień wytryska, interesuje nas tyle, ile śnieg zeszłoroczny. Są jednak wyjątki, i ja do Tadeusza wyjątkowo, od dzieciństwa jego, przywiązaną jestem, *en tout bien tout honneur*, po macierzyńsku; chociaż przed Tobą, Sewerko, wyznać mogę, że macierzyńskiemu uczuciu temu nic nie ujmuje, ale, owszem, wiele dodaje to, że nie jest on moim synem.

«Jakkolwiekbydz, zaraz przy pierwszym spotkaniu się tu naszym spostrzegłam, że mu coś jest, że jest on więcej, niż

zwykle, niezwykłym. Ale byłam ogromnie zajęta sprawunkami, wizytami, nie miałam czasu dopytywać się, ani czynić dokładniejszych spostrzeżeń, i widywałam go zresztą krótko, dorywczo. Nie ze swojej winy, bom zatrzymywała go i zapraszała, ile razy do mnie przyszedł, ale on to wyglądał tak, jak gdyby w towarzystwie mojem więcej nad kwadrans żadnym sposobem wytrzymać nie mógł. Przebaczałam mu to, tak go lubię, i zresztą, tłumaczył się grzecznie tem, że pracuje. I rzeczywiście zabrał się był do pracy, wiedziałam o tem od ojca jego i od wspólnych znajomych. Jak Benedyktyn przesiadywał w pracowni swej po dniach całych, a oprócz tego obowiązki zawodowe spełniał z pilnością pedantyczną i niebywałą przedtem świetnością. Już też blask zdwojony otaczać poczynął imię i osobę jego, gdy raz przychodzi do mnie i rozmowę o różnych naszych kochanych fraszkach przerywając, mówi mi, że wyjeżdża do Szwajcaryi. Jakto? Kiedy? Poco? «Koleją żelazną? Dziś w nocy. Aby Alpy zobaczyć». Jezus, Marya! A któż o tej porze puszcza się w Alpy! Myślałam, że zwaryował. Z załamanemi rękoma pytam: cóż będzie z rozpoczętymi pracami, z lekcyami? A on na to: *Pereat mundus!* i ani słowa więcej. Cała przejęta macierzyńskiem uczuciem, poczęłam prawić mu perorę i sama czułam, że prawię pięknie, gdy on przerwał mi, mówiąc, że mnie jedną o zamiarze swym uwiadamia, i to dlatego, że ma do mnie prośbę. «A inaczej, wyjechałbyś bez pożegnania się ze mną». — «Naturalnie. Czyliż do was należę, abym nie miał prawa bez oznajmiania odbierać wam siebie?» — A prośba taka: Może tu przyjąć ze świata coś do niego, dla niego, więc oto adres, pod którym wszystko wysyłać należy, nie więcej. «Na długo wyjeżdżasz?» — «Nie wiem». — «I czego ty chcesz o tej porze od tych Alp swoich?» — «Aby zasłoniły mnie przed tem, co nie moje». — «A cóż jest twojem?» — «Nic». — Dał kartkę z adresem i już odchodził. Ze łzami w oczach wyraziłam mu żal, że nie mogę z nim być w tych okropnych teraz Alpach i podzielać... Nie dał mi dokończyć. «Naprzód — rzekł — że Alpy mogą być kiedykolwiek okropne,

to bluźnierstwo, bo są one zawsze i o każdej porze najwznioślejsze i najlaskawsze z dziewic tego świata, a następnie, po co być razem? Ludzie z ludźmi bywają razem tylko na godach i giełdach». — «Co ty mówisz! — zawołałam — a w chwilach ciężkich do przebycia, czyż nie bywają z sobą?» — «W takich chwilach — odpowiedział — nikt z nikim nie jest». — I nie potrafię określić uśmiechu, z jakim słowa te wymówił, i błysku ironii, czy gniewu, czy wrzającego bólu, którym oczy mu zaświeciły. Ale ten uśmiech zaraz zniknął, błysk zgasł i wyszedł zimny, z zimnem światłem w źrenicach, głębokimi cieniami, na pobludłej w ostatnich czasach twarzy, okrażonych. Odtąd, żadnej wieści: jak kamień, który do wody wpadł. Zniknął. Ten nagły wyjazd jego obudził sensację powszechną. Stanowisko i wpływy ojca, a bardziej jeszcze waga, którą wysokie sfery naukowe przywiązują do niezwykłych przymiotów jego umysłu, zapobiegłą następstwom, które dla kogoś innego sprowadziłyby musiała taka dezercya. To jedno mię pociesza, że gdy powróci, znajdzie wszystko takim, jakim było. Ale, kiedy powróci? I czy powróci? Nie umiem z zupełną jasnością określić przed samą sobą tego czegoś, co w nim było, gdy ze mną się żegnał, a co mię przy każdym przypomnieniu przejmuje dreszczem trwogi. Gdyby ktokolwiek miał moc odwołania go z pomiędzy tych skał i lodowców, z nad tych przepaści, w które tak łatwo osunąć się mogą zrozpaczone, albo po prostu rozrągnięte stopy! Jak tam pod chmurami zimno być musi i jaka nad chmurami straszna, bez granic samotność!...

«Rozgadałam się tak długo o tem naszem, a najwyłączniejszym mojem zmartwieniu, ponieważ wiem, że los Tadeusza i dla ciebie, Sewerko, zupełnie obojętnym być nie może. Wspólny to krewny nasz i w dodatku, zasłyszałam trochę o tem, że myśli wasze *par monts et par vaux* od dość dawna ku sobie latają. Gdy prosił, abym pod wskazanym adresem wysyłała wszystko, cokolwiek-by ze świata do niego przybywało, pewna jestem, że myślał o tobie, może o twojej puszczy, o twoich polach itd., itd... czy ja wiem? Bo ty ze

swoją puszcza, ze swojemi polami i wszystkim w tym rodzaju, tworzysz taką nierozzerwalną jedność... ale, mniejsza o to! pewną tylko jestem, że o tem myślał, a już się ja w rzeczach takich mylić nie mogę; więc na wszelki wypadek, oto ten adres. Może przemówisz, zawołasz... może usłucha!

«Albo, wiesz? Od kilku już dni jestem przez myśl tę napastowaną... Przyjeżdżaj, przyjeżdżaj co prędzej do mnie, do tego pięknego miasta i napełniających je uroków wielkiego i pięknego ruchu, sztuki, wesołości, *que sais-je?* wszystkiego, co miłe, żywe, kolorowe, aksamitne, grające, pieszczące. W gniazdku mojem ciepło i ładnie, a ja mam dla ciebie serce siostry. Naradźmy się, pomówimy, co czynić? O, z jaką radością przycisnęłabym cię do serca i tobie Wiedeń, a Wiedniowi ciebie z dumą pokazywała! Pędziłybyśmy z sobą dni anielskie. A potem... Któż wiedzieć może, coby mogło stać się potem? Przyjeżdż! Zaklinam cię, abyś przyjechała! Za kilka dni być już tu możesz. Przecież, jeżeli zechcesz, nic ci nie przeszkodzi powrócić do Krasowiec; nie spalisz za sobą żadnych mostów. Ale spróbuj przynajmniej spotkać się ze światem i... no, co tam! będę zupełnie już szczerą! rękę pomocną wyciągnąć nad przepaściami ku temu, w czyje myśli i marzenia, głęboko, jak mi się zdaje, wplątały się anielskie twe skrzydła...»

Przez dwa już dni słowa te, jak płomień, owijały jej mózg i serce, niczemu innemu przenikać do nich nie dając. Wszystko, co otaczało ją, wydawało się snem i złudą, a one były jawą i rzeczywistością, które natarczywie i bez ulgi dopominały się o postanowienie i czyn. Przeminały minuty wahających się marzeń i stanął przed nią nieubłagany w żądaniu odpowiedzi moment przeznaczenia. Powinna była wiedzieć, czego chce i co wybiera. Musiała wiedzieć, bo nie o nią jedną tylko szło, bo strasznie zimno musiało być pod chmurami, a nad chmurami — bez granic samotnie... Każda myśl o tem przeszywała jej serce i każda godzina, którą wybijał zegar, rozlegała się po jej domu, jak dźwięk pogrzebowego

dzwonu. A jednak nie wiedziała jeszcze. Czuła, że każda minuta zwłoki pada na nią kroplą ciężkiej winy — i nie wiedziała.

Gdy z wysileniem budząc w sobie całą przytomność i jasność myślenia, zstępowała w głąb siebie samej i nic po nici rozbierała wszystkie rozsnute tam przędze, dowiadywała się tylko: czego pragnie, lecz to, co uczyni, kryło się i umykało za zasłony, których nigdy do końca rozchylić nie mogła.

O tem, czego pragnie, wiedziała dobrze i ze wstydem. Nie ulegała żadnemu złudzeniu. To, co ją stąd na daleki świat wołało, nie było czystym, wspaniałomyślnym ruchem współczucia, bo ze współczuciem mieszało się przejmujące ją z mocą, nigdy przedtem nieznaną, pożądanie własnego szczęścia. Dlaczego, w sercu jej, jak w każdym sercu ludzkim, zawsze istniejąc, wezbrało ono teraz w oddech tak potężny, że chwilami przepalała się w nim pamięć na to: kosztem czyjego nieszczęścia i kosztem jakiej winy zadość mu stać się może? z tego również zdawała sobie jasną sprawę.

Przestała żyć pod nieskazitelnymi oczyma gwiazd swoich, nie widywała już swojej białej łani dobrych natchnień, stanęła pod chmurą zwątpienia o podniosłości przeznaczeń człowieka, o dalekiej nieraz, lecz niewątpliwej skuteczności jego pokornych poddań się i ofiar; a gdy to się stało, samotność, która dotąd zlekka tylko muskała ją skrzydłami swych melancholii i tęsknot, opuściła się na nią, jak wieko trumny, zamykające w śmiertelnych ciemnościach i ciszach ciało i duszę, życiem wrzące. Wtedy dom rodzinny wydał się jej dnem przepaści, z którego żadnych promieni radości ani nadziei dostrzedz niepodobna, i obudziły się w niej wszystkie siły młode, wołając o radość i nadzieję. Powstały w niej bunt, przedtem nieznan, i obległy ją marzenia z rozkazującymi wyrokami praw nieuznanych i żądających wypełnienia. To, czego wyrzekła się była, jako drogi nie przed nią wytkniętej, jako uciech wysokich, ale jej, przez wolę wyższą od mówionych, teraz ukazywało zdala czarę, pełną powabów nieprzepartych.

Była naprzód to czara wielkiego Piękną, której wy-
rzekła się dla służenia wielkiemu Dobru; była to Sztuka,
która zarzucała na nią z oddali tęcze, nabrzmiałe boską har-
monią tonów, barw, linii. Ona do pojenia się tym nektarem
przysposobioną była myślą, sercem, smakiem i odmową swą
gwałt im zadała, więc teraz wołały, że gwałt ten był nada-
remnym, i że stała się im krzywda.

Ale w samą siebie niżej zstępując, znajdowała jeszcze
coś innego. Jak drobne perełki piany, które rozbiegają się po
gorejącej w słonecznych żarach fali, przebiegały ją dreszcze
drżących tęsknot ku rzeczom jasnym, radosnym, wesołym,
lekkim, których nie trzeba dźwigać i znosić, lecz z którymi
można śmiejąc się igrać, jak śmiejąc się igra dziecię z ła-
dnymi, lekkimi cackami. To, czem dotąd gardziła, jak fraszka:
życie żywe, kolorowe, aksamitne, śpiewające i pieszczące, wy-
dawało się jej potokiem, rozedrganym w perły, w dya-
menty, w różane wonie i w harfiane dźwięki, w których do-
brze być musi utopić pamięć o tem, co niedościgłe i o tem,
co trudne, co żałobne, co mgłami niepewnych przyszłości
zasnute — o wszystkim, co boli... Nęciły ją wyciągnięte ku
niej siostrzane ramiona Idalii, nęciło figlarnym wdziękiem jej
ładne i ciepłe gniazdko, zrozumiała nawet, że zobaczenie Aza-
gina-Sabro może sprawić rozrywkę, niosącą uśmiech. W łzach
tonąc, zatęskniła do uśmiechów i z głuchym gniewem po-
częła się upominać o nie u życia. W bezbrzeżnej ciszy zanur-
zona, z upragnieniem marzyła o rozmowach gwarnych, w któ-
rych, jak iskry słoneczne w strumieniu wartkim, myśli ludzkie
drgają, igrają, pałają, i o tych innych rozmowach, czy nawet
wymownych milczeniach, w których dwa serca, jak dwie roz-
warte korony kwiatów, pogrążają się jedno w drugim.

Zapra gnęła rozwarcia się obręczy, które ścisnęły jej
serce, roztańczenia tego serca, skrzepłego od zawodów, ponie-
sionych na innych i na samej sobie. Radość życia stała przed
nią i opływała ją różanym obłokiem szaty swej w iskry tka-
nej; w jej zwierciadlanych, w jej migotliwych, w jej pieszco-
tliwych źrenicach zapra gnęła utopić pamięć rzeczy ważnych,

rzeczy trudnych, rzeczy wzniosłych, rzeczy niedościgłych. Po-
jęła, na jak niedościgłych wysokościach waży się ideał i jak
ona sama jest małą i słabą, a jak ciężkiem dla istoty ziem-
skiej ciągle myślenie o rzeczach niebieskich.

Lecz nad to wszystko przenikliwszą jeszcze była trwoga,
która na dalekim tle z gładów i lodów, pędziem, maczanym
w purpurze krwi i bladeściach śmierci, malowała jej grozę,
imienia niemającą. Tęsknotą, rozpaczą i — zarazem — rzecz
dziwna! przenikliwą słodyczą rozlewała się w niej skarga:
«Nie zdołałem przywołać cię do siebie... Wszystko we mnie
rozprzęgło się i wszystko zagasło...»

Ach, on nie wiedział, że gdyby przywołał, nad głową
jej nie jaśniałyby już gwiazdy, pogasie w ciemnych roztokach
złego czynu...

Tu oblatywać ją poczynąły zygzaki myśli wykrętnej,
przebiegłej, usługującej. Zły czyn? Czy to nie złudzenie? Zło
i dobro! Czy to nie wymysł? Dlaczego prawo do szczęścia
ma służyć istocie jednej, a nie służyć drugiej? Kto ustanawia
hierarchię ofiarników i ofiar? Czy ktokolwiek tam, w górze,
przyjmuje dymy, wzbijające się z zakrwawionych trzewi ofiar?
Dlaczego jej serce ma być okupem tego, co posiada inna?
Kto zna miary wartości i wie, komu u biesiadnych stołów
życia należy się miejsce przednie? Wszyscy tłoczą się do
miejsc przednich, do fontan, bijących winem i miodem, a ja-
kiż występki, jaka wina, albo jakaż nadludzka dostojność
miałyby ją wyłączać z powszechności, z ciżby? Pamiętała
dobrze, co ją z nich dotąd wyłączało, lecz gorzki uśmiech
wisiał jej na wargach. Omyliła się. Teraz rozumowania kłę-
bami biją jej do głowy i jasno, jak na dłoni, ukazują omyłkę.

Po wiele razy przez dwa te dni oskarżała się i roz-
grzeszała, gardziła sobą i hardo podnosiła zbuntowaną głowę;
po wiele razy przebiegła pamięcią całą znajomą przestrzeń
świata, szukając na niej ręki pomocnej, myśli doradczej, serca
współczującego, któreby zrozumiało, nie odepchnęło, po-
mogło: nie znalazła — i doświadczyła uczucia wielkiej nie-

sprawiedliwości. I któż ją wśród niesprawiedliwych namaścił na sprawiedliwą i wśród niewdzięcznych na rozdającą dary?

Ona sama to uczyniła. Duch brata na skrwawionem skrzydle porwał ją wysoko, potem szepty i pieśni starej piastunki zatrzymały na górnych szlakach. Ale ich już niema i któż wzbronić jej może zstąpienia na poziom zwykły, ludzki, powszechny? Kiedyś było z nią, czy w niej, coś pięknego, wielkiego, ale już przeminęło, jak wszystko przemija, a teraz...

Teraz, w zmierzchu, który zaczynał stawać się ciemnością, u okna, za którym, do cyprysów mogiłnych podobne, stały czarne modrzewie, podniosła wysoko głowę i wstrząsnęła kajdanami. Opadły z brzękiem podobnym do jęku, który echowo rozległ się po głębiach jej istoty, ale opadły. Ściągnęła brwi i zbładła, lecz był to krótki moment, poczem na policzki wypływać począł rumieniec coraz różowszy i oczy wśród zmierzchu zapłonęły.

Jutro, może jeszcze dziś w nocy, jak najrychlej! Pośpiech jest koniecznym; gdyby mogła, pożyczłaby sobie skrzydeł u tych dużych, czarnych ptaków, których stado na nocny spoczynek opada pomiędzy drzewa. Postanowiła, wybrała. W kierunku pragnień swych wyteżyła całą swą wolę, i wybrała. Jednak nie czuła, że ma wolę; przeciwnie, czuła, że spełnia rozkaz, któremu oprzeć się nie chce. Gdyby chciała! Ale nie chce; usta jej, jak pąk kwiatu w błogiem świetle słonecznem, rozkwitają w uśmiechu. Za kilka dni, za parę dni...

Ruchem, sennym jakby, czy upojonym, osunęła się na sprzęt u okna stojący i z przymkniętymi powiekami, z uśmiechem na rozchylonych wargach, długo pozostawała nieruchomą.

(Wzięła ją na posłanie z róż i aksamitu łądz marzeń, tak cicha, jak widmo, i po toni świetlanej, jak księżycowe promienie, powoli, powoli, bez ruchu wiosł i bez plusku fali, niosła ku światom dalekim, przejasnym, ku ogrodom kwietnym, rajom nieznanym, ku grocie mirtowej, cienistej i wonnej, w której śpiewał błękitny ptak szczęścia. Jakies powiewy pieszczotliwe i świeże muskać poczęły płonące jej czoło, ja-

kieś pocałunki długie, marzące, dotykały powiek i, prześlizgując się po ustach, lgnęły do rąk lepem przenikliwie słodkim; jakieś niejasne, lecz zgiełkliwe głosy powstawały w piersi i dobywały się z niej w westchnieniach... Do kogoś bardzo smutnego, jak do rozplakanego dziecka, mówiła w sercu: «cicho! cicho!» i nad czyjąś twarzą bladą pochylała się z uśmiechem, który koi, leczy, od którego łuna szczęścia zapalała się w oczach mądrych, w oczach głębokich, w oczach zdręczonych i ostygłych od pustki nieba i ziemi. «Widzisz — mówiła — przyszedłam! Stłukły się moje kolorowe lampki i zrobiło mi się ciemno. Z ciemności uciekłam do ciebie».

Wtedy, w dalekim pokoju czyjeś ręce dotknęły klawiszów fortepianu i, wywoławszy z nich kilka akordów, snuć poczęły dalej i dalej przedzę czystych i zrazu cichych tonów. Jakkolwiek ciche, tony te miały w sobie coś z gromu, który uderzył w kobietę, płynącą po bystrym, po rwącym, po słodkim potoku marzeń i nagłym rzutem wyprostował omdlałą jej kibić. W ruchu, którym podniosła głowę i ręce zacisnęła dokoła twardych rzeźb sprzętu, był przestrah, a w szerokiem rozwarciu się oczu, przedtem upojonemi powiekami osłoniętych, odmalowała się rozpacz.

Henryka grała.

Grała pięknie. Myśl muzyczna, zawikłana i mądra, wzbiła się wśród ciemności i płynęła zrazu po bezbrzeżnej ciszy powagą tajemnicy, pełnej potajemnych i niejasnych śpiewów; a potem był to strumień szeroki, coraz wyżej i szumniej podnoszący wzburzone fale nad głębokimi nurtami; i jeszcze wielki zgiełk akordów, orkanem wybuchający z dna okrytego czarodziejską gęstwiną marzeń, których słodkie szmery płynęły spodem rozszalałej burzy.

Tak grać nie może dziecko, wypowiadające na pamięć dobrze wyuczoną lekcję; tak nie śpiewa ptaszyna drobna, wyszczebiotująca poranną piosnkę do świata, z za gęstwiny, chroniącej jej gniazdko. Tak bujać po krainie sztuki może tylko dusza wolna i siebie świadoma, na własnych i silnych skrzydłach. Jest to dusza kobiety i artystki, z utajoną siłą

uczuc wzniosłych i uczuc namiętnych, które monarchini królestwa czarów, sztuka, wyzwala z obsłon nieśmiałości, dobywa na jaw, uskrzydla. W toniach tej duszy przejrzał się možny pan życia, smutek, lecz zgonić z nich nie zdołał jutrznianych smug nadziei, więc dusza zapytuje, drży, szuka, wyrzeka, że szczyty dalekie, że szczęście rozchwiewa się w niepochwytną mgłę...

Z daleka, przez wiele drzwi naościę otwartych, muzyka wpływała do ciemnego pokoju i od brzegu do brzegu napęniała ciemność rozskarżonem, rozekkanem przyzywaniem czegoś, co przybyć nie chciało, czego może niema na ziemi. Bo tak językiem sztuki skarży się, modli się, łka i woła duch ludzki, gdy w okowach ziemskiego kształtu błądzi po splątanych drogach Bożego dzieła, z głuchą pamięcią o Bożych krainach nieskazitelnego piękna i szczęścia. Z głuchej pamięci wybucha upragnienie pałace i nad splątanemi drogami zawieszają chmury tęsknoty. Z rojami muzycznych tonów, do pokoju napelnionego po brzegi ciemnością, wpływała tęsknota bez granic, wraz z głuchem wspomnianiem o jakimś, kędyś, szczęściu bez miary...

Seweryna płakała. Z pod rąk, któremi zasłoniła oczy, gorące krople łez płynęły po jej policzkach, słoną goryczą pojąc usta. Gdy muzyka na chwilę umilkła, za oknem, w głębokich mrokach rozesłanych po świecie, wydobył się z ciszy bezbrzeżnej daleki szum puszczy. Nad ciemnemi, śpiącemi polami toczył się potężny i tu przynosił te tajemnicze gamy, któremi szczyty wyniosłe i rozechwiane prowadzą rozmowę z wichrami i z niebem. One tonami tej górnej mowy opowiadają przelatującym wichrom dzieje przepływających wieków i zapytują nieba o skryte cele dróg mlecznych i wozów gwiazdzystych, które po jego bezmiarach nad małością ziemi przeciągają w nieskończoność i nad znikomością jej zjawisk i zdarzeń — w nieśmiertelność. Górna rozmowa ta szczytów z niebem wielkim pathosem zalała bezbrzeżną ciszę, gdy tylko tony muzyczne przebrzmiały; lecz choć ozwały się znowu, nie umilkła, tocząc i tocząc dalej melopeę, snującą się z sa-

mej siebie bez przerwy i końca. Jak po klawiszach olbrzymiego organu przebiegała ona po czarnych kolumnach miodrzewi, po rozedrganych w wicherzystej burzy wachlarzach sumaków, od brzegu do brzegu wypełniając ciemność.

W ciemności, pomiędzy tą pieśnią, w której dusza ludzka wyśpiewywała samą siebie, a tą, którą rozmawiała z sobą noc, puszcza, wichry i niebo, Seweryna odjęła dłonie od oczu spieczonych łzami i ruchem błagalnym spłótła je u piersi.

— Boże!

Nic więcej, tylko to jedno słowo, wymówione szeptem, ale słowo wytrysnęło z serca, a szept — był przenikliwszym od krzyku.

— Gdy nikogo przy mnie niema. Ty bądź ze mną!..

Przestała słyszeć muzykę; słyszała tylko szum wielkiego lasu, pełen powagi podniebieskiej.

— Gdy ciemności otoczyły mię, zapal światło!..

Na wysokości podniebieskie brać ją zaczęła rozmowa nieprzeliczonych wierzchołków puszczy z wichrami i z niebem. Co za szerokość i jaka głęb! Ogromy, otchłanie, bezmiary. Nieprzeliczone gwiazdy nad ziemią, nieprzesłuchane wzdychania na ziemi, niepojęte miliony pomarłych w ziemi. Ziemia, niebo, bezgraniczne przestworza nadniebieskie. Wszechświat i — zaświat. Zaświat sypiący na ziemię, jak iskry, roje dusz...

— Dla duszy mojej, która jest iskrą, od Ciebie odebraną i z przepastnych głębin zaświata rzuconą na świat — która ku Tobie woła w momencie grozy...

— Tyś to ją stworzył tak, że czuje grozę zła i przez zło tknięta, ku Tobie powraca...

Powracała. Powracała tknięta przez Zło, które po mózgu i krwi jej rozlało grozę. Tak była stworzoną...

Są dusze tak stworzone, że czują spójnię, wiążącą je z wysokościami, bez granic wyższemi nad wysokości ziemskie, i taką była jej dusza. Był moment, że uczucie to w niej zgąsto, lecz teraz błysnęło znowu i drgnęła w głębokościach

swoich od przestrachu i od żalu, dla których niema słów, ani nazwy...

«Zawsze leciałam do Ciebie,
O światło,
Zawsze leciałam do Ciebie,
O światło wieczne na niebie!
Kiedy grom
Zatrząsł te węgły i ten dom,
W błyskawicowych ogniach cała
...Przed Tobą-m z pieśnią stała,
O światło!»

Szum puszczy wzdał się i z hukiem grzmotu, uderzwszy o ściany domu, dotknął naraz wszystkich klawiszów olbrzymiego organu przyrody, a potem wzbił się ku górze. Wzbił się ku górze i, jak skrzydło w niebo branego olbrzyma, ją z sobą porwał na wysokości, z których samą siebie ujrzała w postaci pyłku. Jakże drobna i znikoma jest zagadka szczęścia, albo cierpienia pyłku! Lecz świeci w nim iskra-dyament: dusza. Ta to jest, której drogi są wieczne...

— Dla robotnicy Twej, mającej po drogach wiecznych służyć dziełu Twojemu... zapal światło nad drogami obłądnemi!...

Czy Henryka grała jeszcze? Może; ale Seweryna nie przebywała już wśród pieśni ziemskich. Myślą wzbiła się ku tym kołowrotom nieśmiertelnym, które na wysokościach nie-dościgłych przędą losy światów i duchów; po sercu jej rozlała się wielka pokora i razem z nią przybyła ta dobroć, która modli się — nie za siebie.

— Zapal światło i zaświeć niem przed krokami tych, którzy błądzą wśród jarów pustych i lodowców mroźnych tej ziemi... Przed krokami obłąkanymi, które od smutków życia uciekają nad ciemne rozdoły i pną się po głuchych stromiznach, zamknij gardziele przepaści, rozciągnij wstęgi ratunku...

— Gdy przy cierpiących i smutnych, przy skrzywdzonych lub obłąkanym nikogo niema, Ty bądź z nimi!

— Dlatego, że są to twory Twoje uskrzydłone, których skrzydła łamią się na złych wichrach ziemskich, twory

Twoje piękne, których piękność powleka się ciemnością ziemską...

— Dlatego, żeśmy wróble maleńkie, które z jednej ciemności wylatują, w drugą wlatują, nie wiedząc: skąd i dokąd?

— Żeśmy pyłki, napróżno obracające się dokoła osi swej niemocy, aż dopóki moc twoja nie pchnie nas na szlaki, wiodące ku twoim gwiazdom!...

Tak coraz wyżej wzbijając się myślą i sercem, gdy szum Puszczy z hukiem grzmotu bił o węgły domu i po czarnych kolumnach modrzewi, po rozwichrzonych wachlarzach sumaków chodził gamami niekończącej się melopei,

W błyskawicowych ogniach cała

stała z pieśnią duszy, którą wicher boży unosił ku gwiazdom.

.....

Ktoś w pobliżu zapalił wielką lampę. Przez drzwi otwarte do ciemnego pokoju wpłynęła struga światła i rozesała się na ziemi. W ten szlak blado-żółty, do rozpostartej sieci promieni księżycowych podobny, Seweryna wpatrywała się długo, aż spostrzegła, że coś dziwnego dzieć się z nim poczynano.

Poczynął on drgać, migotać, wzdymać się, płynąć falami, aż rozpylił się w opar blado-żółty, w mgłę prześwieclaną, która szła ku górze, rozpościerała się naokół i zbliżała się do stóp jej, osrebrzając suknię. Była to jutrznia dziwna, w której wszystko, co było naokół, znikało, i która ją samą brała na falę łagodną, jak z rwącego potoku bierze czołno na toń zwierciadlaną bezbrzeżne i ciche jezioro.

Wszystko zniknęło; nie było ścian domu, ani ciemności świat oblegających, ani świata — nic dokoła. Umilkły dźwięki pieśni ziemskiej, umilkł podniebny szum Puszczy — cisza! Tylko samo jedno było to morze jasne, przeczyste, bezbrzeżne, unoszące ją na fali łagodnej kędyś nad ziemię.

Straciła uczucie związku z ziemią i doświadczyła tego-

samego zachwycenia, które już raz — udręczoną i walczącą — wzniosło ją było nad pustynne rozłogi Nikaru.

Coś, czego istoty nie znała, co pod grubymi warstwami doświadczeń, wrażeń, myśli, żyło na spodach jej świadomej głębi, pod gruzami niepamięci, wzdychało głuchą pamięcią, a w widzialnej powłoce ciała, imię jej noszącej, było bezimienną i skrytą nią samą, oddzielało się od swej powłoki, porzucało ją na nizinach i w morzu światła przeczystego wzbijało się ku coraz wyższym jego strefom.

Po chwili uczuła, że nie jest samą. Ktoś był przy niej. Był przy niej ktoś bardzo kochany, odgadła to po tchnieniu niewymownie ciepłym, które ją owiało, a po chwili, chociaż nie trącił o nią dźwięk ani obraz żaden, z uśmiechem takim, z jakim usta długo zmartwione witają nagłą radość, szepnęła:

— Adaś!

Wiedziała, że w tem przestworzu nieznanem i błogiem on był przy niej, brat, ten, nad którego czulej i głębiej nigdy nie kochała nikogo, którego ukochanie dla rzeczy świętych i wielkich mocniejszym było nad śmierć. Rozstała się z nim tak dawno, szła drogą tą samą, z której on zstąpił w wieczność, a gdy miała zejść z niej na inną... on znalazł się przy niej.

Jakkolwiek w świetlanem przestworzu nie rozlegał się dźwięk żaden, wiedziała, że do niej mówi i chciwie słuchała jego mowy. Uczuła, że łagodnie przychyła do piersi swej płonącą jej głowę, i że od tej braterskiej pieczy serce jej, w goryczach i mrozach ziemskich ścięte, rozwiera się, taje, kropie po kropi pije wskrzeszający nektar słodocy.

Razem z nektarem tym spływały w nią przypomnienia wszystkich jej górnych myśli, przeczucie wielkich, upragnień doskonałego dobra... I pomimo, że nie trącał o nią dźwięk żaden, słyszała słowa tego, który jej rzeczy niebieskie tłómaczył.

— Żeś górnio myślała, żeś miała przeczucia i upragnienia wielkie, zstąpiliśmy na krótką falę twego ziemskiego czasu i — jesteś wśród nas.

Była wśród nich. Nie on jeden był przy niej. Uczuła

przy sobie dech niewymownie ciepły, po którym rozpoznała, że jest obok niej wielki, acz prosty duch piastunki, u którego anielskiej dobroci tuliła niegdyś pierwsze płacze życia. Po dwu jej stronach były: męstwo bohaterskie i dobroć anielska, a na błękitnych i złotych przestworzach spostrzegać począła znaki mistyczne, dające znać o obecności duchów wielkich.

Ani obliczy, ani kształtów, tylko symbole. Mgły srebrzyste, tęczę opalowe, jaśnienia światła błogich, bo od jaśkrawości ognia ziemskiego zbawionych, róże czwórlistne, róże purpurowe, lilie dziewictwa, palmy męczeństwa, liry złotostrunne... sznury łąz brylantowych, szerokie cienie skrzydeł w górę wzbitych, lub ruchem litości chyłących się ku niewidzialnym nizinom...

Jutrznie i zorze, błękity ukochań wiernych, słońca wiary, strzały miłości gorejących w purpurze boleści...

W ciszach rajskich grały lutnie poetów, w nieskończoność płynęły rzeki wielkich myśli i — w hymn chwały, w pean zwycięstwa przemienione wzdychania, łkania wszystkich kochanków Ideału...

I pomimo że nie trącał o nią dźwięk żaden, słyszała mowę brata:

— Żeś zasłuchaną była w ich pieśni i myśli, że duch twój przestawał z nimi, żeś ich kochała...

A potem, zapytał:

— Czy ich opuścisz?

Pojeła, że zbawia ją przeszłość, te lata górnych myśli i upragnień, te długie szeregi dni, przez które obliczem w oblicza i duszą w dusze tych wielkich patrzyła, tych, co z oków materii wyzwalając ducha, uduchowieni do ostatka, na skrzydłach Serafów ważyli się teraz w gloryi tryumfującego Dobra...

Ku towarzyszowi swemu obróciła twarz wniebowziętą, mówiąc, czy łkając:

— Bracie mój! bracie! bracie!

A on, w tem jednym słowie, w tem słowie, na którym waży się szczęście serc i zbawienie świata, usłyszawszy du-

szę błagającą, duszę jeszcze skarżącą się, lecz już silną, ukazał się jej w błękitnych przeźroczach takim, jakim kochała go na ziemi.

Żrenice miał zamysłone, żarem wielkich miłości płonące, czoło odważne i był w rycerskiej zbroi. Tylko na bladych skroniach perlił się mu znój ciężkiej męki ziemskiej, a usta rozkwitały uśmiechem zachwycenia, że ciężką mękę przeniósł za swoją gwiazdę.

Takim z krótkiej fali czasu swego zstąpił on w wieczność, takim ujrzała go w glori i błękitnych przestworzy i, z krzykiem ramionami szyję jego oplatając, na piersi mu upadła.

IV.

NA LODOWCACH.

XXX.

Nie wiedział sam, czy od długich godzin, czy może wieczność całą oblegały go nieprzeniknione zwoje tumanów, tak samo, jak on, wspinających się szerokim żłobem lodowym ku górze. Szły one wszystkie od południa, z rodańskiej doliny, i trącane nierównymi atakami wiatru nacierały masą bezwładną na stoki owych puszczy białych, z których wychyla się Jungfrau i groźny grzbiet Finsteraarhornu. Miejscami tłoczyła się mgła w kłębach tak gęstych, że w każdą wklęsłość i rozpadlinę lodnika wnikała biel płynna, przysłaniająca teren tuż przed okiem wędrowca. Miejscami powstawały w niej przerwy znaczniejsze, gdy wichry, tłukąc się o skały ościenne, przypadał do lodu i, zakotłowawszy na dnie śniegowic, rozpędził precz mleczne odmęty. Wtenczas wychodziły na jaw szersze płyty fantastycznie poszarpanego lodowca, który od strony wielkiego Aletschu walił w dół gigantycznymi złomami — a w rozwidnionem powietrzu rozsypywały się podarte strzępy mgły w deszcz drobnych, lśniących igiełek.

Ale ten, który «w głębinę własnej duszy chciał wcielić duszę całej przyrody», nie odczuwa ani spiętrzonego nad nim chaosu dzikich lodów, ani ukłuć, jakie mu zadają rozmiotane

zasypy szronów, ani nawet sztuka dla siebie żadnej określić drogi. Pragnie wydostać się gdzieś najwyżej, najdalej...

I zamknięty w ten jeden ruch woli, zмага się z pewnym spokojem, a jednak upornie i zawzięcie, ze straszną grozą swojej wędrówki.

I rzeczywiście, torem, którym żaden tubylczy przewodnik isłby nie śmiał, krawędzią lodowych upławów, głębią ślizkich rozpadlin, wiotkimi pomostami śniegu, skrzepłego w łuk ponad przepaście, wznosi się bezustannie w górę. Dawno już przebył szorstki Telligrat, ominął martwą szczybę jeziora, które żyło się gdzieś pod nim ostrzami wmarzniętych wysp lodowych, i chciałby zdeptać ten wzrost podniebny, któremu niema końca. Za każdym zdobytym piętrzem odradzają się nowe złoża, nowe grzbiety, nowe bryły, nastroszone, jak głównie złodowacialej hydry. Tu i owdzie chwycić się może kamieni, tkwiących gęsto w lodzie od wymulonej moreny; albo przyłgnąwszy do gładkiej jak szkło ściany ułamiska, żelazem kuć musi wyższe szczyby i stopnie. To znów oskard w lód wbity jest mu jedynem oparciem. Zrzadka ustaje na chwilę, aby otrzeć pot, zalewający mu czoło, lub przetrzymać gwałt krwi szumiącej warem w skroniach; lecz ostre ciągi miałów powietrznych smagają go, jak bicz, i podżegają do nowych zapasów. Głazów coraz mniej, śnieg i lód coraz czystsze, fale mgły bardziej rozwiewne, przejrzyste. Od pochylonych stogów białych zwieszają się ciężkie kotary, z ziaren śnieżnych ulepione przez prąd jednostajniej i równiej wiejący. W architekturę mórz skrzepłych i staczających się w mgliste otchłanie kładą się coraz częstsze i coraz potężniejsze konchy świeżego śniegu. Nikną też jary złowrogie, wawozy otwarte prostopadle w lodzie, rozpękane — zda się — aż do wnętrza globu, istne cmentarze ofiar zuchwalstwa albo zapału; wypełnia je i zaciera białą dłonią śnieg.

Powłoka jego pod wpływem mrozu ściągnęła się i stężała; zdoła unieść ciężar jednego ludzkiego ducha. Czasem tylko usunie się pod nagłą stopą i opadnie lawiną szklanych otoczków. A czasem zajęknie pod naciskiem stopy lub

pod klingą kilofu, jak pękające szkło. Zresztą i ona jest martwą. Skoro przecież świst wiatru złamie się i na chwilę umilknie, z pod grubych warstw śniegu i z bezdeni lodów dobywa się nieraz głos przytłumiony, szelest chrapliwy lub łkanie łzawych strumieni, dźwięczących o granit i przelewających się spodami. Jak gdyby ta ziemia pod ochronnym pancerzem kryształu nie leżała martwa, ale miała krew ciepłą, krążącą w żyłach ukrytych, albo jakby usnąwszy, wyśniła sobie oblicza głębokich tajemnic, poczem ocknęły się w niej żyły wewnętrzne na smutny widok tych twarzy.

Przed Rodowskim wyłania się nagle z pod lodu wielka pochyłość skalnego calca, ogromna płyta warstw młodszych, uławiconych jednostajnie. Na ich tle blade płowem rzucają się w oczy rumieńce rdzawych odcieni. Zdaje się, że ten grunt, obnażony z całunów, płakał ongi krwawo pod ironią mrozu i słońca, i że to ów płacz przysechł mu do jagód śladem ohydny.

Przez środek ciągnie się wązka ścieżka, smuga zwarłego srebra. Jeszcze ży!

Poniżej gubiła się ta figura płowa i krwawa, przecięta srebrną blizną w nieokreślonych wadołach, w sińcach lodu i czczości oparów.

Gdyby Rodowskiemu pojawił się teraz cherub rozskrzydlony świetliście i zapytał: dokąd idzie? odgarnąłby pewno z drogi swej szarfę promieni i szedłby naprzód, w głąb dzikiej krainy, gdzie grunt spoisty i twardy snuje od wieków sen śmierci i milczenia...

Minęła pierwsza godzina południa, gdy stanął na kryształowej przełęczy, wysterczającej jak resztką zatopionego okrętu ponad niezmierne rozłogi lodowców. Jest na koniec w strefie gór najdumniejszej; sięga tak prawie wysoko, jak śnieżne kirysy i hełmy górskich herosów, trzymających wszystko pod sobą, a nad sobą mających już tylko firmament. Ten biały świat apokaliptyczny wyjęty jest z doczesnych dziejów ziemi, i na wyniosłości kilku tysięcy metrów

przygniata ją niezmiernem brzemieniem, jak strącony w locie wycinek wieczności. Tysiącem wytrysków, bałwanów, załomów, rozpościera się chaos zimnych pustyń, obszar farb białych, zielonych, sinych i jeszcze kir odsłonięty najstromszych skał.

Na powierzchni nieruchomych mórz jeżą się całe lasy słupów, wieżyc, jakieś maszty i kadłuby flot zastygłych w boju, wywijają się łuki opadłe na zgięte kolumny, jakieś lśniące arkady wstrzymują swe upadki nad ciemnią rozwartych czeluści. Owdzie podnoszą się miarowo stopnie lodozwałów i mają pozór wschodów prowadzących do nieba; na każdym zaś tarasie i wschodzie wytryskują stromizny poszczerbionych lodów w kształty zamczysk warownych, fortecnych okopów, baszt strzelistych, redut, barykad, tłoczą się zagadkowe torsi i bujne kontury postaci tajemniczych, a strasznych. I wszystkie te posady i wieże, kopce i brogi, lasy i potępione floty, noszą na sobie piętno klęski i zniszczenia. Wszystkie wyrosty lodów strącone są lub podcięte, każdy kształt rozpada się i kruszy, każdy gmach, każda twierdza zdobyte, każdy statek strzaskany. Jakież żywioły potykały się tutaj w buntach rozszałych? Jakież nawałnice porały tę arenę wyrokiem doszczętnej zagłady! Jakichże rozgromów świadectwem są te pola zdruzgotanych ruin, przywalone zamiecią śniegu! Jednak bardziej złowrogą od grzmotu kataklizmów jest nieruchomość i cisza, panujące tu dziś. Sądy skończone. Nic się tu już nie dzieje.

Śnieg grzebie i zakrywa przeszłość. Zapada w wąwozy i jamy, na gruzach wznosi świeże piramidy, siada na bloki granitu, rozrzucone po lodowych grzbietach, wokół zaciąga swe połyskliwe całuny — jedyny władca mogilnego królestwa.

W każdej stronie horyzontu dzwignęły się z łona białych pustkowi pasma i grzbiety skał, budowy i cielska przegromnych wierzchołków. Krawędzie ich, znów poszarpane i rozprute, skamieniały gestem odwagi lub rozpacz; na karkach ich złożyska nowych lodów; bioder ich znów śnieg się

ima, wyciągając fałdy nowych, ukośnych draperyi. Gdzieś niedzie wystąpi ściana głazów czarniejszych, gdzieś niedzie ze stosu błędnych kamieni sterczą iglice nagie, bez lodowych koron. Granic ów świat nie ma żadnych. Bo dołem słaniają się chmury ciężkie, przywalając głębie, z których świat ten wyrasta; a na skłonach wznoszą się ogniwa pasem coraz dalszych, widnieją nowe turnie, rozednione błękitnie.

Dołami i w kotlinach hasają jeszcze wichry popędne i borykają się z sobą wśród chmur, ale na wysokościach jest spokój. Chyba że silne żagle orkanu wyśmigną się aż pod eter i runą na flanki czubatów: wówczas ze ścian prostopadłych porywają się płachty śnieżycy, zamacą powietrze burzą białych kwiatów i rozpraszają się po lodniku, grając jak szkło. Milczą atoli niebios a wiszą nad szczytami szczytów w nieruchomej bladeści. Na niebie stoi słońce, matowe i bez aureoli, słońce, widz obojętny, o którym śpiewa Kalewala, iż nic się przed nim nie skryje. Gdy z obłon jego wytryśnie więcej światła, powierzchnia martwych niw poczyną błyszczeć jak zwoje falującego atlasu, śniegołomy ciskają kaskadami brylantów, a na rozrębach lodu jawią się ognie zielone. Poczem znów tarcza przygasa, atlas cmi się i mroczy, lody szczerzą się sino i ciszy krajobrazu nie trąca jaśkrawy gwar promieni. Od czoła ciemnych olbrzymów, na których zastygły zygzaki dawnych gromów, rozluźniają się krepki cieniste, płyną powoli, jak myśli, i wsiąkają jak smutek w rzeźbę białych warstw.

I tutaj, między bytem świata a duchem człowieka wiążą się nici spójni ostatecznej.

Któż kiedy z górnych wędrowców pamięta: skąd przyszedł? po co wyszedł? gdzie był początek jego drogi?

Czas ziemski i wieczność nieziemska ważą się tu na szali, kładąc na siebie po bratersku skrzydła. Tak czasem się ważą pamięć i niepamięć, pamięć ułomna i wyższa niepamięć, zawisły razem na promyku duszy.

Dusza ludzka zna dwa tylko stany: jest polem walki lub pobjowiskiem. Przez duszę Rodowskiego tyle już walk

przegnało huraganem zniszczenia, że chciałby ją przykryć białą warstwą śniegu, choć bólu już nie pamięta.

Oczy jego, kaleczone mrozem i rażone odbłaskiem, odróżniają jeszcze tylko ton ogólnej bieli. Poza tem otoczył go już głuchy zmierzch. I w głuchym tym zmierzchu przez rozfalowane potopy skrzepłej białości, przez zasy pył otchłanne i przez szkliste, przepastne wiszary, z wysiłkiem ostatnim, z mozołem niewysłowionym, zapuszcza się coraz dalej, dalej...

Pamięta jeszcze, że to, co go przytłoczyło głazem nieruchomym, było niegdyś czemś bardzo wiotkiem i nikłym, prostym podmuchem zwątpienia, widziadłem smutku, atomem goryczy; niemniej wszakże nie umie sobie uprzytomnić, kiedy to było i nie wie, jakim sposobem przemieniło się w ciężar tak wielki, że chyba jedna wieczność mogła go urodzić! Przeżywa w nim wspomnienie pewnych potęg życia, które pobudziły się kiedyś od ech bijących z odległej krainy i wcale nie szły zgodnie z mądrą resztą jego ducha. Potem pospływały się te potęgi w bolesne widziadła, obfite w zawody, w samotność, w zwątpienia i w świątyniach myśli sprawiały zgiełk uragłowy, szarpały go, gnębiły, gryzły mu serce; a mordowane twardym orężem, podnosiły się znowu, aż opowiły go w tęczę żałobne bez końca, od których marły w nim nerwy, mózg, wola i wiara w siebie, i sama możliwość istnienia. Nie wie, co się z temi potęgami stało: czy zniszczył je ciężar owego głazu, czy może one same głazem się zwały, gdyż nie czuje odtąd ani samotności, ani cierpienia, ani jakiegokolwiek zawodu, ani żadnej z tylu przelicznych rzeczy, które uświadomiły się w nim niegdyś, pod działaniem bólu. Nie pamięta również, jakimi były świetne drogocenne budowle, tworzydła jego samoistnej władzy, które zatraciły się wszystkie bez śladu. Było to podobne do katastrofy lawin, lecących z gór na piękne doliny, lecz dawno cofnęło się na odległe tło duszy, mdłe i bierne.

Duma jego prysła mu w dłoni, jak marna bańka mydlana. Rzecz to zupełnie błaha i niepotrzebna, podobnie jak

on sam niepotrzebny jest nikomu. Więc lepiej, że jest tu sam, i że odejdzie jak najdalej, najdalej...

Tak się w nim waga pamięć i niepamięć, a im trudniej i niespokojniej serce mu w piersiach uderza, tembardziej wewnątrz jego istoty wyrównywa się, uspokaja, obojętnieje, blednie. Czy miał kiedy dążenie jakie, i do czego dążył? czy patrzył w cele fałszywe i czy zmylił drogę? czy zabrakło mu czego do ukończenia dzieł życia? czy połknęła je i zamknęła się nad niemi gardziel nicestwa? czy co po nim zostanie? czy wydobędzie kto z toni te porzucone klejnoty i przerobi je na monetę zdawkową dla tłumu? czy zawołają za nim: sława, sława, sława! lub własność jego rozkradną pomiędzy siebie łakomi odkrywcy? czy istniejemy po to, aby, jak orły zbyt chyże, rozbijać się o skały, albo po to, by na paśmie nierozpoznawalnych przeznaczeń przesuwiał nas Bóg; którego dłoń jedna oznacza przeszłość, a druga przyszłość? czy on sam pada ofiarą jakichś żywiołów możliwych a pominiętych, które dosięgły go w zawieruchach losu i węgiel bólu rzuciły w szkarłat serca? Wszystko to takie mu obojętne, jak bezdenna zawierucha białego kwicia, przez którą usiłuje się przekopać. Nie troszczy się o mistykę krajobrazu i linii, na całun nieba nie chce zarzucać własnego sklepienia, nie uderza go groza niedopowiedzianych tajemnic, nie szuka żadnych łączników między losem swoim a porządkiem kosmicznym, prowadzącym słońce przez niebo, od wschodu do zachodu. I w niego wrócił spokój. Nic się w nim już nie dzieje. Nie huczą w nim zygzaki piorunów, od których pękają myśli, jak skałom — czoła.

Tylko męczą go jeszcze szare dymy tęczy i płaczą się bezustanku tuż przed nim, przysłaniając wzrok. Chciałby je myślą rozerwać, odpędzić; ale nie może, nie może.

Cóż stało się z myślą jego? z tą myślą czujną, szybką i ogromną, z myślą człowieka, w którego ustach najpowszejdniejszym był wyraz «nieskończoność».

Jakież orkany zawodów i gromy zamętu rozniosły ją po wszechświecie? Niekiedy dotknięta promykami światła lub

krótkim szelestem lodowych okruchów, drży jeszcze ta myśl i dźwięczy nad żałobą zmierzchu, jak drobny owad złocisty, zrywający się do lotu, ale wnet słabnie i zamiera cicho, nie dawszy ani bólu, ani przebaczenia. Więc znów się gmatwa przedza szarej tęczy i ociąga się po nim coraz dotkliwszym ciężarem; wreszcie zaczyna wirować coraz gwałtowniej, snując się z niewidzialnego kłębka coraz grubszy cieniem, aż wreszcie zakuła go w obręcz potężną, która musiałaby się otrzeć o wszystkie oceany bytu, aby wytoczyć się kiedyś sama ze siebie. Tymczasem skrzepło mu niebo w martwą bryłę światła i nigdyby nie zdołał przez nie się przebić. Wszak nie jest słońcem. Z tęczy szarej nie wyjdzie... i może stopniowo w niej uśnie. Zresztą wszelka myśl o przyszłości jest mu natrętna. Chce tylko iść naprzód coraz dalej...

I coraz nowe pochłaniają go wąwoziste rozdoły, coraz głębiej zasypują mu drogę miazgi śnieżnych zatorów, coraz niedostępniejsze zwąły i kry zgruchotanego lodu łyskają przed nim w sińcach szmaragdowych, a stronami, poza rumowiskiem szarych albo zrudziałych kamieni, biegną łańcuchy skał coraz innych, smugą kiru wybuchające w błękitny.

Na dalekiem niebie trwał jeden mglisty, zapomniany obłok. W powietrzu leżał przepych melancholii i tęsknoty...

Gdy Rodowski już osłabł, dzień mimo wczesnej godziny miał się ku schyłkowi. Tarcza słoneczna spłynęła poza horyzont, natomiast w kierunku obszarów Aletschu, między poziomem śnieżnego stopu, a długą ławą odegnanych chmur, wykształcił się pas barwy ceglastej i szybko rozszerzał się, gęstniał, podnosząc pozornie całą wstęgę obłoków ku górze.

Szeregi Alp, widniejące na wyniosłych kulisach, zaczęły przesycać się mrokiem, i gdy zachód przeszedł z tonów rdzawych w różowe, rzeźbiły się zarysem coraz wyraźniej błękitnym. Kiedy zaś poświata słoneczna, przewinawszy skałę wspaniałych kolorów, stała się niebawem płonąca czerwienią, profile gór ubrały się w płaszcze ciemno-granatowe i zgasiły.

Rodowski, chociaż uczuł, że słabnie, dotarł pod skle-

pienie gładkiej wydmy zakłęstej i czas jakiś na tafli lodowej beczynnie spoczywał. Nie zdawał się pojmywać tej okrutnej tragedii, która jego, więź blasków i wykwit ludzkości, porzucała dziś tutaj samotnie i nadaremnie, w dziczy dla zwierząt najdzikszych za srogiej, na twardym lodzie, pod zimnem niebem... Dopiero gdy mnożące się ciągle krótkie a urywane przeloty wiatrów, roznosząc po pustyni zamróż wieczorną, wstrząsnęły go pierwszym dreszczem oziębienia, wzrok na szeroką panoramę obrócił i wtenczas przebiegł go dreszcz ponowny. Przeraziły go ujrane nagle dziwne horyzonty. Wstęga chmur zamigotała mu w gasnących oczach sceneryą Alp nowych, stworzonych z rumianego lodu, opartych o Alpy ziemskie i wzdętych ogniami; a nad niemi, zamiast słońca, ukazał mu się niespodziany demon powietrza, zimny i straszny sierp księżyca. Cienki, ostry i prawie biały, przybity był na stropie bardzo głębokim i ciemnym, pionowo i nieruchomo. Martwy i nieruchomy, posiadał jednak pełną moc nad ziemią i nad atmosferą, nad światem szczytów miedzianych i sinych. Pośród tych lodów mieszkają groźne tajemnice! Jak przenikliwie sinieją wszystkie wytryski i zwaliska tej mroźnej obieży, a krawędzie i szczeliny świecą się przejrzystością... Turnie kamienne są już teraz bliższe i wyższe, a rzucają na śniegi cień taki twardy, niezłomny i ciężki, jak góry na umarłych planetach. Kamienie milczą i nikomu nic nie mówią o sobie.

Śmiertelnie pusto i śmiertelnie zimno.

Tymczasem tęcze z popiołu przędą się i przędą, wychodzą z pod tafli przezroczego szkliva, czy raczej dymią z głązów i z księżyca, a wszystkie wiją się ku niemu i chcą go w dół zepchnąć ze ślizkiego progu. I gdy się stara tę cmentarną rozpędzić, spostrzega wysoko, ale tuż nad sobą, ponad śnieżnym okapem, na kolosalnym nasypie lodów, łomów, śnieżyc, rzut ogromnego cienia. Cień przeolbrzymi, kolos czarnej góry, siedzący naprzeciw sierpiastego księżyca. Znane nazwiska zatliły mu w pamięci. Może to wierzch Agassiza — a może kres najwyższy, głównia ciemnego Aaru? Nie

wie, nic nie wie, jednak z tego właśnie cielska biorą się wszystkie koła cieni. Ściekają z niego strugi, leją się fontanny, buchają całe rzeki ciemności. I zajmą cały świat. Ta postać przykuwa go do siebie. W ciemnych wysokościach rysuje się jej twarz. Ludzka nie ludzka, twarz bóstwa, czy zwierzęcia; wielka, potężna, bez mięśni i bez oddechu — a wszystko wiedząca. Pod skamieniałą brwią drażą się oczy bez wzroku... Sfinks! Tkwiący na wyżynie tytan zakrzepły, zabity mrozem... albo był wyższej potęgi, bez czucia i bez snu. Pod rzutem jego cienia rwą się i toną zachodnie zorze, księżyc ginie i znika, ziemia cała kładzie się do grobu, przed tem obliczem, twardem — jak śmierć!

Teraz i on rozumie, że to już akt ostatni.

— Śmierć! Oczywiście, coś może nastąpić innego, niż śmierć? Jednak jest mu źle bardzo, mróz kąsa mu ciało, członki ciężą, czuje się bardzo zmęczonym, w uszach dzwonią jakieś odległe wołania, czuje potrzebę snu i spokoju.

Zapomina o Sfinksie, którego łapy nad głową jego w lód się zaryły. Nęci go sen i przyzywa śmierci, bo przecież po to jedynie tu przyszedł, aby zbadać tajemnicę sąsiedztwa tych dwojga.

I oto nagle, w świetle, przeistoczonym w jedno arcydzieło rozpacz, dzieje się rzecz straszna, żywiołowa. Kędyś, od wyniosłego kolosu-góry, wszczął się jęk i łoskot padających granatów, i wnet zawrzał szeroki okrąg atmosfery, jakby od huku tysiąca armat piekielnych, z których naraz wyrzucano pociski. Cały też chaos mas, błyszczących, ciężkich, a chyżych jak piorun, zakotłował w powietrzu i wnet rzucił się za nim kłęby śnieżnych orkanów. Jak gdyby pół nieba zważyło się na szczyty i glob rozpadał się w kawały pod siłą ciosu...

Kawał spadzistego lodowca, podgryziony przez mróz i przeważony śniegiem, runął wraz z brzemieniem swem do przepaści, rwąc skałę, miażdżąc spiętrzone lody, sadząc przez śnieżne zagony, i grzmiąc w rozpędzie upadku ogromnem echem pustkowia

Długo z tarasów coraz niższych, ze stoków coraz bardziej oddalonych rozlegał się stukot rozszalałej masy, huk brył pękających, jak petardy, głuchy grzmot porywanych lawin, dudnienie głazów i świszczący grad drobnych kamieni...

Placówka Rodowskiego w połowie roztrącona, w połowie zasypana miazgą przelatującej lawiny.

W nim budzą się z ogluszenia zachowawcze, po pradawnych przodkach odziedziczone, instynkty, i przełamują chorą niemoc nerwów. Słaba cząsteczka ludzkości, zbłąkana w maceczniki zagłady, drży teraz jak pisklę zranione, i kwili, próbuje odgarnąć śniegi i skarży się matce przyrodzie. I zaraz na pomoc przychodzą dwie podniety życia: ból i pamięć istnienia.

Zamarzłe krople znoju rażą mu ogniem rozpalone skronie. Serce bije jak młotem i cierpi pod każdą falą krwi. Strwożone ciało domaga się ratunku od mózgu i rozkazuje mu działać. Więc z letargu ciemności wstają myśli, jak rój słabiuchnych iskierek, mrowią się opuszczonym torem i starają się skupić nad życiem w kaganek jednolitego światła. Za niemi zaś podnosi się rój inny, drobne kruszyny uczuć i zalewają kaganek oliwą żalu.

I wnet kleci się cały obraz życia. Matka, młodość, szczęście, ona, przyszłość... Matka — umarła; młodość — nie wróci; przyszłość? wszak teraz życie się kończy. Więc znów jest przy nim goniec szybkonogi, gość niewzywany, gość odtrącany — smutek. Dławi mu gardło, gniece piersi, ścisza za serce. A serce cierpi, a piersi boją, jak otwarta rana.

Chciał wylecieć ponad innych: a kona zabity lawiną własnych myśli...

Dlaczego opuścili go wszyscy? — Czuwa nad nim, bez snu i bez czucia, brzemień złowieszczej góry, z twarzą Sfinksa, nieruchomo i bezlitośnie. Poniżej wyzierają z poza wirchów moreny nagie zębate grzbiety granitów, czarne jak noc. Lodowce mieniają się sino... Czy serce jego nie umiało kochać?

Nikt po nim płakać nie będzie. Matka, ta słodka, nie

żyje. Ojciec — obcy! Kochanka? Nie miał żadnej; owa jedyna, która z oddali nęciła go, jak złota gwiazda — nie może dla niego nic i sama ginie... Ach! ona byłaby mu może krynicą radości i siły, ale jak kwiat mistyczny, zwiędła tam daleko, pod tchnieniem jego zimnej mądrości, zanim ją ujrzał...

Tacy, jak on, muszą mieć moc i dumę schodzić ze świata samotnie.

Wargi mu zaschły, strawiony organizm omdlewa zażywczym napojem. Pragnie pić, pić...

Więc drżącą, zziębniętą ręką, zbiera obsiadające go szrony, z utęsknieniem szuka napoju, jednej kropli napoju. Wtedy płatek szeleszczący, który bez wejrzenia zabrał ze sobą z niżu, wpada mu w dłoń.

Podnosi twarz, patrzy, poznaje znaki. Stamtąd! Od niej!

Ale w źrenicach powstają mu lamy złociste i wykwitają koła czerwonych płomieni. Więc wspiera głowę o kryształ lodu, przymyka oczy, chce chwilę spocząć, zgasić płomień — i płakać...

Na śnieżnych ruinach siedzi wieszczka biała, pochyla czoło i szlocha. Kto ją ukrzywdził? Z serca jej zwisa łańcuch roztargany i świeci purpurą krwi...

Z szelestem padającego szronu idą po śniegu trzody białych łąni i patrzą mu w oczy dyamentami łez...

Wokół zapada mrok.

XXXI.

Krasowce.

Ktoś utrzymywał, że prawdziwy mędrzec wzbraniać sobie powinien wymawiania dwóch wyrazów: zawsze i nigdy. Pożegnałam cię, drogi kuzynie — jak się zdawało — na zawsze, a teraz znowu do ciebie przemawiam. Mam rzecz ważną do powiedzenia.

Wiem, że znajdujesz się pośród swych ulubionych Alp, w tej porze zimnych i groźnych dla życia. A jednak, życie

gotuje dla ciebie jedną z tych niespodzianek, które wstęgą szczęścia serca ludzkie z życiem wiążą.

Więc wołam ku tobie: powracaj!

Powracaj spiesznie do stolicy, którą opuściłeś dla śmiertelnie smutnych i niebezpiecznych pustyń. Skieruj kroki swe do mieszkania szczerze o ciebie zatrwożonej, wspólnej krewnej naszej, a tam...

Posłuchaj!

W potoku życia bywają czasem takie dziwne fale, które — wracają. W orszaku cieni, które na przebywanej drodze za sobą pozostawiamy, bywają czasem postacie zmarłych wstające i wracające w kształtach kochanych.

Przybывaj, aby napić się z czystej fali, która do ciebie powraca. Przybывaj, aby od postaci kochanej zaczerpnąć światła i ciepła, które budzą z martwych dusze, zabite ciemnością i chłodem.

I, niech obie one: fala czysta i postać kochana, będą ci ku pomocy w szybowaniu po szlakach górnych, we wzbijaniu się na skrzydłach miłości i myśli ku wysokim i wielkim, ku jasnym i zbawczym gwiazdom!

XXXII.

Wiedeń.

Wołanie twoje, Seweryno, doszło mi na progach królestwa śmierci i wielkim musiał być czar głosu, który przewyciężył śmierć. Ogromną musi być nad człowiekiem potęga serca, skoro wzmocnione jego bicie wlewa ciepło w sztywniejące członki i żądzą życia ożywia zamierający mózg.

Ta potęga pobudziła mózg mój do wyszukiwania dróg ratunku, a gdy na nich stawiał niepewne jeszcze stopy, z pomocą przybył mi ojciec mój.

Z nim również stała się rzecz niespodziewana. Zmianionym ujrzałem go do niepoznania, niemal naiwnym w strwo-

żonej dla mnie czułości i po raz pierwszy, z za osłon jego zwykłych zatrudnień, jego charakteru i jego sposobu życia, błysnął mi przed oczyma dyament jego serca. Wiedziałem i przed tem, że mię kocha, lecz w owym dopiero momencie uczułem się kochanym i świadomość moją, do reszty wskrzeszoną, przebiła strzałą myśl, że wiedzieć — to przyozdabiać i oświecać życie, ale żyć — to czuć.

Myślałem potem, gdy przez okna alpejskiego szaletu, ku otoczonemu bezpieczeństwem i ciszą, noc zaglądała gwiazdzistym niebem, że z baśni twej, kuzynko, wychyla się niejednokrotnie oblicze prawdy, i że w brzmieniach twej harfy są nuty zbawienia.

Już nazajutrz, pomimo śmiertelnych utrudzeń, powracałem.

Przyrzekłaś powrót fali, która umknęła, i zmartwychwstanie postaci kochanej, która złączyła się z orszakiem przeminionych cieni.

W górskim szalecie, oczyma bezsennemi błędząc po gwiazdzistym niebie, i w długiej drodze wzrok niecierpliwy nurzając w jesiennych deszczach, myślałem o tobie...

A teraz, pełen jestem zdumienia, które myśli, uczuciom i mowie zaledwie szeptać pozwalają.

Więc ta fala, ta postać...

Więc ona była z tobą, przy tobie! byłyście tam razem, wówczas, gdy moc dla mnie samego tajemna...

Głucho i niezrozumiale pracowała we mnie zapoznana moc serca i coraz więcej uświadamiała się w rozmowie z tobą. Zaprowadziła mię ta moc odpychana na progi królestwa śmierci i odwołała z nich ku życiu.

W żalu moim zakrzwawiła się była zrazu czerwona kropla gniewu, lecz gdy szereg godzin rozdzielił mnie z chwilą poznania omyłki, spostrzegać zaczynam błędzące przede mną jakieś iskry brylantowe.

Domyślam się, odgaduję i nie wiem, czy brylantowe iskry tryskają z przenikniętej do reszty wielkości twego du-

cha, czy z ujranej znowu tej twarzy dziewczęcej, na której tak bardzo wyraźne piętno złożyły przebyte cierpienia.

Pozwól, abym dziś nie mówił dłużej...

XXXIII.

Wiedeń.

Rozwija się we mnie wraz z upływającymi dniami długa wstęga rozmyślań i wzruszeń.

Duma moja, ta nierozłączna towarzyska mych lat minionych, zjawia się przede mną, a ja, rzucam jej w oblicze uśmiech ironiczny i zapytuję: kędyżeś była wtedy, gdy wśród zamarzłych olbrzymów alpejskich ogarniały mię mdłości śmiertelnej niemocy? Jestżeś ty siłą, skoro popadłem w śmiertelną niemoc? Jestżeś źródłem życia, skoro, pomimo posiadania ciebie, ratunku od życia szedłem szukać u śmierci?

I na ustach czuję uśmiech piekący, z jakim człowiek spogląda na to, co zdawało mu się być wszystkim, a okazało się niczem...

Wymowne i przekonywujące są blade usta śmierci, ujranej z blizka.

I jeszcze jedno. Jakimikolwiek byłyby początki cnoty i sposoby, którymi powstawała i rozwijała się w ludzkości, jest ona piękną i obudza dla siebie miłość; jest dobroczynną, dlatego, że obudza miłość. Miłość i uwielbienie. Nie zapytam cię, czy uwielbienie może być radością, bo ją w sobie czuję, ale powiem, że odkryłem w nim rzecz dla siebie niespodziewaną: wiarę. Uwierzyłem w piękność i dobroczynność cnoty, gdy anielski dech jej dotknął mego usychającego serca.

Tu zapytuję u mądrości swojej: jakież miała oczy: zagasłe czy zbyt w dal zapatrzone, skoro musiałem dotknąć, aby uwierzyć? a ona mówi, że oczy jej były w świat cały wpatrzone, lecz nie widziały lub ślepy, trafiając na pustkowie.

Mądrość, tułająca się po pustkowiach duszy, w ciemno-

ści ślepnie, tak, jak człowiek, który wyodrębnia się z pośród współników swej natury i doli, cierpi od suchej pustyni.

Tyle na dziś o rozmyślaniach. Dotknąłem tylko punktów głównych, które obmotują dochodzenia trudne, zawikłane, podobne do subtelnej przędzy jedwabnikowej. Przędzy tej sam jeszcze nie rozplątałem aż do końca, lecz nie waham się ani wstydę pokazywać jej tobie, któraś pierwsza rozpostarła we mnie mgławice nowego tworzywa.

XXXIV.

Wiedeń.

Wśród sprzętów z egzotycznymi kształtami, fraszek wymyślnych, barw chorobliwych, oświeleń sztucznie wywołanych, stanęła przede mną narcyzem wysmukłym i białym. Wionęła mi od niej niepokalaność pól, wyziewami życia ludzkiego nietkniętych, wionęło coś ze świeżości twoich zaciszy leśnych i z wiosnianego wdzięku jabłoni, które po waszych sadach stoją w godowych sukniach z blade-różanego kwiecia. Prawem kontrastu uwypukliła się na nektarnicznym tle, wśród którego ją ujrzałem, i oko moje wyodrębniło ją od otoczenia wprzód, nim zdziwienie dozwoliło mi zdać sprawę przed samym sobą z uczuć doznanych.

Stojąc przed nią, nie tylko czułem, iż mam brew ściągniętą i zły ogień w oczach, lecz ani brwi rozmarszczać, ani ognia złego w oczach gasić nie chciałem. Jej narcyzową twarz owiewał lekki rumieniec, gdy z życzliwym uśmiechem podawała mi na powitanie rękę i kilkanaście słów łagodnie przypominała czasy, w których byłem «tak nieskończenie dobrym dla jej matki». Tym sposobem mnie i siebie postawiła od razu na poziomie wyższym od banalnych zdziwień i zapytań, od tych nadewszystko wspomnień, w których tkwić mogły żądla urazy i zawstyżenia. Było w tem wiele prostoty i delikatnego taktu, za które uczułem dla niej wdzięczność.

Pomimo to zapragnąłem odejść i co prędzej zostać sam

na sam z chmurą smutku, która na nowo opadać na mnie zaczęła; lecz znasz Idalię: wbiegła do salonu z potokiem słów, wykrzyków, powitań, zapytań, na które sama odpowiadała. Była w tej chwili uosobieniem nadzwyczajnej i szczerzej radości, którą sprawiał jej powrót mój. Oplątała mnie tem wszystkim, ujęła zresztą i na czas jakiś przy sobie uwięziła. Najwięcej uwięziła opowiadaniem, odsłaniającem przede mną fakty na pozór proste, a które dla mnie jednego miały tajemnicze cienie wielkich głębin.

Wszak prawdą jest, że Idalia błagała cię, abyś przybyła do niej na miesiące zimowe, i miała jakieś powody mniemać, że prośby jej wysłuchasz? Tymczasem, zamiast przybyć, przysłałaś tu swoją i jej młodzieńką krewną. Zapragnęłaś, aby dziewczeczka, żyjąca w żalu po utraconej matce i w głębokiem osamotnieniu wiejskiem, czas jakiś spędziła wśród rozrywek weselszego świata, i w tym celu przysłałaś ją pod opiekuńcze skrzydło Idalii.

Idalia święcie wierzy, że umyśliłaś młodą towarzyszkę swą rzucić w wir uciech światowych i jej świat, a ją światu pokazać.

Idalia święcie w to wierzy... ale nie wymagaj wiary tej ode mnie.

Co jej powiedzieć, jak do opuszczenia Krásowiec skłonić ją mogłaś?

Nie zadziwił jej wcale widok mój. Mogłem zrazu przypuszczać, że Idalia mówiła jej o blizkim moim powrocie z gór. Jednak nie. Wcale jej o mnie nie mówiła.

— Nie wiedziałam, że się znacie, żeście się już spotykali? Gdzie? Kiedy? Wśród jakich okoliczności?

Wówczas wstałem i, stanowczo oświadczwszy, że odejść muszę, zegnałem panie.

Z nad japońskiej wazy, w której układała pyszny pęk kwiatów, podniosła twarz bledziutką i z pomiędzy liliowych irysów drobne jej usta z bladego koralu uśmiechnęły się do mnie tak samo łagodnie, życzliwie, jak przedtem. Ale nie okazała niczem żalu, że odchodzę, ani chęci, abym powrócił;

nie wymówiła ani jednego słowa i powieki opuściła na oczy tak, żem ich osrebrzonego błękitu nie widział.

Wtedy dopiero spostrzegłem, że jest bledszą, niż przed dwoma laty, że kibić ma wyszczuploną, powiewniejszą, a na czole, owianem lekką pożąłotą włosów, piętno jakiegoś wyrazu, którego wówczas na niem nie było.

Nie wiedziałem co, ale coś było na tem czole, gładkiem jednak i białem, jak płatek narcyza, co skłaniało do zamyślań się i zapytań... Jakieś piętno, jakiś cień cienia, może ślady od długich pocałunków bólu, czy tęsknoty.

I gdzie jest na ziemi duch tak wyniosły i tak dla rzeczy ziemskich obojętny, któregooby dziwiło, żem rychło tam powrócił?

Takim duchem jam zostać próbował, aż oddalając się od ogniska ciepła, życie moje zakreśliło łuk tak odłoneczny, że chwila jeszcze, a przedwcześnie i marnie zniknąłbym z pod-słonecznego świata.

Rychło wróciłem pomiędzy fraszki egzotyczne, kształty dziwaczne, barwy chorobliwe, pośród których, z gęstwiny liliowych irysów uśmiechnął się do mnie życzliwym i skromnym uśmiechem korał ust zbłądłych w jakichś gorzkich wodach. A to było główną rychłego powrotu mego przyczyną, że uśmiech ten był anielskim.

Przez parę dni myślałem o sercach białych, których nie płamą żółte krople zawziętych uraz i przed których dobrocią cofa się czerwony gniew. Myślałem o oczach, które w wizjach nieziszczonego szczęścia otaczają się ciemnymi smugami cierpienia, o alabastrach czoł, nieujętem żadnymi słowy piętnem tęsknoty naznaczonych i — dowiadywałem się, czem jest współczucie. Wiem już teraz. Współczucie — to przecho-dzenie bólu z serca do serca.

Zaczynam wyczytywać pierwsze zgłoski alfabetu twego, kuzynko... Wprzód, nim powróciło do mnie uczucie, że to dziewczę jest piękne, uczułem, że długo było ono smutne, a że wolno mi mniemać, iż byłem źródłem tego smutku, za-

ciężyla na myśli mej zagadka, o której ty powiedziałaś po prostu, że jest głosem popełnionej winy, nad którą ja uśmiechnąłbym się dawniej ze wzgardą dla wierzeń gminnych, a która teraz niepokoi mię, dopominając się o rozwiązanie, chociaż nie wiem jeszcze jak ją z całokształtem pojęć mych zestroić.

Są, znać, prawdy, których poznanie musi być nam przyniesione na ostrzu życia. Nie bierzemy ich w siebie z książek, ani z ust cudzych, i przenikają one w nas dopiero razem z tem ostrzem. Miałas słuszość, mówiąc, że różnemi są drogi poznawania.

Przychodzą mi teraz do pamięci słowa twoje:

«Mniejsza o pochodzenie gorzkiej kropli; gdy w czyjej duszy jest, dusza ta staje się droższą i szanowniejszą dla człowieka, który ją również czuje i dźwiga w swojej».

Dusza jej stała mi się droższą, odkąd rozpoznałem w niej gorzką kroplę...

Czy, rozszerzając to psychiczne zjawisko, nie możnaby w niem odkryć źródła tej między-ludzkiej miłości, której nigdy pojąć, ani doświadczyć nie mogłem? Czy nie z tych gorzkich kropel, rozsianych po ludzkich duszach, powstaje łańcuch braterstwa ludzkiego? Smutny łańcuch, którego ogniwiemi są łzy — i może błogosławiony łańcuch, skoro łzy przepaja tęczowymi blaskami pocieszenia!...

Idalia mówić raz zaczęła o jej niby talencie muzycznym, a że zaczępiwszy o przedmiot jaki, wyczerpuje go zwykle do szczegółów, więc dowiedziałem się również o długich studiach muzycznych, odbytych w Paryżu jeszcze za życia matki, i o tem, że teraz długie godziny wieczorne spędza przy fortepianie.

— Jak w puszczy! — żalonym głosem skarżyła się Idalia i wyrzekała długo na niesłuchaną obojętność tej młodej istoty dla licznych ponęt stolicy. Wprawdzie oglądać jej nie potrzebuje, bo zna ją z bliska, niegdyś czas dość długi z matką w niej spędziwszy, ale są tu rzeczy nowe, z pewnością jej nieznanne, jest mnóstwo rzeczy nowych, ciekawych,

ślicznych... Ale ona o zabawie żadnej słuchać nie chce, i w tak pięknem, wielkiem mieście żyje tak samo, jak w puszczy...

— Jak w puszczy! — ozwało się u okna ciche echo, w którym, pomimo, że było cichem, zadźwięczała figlarność, prawie dziecinna.

Siedziała u okna, przy bambusowym stoliczku, zarzuconym jedwabiami o spłowiałych barwach, zajęta wiązaniem z tych jedwabi jakichś misternie leciuchnych wzorów, a mnie od kwadransa już pochłaniało przypatrywanie się z głębi pokoju delikatnym liniom jej profilu, który, uwypuklając się na tle amarantowej szyby, przypominał kamee, rękoma mistrzów rżnięte w masie perłowej i osadzone na szybach z krwawników. Profil ten zwrócił się teraz ku Idalii, w nagłym rozjaśnieniu pieszczotliwego uśmiechu. Lecz uśmiech ten był krótkim tylko błyskiem, po którego zgaśnięciu znowu nad jedwabiami pochylona, stała się tak ode mnie oddaloną, jak gdyby rozdzielało nas siedm rzek i siedm lasów.

Nie wiem jakim sposobem rzuciła pomiędzy mną a sobą to oddalenie, którego nie umniejszyła potem żadnem słowem, ani spojrzeniem, żadnym objawem, mogącym w najdalszem choćby przypuszczeniu zdradzać chęć zbliżenia mi do siebie. Nie mogłem spodziewać się tego po pierwszym powitaniu naszym, lecz w niespodziance tkwił tajemniczy urok powolnego rozpoznawania rzeczy dostojnych i czystych. Pieszczotliwy zarys jej miękkich ust nie jest zwodniczym; jest zawsze wiele słodczy w sposobie, jakim mię wita i odpowiada na rzadko zwracane ku niej słowa moje: lecz spokój jej ruchów, rysów, słów i postąpień jest tak czystym od skaz, które dla bacznego oka wytwarza zalotność, lub płochosć, że staje się przez to dostojnym.

Zgaśł tedy szybko błysk jej uśmiechu, a ja nie czyniłem nic, aby wywołać go na nowo. Nie otworzyły mi się usta dla wymówienia prośby o popisanie się posiadany talentem. Wyręczyła mię w tem Idalia, której prośby i nalegania nie osiągnęły przeciw skutku. Odmówiła, wymawiając się grzecznie brakiem chęci i usposobienia. Nie wiedziała

pewnie, jak tą odmową bierze mię za serce i — za pamięć. Przypomniła mi tem gałązkę barwinku z Giessbach i uczułem radość, że odnajduję ją taką samą, jaką była wówczas.

Upłynął szereg dni, w których zacząłem powracać do pracy. Powracałem do niej zwolna, bo sił nienaruszonych nikt od pałacu śmierci do warsztatu pracy przynosić nie może, i powracałem znacznie zmieniony. Odradzają się we mnie dawne dla myśli mej zapały, lecz zarazem czuję, że nie jest już ona moją jedyną. Tak jak wprzód, widzę ją wysoką i wielką, lecz zjawia się przede mną w wieńcu innych szczytów.

Czy pamiętasz, coś mi opowiadała raz o nauce, że jest ona panią marmurową, na wozie żelaznym jadącą, która wówczas krainy przebywane ogrzewa i użyźnia, gdy przed nią, ze złotymi włosy, ku celom podniebnym rzuconymi, leci płomienna gwiazda miłości.

Powracam do pracy w towarzystwie Psychy twojej, która szepce mi rzeczy, dawniej niezbrane, rzeczy, dawniej gardzone, bez których «zakrzusiłem się był suchym piaskiem pustyni».

Czy kiedykolwiek wezmę w siebie, na własne i na stałe dziedzictwo, tę gwiazdę, «która ogień nieci i ogniem świat przepływa?»

Posłuchaj, jakim sposobem z blizka, z blizka uczułem na sobie jej oddech.

Byłaś w Wiedniu, znasz to miasto; czy pamiętasz Graben i tłumne na nim przechadzki mieszkańców Wiednia, w te popołudnia jesienne, lub zimowe, których wczesne ciemnienia rozświecają pożary sztucznych światel? Panuje tam wówczas wielki tłok ludzki, ze szmerem rozmów, toczących się po chodnikach, grzmotliwy turkot powozów, przebiegających środkiem ulicy, a w białem i naprzemian rumianem świetle lamp niezliczonych, z za zwierciadlanych szyb magazynów, niezliczonymi barwami i blaskami jaśnieją skarby Golkondy. Ku tym-to właśnie skarbowi, aby świetnością ich oczy napaść,

lub cząstkę na własność zdobyć, od szeregu lat dążyć nauczili się w pewnych porach mieszkańcy Wiednia.

Byliśmy jak inni; szliśmy z falą tłumów, a właściwie udawała się tam Idalia i nas do towarzyszenia sobie namówiła. Nie potrzebowała długo namawiać; młoda towarzysza jej z łatwą gotowością na projekt przystała, mówiąc, że chętnie świetności Grabenu zobaczy. Lecz gdy dla włożenia odpowiednich ubrań na chwilę odeszła, Idalia tajemniczo zaszeptała do mnie:

— Nie wierz ani trochę, że ma chęć oglądania magazynów na Grabenie. Idzie tam, bo chce przypomnieć sobie chwile, w których miejsce to nieraz zwiedzała z matką. Dwa już lata minęły, a żal po matce tkwi w niej jeszcze bardzo głęboko. Są przecież na świecie takie dziwne natury, że gdy uczucie jakiegokolwiek raz w nie wpadnie, już go i po drabinie, chociażby z róż uplecionej, wyprowadzić niepodobna. Ja-bym tak nie mogła... Ja-bym otruła się tak długimi smutkami.

Idalia istotnie jest jedną z tych, których smutek otruwać nie ma czasu, bo odgania go pierwszy powiew strusiego pióra na kapeluszu i roztlenia pierwsza kropla jakiegokolwiek, byle modnego, nektaru.

Zamyśliłem się o tych dziwnych naturach, z których raz zapadłego uczucia, po drabinie, nawet z róż choćby uplecionej, wyprowadzić niepodobna, gdy Idalia wtajemniczyła mnie głębiej jeszcze w jedną z tych natur.

— Czy wiesz, co mi wczoraj jeszcze mówiła Henrysia? Kiedy na nią za zbyt długą po matce żałobę gderać zaczęłam, te słowa powiedziała, że zupełnie, pamiętam dobrze, bo było to przecież wczoraj. «Gdybym w przyszłości kiedykolwiek, w Paryżu, czy w Trouville, czy na wierzchołku samej Jungfrau spotkała jaką miłość, która pogodnej mojej wierze wydałaby się lazurowym aniołem, nie spodziewam się klejnotu, któryby mógł dorównać sercu matki», a potem jeszcze dodała: «tem więcej się nie spodziewam, że nie mam już pogodnej wiary».

Piękna terrasa hotelu w Giessbach, wysoka krawędź

skały nad tonią jeziornych wód, jej suknia jasno-perłowej barwy i tkwiąca przy staniku gałązka barwinku — wszystko to stało mi przed oczyma z wypukłością rzeczy, wczoraj widzianych, przy dźwięku słów, które powtarzała Idalia, a w których poznawałem własne słowa swoje.

Ciekawym, czy przez ten długi szereg dni, gdy w tak wiernej pamięci powtarzała usłyszane ode mnie słowa, czy jej patrzyły w dal daleką, ku skałom i wodom Giessbachu? i czy były bardzo smutne? i czy tak, jak teraz, nie było w nich ani jednej iskry gniewu na zuchwalca, który zrabował ją z pogodnej wiary?

O falo, nie tylko czysta falo, lecz tak wierna!

Zaledwie o paręset kroków oddaliliśmy się od mieszkania Idalii, zaczęli ją spotykać znajomi, którzy dążyli w tę samą, co my, stronę, i na sposób różny uciechę swą ze spotkania manifestowali. Niebawem zaś rzeczy same przez się tak się złożyły, że para ludzi najmłodsza i najluźniejszymi niemi z towarzystwem związana, wyodrębniła się z towarzysztwa, i gdy Idalia postępowała w otoczeniu spotkanych pań i panów, myśmy znaleźli się obok siebie, pomimo coraz gęstszego zaludniania się chodnika, tak we dwoje, jakby dokoła nas roztoczyły się wody jezior Giessbachskich, lub pustynne obszary białowieskiego Nikaru.

Jeszcze dzień nie zupełnie był się skończył i lamp na ulicach nie zapalano. U końca szerokiego Ringu, w rozstąpieniu się wysokich gmachów, niebo opuszczało kurtynę bladobłękitną, na której zachód słońca wymalował szlak z przepojonych złotem czerwieni i fioletołów. Od tych światłał dalekich, które kędyś nad czystymi polami zapalała cicha natura, szły na wspaniałe gmachy, hałaśliwe ulice i rojne tłumy miejskie jakieś tęskne kolory i tony, szło i wsączało się w tę kamienną, parną, zdyszana realność, którą jest wielkie miasto, jakieś tchnienie nadpolne, lekkie, niemal mistyczne tchnienie radości, ku któremu dusza wzdycha.

Spojrzałem na towarzyszkę swoją i zobaczyłem, że

wpatruje się ona w kurtynę niebieską oczyma, pełnemi tęskności i zadumy.

Odgadywałem, że myślą była bardzo daleko od wszystkiego, co ją tu otaczało, i ode mnie. Miała też pozór istoty, nagle ze snu zbudzonej, gdy zwróciłem się do niej z uwagą, że w tej chwili duszą przebywać musi wśród modrzewi Krasowiec, lub sosen i świerków Białowieży. Bez najmniejszego wahania odrzekła, że istotnie myślała o tem, jak świetnie i cicho w tej przedwieczornej porze słońce spływa za czarną ścianę puszczy, i że po zniknięciu jego tarczy, nad ścianą tą powstają takie same kolory i światła.

Nigdy jeszcze od ponownego spotkania się naszego tyle słów na raz nie wymówiła, i uczułem, że trzymam w ręku klucz, który najłatwiej otwiera jej skromne, czy dumne usta.

Zbliżyliśmy się tymczasem do miejsca, kędy, jak wiedziałem, dążyła, w celu przywołania przed wyobraźnię widma zniknionej ze świata matki.

Jakkolwiek sam nie doświadczyłem nigdy takiej żądy, rozumiałą jednak jest dla mnie ta żądza serca, która niekiedy skłania ludzi do chodzenia po cmentarzach i zaklinania tam więdnących kwiatów żałoby, aby odkwitły. Wszystko jedno, po jakich cmentarzach, bo każde miejsce, na którym pozostały momenta nasze, niegdyś żywe, a potem umarłe, jest pełnem mogił, nam jednym widzialnych. Wiedziałem, że na jedną z takich mogił wiodą ją teraz wspomnienia, i zapragnąłem, aby jej nie dostrzegła, aby z niej nie zerwała czarnego kwiatu żałoby. A miałem już klucz magiczny do jej myśli i ust.

Gdy szła obok mnie zamyślona i niezważająca na nic, co działo się dokoła, czułem więcej jeszcze, niż spostrzegałem, spokojny i równy rytm jej kroków, którego nie mąciła nawet potrzeba niemal ustawiczna rozmijania się z idącą nam na spotkanie falą przechodniów. Przechadzka zapewne wywołana różowością z lekka ożywiała białość jej twarzy, a promienie włosów, krnąbrnie wysuwające się z pod małego ka-

pelusza z kilku stylizowanymi bławatkami, czoło okrywały pozłotą przezroczystą. Że ta głowa dziewczęca wydała mi się przedziwnie wiośnianą, że wydała mi się nad otaczającą szyję przepaską z piór srebrzystych, kwiatem, wychylającym się z posrebrzonych śniegów, to proste zupełnie; ale gorąca chęć odgarnięcia od niej kirów żałobnych, rozproszenia z nad niej rosy łez skwarnej, byłaby mię przed niedawnym jeszcze czasem mocno zdziwiła.

Kiedy nad huczną i rojną ulicą mnóstwem płomieni białych i rumianych lampy zapalały się na wierzchołkach słupów i za lustrzanemi oknami magazynów, usiłując, pomimo ścisku, nie oddalać się od niej i krok swój zgadzać z zawsze spokojnym i równym jej krokiem, począłem zapytywać ją: «Czy długo przebywała w Krasowcach? Czy od dawna zna ciebie, kuzynko? Czy dobrze zna puszcę? Czy widywała wieniec jemioły na lipach i śnieżne tawuły, świecące w ciemniach lasu? Czy była na Zamczysku? Czy była tam, kędy z wód czarnych, jak smoła, dęby olbrzymie wznoszą się ku niebu, do bajecznych Atlasów podobne? Czy zwiedzała osady budnicze i czy w wieczory gwiazdziste, gdy tak jest cicho, że słyszeć można małe wystrzały balsamin dzikich, skrzydłami nocnych motyli trącanych, słuchała legend i baśni, w których ludzkie dzieje przeglądają się jak w czarnoksiężskim zwierciadle? I jeszcze zapytywałem ją: czy zna historię rodu Zdrojowskich? Czy zna ciebie naprawdę, z bliska, aż do dna twojej duszy, aż do głębi dni i myśli twoich?»

Odpowiadała z wahaniem, z lekkim niepokojem, z nieukrywanem zdziwieniem, że o tem wszystkim wiem, z uciechą, żem ciekaw tego, co dla niej nad wyraz miłe i drogie. A gdy mi już powiedziała, że to, o co ją zapytuje, jest jej nad wyraz miłe i drogie, pękły zapory, które słowom jej stawiała nieśmiałość, czy duma, czy skromna wobec mnie małomówność.

Rozmowa nasza stała się ożywioną, chociaż ja ze swej strony przyjmowałem w niej zrazu taki tylko udział, jaki nie-

śmiecie drżenia liści przyjmują może w śpiewie słowika, strzegąc, aby nie ustał.

Zmieniły się postawy, które zajmowaliśmy względem siebie przy ostatnim widzeniu się naszym w Giessbach. Jeżeli ja podówczas byłem mówcą-monologistą, a ona moją cichą i w sobie skupioną słuchaczką, to teraz ona mówiła o tobie, o puszczy, o wszystkim, co w tobie i dokoła ciebie, a ja tylko przedłużać usiłowałem śpiew jej słowiczej duszy, tego tylko strzegąc, aby nie umilkł w nowym jakim powiewie nieufności, czy rozterki.

I jeżeli ja wówczas, uniesiony falą gorącej krwi, miał ogień na policzkach i żar zapалу w oczach, a ona, w miarę trwania mowy mojej, stawiała się coraz bledszą i nieśmielszą; to teraz, widząc w potokach elektrycznego światła, że rumieńce coraz żywsze opływają jej lica i blask coraz gorętszy zapala się w źrenicach, czułem, że błędę i pochylam głowę.

Najkrótszymi rzutami oczu nie śledząc na twarzy mej wrażenia, które mowa jej na mnie wywiera, pełnią uczuć i zmysłów zwracała się ku niedalekiej przeszłości i w słowach słodkich, w wizjach tęczowych, powtarzała mi wszystko, co przesunęło się przed jej wzrokiem, co przepłynęło jej sercem i myślą, gdy znajdowała się w promieniu myśli twej, kuzynko, i przy twem sercu.

Był w tem może hymn uwielbienia, była może apoteoza miłości, były najpewniej barwy, ognie i echa, splecione w takie akordy, jakie bardzo rzadko na świecie wydawać mogą z siebie tak drobne i świeże usta.

Ulica szumiała i grzmiała. Środkiem jej przebiegały niezliczone dorożki i powozy, skrzypiały po szynach żelaznych tramwaje, dzwoniły bicykle, na poślaczanych kołach, i z pióropuszcami hiszpańskich liberyi przetaczały się karety dworskie; potoki elektrycznego światła z lamp naprzemian białych i rumianych, lały się na przeciągającą chodnikami teorię wystrójonych kobiet i mężczyzn, nadewszystko zaś na najjaśniejszą Golkondę, skrzącą się od połysków i barw drogich

metali i kamieni, wytwornych jedwabii, najrzadszych piodów, najsubtelniejszych kunsztów świata.

W zgiełku i blasku zanurzeni, o zgiełk i blask tak nie dbający, jak niedbającymi o żywioł jakiś ci tylko być mogą, którzy go nawskróś znają, i że im nic upragnionego przynieść nie może wiedza, szliśmy wciąż obok siebie, rozmawiając o rzeczach podobłocznych.

Bo i ja wkrótce więcej, niż zrazu mówić zacząłem, tego wrażenia doświadczając, że rozmawiam nie tylko z tą idącą obok mnie, natchnioną dziewczeczką, ale również i z tobą — o daleka, a tak przecież bliska.

Widmo głosu twojego, o nieznanym mi brzmieniu cielesnym, przybyło, aby wtórzyć dzwęczącemu u boku mego głosowi, aż za sprawą strun serca, z wielką siłą targniętych, i fantazyi rozplamienionej do najwyższego stopnia, trzeci głos, odleglejszy jeszcze od twego, spłótł się z dwoma waszymi głosami. Przybywał z bardzo daleka, z krainy bytów, skończonych na wieki. W krainie wspomnień głęboko śpiących, pod warstwą niepamięci, obudziły się i krasne korony wychylać ku mnie poczęły te kwiaty, które matka moja z pięknej swej duszy przeszczepiać poczyniała w malutkie serce syna. I dziwną jest trwałość takich wczesnych siewów, wtedy nawet, gdy są tak wczesnie przerwane, skoro wszystko, co wraz z siewczynią oną poszło pod ziemię, zmartwychwstało teraz, aż spostrzegłem jasny hufiec sprzymierzeńców, otaczających tę dziewczeczkę, która mówiła mi o baśniach nad baśniami, tragiczną prawdą rozlewających się po ziemi i o tem, ile w nich bólu, cierpienia, otchłani i gwiazd, i tęcz, i żałobnych zasłon sztandarów nadziei, i walk.

Więc i ja również począłem głośno rozważać, wspominać, żałować, łącząc z przyszłością to, co w przeszłości mej było najlepszego, sobie samemu i tym trzem głosom, które rozmawiały ze mną, obiecywać, że myśl moją, tę myśl, która mi była dotąd jedynym celem i jedyną chlubą, tę myśl, którą czujnie, tkliwie, pracowicie hodowałem na pustyni, wyniosę z pustyni i oddam temu — co kocham.

Tak, powiedziałem to i nie ustami tylko. Wprzód, nim słowo wybiegło na usta, wprzód, nim zastanowienie i wola na wymówienie go przystać mogły, uczucie podniosło się z dna świadomości mojej, jak podnosi się zeń w spotkaniach z myślą świata wiele psychicznych zjawisk, o których przez długie lata mniemać mogliśmy, że nie istnieją w nas wcale.

Od dawna już przebyliśmy huczną i rojną część miasta, zwaną Grabenem. Od dawna też zapewne musieliśmy kędyś za sobą zgubić Idalię, wraz z towarzyszącymi jej osobami i ona nas z oczu zgubiła.

Ujrawszy, że znajdujemy się w miejscu prawie pustem, na jakiejś bocznej, wąskiej uliczce, na którą dostaliśmy się, nie wiedząc jak i nie wiedząc kiedy, zaniepokoiła się nieco, ale wkrótce odzyskała zwykły spokój rysów i poruszeń, zaczęła iść krokiem zwyczajnym i przez chwilę oddawałem się uczuciu upodobania w zgodności i równości stapań naszych po gładkim asfalcie chodnika.

Niebawem, bez długiego namysłu, tonem możliwie naj-obojętniejszym zapytałem ją: czy to, co mówiła Idalia, jest prawdą, i czy istotnie pobudką do przybycia jej tutaj była chęć zamienienia ciszy wiejskiej na ten sposób życia przyjemnościami światowymi zaprawiony, jaki mogła u boku Idalii prowadzić w wielkiem mieście?

Wypowiadając to pytanie, patrzałem na jej usta z uczuciem żywego niepokoju. Wyznaję, że lękałem się ujrzeć na tych ustach kłamstwo, jak gąsiennicę na skrzydle anioła.

Dość długo nie odpowiadała. Zdaje się, że zrazu uczuła się zdziwioną, potem bardzo zmieszaną, aż dwa te uczucia ustąpiły przed krótkim namysłem, po którym zupełnie spokojnie i po prostu opowiedziała, jak było.

Było tak: pewnego wieczoru, przyszedł do niej i powiedział, że jechać tu powinna, nic więcej — a ona ufa ci tak bez granic, że zaraz odpowiedziała: pojedę! Chciała jednak wiedzieć: dlaczego powinna? Więc powiedziała jej jeszcze, że gdy ktokolwiek może kędyś, dla kogoś, dla czegoś rozniecić iskrę pocieszenia, czy trwania, czy wzrostu, czy

szczęścia, serce i rękę podnieść w tym celu powinien, i nie trwożyć się przed myślą, czy wypadkiem przeciwność nie uderemni chęci serca i ręki...

Obawa moja była nadaremna. Ty skłamać przed nią nie mogłaś i ona przede mną nie skłamała. Takim ustom ufać można bez granic i ogromne uczucie bezpieczeństwa, uczucie dziwnie słodkiej pewności mieści się w zaufaniu bezgranicznem.

Idalię znaleźliśmy już w domu, nieco zaniepokojoną i wyrzucającą sobie roztrzępianie, z jakim utraciła nas była z oczu, ale, ujrawszy twarze nasze, na których odbijać się musiała jasność przegwarzonych wspólnie rzeczy anielskich, pocieszyła się zupełnie, i oznajmiając prędkie podanie herbaty, zaczęła mię na nią zatrzymywać. Ale oparłem się stanowczo. Nie mogłem w tej chwili znieść pustej gadaniny i musiałem zostać sam na sam z sobą. Lekkiem zaledwie dotknięciem dłoni pożegnałem tę, która była najbezpośredniejszą przyczyną tłumy napełniających mię wzruszeń i myśli. Może to nagłe odejście wzięła za obojętność dla stoczonej tylko co rozmowy, a może głębokie jego pobudki odgadywała, nie wiem. Nie okazała nic. Wróciła do swej zwyczajnej, łagodnej obojętności.

Upłynęły prawie dwie doby, zanim tam powróciłem. W porze już wieczornej, wchodząc do mieszkania Idalii, w przedpokoju usłyszałem muzykę fortepianową — i brew zmarszczyła mi się pomimo woli.

Niedowierzanie i nawet niesmak obudzały we mnie opowiadania Idalii o muzycznym talencie jej młodej towarzyszkii, wiedziałem bowiem dobrze, jak płaską banalnością bywają najczęściej w tak zwanym świecie na pokaz wystawiane talenta młodych panien. Cofnąć się jednak nie mogłem i nie chciałem. Istniał we mnie mus, istniała konieczność nieprze-parta zobaczenia jej i rozmawiania z nią w dalszym ciągu.

Do tego domu miałem prawo wchodzić bez oznajmienia. / salonie oprócz grającej nie było nikogo. Dźwięki muzyki agłuszyły odgłos dzwonka w przedpokoju, a kobierzec, za-

ścielający posadzkę salonu, stłumił szmer moich kroków. Niepostrzeżony, usiadłem na uboczu, tak, że widzieć mnie nie mogła, ja zaś widziałem wyraźnie delikatny jej profil, białością odbijający od ciemnej sukni. Zdała od niej paliła się jedna tylko lampa dziwnego kształtu, napełniająca salon z szkieł różnokolorowych światłem marzącym, w którym nad innymi barwami przemagał napojony błękitem fioleto. 000

Przez cały ten szereg lat, który nazywa się młodością, zanurzony w pracach naukowych i w nich rozmiłowany, nie miałem nigdy wiele sił i czasu do ofiarowania sztuce. Lecz muzyka posiadała zawsze władzę unoszenia mi uczuć i wyobraźni w światy nadludzkie. Nie opuszczałem też nigdy sposobności oddawania się jej urokom i rozkoszom, niekiedy podaną mi być mogła w czarze wielkiej sztuki, rękoma wielkich mistrzów. Muzyka tedy ani nieznaną, ani obojętną mi nie była, lecz właśnie dlatego począłem teraz słuchać jej z niecierpliwą i prawie gniewną chęcią, aby ustała jak najrychlej. Nie mogłem brać za złe grającej, że w samotności oddaje się zajęciu, do którego przyzwyczał ją zapewne obyczaj powszechny, lecz wolałbym, aby banalność tego obyczaju nie psuła mi doskonale dotąd harmonijnych zarysów jej postaci, i nie mąciła w tej chwili naszego sam na sam.

Lecz po paru już minutach coś mię w tej grze uderzyło, zdziwiło: jakaś rzetelna umiejętność, czystość tonów nieskazitelna, miękkość dotknięć i brzmień... Niechętny i sarkastyczny nastrój mój zniknął prędko, ustępując przed tą niepodobną do objęcia słowem rozkoszą i boleścią, któremi napełnia mię zawsze muzyka, a których zmieszanie takie, że niepodobnem staje się jedną od drugiej oddzielić, było niejednokrotnie dla mnie przedmiotem analiz i dochodzeń na naukowym gruncie.

Tym razem nie potrzebowałem odtrącać od siebie analizy o zimnych palcach; odeszła sama i bezpodzielnie oddałem się tej fali bolesnej i słodkiej, którą wlewały we mnie tony Szopenowskiego nokturnu. W miarę trwania tych tonów, wzmagająca się we mnie ta fala, wzbierała w wysokość i siłę,

aż napełniła mię po brzegi, i do uczuciowego życia obudziła każdy nerw mój i każdą drobinę mózgu. Z każdym niemal akordem, czy pasażem, które wypływały z pod natchnionych dłoni artystki i łączyły się dokoła z błękitno-fioletowym powietrzem pokoju, stawałem się coraz więcej samem tylko uczuciem, a pomimo to, z zupełną jasnością przytomnej myśli uświadamiałem sobie, że to uczucie, splecione z mnóstwa różnych pomiędzy sobą dotknięć, jest w źródłach swych wielkiem, zarówno jak w działaniach przepotężnem, że rozpościera się po całym planie ludzkiego życia i sięga za ciasne krawędzie poznawalnych zjawisk tego planu — że jest ono najwyższem napięciem, najszerzą przestrzennością, najbujniejszym wyegzaltowaniem, samą nakoniec maksymizacją życia.

W tej chwili równie jasno, jak tamte, uświadamiałem sobie i tę prawdę, że tego napięcia i rozprzestrzenienia całej istoty mojej, tego poczucia maksymizacji życia, doświadczalem za sprawą sztuki, że ona jest ich pierwowzrokiem i ostateczną pobudką, i że w tej właśnie potędze spoczywa prawdziwa tajemnica jej czaru, tkwi niezmienna jej ważność i wielkość — że nakoniec, wiernym tłumaczem znaczenia sztuki, skutecznym przywoływaczem jej czarów i cudów, może być tylko dusza człowieka, która w samej sobie zawiera je i skupia, dusza silnie i szczerze artystyczna.

Odjąłem dłoni od oczu, w których była wilgoć wielkich rozrzewnień, i spojrzeniem ogarnąłem młodą artystkę, która, nie wiedząc nic o podstuchującym ją zuchwalcu, oddawała się bezpodzielnie unoszącym ją skrzydłom natchnienia. Nie wiem już, jaką i czyją była kompozytorka, którą teraz grała, ale widziałem, że myśl muzyczna mądra i płomienna wchłania ją w siebie, jak ocean perłę, i że z pod palców jej, podobna do koronek, uplecionych z pereł, pieśń rozległa, wspaniała spływa i spływa w powietrze fioletowe, na kobierzec o barwach wyblakłych i — na mnie. Czułem na sobie te koronki perłowe, szły one we mnie, przenikały mię do najgłębszych

tajni, aż przemieniły się w magnes przepotężny, który mię ku niej pociągnął.

Właśnie ostatnie tony pieśni, w pianissimie tak cichem, że ująć mogło za melodyjne westchnienie, z pod rąk jej wypływały, gdy przed nią stanąłem. Firanki powiek jej podniosły się nad źrenicami, pełnemi ekstazy i łez.

Tak nagle mię ujrawszy, ani zlekła się, ani zdziwiła, tylko zmieszała się tak ogromnie, jak gdybym podpatrzył, czy podслуchał wielką jej tajemnicę.

Ruchem powolnym podniosła się z siedzenia i z pierwszych zarysów uśmiechu, które zadrgały na jej ustach, odgadywałem, że chciała żartobliwie tłómaczyć się ze swej muzyki, ze swej ekstazy i ze swych łez. Ale nie mogła. Rumieniec gorący występować począł na jej rozgrzane policzki, ogarniając łuną przejrzystą i skronie, i czoło, i szyję, tak, że stała się podobną do dziecka, które, na gorącym uczynku schwyte, stoi, wahając się, zasmucone i do ucieczki gotowe.

Gdy tak stała przede mną, wzruszona i nieśmiała, cała oblana łuną nietkniętej skromności, źrenice rzęsami przysłaniając, zdjąłem z ciemnej sukienki w dół opuszczoną jej rękę, i jak trwożne skrzydło ptaka z delikatną czułością ukryłem ją w swych dłoniach.

Było to przed dwiema godzinami, a teraz jestem sam i ducha swego posyłam ku tobie — o najlepsza! aby ci opowiedział wszystko, co się z nim staje.

Nie waham się nazywać cię najlepszą, skoro serce moje tak odporne i tak gorzkie, zapatrzwszy się w twoje serce, jak zwierciadło wzięło w siebie obraz twej dobroci. I obraz ten stał się we mnie czemś żywym, o czem wiem już, jakie wysącza z siebie słodycze i siły, i jak daleko promieniami swymi sięgać może...

Bardzo daleko sięga i szerokie koła zatacza promienowanie raz w sercu człowieka nie poczętej, ale uświadomionej dobroci i miłości.

Gdy tylko powiedziałem myśli swej, że jest wielką,

piękną, wysoką, ale nie jedyną, gdy tylko myśli swej pozwoliłem, aby zgodziła się na dobroć i na miłość, z pierwszych zgłosek ich powstawać zaczął poemat i z pierwszych kropel ocean. Istniały one we mnie w postaci siły potencjonalnej i kryjomej, upominającej się o wyzwolenie głosami smutków bezbrzeżnych i osłabień niespodziewanych, które sączyły z siebie jady, zatruwające nerwy szczęścia i sam nerw życia.

Abym mógł szczęście poznać i żyć dalej, trzeba było zaklęcia, wyzwającego siły uwięzione, siły żywe i cierpiące pod zwaloną na nie opoką. Zaklęcie to przyszło mi od wpatrzenia się w duszę twoją i od tej wielkiej dobroci, z jaką rękę pomocy wyciągnęłaś do ginącego.

I wiem już teraz, jak wielkie pomoce nieśchy mogły sobie nawzajem dusze ludzkie, gdyby tak, jak nasze, otwierały się wzajem przed sobą i gdyby mieszkala w nich dobroć, ta dobroć, która daje człowiekowi moc samego siebie od siebie odepchnąć i troskę serdeczną roztoczyć nad innymi.

Nie waham się spowiadać przed tobą ze zmian, które zachodzą w duchu moim i są zapewne zwiastunami dalszych kół i promieniowań wyzwolonych ogni i światła. Jako myśliciel, nie czuję się bynajmniej upokorzonym przez zwycięstwo, które odnoszą nade mną dawnym nowe napływy doświadczeń i wniosków. Niepodobna mi przypisywać wartości pierwszorzędnej umysłom, które, naksztaft kamieni polnych, nieruchomo tkwiących przez wieki w miejscu, gdzie rzucił je wypadek natury, tkwią nieruchomo i aż do końca w podścielisku pojęć, które rozesała dla nich wypadkowa czynności i wpływów pewnej doby życia. Umysłom takim, sztywnym, albo pysznym, nie dostaje giętkości do podejmowania z drogi życia nowych klejnotów poznania, albo tej szczerzej czci dla prawdy, która zmusza do schylania przed nią głowy zawsze i wszędzie, z zupełną niedbałością o tej głowy pychę, czy nieugiętość. Umysły giętkie, lotne, szczerze, dla swej żądzy poznania kresu nie znają i przed swą zdolnością poznawania nie stanowią tam i nie zakreślają granic żadnych; nie czują

wstydu, gdy z wiar lub niewiar swoich coś przekreślić im wypadnie, albo linie jakieś wyprostować, czy wydłużyć, lecz, owszem, unosi je radość widoku, że rozszerzoną jest dziedzina poznania i że oni ją w rozszerzonych granicach wziąć w siebie śmia i wziąć są zdolni.

Gdy zaś z wykreślonych w duchu moim linii wiele teraz wydłużam, lub na działanie nowych oświeleń wystawiam, nie zapieram się przeto samego siebie, ani bluźnię przeciwko słońcu wiedzy, które samo jedno młodości mej przyświecało. Jest ono, tak jak było, przedmiotem gorącej mojej czci i zostanie nim na zawsze; służebnikiem jego być nie przestanę i ambicya moja nie będzie miała nigdy celu wyższego nad składanie mu w ofierze moich dni i trudów.

Lecz mniemam teraz, że wiedza bywa produktem nie jednego tylko czystego rozumu, i że w głębi złożonej wielce istoty człowieczej istnieje głęboki pokład sił innej, niż czysty rozum natury, sił natury uczuciowej, które również prowadzą wzrok do tajników wiedzy, i których odkrycia czysty rozum najczęściej zatwierdza.

I w to nowe dla siebie źródło poznania badawczą myśl zanurzając, z trudnością rozstrzygnąć przed sobą mogę, co bardziej, co niezawodniej obszar i czystość poznania zapewnia: te pierwiastki, z których składa się czysty rozum, czy te, których połączeniu zwykliśmy nadawać miano charakteru. Rzecz prosta, że łączna tylko praca dwu tych ducha ludzkiego organów sprowadzić może doskonałość i pełnię, lecz ciekawym jest widok rozumów potężnych, które, z braku odpowiednich pomocy od pierwiastków uczuciowych, ślepyimi pozostają na znaczne obszary prawd — i ciekawem być musi dochodzenie, ile inteligencji, ile pojemności, ile prawd, skryształizowanych w kształty stałe, przynosi niekiedy w darze rozumom potężnym ten stop najlepszych pierwiastków uczuciowych, który nazywamy charakterem wielkim.

Z widnokregu myśli mojej nie zniknęła ta otchłań, ziejąca smutkiem i zniechęceniem, którą jest poznanie nicestwa ziemi naszej i rozpostartych po niej bytów, w porównaniu

z obejmującym je zewsząd bezmiarem wszechświata. Wiem tak samo, jak wprzód wiedziałem, że za kręgiem zjawisk zmysłowych i poznawalnych, który, jakkolwiekbyśmy go rozszerzali niezmordowaną myślą, ograniczonym pozostać musi na zawsze, istnieje niepoznawalność bezgraniczna i nieubłagana, z której, jak z pierwotnej krynicy biją wszystkie nasze jaźni, treści, rozkosze i męki — i że ta Niepoznawalność będzie na zawsze dla pewnej kategorii umysłów krzesiwem, wzniecającem żądze wiedzy, i gasidłem, oblewającem je gorzką wodą zniechęceń i zwątpień. Wiem, jak wiedziałem, że za doczesnością ukrywa się wieczność, której nie pojmem nigdy, choćbym był królem ziemskich duchów, i że ta doczesność jest marną i kruchą, i że marniejszą jeszcze, lichszą, czynią ją tłumy ludzkie marne i liche. I gardzę tak, jak dawniej gardziłem, oddawaniem się rzeczom marnym i lichym — pragnę tak, jak dawniej pragnąłem, siłą i czystością ducha wzbiąć się nad niskie poziomy tłumów.

Lecz myślę teraz o tem, o czem dawniej nie myślałem że życie naszej planety i życie rozsianych po niej tworów są, obok niezmiernej prawdy Wszechświata, jego bezmiarów i jego olśniewających blasków, jego początków i jego celów, drugą prawdą, ograniczoną, pełną zatajonych po rozdołach i przepaściach żalości i rozpaczy, lecz dla mnie, jako dla ziemskiego tworu, równą tamtej w wielkości i wadze.

Pierwsza z tych prawd nie unicestwia bynajmniej drugiej, i nie byłbym w stanie pojęciem choćby tylko zaczepić o pierwszą, gdyby nie istniała druga. Tamta olśniewa wyobraźnię moją i każe mi uchylać czoła przed obejmującą mię zewsząd, nieograniczoną i niepojętą, potęgą i tajemnicą — ta, wsącza mi się do serca tożsamością natury i kolei, wzywając wszystkie me siły, aby wzrostowi i szczęściu jej były pożyteczne.

Myślę o tem, o czem nie myślałem dawniej, że służyć można ogromowi przez małość, nieskończoności przez ograniczoność, wieczności przez doczesność, nieznanemu pra-źródłu wszystkich bytów przez wspieranie i wzbogacanie tego bytu

jedynego, na który szeroko otwierają się oczy moje, którego też jestem krwią krwi i kroplą kropli.

Szeroko otwierają się oczy moje na byt ziemski, na byt takich, jak ja, istot ziemskich, i wiem już teraz, że pomimo jego ograniczoności i kruchości, pomimo zaczajonych w jego rozdołach i przepaściach żalości i rozpaczy — są w nim kwiaty, których wonią oddychać można piersią szczęśliwą — są w nim rzeczy, godne czci — i są radości, ku którym wzdychała stęskniona dusza moja.

O, Seweryno! są też na ziemi czyny tak wielkie, że cena ich przenosi cenę krwi wylanej przez bohaterów na otwartem polu, a tak krwawiące i ciche, że dotknięcia, słowem nawet najcichszem, nie znoszą.

Takie arcydzieła serc mogą nas czołem w proch rzucać przed świętością tego, co im jest natchnieniem i mocą, mogą nam pierś rozrywać orkanami żalu i górnych porywów, ale ściskają nam gardła i zamykają usta, podobnie jak węgiel czerwony, którym Bóg znaczy wargi wybranych proroków, zamyka te wargi na wszystkie rzeczy ludzkie i śmiertelne.

Niechże majestatowi czynów takich nie urąga ani spazm żalu, ani mdły podziw, ani marna podzięka. Nieumniejszone żadnym aktem ludzkiej miary, niech będą, wniebowzięte w srebrnej aureoli milczenia!

V.

NA ZAMCZYSKU.

XXXV.

Nie wiedziała sama, od jak dawna siedzi na ociosanym kamieniu, niegdyś może ozdobie książęcych, albo królewskich krążganków, a dokoła niej, na kobiercu z uwiedłych liści, leżały odłamy cegieł, metali, form architektonicznych, które przed wiekami tkwiły w wyniosłym gmachu potęgi i chwały.

Baśń, nie baśń, istota fantastyczna, która z łona wieków na wieczornice zimowe przybywa w sukni z mrozu i szronu, opowiada, że wznosiło się tu niegdyś zamczysko książąt dumnych, możnych, walecznych, którzy szczęk zwycięskiego oręża roznosili od migdałowych gajów naddnieprzańskich, do usianych bursztynem wybrzeży Bałtyku. Ilekroć orężem nie dzwonili, sprawiali łowy w puszczech takich, jak ta, sprawiali je i w tej, a teraz, gdy w jesienne, lub zimowe noce koguty w budniczych wioskach na północ pieją, z porytych przez borsuki i dziki gruzowisk zamczyska zrywają się i w las pędzą widmowe orszaki myśliwskie. Zgiełk tu wtedy, blask, ruch, gwar. Za Kunigasem swym, jaśniejącym w ciemności bielą gronostajów, jadą na postrojonych rumakach Bojarosy — rycerze, w kołpakach rysich, z dzidami, które wysoko w blaskach pochodni pobłyskują, wielki łowczy, z garbem torby

borsuczej na plecach, pobudkę myśliwską w długą trąbę dmie, ogary grają i figlarne kaukie w czerwonych kapturkach gromadą pomocniczą za ogarami biegną...

Teraz cicho tu, pusto, mroczno. Nad ociosanym kamieniem smutny świerk stoi, a w pobliżu puste legowisko sarnie krwawi się we wklęsłości liściem, opadłym z sokora. Na tej krwistej rdzawości, którą jesień noclegi sarnie okryła, błyszczy srebro wilgoci, składane przez mgły.

Puszcza pełną jest teraz krwistej rdzawości, bladych sreber, spłowiałych pozłot i dziwnych mgieł.

Inaczej było tu o południu. Słońce jesienne, tknięte wspomnieniem lata, raz jeszcze, przed nadejściem zimowych senności wóz swój zaprzęgåło w rumaki ze złota, srebra i brylantów. Raz jeszcze upalne, skrzące, żeglowało po błękitach gorących i czystych, napełniając puszcę blaskami bogactw midasowych. Przepychem midasowym, ulewą barw, orgią blasków ociekały wtedy wzorzyste uploty gałęzi, wszystkie portyki, nawy, polany, samotne na łąkach kolumny, tajemnicze nad strumieniami zacisza i ostatnimi woniami ziejące malarzowe puchary rozdołów.

Ale gdy wielkie światło niebieskie osunęło się na pościel, przez gwiazdę wieczorną z purpur i ogni usłaną, wszystko przygasło, i las napełniać się począł smutnymi tworam i mgły.

Upalnym dotknięciem słońca z mokrej ziemi wywołane, powstawały nad nią słupy białych oparów, i z postępem wieczornego chłodu mnożyły się w niezliczony lud ruchomych mar. Wzrostem równe wysokim drzewom, białe i wiotkie postacie te o ciałach z krep i muślinów, szły po szerokich drogach leśnych, jedna za drugą, słaniając się i chyląc czoła pod sklepieniami z gałęzi, jak pod wyniosłym, lecz dla nich za niskim stropem świątyni. W nieskazitelnej, przedwieczornej ciszy, drogi leśne przemieniły się w nawy świątyni, z przeciągającą teorią olbrzymek w białych sukniach, w sukniach, które niekiedy zaczepiały o gałęzie drzew przydrożnych, a wówczas olbrzymki, z dróg zbaczając, wchodziły w las. Wchodziły w las i błakały się, tulały, rozdzierały o drzewa

swe rzadkie ciała, zawieszały na nich długie welony ślubne, lub z głowami, w gałęzie ich wtulonemi, napełniały je bladym oddechem swym dopóty, aż rozemdlone i rozechwiane wzbijały się ku górze białą, przeźroczą rozwieją.

Od tych mar, od nadciągającego zmierzchu, od przelewających się w ostatekach dziennego światła bladych metali i przygasłych dyamentów, od wilgotnych tchnień, rozlewających w powietrzu przypomnienia zimy i łez — rozwlekl się po całym tym ogromnym lesie bezbrzeżny smutek.

Kiedy Seweryna podniosła zamyśłone powieki i wzrokiem powiodła dokoła, w pobliżu, o rozłożyste drzewo oparta, stała olbrzymka z białej pary, i nieruchoma, zdawało się, że na coś czeka, patrzy na nią i przyzywa ją ku sobie tajemniczymi znakami rozwiewnych ramion. U stóp olbrzymki, w ostatekach dziennego światła, krwawiło się zwiedłym liściem wklęsłe legowisko sarny. Z niedalekich zarośli wypełził gad z mgły i, wzdymając się białymi kłęby, podstępnie pęłząc zaczął po zwiedłych trawach, po uschłych liściach, po rozrzuconych szczątkach Zamczyska...

Smutno! Dlaczego ona jest tu, gdzie tak smutno? Dlaczego nie uleciała w blask, w gwar, w rozmigotaną stu źrenicami radość życia, pomiędzy groty laurowe i różane, w których śpiewają błękitne ptaki szczęścia? Po co smucić się? Po co tkwić w smutku? Po co cierpieć?

Myślała. Powracały do niej myśli jej dawne, początkiem o wysokie gwiazdy zaczepione, na chwilę znikłe, a teraz zmarłych wstające.

Po co cierpieć? Po co cierpienie w sercu człowieka, na obliczu tej puszczy, w umęczonych duszach pokoleń i ludów?

A czyliż podobna wzrokiem zmysłów ułomnym i wiedzy światłem szczupłym doścignąć kolei i przemian wszystkiego, co powstaje i znika, dla zmysłów i wiedzy znika, ale nie ginie? W świecie ducha, jak w świecie materii, panują przemiany nieskończone, nieodgadnione obroty życia i wieczne jego krążenie z formy w formę, z łona do łona, z bytu w byt, a nikt opowiedzieć mi nie zdoła: kędy początek był i kędy

koniec będzie — mojej łzy. W pierwszym zarodzie swym powstała może z tęsknego wejrzenia ku górze jednego z przodków moich, odbije się w którymś sercu rówiesnem tęczą nadziei, z niego do piersi innej przejdzie drobina woli szlachetnej, która z kolei wstąpi w skład dobrego czynu i do innych jeszcze oczu przeniknie promieniem radości. Nikt nie odgadnie i nikt nie opowie czynów bólu mego i kresów ostatecznych, dla których jest stworzon. Lecz, jak dym z ogni ofiarnych, ból, powstały z czystych, gorących pokładów mej duszy, tworzy, na długiej swej drodze czystość i ciepło, strumień ich rozszerza i chwilę przybliża, w której stanie się on morzem.

Gdy tak myślała, coś poczęło w oddali muskać z lekka uwiędłe mchy i liście. Podniosła powieki. Twory z mgły już ponikły; wchłonęła je ziemia, pobrały w siebie drzewa, w pył rozbiły ruchy powietrza i pusto było teraz pomiędzy drzewami, w coraz szybszem nadpływaniu zmierzchu.

Ale natomiast, w nadpływającym zmierzchu łania biała biegła tak lekko, że od jej stapań czasem tylko ze słabym szelestem skruszył się liść uwiędły, lub uschłą koroną kwiatu powiała wysoka łodyga. Biegła wprost ku Zamczysku, lecz w oddali, na kobiercu ze rdzy czerwonej i spłowiałego srebra, stanęła.

— Powracasz więc, o gończe natchnień dobrych, posłanko tajemniczych krain, któraś przed wiekami wodzowi rzymskiemu w momentach przeklętych szeptała o Wypach Błogosławionych i o tem, że most, ku nim wiodący, musi być, jak gwoździemi, nabijany sercami ludzi dobrej woli! Czy pamiętasz? Szedł raz po tej puszczy huk ogromny, łamały się drzewa, a na niebie świeciły błyskawice i jaśniały dalekie tęcze. Dwoje szczęśliwych dzieci tuliło się do siebie, zapytując u nieba i ziemi: co czynić? Wówczas tyś przysłała i twój szept, twój dech, na zegarze ich przeznaczeń posunął wyroczną wskazówkę. Rozstrzygnęły się wówczas na zawsze losy szczęśliwych dzieci. Na zawsze, gdyż ktokolwiek raz spojrzał w głębię twoich wielkich źrenic, temu nigdy nie

przestaną być one podniecią nieubłaganą, która gna coraz dalej i wyżej, lub srogim wyrzutem, bolącym więcej, aniżeli ból.

— Widziałam go niedawno i był to moment szczęścia, do którego zawsze powracałbym chciała, ale nie mogę. Nie mogę, bo rzadko bardzo ciało rozluźnia swe więzy i pozwala duszom wstępować w sfery niebieskich zachwyceń.

— Moment to był krótki; zawsze krótkimi bywają momenty zachwyceń i krótką jest również fala ziemskiego życia — lecz jakże nieskończenie długą perspektywą ciągną się fali tej krople-dnie, które od ranków do zmierzchów przebywać trzeba szaro, powszednio, aby o zmierzchach zamykać oczy do snów powszednich, lub łzawych!

Zakryła dłońmi twarz i zapłakała. Serce jej, patrząc w długą perspektywę dni szarych, powszednich, i snów powszednich, lub łzawych, drżało w piersi, jak drży ptak, ściśnięty w dłoni, o której wie, że nie rozemknie się nigdy i nie pozwoli mu wlecieć na bzy majowe, w gorące złoto słońca. Ale w tem sercu, drżącym przed obliczem surowego życia, nie było buntu, ani gniewu, i płynące z niego łzy, osychając na jej policzkach i rękach, łączyły się w powietrzu z przepajającymi je łzami natury.

Gdy tak płakała, poczęły się dziać wkoło niej nowe dziwy. Tu, owdzie, ozwały się i bładzić po lesie zaczęły ciężkie, przeciągłe westchnienia. Nie pochodziły od wiatrów, ani od drzew, ani od wód; czuć w nich było piersi żyjące i utęsknienia niezmiernego pełne.

Były to łosie, które w porze kochania tułają się po wieczornych zmierzchach, wzdychając.

Och! och! rozbrzmiewało kędyś w oddali; oooch! rozmnażającami się coraz echami odpowiadały inne piersi uciśnione. Aż rozsypały się te wzdychania po wszystkich stronach lasu i czuć było, że wychodziły w oddali za las, na pola, w świat, aż pełnemi ich stały się las i powietrze, a na ziemi, pod niebem, w lesie, na polach, na świecie zdawało się nic już nie istnieć, prócz ciężkiej tęsknoty.

Wzdychającą wszędzie tęsknotą, jak czarownicą obręczą otoczona, Seweryna myślała o tem, że natura dała jej ustom zdolność do wszystkich uśmiechów: takich, co pieściza, takich, co wesela, takich, co krzepia, i takich, co koja...

Dała również natura jej sercu siłę do wszystkich uczuć, z których wytapia się radość życia, i dała jej myśli wszystkie słowa, które są światłem, radością i lotem. Lecz te uśmiechy ust, ta siła serca i ta wymowa myśli nikomu nie są pieścizną, ani skrzydłem, ani szczęściem i nie będą. Tak rozkazywały gwiazdy.

(Uczuła w sobie ciężar uwieczionych uśmiechów, uczuć, słów tkliwych i lotnych, i pojęła, że z brzemion ziemskich najcięższem może do niesienia brzemieniem są nieoddane nikomu klejnoty duszy. Pojęła to i pochyliła kibić ruchem, pokornie przyjmującym brzemień.

Odjęta dłonie od twarzy i szukała wzrokiem białej łani, ale wśród drzew rozwieszał się tylko zmrok już gęsty i na ciemnych jego zasłonach nie rysowała się żadna wdzięczna postać. Tak przybywają i odchodzą świąteczne momenty natchnień wielkich, w oddali rysujących obrazy Wysp Błogosławionych, a po ich odejściu przychodzi szary zmierzch i na długo znika z oczu biała łani.

Ale Wyspy Błogosławione na oceanie życia są; i teraz, daleko wzrok puszczając, patrzy na jedną, pełną radości. Zamieszkuje ją dwoje szczęśliwych. Widzi ich promieniejące twarze, ich połączone dłonie, i tę grotę lazurową, do której pod łukiem różanym wstępuje ich tryumfująca młodość i miłość. Widzi to wszystko, i nie dziwi się, chociaż pamięta, że niedawno on ją — nie tamtą — wołał pod sploty tryumfального łuku. Lecz jej duch tylko był mu znanym, a słabem jest panowanie ducha nad światem cielesnym i do zgaszenia blasku jego szerokich źrenic, wystarcza jedno mrugnięcie widzialnej powieki. Zgasł dla niego jej blask, przebrzmiał głos — i ona sama zapada w zapomnienie głuche, razem z tem wszystkim, co, mając być bezcielesny, dla świata, obleczonego cięciem, długo żyć nie może.

Wiedziała, że tak się stanie, i uczyniła, aby się stało; a teraz z oczyma, pełnemi łez, prostuje kibić i mówi sobie, że uczyniła dobrze. Uczuwa dumę, jedyną dumę, do której jest zdolną, powstała z myśli, że uczyniła dobrze. Uczuwa radość, jedyną radość, którą Bóg posiał na jej krótkiej fali, zapaloną u słońc, przyświecających innym. To słońce, w którego blasku oni teraz stoją, ona roznieciła na pociemniałem ich niebie; ten kwiat szczęścia, który wieńczy ich czoła, ona wynalazła wśród piołunów ziemi. Tę Wyspę Błogosławioną, na którą wstąpili, ona wydzwignęła nad ocean ziemskich szlamów. A ponieważ słońce, kwiat i wyspa wynurzyły się z jej wyrzeczenia się i wytrwania, więc wierzy w wolę swoją i przed oczyma jej pamięci staje rycerz, nad wszelkie zło silniejszy.

Ze wzrokiem, daleko patrzącym, skłoniła głowę i w pożegnalnym ukłonie posłała im słowa: niech skrzydło anielskie zawsze na twarzach waszych wypisuje litery radości!

Do tego, który niedawno, gorącym i tęsknem wołaniem wzywał ją ku sobie, mówiła:

— Leć beze mnie, lecz leć! Z oddali słuchać będę szumu twoich skrzydeł i każde ich uderzenie zwycięskie brać w serce, jak czarną perłę. Leć, zdobywaj i laury swe rzucaj pomiędzy ciernie naszej niwy!

A do kobiety, której go oddała, mówiła:

— Kwitnij, narcyzie, mów mu o cierniach naszej niwy i wiedz go pod gwiazdy, pod moje i twoje gwiazdy!

Gdy tak w myśli mówiła, czuła, że żyje, których miała pełne serce, tężyły w czarne perły.

Więc choć zmierzch gęstniał i łosie wzdychały jeszcze, przypomniawszy sobie, jaki wspaniały parasol rozpinała dziś stara grusza na dziedzińcu Dobrzyńskich, i jaki pod rzeźbami ze szkarłatu i złota rozlegał się szczebiot dzieci.

Było to w południe.

Są pomiędzy wieczorami, pełnemi wzdychań i zmroku, jasne południa z błękitnem niebem i wesołem słońcem; są w ciszach głuchych skowroncze szczebioty dzieci; jest w sercu

bołącym struna, zaczepiona o niebo, o ziemię, o kolebki,
o groby, o serca inne i...

Nie już słońce ostatnie zachodzi
A po złej chwili piękny dzień nadchodzi...

Jest na łodzi, która przez falę czasu przenosi serce samotne i smutne, przyjaciółka z dłonią, na pozór twardą, lecz mającą dla rozplakanych pieszczoty macierzyńskie, z łonem, na pozór oschłym, lecz pełnym mleka i wina... Oblicze jej przegląda z dni pokratkowanych, u których końca, jak na marginesach przepysznych ksiąg starodawnych, stoją Anioły, wymalowane srebrem czystości i lazurem ukojenia.

A gdy łódź życia w złą chwilę przebywa falę czasu — kto wie, jakie u kresu fali rozwierają się przedziwne i nieskończone pogody Bożego dnia!

Więc w górę serce, i czoło, i dłonie!

W górę, serce — młocie wierny! W górę, o myśli — ptaku wolnoskrzydły. W górę, ręce — pracownice dumne i pokorne, bo dzieła wielkie pełniące, gdy można, a mrówcze roboty, gdy trzeba!

Radości nie ziemską, nie glinianą, nie po płytkich powierzchniach toczącą swe kwietne nektary, lecz w płomienne jądro duszy lejącą się z wyżyn powszechnego ducha — znijdź, spłyń — i z cieniów melancholii, z szarzyzny powszedniości, z głodów serca, z nędz ziemi, z bogactw serca i ze skarbów ziemi — wyprądz złoto poematu!

O! w górę serce moje nieszczęsne i szczęsne!

...Ludzkie przygody po ludzku znos,
Jeden jest Pan smutku i nagrody.

Gdy tak myślała, coś w pobliżu zaczęło zlekka muskać mchy i liście, aż z gęstwiny wychylona, u boku jej stanęła łani biała i gibką szyją na ramieniu jej zawisła.

Wtedy nad gładzonym kamieniem świerk powiał ciemnym płaszczem i zaszumiał.

Było to hasło, wnet powtórzone blisko i daleko, ze strony Wschodu i ze strony Zachodu, od Północy i Południa, aż wszystkimi głosami swemi zagadała puszcza.

Za rzekami i strumieniami, za polanami i łąkami, pociążył Bór-Lada basową, głęboką swą gammę; w Czarnej Smudze mruczeniem podziemnym ozwały się żubry i w norach ciemnych zaszeleściły tysiączne gniazda robacze, a gdy dołem pomykały lekkie biegi lisie, górą z szumem płynęły szerokie skrzydła orle i ostrymi pogwizdy odzywały się na wierzchach pisklęta krogulcze. Na Sarnim Skoku zadzwoniło szczekanie jeleni, stado sarn rudyh lekkimi stopy przebiegało błonie, nad strzechami wsi budniczej rozległ się klekot bociani, a na Wielkim Nikarze szeptały wojska trzciny, wiatr gwizdał w oczeretowe flety i z żalosną nutą harfy eolskiej ocierało się o błękity stado odlatujących żorawi.

A po lipowych gajach, jemioly dokoła czoł rozłożystych wiły i wiły wiecznie świeże wieńce i po leszczynowych ogrodach kapwały i kapwały z róż dzikich, z jarzębin i z kalin deszcze krwawych jagód.

Cicho na Hrudach z jeżyn, z malin, ze splecionych grabów osypywały się liście brunatne i żółte, martwym szelestem szły po mchach siwych rozmowy rdzawych paproci i głośnie, dumną, pełną zapytań i pełną łkań mową szumiały dęby, które ze zwierciadła wód czarnych, jak smoła, naksztalt ramion stęsknionych, wyprężały ku niebu potężne swe wzrosty.

Rozszemrały się, rozdzwoniły i rozklekotały Lsna, Gwoźna, Biała, Łotewka, Narewka, Jelonka, wszystkie rzeki od ojca Nikaru ku matce Wiśle biegnące, wszystkie krynice, bijące w odwiecznych cieniach, wszystkie naszyjniki z turkusów i kryształu, którymi wieszczki wód obwiesiły szerokie łono tej puszczy.

Coś tam daleko — turkoce!

Czy to wozy Jagiełły ciągną pobite żubry i tury ku grunwaldzkim polom, lub Mostem królewskim toczą się karoce Siedmiogrodzianina i w królewskiej chwale przetaczają

się lasem, ku oblanej purpurą namiotów myśliwskich górze Batorego?

Coś tam rozlega się tryumfalnem wołaniem! To w bankietowym okrzyku rycerze, dworacy, wzbili pod modrzewiowe sklepienia, kochane imię Zygmunta Augusta.

Coś ze stron wszystkich zastukało, budząc uśpione echa i zwierzęta!

To Budnicy żelaznymi topory uderzyli o pnie olbrzymek, aby puszcza wysłała je na morza dalekie, jako wyniosłe, niezłomne heroldy swej sławy.

A co tam tętni na szerokiej drodze? Leśną drogą, z gwiazdą na hełmie i z cudnym uśmiechem na ustach, przybywa z krain czarownych snów i baśni, rycerz, nad wszelkie zło mocniejszy.

Dzwonki wysokie na mogilnym kopcu szepcą «Anioł Pański», a wtórzą im dęby młode na obozowych okopach...

Wyniosłe i rozechwiane szczyty opowiadają przelatującym wiatrom o przepłynionych wiekach i zapytują u nieba o tajemnicze wędrówki i cele jego dróg mlecznych i wozów gwiazdzistych.

Ziemia wytchnęła z siebie wilgoć łez, które ściekają w nią przez wieki i rozwiej próchen, którą istoty i rzeczy pomarłe wyspały się do jej łona...

I tylko nad Nieznany Rogiem panuje ciemność i cisza. Czy nie wyblśnie tam płomień, unoszący ku obłokom rycerza w zbroi, albo wieszczą z lirą? Czy nie powieją stamtąd wonie bursztynów i tomek, palonych w chwalebnym kadzidle?

Ciemno i cicho było nad Nieznany Rogiem, bo rzadkimi bywają na ziemi blaski i dymy wniebowzięć. Natomiast, powietrzem, wyraźne i jasne, srebrnie dobitne, popłynęły brzmienia dzwonu.

Był to kościelny dzwon; brzmiał od uroczyska Mogiły, z którego miasto, żywcem pod ziemię zapadłe, o każdym zmierzchu wysyła na ziemię głos dzwonu, aby oznaj-

miał, że ono żyje. Podówczas wszystko, co w puszczy miało głos i mowę, poczęło usuwać się w milczenie przed tym głosem rozległym, donośnym, bolesnym.

Ucichły szумы drzew, pomilkły westchnienia łosiów, stopiły się z ciszą szeleszczące rozmowy paproci, rzeki, krynice, strumienie klekotać i szemrać przestały; a w oddechu ziemi, nabrzmiałym odwiecznymi łzami, sam jeden tylko dzwon podziemnego miasta śpiewał po zmierzchach leśnych swoją pieśń tragiczną.

Nad gładzonym kamieniem królewskiego krużganku, pod uciszonym świerkiem, kobieta, z dłonią, wspartą o gibką szyję łani, kibić pochyla ku stronie, z której przyływa pieśń dzwonu — i słucha. Nad świerkiem wybłyskuje gwiazda i zółtem okiem spogląda z nieba na mroczne dno Zamczyska.

Usta kobiety poruszają się cichym szeptem. Odmawia ona akt miłości:

— ...Kocham cię nad życie... Kocham cię w woniach twej ziemi i w śpiewach twych ptaków, w szeleście kłosów, w szumach lasów, w dzwonieniu wód, w mgłach nad łąkami.

«Kocham cię w kwiatach twych polnych, ziołach dzikich, kamieniach i krzyżach przydrożnych, w białych całunach śniegu, w czerwonych żarach zachodu, w świtach sinych, zmierzchach smutnych i w gwiazdzistych nocach; kocham cię w chmurnych sklepieniach, które stoją nad gorejącym szkarłatem twych jesieni, w gniazdach i falach, we wrzosach i różach, w tajemniczym piśmie, którym wiatry okrywają rozłogi twych białych piasków i w czarnych brózdach, któreimi pługi oraczy wyrzeźbiają oblicze twej roli...

«Kocham cię w ludzkich łzach, myślach, czynach, nadziejach, snach złotych i kamiennych dolach, nawet w budzących litość i trwogę błędach, w rozpromienianiu się i przegasanianiu twej chwały, w twych śpiewnych i bohaterskich duchach...

«I nadewszystko, najmocniej, najrzewniej, najwierniej, najdumniej, kocham cię w twym nieszczęściu!»

Takim był jej akt miłości; a gdy go odmówiła, rzekła jeszcze:

— Z tobą, przy tobie dla ciebie, aż kiedy:

Ziemi zleciwszy śmiertelne zewłoki,
Ogniu równa prędkiemu, przeniknę obłoki.

Była to jej przysięga ślubna.

A potem oczy wzniosła ku jaśniejącej nad świerkiem gwiazdzie, mówiąc:

— Ojcze! o! Ojcze mój, któryś jest w niebie...
I był to jej akt wiary...

.....
.....
Jeszcze przez chwilę idą po wielkim lesie drgnienia, westchnienia, dalekie wołania, zmieszane pogłosy i szmery, aż rozpraszają się w gęstych zmierzchach i zapadają w ciszę. Wdzięczna postać białej łani, gęstym zmierzchem owijana, zaciera się, niknie i znika. Dzwon na Mogiłach rozbrzmiewa coraz powolniej, słabiej, ciszej i — milknie.

Nad uciszoną i ciemną Puszcza jaśnieją gwiazdy — jej pochodnie i pociechy, jej mocne strażę i nieśmiertelne nadzieje.



113001

~~107630~~